

Danifae Yauntyrr, była branka domu Melarn, zaszła już za daleko, żeby móc się wycofać. Po latach niewoli odzyskała wolność, ale chce się jeszcze zemścić. Choć jej moc i ambicje wzrosły, musi zabić Halisstrę Melarn. Ale jak, skoro wraz z Quenthel i Pharaunem znalazła się w sercu nowego władztwa Lolth, piekielnego świata pełnego demonicznych pajaków pożerających się nawzajem i gotowych pożreć każdego, kto okaże się na tyle głupi, żeby stanąć im na drodze - nawet wybrankę Lolth.

Halisstra przybyła do Pajęczych Otchłani z zupełnie inną misją. W dłoniach dzierży Księżycowe Ostrze, miecz, który pozwoli jej zabić samą Pajęczą Królową pod warunkiem, że odnajdzie ją, zanim Lolth ukończy swe tajemnicze

# ZMARTWYCHWSTANIE

Wojna Pajęczej Królowej dobiega końca.

Prolog pióra R.A. Salvatore, autora  
bestsellerów listy New York Timesa.

Antologie  
Krainy Chwały (II wyd.)  
Krainy Pod mrokiem  
Krainy Magii  
Krainy Głębin  
Krainy Cienia  
Krainy Tajemnic  
Krainy Nieslawy  
Tajemnice  
Sztormowego Dworu  
Pięcioksiąg Cadderly'ego  
Kantyczka (II wyd.)  
Mroki Puszczy (II wyd.)  
Nocne Maski (II wyd.)  
Zdobytą Fortecą (II wyd.)  
Klątwa Chaosu (II wyd.)

Legenda Drizzta  
Księga I: Ojczyzna (I wyd.)  
Księga IV: Kryształowy Relikt (III wyd.)

Trylogia Mrocznego Elfa  
Ojczyzna (II wyd.)  
Wygnanie (II wyd.)  
Nowy Dom (II wyd.)

Trylogia Doliny  
Lodowego Wichru  
Kryształowy Relikt (I  
wyd.)  
Strumienie Srebra (II  
wyd.)  
Klejnot Hallinga (II  
wyd.)

Dziedzictwo  
Mrocznego Elfa  
Dziedzictwo  
Bezgwiazdowa Noc  
Mroczne Oblężenie  
Droga do Świt

Ścieżki Mroku  
Bezgłośnia Klinga  
Grzbiet Świata  
Sługa Reliktu  
Morze Mieczy

Trylogia Klingi Łowcy  
Tysiąc Orków  
Samotny Drów

Trylogia Awatarów  
Cienista Dolina  
Tantras  
Waterdeep

Saga Cormyru  
Cormyr  
Poza Wysoką Drogą  
Śmierć Smoka

Trylogia  
Spadkobierców Arrabara  
Szafrówy Półksiężyc

Łotrzykowie  
Alabastrowa Łaska

Trylogia  
Kamienia Poszukiwacza  
Lazurowe Wieży  
Ostroga Wywerna  
Pieśń Sauriali

Dylogia Shandril  
Magiczny  
Ogień Korona  
Ognia

Światło i Cienie  
Córka Mrocznego Elfa (II wyd.)  
Splątane Sieci (I wyd.)  
Torujący Drogi

Pieśni i Miecze  
Cień Elfa  
Pieśń Elfa  
Srebrne Cienie  
Twierdza Cierni  
Kule Śnów

Wooina pajecznej  
Królowej

Powstanie Potępienie  
Zagłada Unieściewienie  
Zmartwychwstanie.

Doradcy i Królowie  
Ogar Magów  
Brama Wody  
Wojna Magów

Groźba z Morza  
Wzbierająca Fala  
Pod Spadającymi Gwiazdami  
Oko Morskiego Diabła

Powrót Arcymagów  
Wezwanie  
Oblężenie  
Zaklinacz

*Semia*  
Świadek Cienia

Morze Piasków  
Zawołowany Smok  
Wrota Baldura  
Wrota Baldura II:  
Cienie Amnu  
Wrota Baldura II:  
Tron Bhaala  
Sadzawka Blasku  
Noeny Orszak  
Evermeet: Wyspa Elfów  
Maskarady

**R.A.Salvatore**

**przedstawia:**

**WOJNA PAJĘCZEJ KRÓLOWEJ KSIĘGA VI**

# Zmartwychwstanie

**PAUL S. KEMP**

**Dla Jen,  
Roarke'a i  
Riordana**

**Podziękowania**

*Na podziękowania zasługują moi niezliczeni koledzy  
i przyjaciele, ale przede wszystkim jeden z nich:*

*Philip Athans.*

*Dziękuję, przyjacielu.*

*Osiem odnóży, osiem.*

*Stukających na kamieniach, stukoczących, tupoczących, tupoczących niecierpliwie.*

*Skończyły walczyć, ucztować, pożerać swoje rodzeństwo, nabierać sił z każdym soczystym kęsem. Odęte i wyczerpane, stały wokół ośmiokątnego kamienia. Miriady oczu wpatrzone w miriady oczu, osiem odnóży tupiących i stukających.*

*Nie były już w stanie nic więcej zjeść, nie były już w stanie walczyć. Wyczerpanie kazało im się zatrzymać, tak jak od samego początku pragnęła Lolth. Tysiące skurczyły się do ośmiu - ośmiu najsilniejszych, ośmiu najbystrzejszych, ośmiu najprzebieglejszych, ośmiu najbardziej bezlitosnych. Jeden z nich złączy się z Yorthae. Jeden przybierze postać bogini, bóstwa chaosu.*

*Tylko jeden, któremu pozostałe będą służyć... jeśli ten Jeden da im wybór i szansę. Jeśli nie, zostaną pożarte, tak jak tysiące ich martwych braci i siostr.*

*Pająki wiedziały, że teraz nie mają już żadnego wpływu na to, co się wydarzy. Zmagania dawno się skończyły, walka została rozstrzygnięta i tylko Ta, Która Była Chaosem, mogła podjąć ostateczną decyzję. Pająki nie unosiły się fałszywą pychą. Nie łudziły się myślą, że mogą zmienić to, co się stanie. Bratobójcza wojna dobiegła końca.*

*Osiem odnóży stukalo nerwowo na kamieniach.*

*Pozbawione bezpiecznego azylu drowy nie chciały przyjąć tego do wiadomości. Unosiły się pychą, stawiały własne ja ponad Lolth, uznawały się za godne, a nawet godniejsze. Śmiały odgadywać zamiary Lolth, dokonywać wyborów, śmiały knuć i spiskować, aby odmówić swoim wrogom należnego im miejsca.*

*Były głupie i pająki wiedziały o tym. Każdy ich krok był daremny, ich losy już dawno zostały przypieczętowane.*

*Scenariusz został napisany przez Panią Chaosu i właśnie to było najbardziej zdumiewające i zwodnicze. Bowiem żadna droga wytyczona przez Lolth nie biegła prosto ani w spodziewanym kierunku.*

*Na tym polegało całe piękno.*

*Pająki wiedziały o tym.*

*Zbliżał się czas. Pająki  
wiedziały o tym.*

*Osiem odnóży, osiem, tupalo na kamieniach, tupotało, stukalo,  
stukotało, stukotało, dygocząc z niecierpliwości. Osiem odnóży, osiem.*

# PIERWSZY

Inthracis siedział w swoim ulubionym fotelu - tronie o wysokim oparciu zbitym z kości połączonych zaprawą z krwi i rozgniecionej na miazgę skóry. Otwarte księgi i zwoje, jego narzędzia badań, leżały przed nim na wielkim bazaltowym stole. Ze wszystkich stron otaczały go wysokie ściany trzypiętrowej biblioteki Trupiszcza, jego twierdzy.

Ze ścian wpatrywały się w niego oczy.

Ściany, posadzki i stropy Trupiszcza, wykonane z tysięcy tysięcy na współprzytomnych, zakonserwowanych w magiczny sposób trupów, mogłyby zapełnić cmentarze setki miast. Ciała były cegłami fortecy Inthracisa. On sam uważał się za rzemieślnika, kamieniarza zwłok, który ugniatał i skręcał jęczące postacie w dowolne kształty. Nie był wybredny w doborze materiałów.

Przy budowie fortecy użył ciał wszelkiego rodzaju. W murach Trupiszcza znaleźli dom śmiertelnicy, demony, diabły, a nawet yugolothy. Inthracis był sprawiedliwym mordercą. Każda istota, która przeszkodziła mu we wspinaczkę po stopniach hierarchii ultrolothów z Krwawej Rozpadliny, kończyła w murach jego twierdzy, gdzie rozkładała się, bliska śmierci, ale wciąż na tyle przytomna, aby odczuwać ból, wciąż na tyle żywa, żeby cierpieć i jęczeć.

Uśmiechnął się. W otoczeniu trupów i księzek zawsze ogarniał go spokój. Biblioteka była jego kryjówką. Ostry odór rozkładającego się mięsa i pikantny aromat środka konserwującego pergamin działał oczyszczająco na jego przepastne zatoki i umysł.

I bardzo dobrze, bo potrzebował jasności. Jego badania ujawniły niewiele, jedynie strzępki informacji jeszcze bardziej wzmagające ciekawość.

Wiedział, że Niższe Plany pogrążyły się w chaosie, którego centrum stanowiła Lolth. Jeszcze nie zdecydował, jak wykorzystać ten stan rzeczy.

Przesunął smukłą, pokrytą plamami dłońią po gładkiej skórze czaszki, zastanawiając się, jak obrócić tę sytuację na własną korzyść. Od dawna czekał, żeby wystąpić przeciw oinolothowi Kexxonowi, arcygenerałowi Krwawej Rozpadliny. Może teraz, w rozpętanym przez Lolth chaosie, nadszedł właściwy moment?

Popatrzył w nabiegłe krwią, pełne bólu oczy w ścianach, ale od trupów nie mógł otrzymać odpowiedzi, jedynie bezuste grymasy, ciche jęki i udęczone spojrzenia. Ich cierpienie poprawiło Inthracisowi humor.

Z zewnątrz, nawet przez mury ze sprasowanych ciał i okna ze szkłotali, słychać było wycie porywistych wichrów zawoźdzących swą pieśń - wysoki, wznoszący się tren, podobny do lamentu kilkunastu śmiertelników, których Inthracis osobiście obdarł ze skóry. Gdy wycie ucichło, Inthracis przekrzywił



głowę, czekając. Wiedział, że zaraz nastąpi planarne trzęsienie występujące po lamencie wichru z taką samą pewnością, z jaką podczas eteralnego cyklonu po błyskawicy następował grzmot.

Teraz.

Najpierw leniwy pomruk, zaledwie lekkie drżenie narastające stopniowo w crescendo, które zatrzęsło całą fortecą. Paroksyzm, pod wpływem którego z wysokiego sufitu biblioteki spadł niczym wulkaniczny popiół deszcz płatków skóry i wysuszonych włosów. Inthracis podejrzewał, że trzęsie się cała Krwawa Rozpadlina, a może nawet wszystkie Niższe Plany. Wiedział, że Lolth wyrwała Pajęczce Otchłanie z Otchłani i surowa, nie-ukierunkowana moc - namacalny chaos - wlewała się na Niższe Plany, uprawiając kosmos w dygot.

Inthracis wiedział, że multiwersum rodzi, i że kosmiczny poród wstrząsa planami. Rzeczywistość została przeorganizowana, całe plany zmieniały swoje położenie, a Krwawa Rozpadlina, plan, na którym mieszkał, stęka pod naporem wyzwolonej energii. Odkąd Lolth zaczęła... działać, jałowy górzysty plan nawiedzały erupcje wulkaniczne, burze popielne i grzmiące kamienne lawiny, które mogłyby zasypać całe kontynenty na pierwszym planie materialnym. W górzystym, skalistym krajobrazie otwierały się przypadkowe szczeliny pochłaniające całe ligi ziemi. Wzburzona płynącą posoką Krwawa Rzeka, wielka arteria zasilająca ciało planu, toczyła wzburzone wody szerokim korytem.

Z powodu wstrząsów Inthracis wzmocnił siedmiokrotnie magiczne osłony chroniące Trupiszczce, ale wciąż czuł się zagrożony. Twierdza znajdowała się na płaskim występie skalnym wyrastającym z przeraźliwie stromego zbocza największego wulkanu Krwawej Rozpadliny - Calasu. Nie byłby zachwycony, gdyby niespodziewana lawina albo wybuch wulkanu zrzuciły dorobek jego życia w dół.

Na zewnątrz znów zerwał się wiatr, niski jęk, który przeszedł w nieznośny dla ucha lament, zanim znów zaczął zamierać. Wśród wycia wichru Inthracis ledwie słyszał tajemniczy szept. Nie tyle go słyszał, co wyczuwał, i było to to samo słowo, które słyszał nieprzerwanie od wielu dni:

*Yor 'thae.*

Za każdym razem gdy wichur wyjawiał z sykiem swój sekret, trupy w murach twierdzy jęczały przegniłymi wargami, a rozkładające się ramiona zwisające luźno ze ścian unosiły się, usiłując dosięgnąć przegniłych uszu. Za każdym razem, gdy wiatr wymawiał nieczyste słowo, całe Trupiszczce ożywiało się niczym mrowisko otchłannych mrówek.

Inthracis znał oczywiście znaczenie tego słowa. Był ultrolo-them, jednym z najpotężniejszych w Krwawej Rozpadlinie i znał sto dwadzieścia języków, w tym wysoki drowi Faerunu. *Yor 'thae* oznaczało Wybrankę Lolth, którą Pajęcza Królowa wzywała do swego boku. Inthracisa doprowadzał do szału fakt, że nie jest w stanie dowiedzieć się dlaczego.

Wiedział, że Lolth, podobnie jak Niższe Plany, przechodzi transmogryfikację. Być może ulegnie przemianie, być może unicestwieniu. Wezwanie *Yor 'thae* zwiastowało ważne wydarzenie, a samo słowo trafiło do uszu, na języki i do umysłów wszystkich potęg Niższych Planów: książąt-demonów Otchłani, arcydiabłów z Dziewięciu Piekieł, ultrolothów z Krwawej Rozpadliny. Wszyscy chcieli wyciągnąć jakieś korzyści z zaistniałej sytuacji.

Inthracis mimo woli podziwiał zuchwałość Pajęczej Dziwki. Choć nie wiedział dokładnie, o jaką stawkę toczy się gra, rozumiał, że Lolth wiele postawiła na sukces swojej Wybranki.

Taka loteria nie powinna go zanadto dziwić. W głębi duszy Lolth była takim samym demonem jak każdy inny - stworzeniem chaosu. Bezsensowne ryzyko i bezsensowna rzeź leżały w jej naturze.

Właśnie dlatego demony są głupie, uznał Inthracis. Nawet boginie-demony. Mędrzy ponosili tylko dobrze skalkulowane ryzyko dla dobrze skalkulowanych zysków. Tak brzmiała dewiza Inthracisa i nieźle na tym wychodził.

Zabębnił upierścienionymi palcami po wypolerowanym białym stole i z obrączek posypały się iskry magicznej energii. Nogi stołu - ludzkie nogi przymocowane do bazaltowego blatu - przesunęły się nieco, dostosowując się do jego pozycji. Kościany szkielet dopasował się do jego sylwetki, żeby było mu wygodniej.

Spojrzał na wiedzę zgromadzoną w swojej bibliotece, szukając natchnienia. Ze ścian z mięsa wystawały wysuszone ręce i ramiona, tworząc półki, na których leżała w równych rzędach ogromna ilość magicznych zwojów, ksiąg i grimoirów - tajemna wiedza i zaklęcia kolekcjonowane przez całe życie. Złożone oczy Inthracisa przeglądały je w kilku widmach. Tomy emanowały różnymi kolorami o różnej intensywności wskazującymi na poziom magicznej mocy i rodzaj magii, jaką zawierały. Tak jak trupy w ścianach twierdzy, księgi nie dawały gotowej odpowiedzi.

Kolejny wstrząs zakołysał planem, kolejne wycie obwieściło obietnicę lub groźbę nadejścia *Yor 'thae*, kolejny podniecony szmer przebiegł wśród umarłych z Trupiszcza.

Rozproszony Inthracis odsunął krzesło, wstał od stołu i podszedł do największego okna biblioteki, ośmiokątnej tafli ze szkła magicznie zespolonej z otaczającymi ją kośćmi i mięsem. W szkle rozrastała się płatanina cienkich jak nitki niebieskich i czarnych żył, produkt uboczny zespolenia.

Żyły przypominają pajęczynę, pomyślał Inthracis i prawie się uśmiechnął.

Ogromne okno dawało wspaniały widok na rozpalone czerwone niebo, panoramę zbocza Calaaasu i surowe niziny Krwawej Rozpadliny daleko w dole. Inthracis podszedł bliżej i wyjrzał na zewnątrz.

Choć utworzony przez niego płaskowyz wcinął się w zbocze Calaasu na pół ligi, wznosił Trupiszcze na samym jego skraju. Wybrał krawędź urwiska, aby zawsze móc wyjrzeć na zewnątrz i przypomnieć sobie, że jak wysoka upadnie, jeśli stanie się głupi, leniwy albo słaby.

Na zewnątrz niezmordowane wichry podrywały w powietrze czarny popiół, tworząc oślepiające wiry. Arterie lawy zasilane bezustannie przez wulkany przecinały niziny w dole. Czarny krajobraz usiany był podobnymi do ospowych krost fumarola-mi, z których bił w niebo dym i żółty gaz. Wąwozami i kanionami wiła się czerwona żyła Krwawej Rzeki.

Tu i ówdzie gromady larw - taką postać przybierały w Krwawej Rozpadlinie śmiertelne dusze - pełzały wśród poszarpanych skał lub wspinały po zboczach Calaasu. Larwy wyglądały jak blade, wzdęte robaki długości ramienia Inthra-cisa. Z pokrytych śluzem, robakowatych ciał sterczały głowy, jedyna pozostałość śmiertelnej powłoki. Na ich twarzach malował się wyraz cierpienia, który Inthracisowi sprawiał wiele przyjemności.

Mimo popielnych burz i wstrząsów oddziały rosnących, owa-dopodobnych mezzolothów i kilka potężnie umięśnionych, skrzydlatych, pokrytych łuską nycalothów - wszystkie służyły temu lub innemu ultrolothowi - przeczesywały teren długimi, magicznymi włóczniami. Nadziewały na niejedną larwę za drugą, tak jak rybacy przebijają ryby ościeniami na planie materialnym. Nanizane na ostrza dusze skręcały się słabo, ogarnięte bólem i rozpaczą.

Sądząc po głowach kilku najbliższych larw, większość dusz należała do ludzi, ale do Krwawej Rozpadliny trafiały najróżniejsze rasy, wszystkie skazane na piece tego planu. Niektóre z nich ulegną transformacji w pośledniejsze yugolothy i zapełnią fortecę Inthracisa albo innego ultrolothu. Inne posłużą za towar, żer albo magiczne paliwo do eksperymentów.

Inthracis oderwał wzrok od zbioru dusz i popatrzył w lewo. Tam, ledwie widoczne przez mgielkę popiołów i żaru, na skalnej półce w zboczu Calaasu podobnej do tej, na której usadowiło się Trupiszcze, dostrzegł proporce ze skóry powiewające na szczycie Obsydianowej Wieży, twierdzy Bubonisa. Bubo-nis, ultroloth znajdujący się w hierarchii Krwawej Rozpadliny tuż pod Inthracisem, pożądał jego pozycji równie mocno, jak Inthracis pozycji Kexxona. Bubonis też pewnie intrygował, snuł plany, jak wykorzystać obecny chaos, aby przyspieszyć swoją wspinaczkę po zboczu Calaasu.

Cała elita ultrolothów osiedliła się na stokach Calaasu. Wysokość, na jakiej wznosiła się forteca ultrolotha, wskazywała na status jej właściciela w hierarchii Krwawej Rozpadliny. Forteca Kexxona Oinolotha, Stalowa Twierdza, mieściła się najwyższej, usadowiona wśród czerwonych i czarnych chmur na samej krawędzi kaldery Calaasu. Trupiszcze znajdowało się zaledwie dwadzieścia lig pod Stalową Twierdzą i tylko dwie czy trzy ligi nad Obsydianową Wieżą Bubonisa.

Inthracis wiedział, że nadejdzie dzień, kiedy Bubonis rzuci mu wyzwanie, kiedy on sam rzuci wyzwanie Kexxonowi. Po raz setny w ciągu ostatnich dwunastu godzin zadał sobie pytanie, czy ten czas właśnie nadszedł. Myśl o ciśnięciu trupa Kexxona w Bezdenną Głębę bawiła go. Bezdenna Głębka opadała ku środkowi stworzenia, a jej skaliste zbocza były tak strome i pozbawione jakichkolwiek półek czy występów skalnych, że kiedy coś do niej wpadło, spadało w nieskończoność.

Bez żadnego ostrzeżenia na bibliotekę spadła ciemność, ciemność tak intensywna, że nawet oczy Inthracisa nie były w stanie jej przebić, choć potrafił widzieć prawie we wszystkich widmach. Dźwięk ucichł. Wiatr wydawał się wyć jakby z oddali. Inthracis słyszał ściany falujące w mroku. Serce zabiło mu szybciej.

Został zaatakowany, uświadomił sobie. Ale kto się ośmielił? Bubonis?

Przywołał z pamięci słowa serii zaklęć obronnych, których sylaby wyszeptał szybko, jednocześnie wykonując palcami zaawile gesty. W czasie trzech oddechów otoczył się czarami, które ochronią go przed mentalnymi, magicznymi i fizycznymi atakami.

Wysunął z płaszcza metalową różdżkę tryskającą na rozkaz strumieniem kwasu. Potem lewitując uniósł się pod sufit i zaczął nasłuchiwać.

Ściany Trupiszcza wydały z siebie wilgotny szmer. Rozkładające się ręce wyciągnęły się ze stropu, aby dotknąć jego szat, jak gdyby szukały pokrzepienia. Wzdrygnął się pod ich dotykiem. Nie słyszał nic oprócz własnego cichego oddechu.

Wtedy uzmysłowił sobie, że ktoś lub coś zdołało przeniknąć przez skomplikowane osłony wokół Trupiszcza, nie uruchamiając przy tym żadnych alarmów. Nie znał nikogo, nawet samego Kexxona, który byłby do tego zdolny.

Ogarnął go niepokój. Mocniej ścisnął różdżkę w dłoń.

W ciemności objawił się nagle jakiś punkt ciężkości, namacalna obecność jakiejś potęgi. W uszach usłyszał trzask, w głowie poczuł pulsowanie - nawet trupy w ścianach wydały urwany krzyk.

Ciemność jakby zgęstniała, pieszcząc go, a jej dotyk był delikatniejszy od dotyku trupów, bardziej uwodzicielski, ale i bardziej groźny.

Coś było w bibliotece.

Wbrew woli Intracisa trzy serca zabiły mu w piersi jak młotem.

Z nagłą pewnością uświadomił sobie, że w ciemności towarzyszy mu boska moc. Nic innego nie przedostałoby się z taką łatwością do jego fortecy. Nic innego nie przeraziłoby go do tego stopnia.

Inthracis wiedział, że nie ma szans. Walka nie miała sensu. Przyszedł po niego bóg, a może bogini.

Opadł na podłogę. Choć korzenie się przed kimkolwiek nie leżało w jego naturze, zdołał uklonić się ciemności.

- Twój szacunek nie jest szczerzy - powiedział miękki, olisty męski głos w wysokim drowim.

Na dźwięk tego głosu kolejny niespokojny szmer przebiegł wśród trupów, kolejny jęk wyrwał się z ich przegniłych warg.

- Za to ich szacunek jest szczerzy - rzekł głos.

Inthracis nie rozpoznał rozmówcy po głosie, ale mając w pamięci słowo niesione wiatrem i to, że nieznajomy używa wysokiego drowiego, domyślał się, kim jest. Starannie dobrał następne słowa.

- Trudno odnosić się z należnym szacunkiem, kiedy nie wiadomo, z kim się rozmawia.

Chichot.

- Myślę, że wiesz, kim jestem.

W tej samej chwili ciemność rozrzedziła się nieco - na tyle, aby oczy Inthracisa były w stanie ją przeniknąć. Wrócił też dźwięk, a wycie wiatru wzmogło się.

Na stole Inthracisa siedział drow w masce, nogi zwisały mu z blatu, nie dotykając podłogi. Cienie otaczające jego gibką postać na zmianę jaśniały i ciemniały, spowijając na chwilę ciemnością fragmenty jego postaci, które zaraz potem znów stawały się widoczne. U pasa nieznajomego wisiały krótki miecz i sztylet, a spod dopasowanego płaszcza z wysokim kołnierzem wystawał skórzany pancerz. Długie białe włosy poprzetykane czerwonymi pasemkami okalały kanciastą, mściwą twarz. Na wąskich wargach gościł wyniosły uśmiech, który nie sięgał oczu widocznych przez otwory w czarnej masce.

Oczy Inthracisa odnotowały tajemną moc, jaką emanowały ostrza drowa, jego pancerz i samo ciało. Rozpoznał awatara - jego podejrzenia potwierdziły się.

- Vhaeraun - powiedział, zły, że w jego głos wkradł się na bożny podziw.

Patrzył na Vhaerauna, Boga w Masce - syna Lolth i jej wroga. Serca waliły mu jeszcze mocniej, a nogi zmiękły w kolanach, choć udawało mu się nie dać tego po sobie poznać. W cieniach przemykających wokół drowa zobaczył, że dłoń awatara jest odrąbana na wysokości nadgarstka. Z kikuta sączyła się na stół krew.

Inthracis nie tracił czasu na zastanawianie się, jak bóg mógł odnieść podobną ranę. Ani dlaczego Vhaeraun objawił się w Tru-piszczu. Inthracis rzadko miał kontakt z drowami, czy to żywymi, czy martwymi. Dusze drowów bardzo rzadko trafiały do Krwawej Rozpadliny.

Vhaeraun zeskokczył ze stołu i wciągnął powietrze w nozdrza. Jego ciemne oczy zwięzły się.

- Nawet tutaj powietrze cuchnie pająkiem - powiedział bóg.

Inthracis nic nie odpowiedział. Nie śmiał się odzywać, dopóki nie dowie się, o co dokładnie chodzi. Przez głowę przemknęło mu kilkanaście możliwości, ale żadna nie była mu w smak.

- Potrzebna mi twoja usługa - rzekł Vhaeraun twardym szeptem.

Inthracis zeszywniał. Nie przysługa, nie prośba - usługa. Było gorzej niż się obawiał. Oblizął wargi długim, rozdwójnym językiem, usiłując sformułować równie niejasną odpowiedź.

Ciemność pochłonęła Vhaerauna i w następnym uderzeniu serca awatar stanął za Inthracisem, parząc oddechem lewe górne ucho ultroloth.

- Odmówisz mi? - zapytał Vhaeraun, a jego ciche słowa ociekały groźbą.

- Nie śmiałbym, Panie - odparł Inthracis, choć zrobiłby to, gdyby tylko było to możliwe. Wprawdzie yugolothy były najemnikami,



ale nawet oni nie szli na służbę do każdego. Intracis nie miał ochoty wplątać się w konflikt między Vhaeraunem a jego matką.

W następnej chwili Vhaeraun nie stał już z nim, ale po przeciwnej stronie pomieszczenia obok jednego z regałów. Trupy w ścianach cofnęły się na tyle, na ile pozwalały im ich zdeformowane kształty. Martwe oczy wyglądały ze zgrozą ze ścian. Nawet ci zmarli, których dłonie i ręce tworzyły półki, próbowali wcisnąć się z powrotem w ścianę i kilka bezcennych to mów spadło z trzaskiem na podłogę. Vhaeraun spojrział na nie i uciszył je syknieniem.

Intracis był ciekawy, jak jego trupy postrzegają Vhaerauna. Na pewno nie jako drowa.

Vhaeraun podniósł na niego wzrok i powiedział:

- Posłuchaj. - Przekrzywił głowę na bok, jego spojrzenie stwardniało. - Słyszysz?

Wiatr na zewnątrz wzmagał się i słabł, niosąc wiadomość o Wybrance Lolth. Trupy obok Vhaerauna znów jęknęły.

Intracis kiwnął głową.

- Słyszę, Panie w Masce. *Yor 'thae*. Wiatr woła *Yor*...

Vhaeraun syknął z irytacją i uniósł dłoń, uciszając Intracisa. Oczy trupów w ścianach rozszerzyły się.

- Raz wystarczy - rzekł Vhaeraun. - A więc słyszysz to słowo, ale czy znasz jego znaczenie?

Intracis skinął powoli głową. W jego trzewiach narastał strach, ale Vhaeraun ciągnął dalej, jak gdyby usłyszał przeczenie.

- *Yor 'thae* oznacza Wybrankę Pajęczej Dziwki. To wszystko... - awatar z zaskakującą gwałtownością znów znalazł się za Intracisem i syczał mu gniewnie do ucha, pod czas gdy fortecą wstrząsały kolejne drgania - to próby wezwania przez Królową Pajęczych Otchłani swojej Wybranki i przeobrażenia się.

Intracis przełknął głośno ślinę, wyczuwając wściekłość boga, wyczuwając niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł.

Vhaeraun pojawił się ponownie w cieniu zalegającym przeciwległą stronę komnaty i Inthracis wypuścił wstrzymywany oddech. Vhaeraun wyciągnął zdrową rękę i przesunął koniuszkami palców wzdłuż ciała w ścianie. Zwinęły się, jęcząc. Gdy oderwał palce, lśniły od śluzu i bóg uśmiechnął się.

- Czego chcesz ode mnie, Panie w Masce? - zapytał Inthracis, choć wiedział, że odpowiedź nie przypadnie mu do gustu.

W jednej chwili Vhaeraun stanął przed nim z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Chcę, ty marny insekcie, nakarmić sercem mojej matki demony, które wysrają je dla mojej przyjemności! Chcę, ty nędza na istoto... - podsunął Inthracisowi pod nos kikut nadgarstka - wyrwać Selvetarmowi mózg z tego jego parszywego łba, żeby móc używać jego pustej czaszki jako nocnika.

Inthracis nic nie powiedział. Patrzył tylko, stojąc sztywno i wstrzymując oddech. Od śmierci dzieliły go sekundy. Nawet trupy znieruchomiały i ucichły, zbyt przerażone, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk.

Vhaeraun wziął oddech, wyraźnie się uspokajając i uśmiechnął się nieszczerze do Inthracisa.

- Ale wszystko po kolei, Inthracisie. Nie będę owijał w bawełnę: istnieją trzy potencjalne kandydatki na *Yor 'thae*. Zobacz je teraz.

- Zaczekaj, Panie...

Ale Vhaeraun nie czekał. Awatar zamknął oczy i mózg Inthracisa przeszył ból. W jego umyśle pojawił się obraz trzech drowek, trzech imion: Quenthel Baenre, Halisstra Melarn i Dani-fae Yauntyrr.

Ból ustąpił, choć obraz pozostał, wypalony w mózgu boskim piętnem.

- Każda z tych trzech - powiedział Vhaeraun - próbuje znaleźć drogę do miasta Pajęczej Suki. Moja matka przyzywa je,

przyciąga do siebie, poddając po drodze próbom. Jedna zostanie jej Wybranką, jedna zostanie jej...

Wicher znów zawył, planem wstrząsnął następny dygot. W komnacie po raz kolejny rozbrzmiało słowo *Yor 'thae*.

- Tak - rzekł Vhaeraun, a jego oko chwycił nagły tik. Skupił wzrok na Inthracisie i rzekł: - Żądam, abys zabił wszystkie trzy kandydatki.

Vhaeraun po raz kolejny znalazł się po przeciwnej stronie komnaty, za wielkim pulpitem.

Inthracis nie mógł zrobić nic innego, więc kiwnął głową. W głębi ducha zastanawiał się, dlaczego Vhaeraun nie może zabić trzech śmiertelniczek sam.

Zaraz potem sam odpowiedział sobie na to pytanie: od tak zwanego Czasu Kłopotów wszechbóg zabronił bogom wpływać bezpośrednio na życie śmiertelników. Dlatego Vhaeraun potrzebował sojusznika niezwiązanego edyktem wszechboga, który sam nie byłby bóstwem.

Najemnik w Inthracisie zaczął przewycięzać strach. Dostrzegł okazję i skorzystał z niej.

- A co otrzymam w zamian, Panie w Masce? - zapytał z od powiednią dawką uniżoności.

Vhaeraun zniknął zza pulpitu i pojawił się obok niego. Inthracis patrzył prosto przed siebie, nie ośmielając się spojrzeć bogu w twarz.

Wokół nich pojawiły się kłęby cienia, czarne węże ślizgające się po błoniastej skórze Inthracisa. Vhaeraun trzymał zdrową dłoń przed jego twarzą i ultroloth zobaczył, że ręka aż po łokieć jest równie bezcielesna jak cień. Vhaeraun z uśmiechem sięgnął w głąb ciała Inthracisa i ścisnął jedno z jego serc. Serce przestało bić.

Inthracisa przeszył ból. Ultroloth stracił oddech, mięśnie kurczyły mu się spazmatycznie. Wygiął plecy, zacisnął zęby, ale nie ośmielił się poruszyć ani zaprotestować.

- Ty? - wyszeptał mu do ucha Vhaeraun. — Moją wdzięczność, coś zupełnie bezcennego.

Vhaeraun chwycił drugie serce Inthracisa, zatrzymując je. Świat rozmył się ultrolothowi przed oczyma. Z trudem łapał oddech.

- A... — dodał Vhaeraun — a także upadek Kexxona oraz po zycję oinolotha i arcygenerała.

Słyszając te słowa Inthracis nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Pomimo bólu zdołał wysyczeć:

- Jesteś bardzo łaskawy, Panie.

Wciąż z tym samym uśmiechem na ustach Vhaeraun dwoma kiwnięciami palca wskazującego sprawił, że serca Inthracisa znów zaczęły bić i cofnął rękę, która natychmiast stała się materialna. Inthracis wciągnął gwałtownie powietrze w płuca, okłapał i tylko duma nie pozwoliła mu osunąć się na ziemię.

Kiedy doszedł już do siebie, zlokalizował Vhaerauna po drugiej stronie biblioteki, przy biurku, i zapytał:

- Jakie siły będą odpowiednie, mój panie?

- Armia- odparł Vhaeraun z szyderczym gestem. - Stawcie się w nowych Pajęczych Otchłaniach, na *Ereilir Vor*, Równinie Ognia Dusz. Moja matka nie jest jeszcze na tyle przytomna, żeby zebrać własne siły, które mogłyby cię powstrzymać.

Inthracis rozważał coś przez chwilę, zanim zapytał:

- A co z Selvetarmem, Panie w Masce?

Twarz Vhaerauna wykrzywił gniew.

- Nie będzie cię niepokoił. Moja matka przeniosła Otchłań nie w inną część multiwersum i zabezpieczyła je przed wtargnięciem bóstwa -jakiegokolwiek bóstwa. Wydarzenia mające tam teraz miejsce znajdują się poza zasięgiem innych bogów. Nie mogę się tam dostać, żeby ją zabić, ale Selvetarm też nie może tam wkroczyć, aby ją obronić. I o ile nie przejrzał mojego fortelu-pogardliwy ton Vhaerauna świadczył o tym, że jego

zdaniem Selvetarm nie potrafi dodać dwóch do dwóch - stavisz czoła wyłącznie śmiertelnikom.

Inthracis ośmielił się zadać jeszcze jedno pytanie:

- Co się stanie, jeśli *Yor 'thae* dotrze do Pajęczej Królowej?

Oczy Vhaerauna zwięzły się.

- Ponieważ do niej nie dotrą - odparł - odpowiedź jest nie istotna.

Inthracis nic nie odrzekł, ale uznał, że odpowiedź Vhaerauna oznacza, iż bóg sam tego nie wie. To nie wróżyło dobrze.

Uklonił się i rzekł:

- To dla mnie przy...

Vhaeraun zniknął bez słowa.

Czerwone światło Krwawej Rozpadliny załaziło znów pomieszczenie. Inthracis wziął kilka głębokich oddechów. Wydawało się, że nawet trupy w ścianach odczuły ulgę. Jedyнным śladem bytności Vhaerauna w bibliotece były plamy krwi na bazaltowym blacie i pulpicie. Inthracis wezwał niewidzialnego sługę uzbrojonego w szmatkę, sprawił, że krew w nią wsiąkała i teleportował szmatkę do swojego laboratorium. Był pewien, że boska krew przyda mu się jako komponent do jednego z zaklęć. Czynności te pomogły mu się uspokoić.

Wziął się w garść i przygotował do wysłania swoim generałom rozkazu odtrąbienia zbiórki. Vhaeraun kazał mu zebrać armię. Inthracis użyje swoich najlepszych oddziałów szturmowych, regimentu Czarny Róg.

Choć wciąż odczuwał strach na myśl o tym, co się stanie, jeśli zawiedzie Vhaerauna, ogarnęło go radosne podniecenie. Jeśli odniesie sukces, a Vhaeraun dotrzyma słowa, co wcale nie było pewne, Kexxon zostanie pokonany, a Inthracis zostanie ar-cygenerałem Krwawej Rozpadliny.

Wśród tych kuszących myśli odezwał się bardziej trzeźwy głos, który doradzał mu ostrożność. Przyszło mu do głowy, że wszystkie knowania Yhaerauna mogą współgrać z planem Lolth.

Bóg w Masce powiedział, że Lolth, wzywając swoje kapłanki ku Otchłaniom, poddaje je próbom. Być może Inthracis i ylia-eraun stanowili wyłącznie kolejną przeszkodę do pokonania przez *Yor'thae*? A może Vhaeraun się mylił i żadna z kapłanek nie była wcale *Yor'thael*

Być może, pomyślał Inthracis i westchnął.

Zawieszony pomiędzy jednym bóstwem a drugim nie miał wyboru, musiał być posłuszny. Zrobi to, czego żąda Vhaeraun, ponieważ sprzeciw oznaczał pewną śmierć. Albo coś gorszego.

Na zewnątrz wicher zawodził swoje przesłanie.

## DRUGI

Nieprzerwany sznur drowich dusz ciągnął się przed i za Halisstrąż po horyzont, wstęga umarłych Lolth przecinająca bezkresny, nijaki szary eter Planu Astralnego. Kiedy Lolth odzyskała moc, dusze mogły wreszcie popłynąć ku planowi Pajęczej Królowej, gdzie miały spędzić całą wieczność.

Jedna za drugą, dusze przesuwały się tak równo jak kolumna maszerujących żołnierzy. Porządek, w jakim się poruszały, wydał się Halisstrze dziwnie niestosowny, zważywszy na to, że zmierzały w objęcia bogini uosabiającej chaos.

Wcześniej szare i bezbarwne jak eter, w którym się unosiły, dusze nabrały kolorów, gdy omyła je fala mocy, która przewaliła się przez Plan Astralny i prawdopodobnie wszystkie inne plany wskutek przebudzenia się Lolth. Pierwsze ruchy Pajęczej

Królowej nadały zmarłym barwy przywodzące na myśl życie, przebudziły dusze tak jak sama Lolth przebudziła się z Milczenia. Nasycając je znów kolorem i celem, Lolth naznaczyła każdą z dusz jako nieodwołalnie i bezpowrotnie swoją.

Słowa te wypływały raz po raz na powierzchnię świadomości Halisstry: nieodwołalnie i bezpowrotnie należące do Lolth...

Unosząc się w tym samym szarym eterze, pozbawiona punktu zaczepienia jak mijające ją dusze, Halisstra popatrzyła na swoje szczupłe czarne dłonie. Zobaczyła na nich krew niezliczonych ofiar, które poświęciła w imię Lolth. Czy ich krew nie naznaczyła jej jako nieodwołalnie i bezpowrotnie należącej do Lolth, tak samo jak otaczające ją dusze? Czy jej dusza też była przebarwiona, splamiona szkarłatem?

Zacisnęła pięści i sięgnęła wzrokiem poza kolumnę dusz, w szarą nicłość. Te same dłonie, które mordowały w imię Lolth, miały dzierżyć Księżycowe Ostrze Eilistraee. Halisstra miała nim zabić Lolth.

Zabić Lolth. Myśl ta pociągała ją i odrzucała zarazem.

Halisstra wyraźnie widziała drogę przed sobą, ścieżkę tak prostą jak sznur dusz, ale mimo to czuła się zagubiona. Została naznaczona przez boginię, przez dwie boginie, i w tej chwili nie była pewna, czyje piętno woli.

Uczucie to zawstydzalo ją.

Czuła, jak Lolth i Eilistraee przyciągają ją do siebie, szarpiąc w przeciwnych kierunkach, rozciągając, aż staje się cienka jak pergamin. Przebudzenie Lolth obudziło w Halisstrze coś, co chciała zabić w sobie w srebrnym blasku księżycy Świata Ponad, kiedy oddała się Tańczącej Bogini.

Ale to coś nie umarło, nie naprawdę. Bo czy mogło kiedykolwiek umrzeć? Wciąż czuła niewytłumaczalne przyciąganie Lolth, dokuczliwe, nęcące wspomnienie potęgi, krwi i władzy. Do obrony przez indoktrynacją, jakiej poddawano ją całe życie, miała tylko swoją dzieciinną wiarę w Eilistraee. Nie wiedziała czy to wystarczy. Nie wiedziała czy chce, żeby wystarczyło.



Całe swoje życie służyła Pajęczej Królowej - zabijając, rządząc - i odwróciła się od tego wszystkiego w mniej niż dwa tygodnie. Czy to mogło być prawdziwe nawrócenie? Była bezdomna, jej miasto upadło, wszystko co знаła, zniknęło. Zwrot ku Eilistraee był impulsem, aktem nonszalancji spowodowanym wyłącznie strachem przed niepewną przyszłością.

Czyż nie?

Nie wiedziała tego i ta niepewność wstrząsnęła nią.

Choć jej umysł wciąż wypełniały modlitwy do Eilistraee, odkryła, że z tęsknotą patrzy na manifestacje przebudzonej mocy Lolth, która nagle zalała bezkresną szarość Planu Astralnego.

Kiedy moc Pajęczej Królowej przepłynęła przez szereg dusz, ożywiając je, cały Plan Astralny eksplodował chaosem. W eterze tworzyły się wiry kolorowej energii kłębiące się gwałtownie przez kilka uderzeń serca albo kilka godzin, aby w końcu rozsypać się wspaniałą fontanną kwaśnych iskier. Długie na kilka lig zygzaki błyskawic czarnej i czerwonej energii przecinały bez ustanku próżnię, przerywając ją na chwilę i unosząc włoski na ramionach i głowie Halisstry. Moc Lolth nasyciła cały plan.

Halisstrze wydała się inna niż ta zapamiętana - bardziej żywotna, ale w pewien sposób niekompletna.

Halisstra widziała w tych wyładowaniach mocy kuszącą sugestię potęgi Pajęczej Królowej, nęcące przypomnienie innych modlitw, innej wiary. Moc Lolth była wszędzie wokół niej. Sama Lolth wydawała się być wszędzie wokół niej, znać ją, kusić ją, szeptać jej do ucha.

Szepty te zawsze brzmiały tak samo: *Yor 'thae*.

Słowo to było zarazem obietnicą, groźbą i zaklęciem.

Halisstra nie wiedziała czy ma się śmiać, czy płakać za każdym razem, gdy powtarzały je astralne wiatry. Jako *bae'qe-shel* była uczona w zapomnianej wiedzy i wiedziała, co ono oznacza. Pochodziło od dwóch słów w wysokim drowim: *Yorn* „służka bogini” i *Orhtae* „święta”. *Yor 'thae* była Wybranką

Lolth, jej świętą służką, naczyniem, poprzez które Lolth... coś uczyni.

Ale Halisstra nie wiedziała co. Choć знаła znaczenie tego słowa, nie wiedziała, co oznacza ono dla niej, dla Lolth. Znów niepewność.

Halisstra знаła moc słów - magia *bae 'qeshel* opierała się na niej do pewnego stopnia. I tak jak zakęcie-pieśń *bae 'qeshel* powtarzane szeptem słowo *Yor 'thae* oczarowało ją, wkradło się w jej duszę i zasiało w niej ziarnko wątpliwości. Walczyła sama ze sobą, usiłując pozostać całością.

Ona i dwie kapłanki Eilistraee, Uluyara i Feliane, przesuwały się wzdłuż szeregu drowów od tak dawna, że miała wrażenie, iż minęła cała wieczność. Pokonywały szarą mgłę Planu Astralnego wyłącznie siłą woli, trójka żywych podążająca śladem armii umarłych.

Szara pustka eteru wydawała się ciągnąć w nieskończoność we wszystkich kierunkach, przecięta jedynie sznurem dusz i usiana wysepkami lewitujących, obracających się skał oraz wielobarwnymi wirami odzyskanej mocy Lolth. Płynąc przez tę pustkę Halisstra czuła, że jednostajność przytłumia jej zmysły. Raz po raz musiała walczyć z zawrotami głowy, choć nie była pewna, czy ich źródłem jest bezkresna przestrzeń pod jej stopami, czy wewnętrzna walka tocząca się w jej duszy.

- Musimy zbliżyć się do portalu - oznajmiła zza jej pleców Uluyara.

Halisstra nie odwróciła się, tylko skinęła głową.

Trzy kapłanki były coraz bliżej celu, ale z każdą upływającą chwilą Halisstra była coraz mniej pewna siebie i ich sprawy. Kilka godzin temu Seyll, była kapłanka Eilistraee, poświęciła własną duszę, aby osłonić Halisstrę przed mocą, jaką przebudzona Lolth tchnęła w eter Planu Astralnego. Seyll, kobieta zamordowana przez Halisstrę, wybrała unicestwienie własnej

duży, aby Halisstra mogła wypełnić powierzone jej zadanie -zabić Lolth Księżycowym Ostrzem Eilistraee.

Ale Halisstra zaczynała dochodzić do wniosku, że powierzono jej jeszcze jedno zadanie, ale jakie, na razie nie wiedziała.

*Yor 'thae*, wyszeptał eter i ciało Halisstry zwiotczało.

Zaczynała podejrzewać, że Seyll pozwoliła się unicestwić nie tyle po to, żeby ochronić Halisstrę przed czymś, ale po to, by moc Lolth nie dotknęła drowki i nie przekazała jej czegoś, czegoś głębokiego. Seyll skazała się na niebyt, służąc Eilistraee, nie Halisstrze.

Czuła, że stoi u progu tajemnicy, w chwili, w której zaraz spłynie na nią objawienie. Gdyby tylko Seyll pozwoliła, by dosięgła ją moc Lolth...

- Nie - powiedziała. - Nie.

Ale słowo to zabrzmiało równie pusto jak próżnia.

Dalsza droga wydawała jej się taka oczywista, kiedy wpatrywała się w szkarłatne oczy Seyll, kiedy słyszała w słowach martwej kapłanki obietnicę nadziei i wybaczenia poprzez wiarę w Eilistraee, uczuć, które Lolth i jej wyznawcy uznawali za słabość. Ale potem spotkała na Planie Astralnym duszę Rylda Ar-githa. Bezbarwny, stał w szeregu razem z resztą zmarłych, czekając, aż dopełni się jego los. Wpatrywała się w jego martwe oczy, słuchała jego apatycznych słów, czując, jak uchodzi z niej cała pewność. Dawne uczucia wydostały się na powierzchnię z głębi jej duszy. Zadała sobie wtedy pytanie, wciąż je sobie zadawała, co się stanie z Ryldem, jeśli uda jej się zabić Lolth? Czy on też, tak jak Seyll, zostanie skazany na unicestwienie?

Na myśl o tym ścisnęło jej się serce. Nie skaże swojego kochanka na nicosć, nie może na to pozwolić! Lecz co w takim razie? To, że w ogóle była zdolna do odczuwania prawdziwej miłości, zawdzięczała właśnie Eilistraee, a Mroczna Panna poleciła jej zabić Lolth i włożyła w jej dłonie oręż, który według przepowiedni mógł tego dokonać.

Ale bliskość mocy Lolth nęciła Halisstrę, przemawiała do niej. Halisstra słyszała, jak Eilistraee przemawia do jej serca, ale czuła, że Lolth przemawia do jej duszy. Odrzucało ją to i zachwycało zarazem.

Była przerażona.

*Yor 'thae*, mówiła nicość.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Czego chcesz? - wyszeptała.

Miała niejasne wrażenie, że jej ciało powoli osuwa się w eter, ale nie obchodziło jej to. Wyrzekła się Lolth - wyparła się jej! Z własnej woli została apostatką. Przyjęła wiarę w Eilistraee, przysięgła wierność Tańczącej Bogini pod światłem księżycy na powierzchni Świata Ponad.

Ale...

Ale jej nawrócenie zostało niejako wymuszone. Groziła jej śmierć z rąk kapłanek, które teraz nazywała siostrami. Czy w takim razie nie było to jedno wielkie oszustwo, jakiego dopuściła się bezdomna drowia kapłanka pozbawiona dostępu do zaklęć i pragnąca znaleźć gdzieś, gdziekolwiek, akceptację i dom?

Nie, pomyślała i przycisnęła palce do czoła, jak gdyby mogła wbić je w mózg i wyrwać tę jego część, która wciąż tęskniła za Lolth. Jej nawrócenie nie było wymuszone. Było dobrowolne, piękne, otwierające duszę...

Dłoń, czyjaś pewna dłoń zamknęła się na bicepsie opadającej w dół Halisstry, zatrzymała ją i odwróciła w swoją stronę. Otworzyła oczy i spojrzała w intensywnie czerwone oczy Uluyary. Wysoka kapłanka Eilistraee miała na sobie wygodną koleczugę i zieloną jak las tunikę. Przy biodrze nosiła miecz, a na szyi wojenny róg. Jej kaftan zdobiły niezliczone magiczne zapinki - piórka, guziki i szpile. Pełne usta drowki wyrażały szczerzy niepokój stanem Halisstry, ale za niepokojem, w głębi oczu, czaiło się coś innego - coś, czego Halisstra nie potrafiła nazwać.

- Nic ci nie jest? - zapytała Uluyara. Potrząsnęła lekko Halsisstrą. - Halsisstro, nic ci nie jest?

Obok nich korowód dusz sunął przed siebie z taką szybkością, że rozmazywał się w oczach. Czarna błyskawica rozdarła eter na dwoje. Wiry kłębiły się. Głosy szeptały. Białe włosy Uluyary powiewały na astralnym wietrze. Jej pancerz, broń i odzienie wydawały się nijakie w porównaniu z kolorem dusz. Wszystkie wyglądały nijako w porównaniu ze zmarłymi Lolth.

Halisstra zamruła, zdołała kiwnąć głową i odpowiedziała:

- Nie, nic. Po prostu jestem... przybita, po spotkaniu z Ryldem.

W oczach Uluyary zobaczyła zrozumienie, ale w surowym wyrazie jej twarzy nie odnalazła współczucia. Halsisstra wiedziała, że Uluyara nie dba o śmierć i życie pozagrobowe Rylda Argitha. Wysoka kapłanka było skoncentrowana na odnalezieniu i zabiciu Lolth, nic innego nie miało dla niej znaczenia.

*Yor 'thae*, szeptał plan astralny.

Słyszac znów to słowo, Halsisstra poczuła, że płoną jej policzki. Czekala na reakcję Uluyary, ale wysoka kapłanka nie zdradziła niczym, że coś usłyszała.

- Nie słyszałaś tego? - zapytała Halsisstra, obawiając się od powiedzi.

Uluyara zeszywniała, przekrzywiła głowę i rozejrzała się ostrożnie. Potem znów spojrzala na Halsisstrę.

- Nie słyszałam czego? - zapytała. - Dusz? Błyskawicy? Nic innego tu nie ma.

Zanim Halsisstra zdążyła odpowiedzieć, podpłynęła do nich Feliane i położyła delikatnie dłoń na jej opancerzonym ramieniu. Drobną elfką miała na sobie wspaniałą koleczugę i mały okrągły hełm, spod którego spływały długie brązowe włosy. Do wąskich bioder miała przypasany rapier. Wyglądała jak

uzbrojone dziecko wysłane na pole bitwy. Czy Eilistraee była aż tak zdesperowana?

- To szmeranie dusz podróżujących ku swemu przeznaczeniu - stwierdziła Feliane. Popatrzyła na zmarłych ze smutkiem w okrągłych oczach. - Nic więcej.

Uluyara skinęła głową. Mijające je dusze rzeczywiście mamrotały, wydając z siebie niski, ledwie słyszalny szmer, ale Halisstra wiedziała, że powtarzane szeptem słowo *Yor 'thae* jest czymś innym, czymś, co słyszy tylko ona.

- Potępieńcy Lolth nie zdążają milcząco ku swemu przeznaczeniu - powiedziała Uluyara i tym razem Halisstra nie dostrzegła żalu w czerwonych oczach wysokiej kapłanki. Uluyara była na swój sposób równie bezlitosna jak każda służka Lolth. - Może wreszcie dotarło do nich, jaki błąd popełnili.

Halisstra wyrwała ramię z uścisku Uluyary i spojrzała jej z gniewem w oczy.

- Kocham jednego z tych potępionych - powiedziała z rozgoryczeniem, którego nie zdołała ukryć.

Uluyara zeszytniała, oczy jej błysnęły, ale powiedziała tylko:

- Zapomniałam. Wybacz mi obcesowość, siostrze.

Halisstra nie wyczuła szczerości w jej głosie.

- Pokój, siostrze - wtrąciła łagodnie Feliane. - Wszystkie jesteśmy zmęczone. Zwłaszcza ty, Halisstro, ponieważ dźwisz tak ciężkie brzemie. Uluyara i ja pomożemy ci je nieść, ale musisz nam na to pozwolić. Eilistraee też ci w tym pomoże, ale jej też musisz na to pozwolić. — Urwała, a potem zapytała: — Czy wierzysz w to?

Mocniej zacisnęła rękę na ramieniu Halisstry.

Halisstra przeniosła wzrok z Uluyary na Feliane i nagle zdała sobie sprawę, że kapłanki Eilistraee przyglądają jej się badawczo. Unosiła się między nimi, przyszpilona przez nie wyczekującymi spojrzeciami. Uświadomiła sobie, co widziała przed chwilą w oczach Uluyary: zwątpienie.

Wątpiły w nią albo zaczynały w nią wątpić.

Poczuła przyływ złości, ale prawie natychmiast ochłonęła. W ich oczach widziała też szczerzy niepokój. Pomimo wątpliwości kochały ją i uważały za swoją siostrę. Wróciła myślami do Quenthel i Danifae, swoich dawnych „siostr” w wierze, obu tak różnych od Uluyary i Feliane. Quenthel nie zniosłaby zwątpienia, a Danifae...

Danifae Yauntyrr stała nad tą samą przepaścią, nad którą stała niedawno Halisstra, chwiejąc się pomiędzy Lolth a Eilistra-ee, rozdarta pomiędzy starymi nawykami a nadzieją na nowe życie, bojąc się zrobić następny krok. Halisstra wierzyła, że Danifae też może przejść na stronę Tańczącej Bogini, jeśli tylko ona to zrobi.

W jakiś instynktowny sposób Halisstra pragnęła, żeby Danifae poddała się wierze w Eilistraee. Poprzez Więzy dobrze poznała Danifae. Były do siebie bardzo podobne, Halisstra i jej była branka. Wiedziała, że Danifae też może zostać odkupiona, że może się odwrócić od Lolth, i wiedziała, że odkupienie Danifae uprawomocni jej własne.

- Halisstro? - zapytała Feliane.

Halisstra popatrzyła na swoje siostry i wybaczyła im ich wątpliwości. Jak mogła się na nie gniewać za to, że w nią wątpią, skoro sama zaczynała w siebie wątpić?

Halisstro? - powtórzyła Feliane. Jej orzechowe spojrzenie było miękkie, ale uścisk twardy. - Czy wierzysz w to, co przed chwilą powiedziałam? Że my i Tańcząca Bogini pomożemy ci dźwigać twoje brzemię?

Halisstra spojrzała Feliane w oczy i zdołała kiwnąć głową.

- Wierzę - odparła, ale nie była pewna czy ich pomoc wystarczy.

Uluyara odetchnęła głośno.

- Może powinnyśmy złożyć ofiarę Pani, zanim zapijemy się dalej?

- Dobry pomysł - powiedziała Feliane, wciąż przyglądając się Halisstrze.

Uluyara zdjęła z szyi srebrny wisiołek, na którym wyryty był miecz otoczony falującą wstęgą- święty symbol Eilistrae. Ujęła go ostrożnie w dłoń.

*Yor 'thae*, syczał eter i Halisstra wyczuła nutkę złości w głosie wichru.

- To miejsce nie nadaje się do tańców - stwierdziła Feliane, przesuając wzrokiem po duszach i szarych wirach.

- To prawda - odrzekła Uluyara - ale pomódlmy się przynajmniej przez chwilę.

Wszystkie przystały na to i trzy czcicielki Tańczącej Bogini, dwie drowki i jedna księżycowa elfka, utworzyły krąg, prosząc Eilistrae o siłę i mądrość. Obok nich sunęli potępieńcy, a wszędzie dookoła szalały burze mocy Lolth. Halisstra czuła się na wskroś hipokrytką.

Potem, wciąż targana wątpliwościami, zapytała siostry:

- Czy jesteśmy pewne, że się nam uda? - Zadawała im już to pytanie, ale musiała usłyszeć odpowiedź jeszcze raz. Położyła dłoń na rękojeści Księżycowego Ostrza, które nosiła przy biodrze. Była ciepła w dotyku. - To tylko miecz. A nas jest tylko trzy.

Uluyara i Feliane wymieniły pełne niepokoju spojrzenia, a Feliane odpowiedziała:

- To Księżycowe Ostrze, Halisstro, uświęcone przez Eilistrae. Wystarczy. I nie wolno ci myśleć, że miarą naszej siły jest liczebność. Miarą naszej siły jest wiara.

Halisstra nie była pewna czy wiara da jej wystarczającą siłę. Mimo to patrzyła w oczy swoich sióstr i widziała w nich stanowczość i zdecydowanie. Zacerpnęła od nich tyle siły, ile potrafiła.

Uluyara wskazała głową kolumnę mijających je cieni.

- Ruszajmy dalej. Wiemy, dokąd iść. Bramy do władztwa Lolth są teraz otwarte. Dusze zaprowadzą nas do niej.



Halisstra usiłowała wyobrazić sobie, jak to będzie stanąć przed Lolth i wydać bitwę bogini, którą czciła przez prawie całe swoje życie. Nie była w stanie sobie tego wyobrazić. Wydawało jej się to absurdem. A jednak...

Może było to możliwe...

- Ona obudziła się, ale nie jestem pewna czy powróciła w pełni - oświadczyła. - Przywołuje przez kosmos *Yor 'thae*, swoją Wybrankę.

Feliane i Uluyara patrzyły na nią przez dłuższą chwilę.

- *Yor 'thae*-powtórzyła Uluyara, obracając to słowo w ustach i marszcząc czoło z niesmakiem. — Skąd to wiesz?

- Słyszałam kiedyś tę nazwę, dawno temu - skłamała Halisstra.

Uluyara wwierciła się w nią wzrokiem.

- Nie to miałam na myśli, Halisstro Melarn. Pytałam, skąd wiesz, że przywołuje swoją Wybrankę właśnie teraz?

Halisstra poczuła, że cała oblewa się czerwienią. Wiedziała, że podsyciła tylko ich wątpliwości. Wstyd walczył w niej ze sprzeciwem i sprzeciw zwyciężył.

Z wysiłkiem odzyskała godność i pewność siebie, jakie wpa-jano pierwszej córce domu Melarn od urodzenia.

- Na mą duszę - powiedziała z całą stanowczością, na jaką potrafiła się zdobyć - służę Eihstrae Mrocznej Pannie. Nie wątpcie w to. Głos Lolth jest tylko echem w moim umyśle. Odległym echem.

Jej siostry nie przestawały się jej przyglądać. Pierwsza odezwała się Feliane. Na jej kanciastej, bladej twarzy zagościł słaby uśmiech.

- Słyszę prawdę w twoich słowach - powiedziała i spojrzała na Uluyarę. - To mi wystarczy.

- Mnie również - rzekła Uluyara i zawiesiła wisiołek z powrotem na szyi. - Wybacz nam, Halisstro. Wydawało nam się dziwne, że Eihstrae powierzyła swoją klingę komuś, kto tak

niedawno odrzucił Pajęczą Królową. Niezwykłość ten sytuacji powodowała mój... niepokój. - Wzięła oddech i wyprostowała się. - Ale nie nam poddawać w wątpliwość wolę Mrocznej Parmy. To ty dzierzysz Księżycowe Ostrze. Podążymy za tymi nieszczęśnikami do władztwa Lolth i uczynimy to, co do nas należy.

Trzy elfki znów ruszyły wzdłuż szeregu umarłych. Słowa Uluyary rozbrzmiewały w głowie Halisstry, która mimo woli zastanawiała się cały czas, co właściwie powinna zrobić.

*Yor 'lhae*, szeptał jej do ucha wiatr.

W miarę jak leciały przez mgłę eteru, wyładowania elektryczne i wiry mocy stawały się coraz częstsze. Halisstra miała wrażenie, że jej całe ciało jest naładowane, naelektryzowane.

- Zbliżamy się do źródła mocy Lolth - oznajmiła, a Feliane i Uluyara skinęły głowami. Dopiero później zaniepokoiła się tym, że bliskość mocy Lolth działa na nią tak pobudzająco.

Wkrótce zobaczyły przed sobą ogromny kłęb czarnej i zielonkawej energii, który obracał się powoli. Jego osiem spiralnych ramion sięgało w eter prawie na długość strzału z kuszy. Cały wir przypominał Halisstrze stylizowaną podobiznę pająka. Jego powolne obroty działały na nią hipnotyzująco. Dusze wpadały weń jedna za drugą i znikwały.

- To brama na plan Lolth - oświadczyła Halisstra.

Nicość rozszczępił piorun koloru ochry.

Jej towarzyszki kiwnęły głowami, przyglądając się wirowi. Feliane wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. Brzemień ich misji zaczynało ciążyć im wszystkim.

- Jesteście gotowe? - zapytała Halisstra tyleż towarzyszki, co samą siebie. Wyciągnęła Księżycowe Ostrze z pochwy.

W drugiej ręce trzymała małą stalową tarczę - tarczę Seyll.

Z zaciętą miną i wzrokiem wbitym w wir Uluyara kiwnęła głową. Dobyła miecz, przytknęła róg do ust i zadęła weń. Głos rogu poniósł się echem po Planie Astralnym, ale nic nie wskazywało na to, że dusze go usłyszały.

Feliane dobyte rapier i poprawiła okrągłą tarczę. Wydawała się taka drobna.

- Za mną- rozkazała Halisstra i ruszyła w stronę wiru. Starła się nie patrzeć żadnej z dusz w twarz.

Wpadając w portal uświadomiła sobie, że przed wkroczeniem do władztwa Lolth powinny były zmówić modlitwę do Mrocznej Panny. Była pewna, że przeoczenie to było przypadkowe.

Prawie pewna.

Gdy ogarnęła ją energia portalu, poczuła, jak rozciąga się między planami. Gdy rozpadała się na dwoje, w jej uszach raz jeszcze rozbrzmiało słowo *Yor 'thae*.

# TRZECI

Kiedy Pharaun wkroczył w portal, przez chwilę czuł się tak, jak gdyby został rozciągnięty między dwoma punktami, rozpostarty na ogromnej przestrzeni, aż stał się cienki jak pergamin. Przez ułamek uderzenia serca, choć wiedział, że to absurdalne i nielogiczne, miał wrażenie, że istnieje w dwóch miejscach naraz.

A potem było po wszystkim. Wystrzelił do przodu i dogonił resztę siebie w miejscu, do którego prowadził portal. Uleczony i odświeżony czarami Quenthel i Danifae stał pod nocnym niebem na kamienistej ziemi Pajęczych Otchłani, władztwa Lolth.

Quenthel stała po jego prawej, władcza i spokojna. Danifae i Jeggred po lewej - mały, niebezpieczny pajęczek i ogromny draegloth. Chłodny wiatr wiał z...

Pharaun zmarszczył brwi. Zupełnie stracił poczucie kierunku i nie potrafił ustalić, gdzie się znajduje.

Danifae, z j edną ręką zaplątaną w brudną grzywę Jeggreda, rozejrzała się. Wiatr przyciskał *piwafwi* do ciała byłej branki, podkreślając jej krągłe biodra i pełne piersi. Uśmiechnęła się i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Quenthel przerwała jej.

- Przybyliśmy - oznajmiła Quenthel przyciszonym głosem, omiatając wzrokiem krajobraz. - Niech będzie pochwalone imię bogini.

Pharaun uznał, że przesadza, ale nie powiedział tego na głos. Nie widział tu prawie niczego godnego pochwały. Lolth przенiosła Pajęcze Otchłanie we własną domenę, ale plan nadal pozostawał jałowym pustkowiem. Czarodziej przypomniał sobie, że gdzieś w Pajęczych Otchłaniach miały swoje siedziby także inne bóstwa z panteonu drowów, między innymi Kiaransalee i Vhaeraun, ale nie miał pojęcia, gdzie mogą się znajdować. Z tego, co widział, cały plan należał do Lolth.

Stali na szczycie niewielkiego wzniesienia, z którego rozciągał się widok na pofałdowaną skalistą równinę ciągnącą się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach. W oddali z jezior jakiejś żrącej substancji bił w powietrze gęsty dym. Krajobraz przecinały rozpadliny i wąwozy, otwarte rany w ziemi, których głębokości Pharaun nie był w stanie ocenić z tak daleka. Cała równina była podziurawiona jaskiniami, jamami i kraterami przywodzącymi na myśl pęknięte wrzody, a może wrzeszczące usta. Pharaun nie widział nigdzie żadnej roślinności, nawet porostów ani grzybów. Kraina wydawała się martwa, jak gdyby spustoszył ją wielki kataklizm.

Z ziemi wystawały pod różnym kątem smukłe, dziwacznie zakrzywione czarne słupy. Najniższy z nich dorównywał wysokości Narbondelowi, ale miał o połowę mniejszy obwód. Wiatr i deszcz pokryły je dziobami i dziurami, upodabniając je

do trupów zalegających ulice Braerynu przed dziesięciu laty, gdy wśród biedoty Menzoberranzan szalała czarna ospa. Były ich setki, a kilka przewróciło się na ziemię. Ich połamane odłamki walały się na kamieniach.

Pharaun przyglądał im się jeszcze przez chwilę, uderzony ich dziwnym kształtem. Przypominały mu coś...

- Czy to skamieniałe odnóża pajaków? - zapytał, znając odpowiedź już w chwili, gdy wymawiał ostatnie słowo.

- To niemożliwe - prychnął Jegged.

Ale Pharaun wiedział swoje. Wystające z ziemi wieże z czarnego kamienia były niszczącymi odnóżami skamieniałych pajaków, które za życia musiały być wielkie jak stalaktytowa forteca domu Mizzrym. Otchłanie dawno temu pogrzebały ich ciała, tak że widać było tylko odnóża. Pharaun wyobraził sobie ich odęte kamienne cielska leżące pod powierzchnią. Zastanawiał się czy pająki zginęły i zmieniły się w kamień wskutek kataklizmu, który spustoszył Pajęcze Otchłanie.

- Jeśli mistrz Mizzrym ma rację - odezwała się Quenthel z błyskiem w oku - byłoby wspaniale móc ujrzeć te sługi Pajęczej Królowej żywymi.

Pharaun pomyślał, że dość się już naogładał sług Lolth. Odepchnął od siebie obraz wielkich, martwych pajęczaków i rozejrzał się bacznie dookoła.

Wszystko przykrywały pajęczyny, niektóre zwykłej wielkości, inne przeogromne. Zwisaly niczym srebrzyste zasłony pomiędzy kamiennymi wieżycami, przesłaniały wyloty tuneli, spowijały otwarty teren, przelatywały nad ziemią w postaci lepkich kul i unosiły się na wietrze jak śnieg, z którym Pharaun zetknął się w Świecie Ponad. Niektóre były większe niż skamieniałe sieci w Ched Nasad.

- Jej sieci oplatają wszystko - powiedziała Quenthel.

- A świat jest jej ofiarą- dodała Danifae.

Po portalu nie zostało nawet śladu. Podróż ze starych Pajęczych Otchłani do nowych była podróżą w jedną stronę. Do domu będą musieli wrócić za pomocą magii, o ile w ogóle tam wrócą.

Wiatr wzmógł się, podrywając w górę pył i pajęczę sieci. Nie-samowity lament przyprawił Pharauna o gęsią skórkę.

Dopiero po chwili ustalił źródło dźwięku - niektóre pajęczyny, grube srebrne sieci rozpięte tu i ówdzie, wibrowały poruszone wiatrem. Drgania przechodziły w przeraźliwy krzyk, który wznosił się i opadał wraz z wichrem. Twórcami pajęczyn były eleganckie pająki o długich odnóżach i wąskich, czerwono-żółtych ciałach.

- Sieci pajaków śpiewaków - powiedziała Quenthel, podając wzrokiem za spojrzeniem Pharauna. W jej głosie dał się słyszeć nabożny podziw. - Głos Lolth.

Trzymała w jednej dłoni swój węzowy bicz i pięć czerwono-czarnych żmij kołysało się w takt lamentu jak zahipnotyzowane. Quenthel nachyliła się ku nim i skinęła głową, gdy przekazały jej mentalny komunikat.

- Pajęczyny przyzywają Wybrankę Lolth - dodała Danifae, obserwując Quenthel.

- Rzeczywiście - przyznała Quenthel, rzucając Danifae ukradkowe spojrzenie.

Pharaun uznał „Wybrankę Lolth” za niebyt fortunne sformułowanie. Nawet on wiedział, że Pajęcza Królowa nie tyle wybierała, co proponowała. Ta, która przyjmie jej propozycję-bez wątpienia Quenthel - zostanie jej Wybranką.

W każdym razie nie rozróżniał w zawroźdzeniu pajęczyn żadnych słów, choć wierzył Danifae. Lolth przemawiała tylko do swoich kapłanek, nie do mężczyzn.

Podniósł głowę i zobaczył zachmurzone, bezgwiezdne niebo wiszące nad spustoszoną krajobrazem. Przez pojedynczy otwór w pokrywie chmur, jak przez okno, spoglądało na ziemię

skupisko ośmiu czerwonych kul. Siedem świeciło jasno, jedna była przymglona. Ułożeniem przypominały oczy pająka, oczy Lolth. Pharaun poczuł na sobie ciężar ich wzroku.

Poniżej chmur, ale wciąż wysoko na niebie, kłębiły się i wirowały zielone, żółte i srebrne skupiska mocy. Niektóre pojawiały się na uderzenie serca, inne na dłużej, ale wszystkie w końcu rozpraszały się w syczących eksplozjach iskier, w miarę jak tworzyły się nowe. Pharaun uznał je za produkt uboczny przebudzenia Lolth, pozostałość boskich snów, a może błony płodowe rodzącego się chaosu. Co jakiś czas jeden z wirów wyrzucał z siebie coś, w czym Pharaun rozpoznał dusze.

Tłum żarzących się duchów na nocnym niebie wyglądał jak wółprzezroczysty, barwny rój przemykający w mroku niczym chmara jaskiniowych nietoperzy. Większość z nich stanowiły drowy, choć czarodziej dostrzegał od czasu do czasu półdrowa, draeglotha, a nawet, choć rzadko, człowieka. Nie zwracały uwagi na Pharauna i jego towarzyszy - o ile w ogóle widziały ich z tak wysoka - tylko ustawiały się w szeregu i odlatywały w tym samym kierunku.

- Rzeka dusz - stwierdził Jegged.

- Która wydaje się mieć prąd - zauważył Pharaun, patrząc, jak dusze formują szyk i odlatują w nieznanne miejsce.

- Lolth przerwała Milczenie i teraz woła do siebie swoich zmarłych - wymruczała Danifae. - Są teraz tylko cieniami, ale odzyskają cielesną powłokę, jeśli ich prośby zostaną wysłuchane.

Quenthel wpatrywała się w Danifae z taką pogardą, że Pharaun nie mógł powściągnąć podziwu dla ekspresji jej mimiki.

- Pod warunkiem, że dotrą do miasta Lolth i zostaną uznane za godne, branko - powiedziała Quenthel. - Taką podróż odbyłam do tej pory ja i tylko ja.

Danifae gapiła się bezczelnie na Quenthel. W niczym nie umniejszało to piękna jej twarzy.



- Bez wątplenia mistrzyni Arach-Tinilith została uznana za godną tego zaszczytu - odparła Danifae i było to bardziej pytanie niż stwierdzenie. Co więcej, wybór tytułu sugerował, że nie uznaje Quenthel za najwyższą rangą kapłankę wśród nich.

Oczy Quenthel zwięzły się z gniewu, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, Danifae dodała:

- Także *Yor 'thae* musi z pewnością odbyć podróż do miasta Lolth, aby została uznana za godną. Nieprawdaż, mistrzyni Quenthel?

Kolejny silny poryw wiatru poruszył pajęczynami wokół nich, wydobywając z nich pieśń. Pharaunowi wydawało się, że wśród zawodzenia usłyszał szept „*Yor 'thae*”.

Quenthel i żmije przy jej biczu wpatrywały się w Danifae. Mistrzyni Arach-Tinilith przekrzywiła głowę w bok, słuchając tego, co węże sączyły wprost do jej umysłu.

- Nie potrafisz odpowiedzieć na to pytanie bez pomocy swojego bicza, ciotko? - zapytał z drwiną Jeggred.

Łby żmij poderwały się do góry ze wzburzeniem. Twarz wysokiej kapłanki pozostała beznamiętna, gdy podeszła do dra-eglotha i Danifae. Obie kapłanki prawie zniknęły w cieniu ogromnej sylwetki Jeggreda.

Póldemon wydał z siebie niski pomruk.

- Mówiłeś coś do mnie, siostrzeńcze? - zapytała Quenthel, a żmije przy jej biczu wysunęły języki.

Jeggred spojrział w dół na ciotkę i otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Danifae położyła dłoń na muskularnym przedramieniu jego bojowej łapy i draegloth powstrzymał się.

- Odezwałeś się niepytany, Jeggredzie - powiedziała Danifae i uderzyła go lekko w ramię. - Wybacz mu, mistrzyni.

Quenthel przeniosła wzrok na Danifae. Jej żmije wciąż wpatrywały się w Jeggreda z zimną groźbą w ślepiach.

Baenre była o dobrą dłoń wyższa od Danifae, a dzięki sile, jaką obdarzał jāmagiczny pas, mogłaby z łatwością zgruchotać własnoręcznie kręgosłup dziewczyny. Branka trzymała dłoń z dala od rękoiści morgenszterna.

- Przez chwilę miałam wrażenie, że się zapomniałaś, Dani fae Yauntyrr - powiedziała Quenthel tonem zarezerwowanym do łajania dzieci. - Może zdeorientowała cię podróż między planami?

Zanim Danifae zdążyła odpowiedzieć, spojrzenie Quenthel stwardniało.

- Pozwól, że ci przypomnę, iż jestem wysoką kapłanką Quenthel Baenre, mistrzynią Arach-Tinilith, mistrzynią Akademii, mistrzynią Tier-Breche, pierwszą siostrą domu Baenre z Menzoberranzan. Ty zaś jesteś branką, córką martwego domu, roz wydrzoną pannicą, która nie potrafi utrzymać swojego niewy parzonego języczka za zębami. - Uniosła rękę, aby uprzedzić odpowiedź Danifae. - Tym razem wybaczę ci twoją arogancję, ale dobrze się zastanów, zanim znów coś powiesz. Kiedy Lolth podejmie decyzję, jej Wybranka może poczuć się w obowiązku ukarania twojej wcześniejszej bezczelności.

Stojący obok Danifae Jeggred wypuścił gwałtownie powietrze z płuc, co zabrzmiało jak sapanie duergarskiego miecha kowalskiego. Potężne szpony na końcu jego ramion bojowych zaciskały się i rozluźniały. Patrzył na swoją ciotkę, jak gdyby była ochłapem mięsa.

Żmije przy biczu Quenthel syknęły mu w twarz.

Pharaun przezornie przywołał z pamięci słowa zaklęcia, które unieruchomi Jeggreda, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wiedział, komu dochować wierności, jeśli rozłam między Quenthel a Danifae przerodzi się w otwartą bitwę. Quenthel właśnie wyrecytowała Danifae swoje tytuły. Pharaun dodałby jeszcze jeden: *Yor'thae* Pajęczej Królowej. Lolth wskresiła Quenthel. Z jakiego innego powodu mogła to zrobić? Musiał jednak przyznać

Danifae, że nie cofnęła się przed gniewem Quenthel i nie okazała nawet cienia strachu. Jej piękne szare oczy nie wyrażały niczego. Uniosła dłoń do twarzy Quenthel, jak gdyby chciała pogłaskać ją po policzku. Kiedy żmije odwróciły się od Jeggredzie i syknęły na nią, klapiąc zębami, cofnęła rękę.

- Te czasy minęły - wycodziła Quenthel przez zaciśnięte zęby.

Danifae westchnęła i uśmiechnęła się.

- Chcę tylko, żebyś wypełniła swoje przeznaczenie, mistrzyni Arach-Tinilith - powiedziała - oraz wolę Pajęczej Królowej.

Kiedy Pharaun rozkładał jej odpowiedź na czynniki pierwsze, doszukując się ukrytych znaczeń, Quenthel odparła:

- Wszyscy wiemy, jaka jest wola Pajęczej Królowej. Tak jak wiemy, kto będzie jej Wybranką. Nie ma potrzeby wymieniać jej z imienia. Znaki wskażą *Yor thae*. Niech każdy zinterpretuje je po swojemu. Ale tych, którzy zinterpretują je źle, czeka los godny pożałowania.

Piękna twarz Danifae przybrała nieodgadniony wyraz, ale branka wytrzymała spojrzenie Quenthel.

- W rzeczy samej, godny pożałowania.

Quenthel spojrzała na nią po raz ostatni, odwróciła się do draegloth i zapytała:

- A ty, Jeggredzie? Miałeś okazję zastanowić się nad sobą. Czy jest coś, co chciałbyś mi teraz powiedzieć?

Pharaun z trudem powstrzymał uśmiech. Quenthel Baenre przybyła do władztwa Lolth całkowicie odmieniona. Przestała być szepczącą, zahukaną drowką, która rozmawiała tylko ze swoim biczem, i stała się znów mistrzynią Arach-Tinilith, która przewodziła ich wyprawie, pierwszą siostrą najpotężniejszego domu w Menzoberranzan.

W tej chwili wydała mu się atrakcyjniejsza nawet od Danifae.

W następnej chwili zdał sobie sprawę, że już zbyt długo nie zadawał się ze swoimi dziwkami.

Jeggred też musiał wyczuć zmianę, jaka zaszła w jego ciotce. Gdyby Pharaun kiedykolwiek litował się nad kimś — oczywiście tak nie było - mogłoby mu być żal draeglothia. A tak uznał wyraźną konsternację Jeggreda za zabawną i zasłużoną. Półdemon zawarł sojusz z Danifae i teraz ponosił konsekwencje swojego błędu. Quenthel nie wybaczy mu tego.

Jeggred zaczął coś mówić, ale Danifae, wciąż wpatrując się w Quenthel, potrząsnęła głową, raz, i ten drobny gest uciszył draeglothia równie skutecznie jak zaklęcie zmuszające do milczenia.

- Grzeczniej - rozkazała Danifae.

Z Jeggreda uszło całe powietrze.

-Nie... ciotko.

Nie patrzył jej w oczy. Cztery ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż boków, wzrok miał wbity w ziemię.

Pharaun uniósł z uznaniem brew. Zwracając się do Quenthel per „ciotko” zamiast jej oficjalnym tytułem, Jeggred uniknął dalszego obrażania wysokiej kapłanki, a jednocześnie nie zaprzeczył niczemu, co sugerowała Danifae. Może półdemonem nie był wcale takim durniem, na jakiego wyglądał.

Podczas gdy zmije pilnowały Jeggreda i Danifae, Quenthel odwróciła się do Pharauna, obrazając Danifae pokazaniem jej swoich pleców.

- A ty, mistrzu Sorcere - zapytała - czy masz jakieś przemyślenia w tej kwestii?

Pharaun wiedział, że tak naprawdę nie zależy jej na jego opinii - koniec końców był tylko mężczyzną. Chciała, żeby jasno opowiedział się po którejś ze stron. Rozwahał wymiganie się od odpowiedzi, ale szybko odrzucił tę możliwość. Dom Baenre był pierwszym domem Menzoberranzan, Gromph Baenre był jego przełożonym, a Quenthel Baenre była lub miała wkrótce zostać Wybranką Lolth. Czas kaprysów minął. Może w nagrodę za bezpośredniość Quenthel pozwoli mu zabić Jeggreda.

- Mistrzynie - odparł, a użycie oficjalnego tytułu było odpo-  
wiedzią na pytanie Quenthel — wygląda na to, że mistrz Hune  
odłączył się od nas.

Quenthel uśmiechnęła się z widoczną aprobatą. Za plecami  
mistrzynie Arach-Tinilith Danifae mierzyła maga . nienawistnym  
wzrokiem. Jeggred oblizał wargi, w jego ślepiach czaiła się  
obietnica mordy.

- Hune spełnił już swoje zadanie, mistrzu Mizzrym - odparła  
Quenthel - a jego nieobecność nie ma już znaczenia. - Odwró-  
ciła się do Jeggreda i Danifae. - Wszystko dzieje się po myśli  
Lolth. Wszystko.

- Świat jest jej ofiarą- dodała Danifae.

Quenthel uśmiechnęła się pobłaźliwie, obróciła na pięcie i  
odeszła kilka kroków, żeby przyjrzeć się okolicy. Dotknęła  
swojego świętego symbolu i zmówiła szeptem modlitwę. Cztery  
żmije patrzyły przez jej ramię na brankę i draeglotha. Jedna  
z nich, K'Sothra, zawisała jej nad uchem.

Danifae wpatrywała się w plecy Quenthel z kamienną twa-  
rzą, a potem obdarzyła Pharauna szyderyczym uśmiechem.

*Jesteś głupcem, jak zawsze*, pokazała na migi.

Pharaun nie odpowiedział, posłał jej tylko drwiący uśmie-  
szek, którym potrafił doprowadzić do szału.

Jeggred też wpatrywał się w maga, pysk miał wykrzywiony  
łakomym grymasem. Pharaun napotkał spojrzenie draeglotha i  
uśmiechnął się nieszczercze.

Mag ogarnął wzrokiem spustoszoną krainę i odezwał się do  
Quenthel:

- Niezbyt tu gościnnie, zgodzisz się, mistrzyni? Myślę, że  
mistrz Hune wykazał się niezrównaną mądrością, rezygnując  
z tego etapu wycieczki.

Quenthel nie odpowiedziała, ale Jeggred zamruczał i wark-  
nął:

- Powiniennem był zabić tego najemnika i pożreć jego serce.

W słowach Jeggreda Pharaun zwietrzył okazję poprawienia swoich notowań u Quenthel. Skorzystał z niej, wiedząc, że bez trudu uda mu się manipulować draeglothem.

- Pożreć jego serce? - zapytał. - Tak jak serce mistrza Argitha?

Półdemon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dokładnie tak - przytaknął, cmokając. - Krew z jego serca smakowała wybornie.

Kropła żółtej śliny spłynęła mu z kącika ust i rozprysła się na kamieniach.

Śmierć Rylda Argitha obchodziła maga tyle co zeszłoroczny śnieg, ale mógł ją wykorzystać, tak jak Jeggreda, aby udowodnić coś Quenthel. Poza tym lubił dokuczać półdemonowi.

- Chyba nie jesteś aż tak upośledzony na umyśle, by przy puszczać, że śmierć mistrza Argitha mnie wzruszyła? - zapytał.

Jeggred warknął, wysunął szpony i zbliżył się o krok.

Pharaun ciągnął dalej:

- Mimo to jestem oszołomiony, że ktoś o tak ograniczonych horyzontach jak ty zna znaczenie słowa wyborny. Brawo, Jeggredzie. Przynajmniej jedna twoja dzisiejsza wypowiedź jest godna Baenre.

Quenthel zaśmiała się i Pharaun wiedział, że zaskarbił sobie jej przychyłność.

Jeggred rzucił się do przodu, wyciągając bojowe ramiona. Danifae złapała go za grzywę i powstrzymała, wpatrując się w Pharauna.

- Stój, Jeggredzie - powiedziała Danifae głosem tak spokojnym jak bezwietrzne morze. - Zagrywek mistrza Mizzryma nie rozgryzłby tylko głupiec.

Pharaun wiedział, że to ostatnie odnosi się do Quenthel.

- Zanim dotrzemy do celu, pożreć jeszcze jedno serce - obiecał magowi Jeggred, ale nie wrywał się Danifae.

Pharaun przyłożył dłoń do piersi, udając, że został ranny.

- Zraniłeś mnie, Jeggredzie - powiedział. - Komplementuję twój intelekt i co mnie spotyka? Pogródki. - Popatrzył na stojącą za draeglothem Quenthel, jak gdyby szukał jej poparcia. - Czuję się dogłębnie urażony. Mistrzynie, twój siostrzeniec jest niewdzięcznym bydlakiem.

Quenthel odwróciła się.

- Dość tego. Za mną. Lolth wzywa.

Zaczęła schodzić powoli ze wzniesienia. Danifae wyszeptala coś do Jeggreda i puściła jego grzywę.

- Powinieneś zachować ostrożność, mistrzu Mizzrym - powiedziała do Pharauna. Trzymanie smyczy zaczyna mnie nużyć, a sytuacja może nie być wcale taka jasna, jak ci się wydaje.

Pharaun uśmiechnął się drwiąco.

- Zawsze jestem ostrożny, mistrzyni Danifae - rzekł, z rozmysłem używając tego tytułu. - A sytuacja wygląda tak, jak wygląda. Tylko głupiec może tego nie dostrzec.

Danifae nic na to nie odpowiedziała, zacisnęła tylko zęby. Odwróciła się i ruszyła za Quenthel.

Pharaun i Jeggred zostali sami na szczycie wzniesienia.

Płonące ślepie draeglothu wwierały się w czarodzieja. Jego szeroka pierś wznosiła się i opadała jak miech kowalski, z obnażonych kłów ściekała ślina. Nawet z odległości pięciu kroków Pharaun czuł jego cuchnący oddech. Mag wzdrygnął się.

- Jesteś zniewieściałym głupcem - powiedział draegloth. A między nami jeszcze nie koniec. Prędzej czy później i tak pożrę twoje serce.

Pharaun bez strachu podszedł do ogromnego draeglothu. Na końcu języka miał zakłęcie, które obędzie półdemonia ze skóry.

- Przynajmniej przestanie ci tak cuchnąć z pyska - oznajmił. To powiedziawszy, minął draeglothu.

Czuł, że ślepie Jeggreda wypalają mu dziury w plecach. Czuł też na sobie złowrogie spojrzenie ośmiu satelitów.

Nie spiesząc się zbytnio, aby zachować jakieś pozory, dołączył do Quenthel i Danifae. Jeggred szedł pięć kroków za nim, więc za plecami słyszał jego oddech i ciężkie stąpania. Kiedy zrównał się z Quenthel, zapytał:

- Teraz, gdy już tu jesteśmy, dokąd właściwie mamy pójść?

Quenthel spojrzała w niebo, na rzekę żarzących się dusz lśniąca niczym inkrustowane klejnotami sklepienie pieczary Men-zoberranzan.

- Podążymy za duszami do Lolth - odparła.

- I...? — ośmielił się zapytać.

Quenthel stanęła i spojrzała mu ze złością w twarz. Żmije przy jej biczu wysunęły języczki.

-I... ? - powtórzyła.

Pharaun spuścił wzrok, ale zapytał:

-I co dalej, mistrzyni? Lolth wzywa swą *Yor'thae*, ale co takiego *Yor 'thae* ma uczynić?

Quenthel nie odzywała się przez chwilę. Pharaun podniósł głowę i odkrył, że nie patrzy już na niego.

- Mistrzyni? - szepnął.

Wysoka kapłanka wróciła do siebie.

- To nie są sprawy przeznaczone dla uszu byle mężczyzny - ucieła.

Pharaun skłonił się. Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Zastanawiał się czy nawet Quenthel wie, jakie zadanie czeka *Yor 'thae*, co takiego dzieje się z Lolth. Możliwość, że tego nie wie, nie dawała mu spokoju.

Quenthel nic więcej nie powiedziała i ruszyła dalej.

Pharaun spojrzal za siebie i napotkał wzrok Danifae. Branka oblizala wargi, uśmiechnęła się i nasunęła kaptur płaszczka.



## CZWARTY

Wokół Grompha płonęło i trzaskało tysiąc ognisk. W powietrzu bił czarny dym spowijający bazar surrealistyczną mgiełką. Z opuszczonych sklepików i kramów zostały tylko zwęglone zgliszcza. Czarne, skamieniałe postacie kupców - obróconych w kamień dotykaniem Hczdrowa Dyrra, który przedzierzgnął się w czarnego kamiennego giganta- leżały porozrzucane na ziemi niczym odlewy. Niektóre ze skamieniałych drowów stopiły się jak wosk w żarze eksplozji Laski Mocy i już nigdy nie miały odzyskać cielesnej postaci. Gromph nie zastanawiał się dłużej nad ich losem.

Gładką powierzchnię targowiska znaczyły szerokie, głębokie bruzdy wryte przez miotającego się giganta.

Wciąż oszołomiony wybuchem laski Gromph siedział na zimnych kamieniach z nogami wyciągniętymi przed siebie. Szaty

arcymaga dymiły. Jego umysł pracował na zwolnionych obrotach, zmysły miał przytępione.

Ale nie na tyle, by nie odczuwał bólu. Potwornego bólu.

Prawie całe ciało miał poparzone. Czuł się tak, jak gdyby w skórę wbijał mu się milion igieł, jak gdyby wykapał się w kwasie. Odgryziona noga jeszcze nie całkiem się zrosła i promieniowała przeszywającym bólem aż po udo i biodro. Nie-magiczne szaty - na szczęście nie miał ich na sobie wiele - wtopiły mu się w ciało, zmieniając skórę w stop spalonego mięsa i materiału. Wyobrażał sobie, jak wygląda odsłonięta skóra jego twarzy. Był zaskoczony, że wciąż widzi. Musiał zamknąć oczy - oczy pojmanego Agrach Dyrra - nim doszło do eksplozji.

W dłoniach trzymał dwa zwęglone patyki. Wpatrywał się w nie, nie wiedząc, do czego służą. Z wyglądu przypominały jego przedramiona - cienkie i poparzone prawie nie do poznania. Dopiero po chwili uświadomił sobie, czym są - szczątkami Laski Mocy.

Wzdrygając się, rozwarł zdeformowane palce i pozwolił kawałkom laski upaść z trzaskiem na ziemię.

Nie widząc na bazarze nikogo oprócz Nauzhrora, który przykucnął obok niego i cmokał nerwowo, Gromph przez jedną absurdalną chwilę myślał, że zniszczenie laski unicestwiło wszystkich pozostałych mieszkańców Menzoberranzan.

Idiotyzm tego pomysłu kazał mu się uśmiechnąć, ale natychmiast pożałował nawet tego drobnego grymasu. Zwęglona skóra warg pękła, przeszywając go dojmującym bólem. Z rany wysączyła się do ust ciepła ciecz. Arcymag syknął cicho, bojąc się dać upust bólowi w inny sposób.

Ból nie był dla niego niczym nowym. Skoro wytrzymał wygryzienie oczu przez własnego chowańca i odcięcie nogi przez gigantyczną stonogę, mógł znieść kilka poparzeń.

- Arcymagu? - zapytał Nauzhror. - Czy mam ci pomóc?

Korpulentny mistrz Sorcere wyciągnął rękę, jak gdyby chciał dotknąć ramienia Grompha.

- Nie dotykaj mnie, głupcze! - syknął Gromph przez to, co zostało z jego zwężonej twarzy. W ustach znów poczuł krew. Z pękniętych pęcherzy pocięła ropa.

Nauzhror cofnął się tak szybko, że prawie się przewrócił.

- Ja... ja chciałem ci tylko pomóc, arcymagu - wyjąkał.

Gromph westchnął, żalując, że zareagował tak ostro. Nigdy nie pozwalał, by emocje wzięły nad nim górę. Poza tym w jego głowie zaczynał się już kształtować plan dalszych działań. A ponieważ Pharaun wyruszył na wyprawę do Pajęczych Otchłani, potrzebował Nauzhrora.

- Oczywiście, Nauzhrorze - rzekł Gromph. - Jeszcze przez chwilę pozwólmy pierścieniowi działać.

- Tak, arcymagu - odparł Nauzhror.

Gromph wiedział, że magiczny pierścień, który nosi, uleczy jego ciało. Proces ten był bolesny, swędzący i powolny, ale równie nieuchronny jak wznoszenie się pierścienia światła w górę kolumny Narbondelu. Gromphowi bez wątpienia przydałyby się zaklęcia uzdrawiające - wyglądało na to, że jego siostry znów mogą je rzucać - ale irytował go sam fakt, że Triel już raz go ocaliła. Liczdrow pokonał Grompha, zmienił go w kamień i ar-cymag byłby zginął albo na zawsze pozostał kamiennym posągiem gdyby nie interwencja jego siostry.

Nie, nie mógł prosić ani jej, ani żadnej innej kapłanki Ba-enre o uzdrowienie czy pomoc. Znów spłynęła na nie łaska Lolth. Wkrótce wszystko wróci do normy i Gromph wołał nie zawdzięczać kapłankom Pajęczej Królowej więcej, niż było absolutnie konieczne. Zbyt dobrze znał cenę. Dlatego wytrzyma jeszcze przez chwilę ból, kiedy pierścień będzie regenerował jego ciało.

*Cieszę się, że przeżyłeś, arcymagu,* odezwał się w jego głowie głos Pratha. Zaklęcie telepatyczne wciąż działało.

*Podzielam twoją radość, Prathu,* odparł Gromph. *A teraz bądź cicho.*

Grompha bolała głowa i brzęczący głos ucznia wwiercał mu się w czaszkę z intensywnością sztyletu wbijanego w oko.

Po kilku minutach zaczęła go swędzić cała skóra. Z wielkim trudem opanował chęć podrapania się. Chwilę później martwe mięso zaczęło odpadać od ciała, a w jego miejsce urosła nowa, zdrowa skóra.

- Arcymagu? - zapytał Nauzhror.

- Jeszcze chwilę- odparł Gromph przez zaciśnięte zęby.

Obserwował, wzdrygając się z bólu, jak grudki pokrytej pęcherzami skóry odpadają od ciała, tworząc na ziemi zarys jego sylwetki. Gromph wyobraził sobie, że jest jednym z pajaków Lolth porzucającym dawną postać i wyciągającym nowe, silniejsze ciało z martwej powłoki. Walka z liczdrowem zmusiła go do wysiłku, ale w ostatecznym rozrachunku nie został pokonany.

Oczywiście, przypomniał sobie, walka jeszcze się nie skończyła.

Kiedy poczuł, że jest gotowy, kiedy większość martwej skóry zniszczyła się, tworząc na ziemi Bazaru groteskowy kopczyk, wyciągnął delikatną wciąż rękę do Nauzhrora.

- Pomóż mi wstać.

Nauzhror złapał go za rękę i podźwignął z ziemi.

Gromph stał przez chwilę nieruchomo, zbierając siły, wy-próbowując zregenerowaną nogę, kontrolując ostatnie spazmy bólu.

Nauzhror stał obok niego, uważny niczym akuszerka, ale nie dotykał go.

- Potrafię utrzymać się na nogach - powiedział Gromph, ale nie był tego pewny.

- Oczywiście, arcymagu - odparł Nauzhror, ale wciąż stał w pobliżu.

Gromph wziął głęboki oddech, czekając aż nogi przestaną mu się trząść. Skradzionymi Dyrrowi oczyma ogarnął pobojowisko wokół siebie, a potem całe miasto.

Jeśli nie liczyć dymiących zgliszczy bazaru, oblężenie nie dotarło do centrum miasta. Wielka iglica Narbondelu wciąż się żarzyła, odmierzając upływ kolejnego dnia w życiu Menzober-ranzan Potężnego. Gromph nie pamiętał czy to on ją zapalił, czy ktoś inny.

Przekrzywił głowę i zapytał Nauzhrora:

- Czy to ja zapaliłem Narbondel w tym cyklu?
- Arcymagu? - zapytał Nauzhror.
- Nieważne - rzucił Gromph.

Tylko puste arterie Menzoberranzan świadczyły o tym, że miasto jest oblegane. Zatłoczone zwykle ulice były zupełnie wymarłe. Menzoberranzańczykom udało się ograniczyć teren walk do tuneli Mrocznego Władztwa, Donigarten i Tier Bre-che. W centrum miasta nie rozegrała się żadna bitwa oprócz tej, którą Gromph stoczył z liczdrowem.

Ale prawie zrównali bazar z ziemią.

Gromph odwrócił się i popatrzył na wielkie schody prowadzące na Tier Breche. Tam, po drugiej stronie pieczary, na wysokim wzniesieniu mieścił się trzon potęgi Menzoberranzan, trzy instytucje, które od tysiącleci zapewniały miastu siłę i wi-talność: Arach-Tinilith, Sorcere i Melee-Magthere.

Zarysy szkół odcinały się wyraźnie na tle rozbłysków, wybuchów i dymu. Od północy duergarowie niezmordowanie oblegali miasto. Gromph wiedział, że każda ze szkół ucierpiała od bomb zapalających, ale wiedział też, że wszystkie trzy wciąż trwały.

Wkrótce zaklęcia kapłanek Lolth wspomogą obrońców, wzmocnią kontrataki i ożywią poległych.

- Duergarowie są uparci - stwierdził Nauzhror, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Raczej nieświadomi powrotu Lolth - odparł Gromph. - Nieświadomi czy uparci, wkrótce będą martwi.

W umyśle Grompha bitwa o miasto została już rozstrzygnięta. Oblężenie Menzoberranzan wkrótce się skończy. Arcymag pozwolił sobie na chwilę satysfakcji. Zrobił to, co do niego należało, i miasto miało przetrwać.

- Zgoda - przytaknął Nauzhror. - Teraz to tylko kwestia czasu.

Gromph odwrócił się i spojrzawszy przeciwległy koniec jaskini, gdzie wznosił się płaskowyż Qu'ellarz'orl. Jeśli Sorcere, Arach-Tinilith i Melee-Magthere tworzyły trzon Menzoberranzan, to wielkie domy na Qu'ellarz'orlu stanowiły serce miasta.

Na płaskowyżu, jeden obok drugiego, wznosiły się domy arystokratycznych rodów, nad którymi górował, zarówno rozmianami, jak i potęgą, dom Baenre. W jego cieniu, ledwie widoczne z tej odległości, stały twierdze innych wielkich domów -Mizzrym, Faen Tlabbar, a nawet Agrach Dyr.

Gromph zmrużył oczy, gdy jego wzrok padł na stalaktytowy mur zdradzieckiego domu. Fortecę Dyrów rozświetlał od czasu do czasu rozbłysk mocy albo wybuch magicznej energii. Magowie Xorlarrin nie dawali za wygraną. Gromph zdawał sobie sprawę, że jeszcze trochę to potrwa. Yasraena i podległe jej kapłanki odzyskały moc rzucania zaklęć, więc oblężenie mogło się przeciągnąć.

- Xorlarrinowie też są uparci - zauważył arcymag.

-I chciwi - dodał Nauzhror. - Kiedy dom Agrach Dyr zostanie pokonany i usunięty z Rady... - nie dokończył.

Gromph kiwnął głową. Xorlarrinowie mieli nadzieję, że kiedy dom Agrach Dyr upadnie, zajmą jego miejsce w Radzie.

- Upadek domu Dyr też jest tylko kwestią czasu - stwierdził Nauzhror.

Gromph znów kiwnął głową i powiedział:

- Ale ja nie mogę czekać.

Domyślał się, że wewnątrz twierdzy Agrach Dyrów ukryte jest filakterium liczdrowa, naczynie zawierające jego nieśmiertelną

istotę. Gromph musiał je znaleźć i zniszczyć, jeśli chciał ostatecznie i nieodwołalnie unicestwić licza. W przeciwnym wypadku ocalała esencja nieumarłego czarodzieja, ukryta w filakterium i kierowana jego nieumarłą wolą, sama powróci do życia i w ciągu sześćdziesięciu godzin ożywi nowe ciało. Gdy do tego dojdzie, walka pomiędzy liczdrowem a Gromphem rozpocznie się od nowa.

A Gromph nie posiadał już Laski Mocy, którą mógłby poświęcić, aby wygrać.

Kolejna kula ognista eksplodowała nad murami twierdzy Agrach Dyrków.

- O czym teraz myślisz, Yasraeno? - zapytał półgłosem.

Gromph wiedział, że matka opiekunka domu Agrach Dyrk musiała się już dowiedzieć o przegranej liczdrowa. Możliwe, że obserwowała w tej chwili arcy maga.

Yasraena, tak jak Gromph, wiedziała, że dopóki nie zostanie zniszczone jego filakterium, licz nie jest zupełnie martwy.

- Czy wyjawiał ci, gdzie je ukrył, matko opiekunko? - wyszeptał.

- Arcymagu? - zapytał Nauzhror.

Gromph zignorował Nauzhrora. Jego zdaniem było mało prawdopodobne, że liczdrow zdradził Yasraenie miejsce ukrycia filakterium. Przypuszczał, że stosunki między liczdrowem a matką opiekunką były napięte, tak jak stosunki pomiędzy arcy magiem a jego siostrą Triel. Prawdopodobnie Yasraena nie wiedziała, gdzie się ono znajduje. Ale tak jak Gromph najpierw przeszuka własny dom, najbardziej prawdopodobną kryjówkę.

Gromph wiedział, że Yasraena już go szuka. Miał niewiele czasu. Musiał znaleźć sposób przedostania się przez osłony jednego z wielkich domów Menzoberranzan, który był właśnie oblężony i którego matka opiekunka oraz podległe jej kapłanki - znów uzbrojone w zaklęcia Lolth - będą na niego czekać.

Prawie się roześmiał. Prawie.

- Chodź, Nauzhorrze — rzekł Gromph. — Wracamy do mojego sanktuarium. Wojnę o miasto wygraliśmy, ale musimy jeszcze stoczyć kilka bitew.

*Prathu, przesłał do młodego ucznia Baenre. Spotkaj się z nami w moim gabinecie.*

Yasraena stała nad marmurową misą jasnowidzenia i patrzyła, jak obraz Grompha Baenre rozmywa się, gdy on i towarzyszący mu mag teleportują się z bazaru. Nigdzie nie było widać nawet śladu liczdrowa. Ciało nieumarłego czarodzieja zostało całkowicie unicestwione.

Ale nie jego dusza, powiedziała sobie, nie jego istota, i to dawało jej nadzieję.

Choć serce waliło jej w piersi jak młotem, niczego nie dała po sobie poznać. Po... zniknięciu liczdrowa, to ona była faktyczną i jedyną głową domu Agrach Dyr. Nie mogła sobie pozwolić na okazywanie niepokoju.

Dwie z jej czterech córek, Larikal i Esvena, trzecia i czwarta córka domu, niższe rangą kapłanki Lolth, stały po obu jej bokach. Pierwsza i druga córka były zajęte dowodzeniem obroną domu, więc Larikal i Esvenie przypadło w udziale zbieranie informacji i szpiegowanie wrogów. Obie przewyższały Yasraenę wzrostem, a Larikal można było określić jako zwałistą, ale żadna nie była tak mocno zbudowana jak ich matka. Jednak obie odziedziczyły ambicję Yasraeny. Obie, jak każda drowia kapłanka, były gotowe wspiąć się po trupach na szczyt domowej hierarchii.

W komnacie, po drugiej stronie misy, stali trzej mężczyźni. Wszyscy byli absolwentami Sorcere i pomocnikami liczdrowa. Wydawali się oszołomieni wieścią, że ich nieumarły mistrz został pokonany. Opuszczone ręce zwisały im bezwładnie z rękawów



*piwafwi*. Yasraena dostrzegła strach w ich postawie, niepewność w osłoniętych kapturami czerwonych oczach. Brzydziła się nimi, ale nie spodziewała się niczego więcej po mężczyznach.

- Arcymag wrócił do swojego sanktuarium - odezwała się Larikal. - Nie jesteśmy w stanie go dalej śledzić.

Yasraena wyładowała swoją wściekłość na córce.

- Mówisz rzeczy oczywiste, jak gdyby to były prawdy objawione. Milcz, chyba że masz coś sensownego do powiedzenia, głupia dziewczucho.

Cienkie wargi Larikal ściągnęły się ze złości, ale szkarłatne oczy wbiła w podłogę. Czarodzieje przestąpili niespokojnie z nogi na nogę, wymieniając ukradkowe spojrzenia. Yasraena tak mocno ścisnęła w dłoni zakończoną mackami buławę, że zaboląły ją palce. Własnoręcznie udusiłaby liczdrowa, gdyby stanął teraz przed nią.

Patrzcie, dokąd zaprowadziły jej dom jego knowania!

Wpatrywała się w ciemną wodę w kamiennej misie, usiłując zebrać myśli.

Bitwa o miasto została albo wkrótce zostanie rozstrzygnięta. Kiedy wielkie domy zbiorą swoje kapłanki - kapłanki potrafiące znów rzucić zaklęcia - szala zwycięstwa gwałtownie przechyli się na stronę drowów. Duergarowie i tanarukowie zostaną rozgromieni. Jej dom będzie musiał samotnie stawić czoła połączonym siłom całego Menzoberranzan.

Pomimo tragicznego położenia Yasraena nie traciła nadziei. Bądź co bądź, w ubiegłych wiekach, za panowania Yasraeny i jej siostry Auro'pol, poprzedniej matki opiekunki, dom Agrach Dyrri samodzielnie doprowadził do upadku kilka szlacheckich domów. Dyrrowie potrafili walczyć.

Przez uderzenie serca rozważała inne możliwości.

Mogła uciec z miasta, ale dokąd by poszła? Miała zostać bezdomną łączącą włóczącą się po Podmroku albo zewnętrznych planach z ręką wyciągniętą po jałmużnę? Myśl ta była jej ob-

mierzłą. Była matką opiekunką domu Agrach Dyrr, jednego z najświetniejszych domów Menzoberranzan, a nie jakąś że-braczką!

Nie, będzie żyć lub zginie razem ze swoim domem. Przetrzyna oblężenie, znajdzie sposób, aby stać się przydatną innemu wielkiemu domowi, i w końcu doprowadzi do zawieszenia broni. Dom Agrach Dyrr zostanie oczywiście zmuszony do wystąpienia z Rady, ale ona i jej dom przetrwają. To był jej jedyny cel. W swoim czasie jej dom znów znajdzie się w Radzie.

Ale aby zrealizować ten plan, potrzebowała liczdrowa. Bez niego dom nie wytrzyma długo oblężenia. Wiedziała, że nie-umarły czarodziej odzyska cielesną postać w ciągu kilku godzin, o ile tylko jego filakterium pozostanie bezpieczne.

Niestety, wszystko wskazywało na to, że nikt nie ma pojęcia, gdzie się ono znajduje. Ona sama, pomimo użycia zaklęć wieszczących, nie była go w stanie zlokalizować, choć przypuszczała, że musi być ukryte gdzieś wewnątrz domu - liczdrow prawie nigdy go nie opuszczał. Nie ukryłby go nigdzie indziej. Yasraena wiedziała, że Gromph Baenre dojdzie do tych samych wniosków i zjawi się po nie. Musiała znaleźć je wcześniej, a przynajmniej uniemożliwić znalezienie go arcymagowi. W tym celu musiała znać każde jego posunięcie.

Do tej pory zaklęcia wieszczące jej córek i domowych czarodziejów nie były w stanie przeniknąć przez osłony otaczające sanktuarium Grompha w Sorcere. Ale musieli znaleźć na to jakiś sposób, więc go znajdują. Yasraena musiała wiedzieć, kiedy arcymag złoży im wizytę.

Popatrzyła nad misą na Geremisa, starzejącego się, łysiego ucznia liczdrowa. W tej chwili jego bezwłosa głowa niezmiernie ją irytowała.

- Wyteż pamięć, Geremisie - rozkazała. - Albo wyrwę ci mózg i przeczeszę go własnymi palcami. Gdzie liczdrow mógł ukryć swoje filakterium?

Trzęsąc się widocznie, Geremis pokręcił głową, nie patrząc jej w oczy.

- Matko opiekunko, liczdrow nie dzielił się z nikim tą wiedzą. Proszę. Nasze czary jasnowidzące...

- Dość tego! - wrzasnęła Yasraena i tupnęła nogą w kamienną posadzkę. - Koniec wymówek. Larikal, ty i Geremis zorganizujecie oddział, który przeszuka dom. Własnoręcznie, na czworakach, jeśli będzie to konieczne! Może zwykłe poszukiwania dadzą więcej niż zaklęcia. Co godzina chcę usłyszeć raport.

Wiedziała, że Geremis dzielił czasem łóżce z Larikal. Oboje byli brzydcy, a na myśl o ich spółkowaniu zbierało jej się na mdłości.

- Tak, matko opiekunko - odparła Larikal, nie śmiejąc się sprzeciwić. - Za mną, samcze - poleciała Geremisowi.

Oboje pospiesznie opuścili komnatę jasnowidzenia, aby jak najszybciej zejść z oczu wścieklej Yasraenie. Po ich wyjściu Yasraena spojrziała na Esvenę.

- Ty znajdź sposób przedarcia się przez osłony otaczające sanktuarium Grompha Baenre w Sorcere. - Zmierzyła wzrokiem dwóch pozostałych mężczyzn, nieatrakcyjnych czarodziejów w średnim wieku. Nawet nie знаła ich imion. - Wy dwaj będziecie jej towarzyszyć. I wzmocnijcie nasze własne zabezpieczenia. Jeśli nie uda wam się przedostać przez osłony arcy maga albo on lub któryś z tych xorlarrińskich śmieci sforsuje nasze, będę niezadowolona.

Pozwoliła, by groźba zawisła w powietrzu.

Jeden z mężczyzn odchrząknął i zaczął:

- Matko opiekunko...

Yasraena machnęła buławą. Dwie czarne macki na jej końcu rozciągnęły się i okręciły wokół gardła czarodzieja. Mężczyzna zaczął się dławić, usiłując zerwać je z szyi. Wybałuszył czerwone oczy i poruszał ustami, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Yasraena mentalnie rozkazała buławie ścisnąć mocniej gardło drowa.

- Masz się odzywać tylko wtedy, gdy zapytam - powiedziała i popatrzyła w twarz drugiemu mężczyźnie, który spuścił wzrok. - Jak już mówiłam, koniec z wymówkami. Zróbcie to, co do was należy.

Esvena przypatrywała się całemu zajściu z zimnym uśmiechem.

Yasraena wolną ręką walnęła córkę na odlew w twarz. Młodsza kapłanka zachwiała się, wbijając w matkę pełne nienawiści spojrzenie, z ust ciekła jej krew.

- Nie waż się uśmiechać w mojej obecności - warknęła Yasraena. - Stawką jest los naszego domu. Pofolgujesz swoim kaprysom, kiedy już pokonamy wrogów.

Esvena otarła krew z ust i spuściła wzrok.

- Wybacz mi, matko opiekunko - powiedziała.

Yasraena wiedziała, że przeprosiny są nieszczerze, ale nie spodziewała się niczego innego. Wypuściła mężczyznę z uścisku macek. Upadł na kolana przed misajasnowiedzenia, dławiąc się i krztusząc.

- Wszyscy przeżyjemy lub zginiemy z tym domem - oznajmiła Yasraena. - Jeśli ktoś da mi jakikolwiek powód, żebym podejrzewała zdradę lub opieszałość, zostanie obdarty ze skóry, wskrzeszony i znów obdarty ze skóry. I tak w kółko, dopóki nie nasycę mego gniewu. Nie wątpcie w moje słowa.

Spojrzała na córkę - w oczach Esveny dojrzała nieklamany strach. Mężczyźni zgięli się w ukłonie.

- Kontynuujcie próby zlustrowania gabinetu arcymaga - ciągnęła matka opiekunka - i nie przestawajcie, dopóki wam się nie uda. Gromph Baenre pojawi się tu, a ja chcę wiedzieć kiedy. Będę sprawdzać wasze postępy.

Gdy odwracała się, żeby opuścić komnatę jasnowiedzenia, dom zadygotał pod naporem ataku Xorlarrinów.

Mogąc porozumiewać się telepatycznie z pierwszą i drugą córką dzięki magicznym amuletom, przesłała: *Anival, co się dzieje?*

Spokojny głos pierwszej córki odpowiedział: *Oddziały szturmowe ogrów uzbrojone we wzmocniony magicznie taran usiłowały sforsować naszą bramę. Wszystkie nie żyją, taran zniszczony. Osłony trzymają, a Xorlarrinowie nie są nawet w stanie zdobyć fosy. Wygląda na to, że się przegrupowują. Wkrótce może dołączyć do nich następny dom, matko opiekunko.*

Yasraena wiedziała o tym, ale odpowiedziała tylko: *Bardzo dobrze. Kontynuuj i informuj mnie na bieżąco.*

Yasraena nie wiedziała, jak długo jej dom wytrzyma nieprzerwane ataki czarodziejów Xorlarrin. Fosę, most i adamantyto-we mury spowijały osłony i zaklęcia ochronne - niektóre rzuciła Yasraena, niektóre jej przodkowie, wiele liczdrow - ale osłony można było sforsować. Na razie Xorlarrinowie nie zdołali ich przełamać, ale prędzej czy później, jeśli będą mieć dość czasu, na pewno im się to uda.

Yasraena modliła się w duchu do Lolth, żeby osłony wytrzymały jeszcze trochę, tyle, by liczdrow zdążył odzyskać cielesną postać i stanął znów u jej boku. To wszystko, czego potrzebowała, aby ocalić swój dom. Chyba że...

Może istniał inny sposób. Nie podobał jej się, ale mógł ocalić jej dom.

Skontaktuje się z Triel Baenre. Może przynajmniej uda jej się zyskać na czasie.

Bez słowa zostawiła za sobą podwładnych i ruszyła ku swym prywatnym komnatom. Gdy wychodziła z komnaty jasnowidzenia, usłyszała, jak Esvena łąja czarodziejów.

# PIĄTY

Podróż po skalistym, nierównym terenie okazała się dość uciążliwa. Dziury w ziemi, wąwozy i dymiące jeziora kwasu zmuszały Pharauna i trójkę jego towarzyszy do nakładania drogi. Starając się omijać rozpadliny i jamy, maszerowali między wysokimi, czarnymi iglicami skamieniałych pajęczych odnóży. Wędrowniacy w ich cieniu działali magowi na nerwy. Miał wrażenie, że mogą w każdej chwili ożyć i schwytąć ich w swe objęcia. W szczelinach i pęknięciach kamiennych słupów pełno było pajaków i pajęczyn.

Wieżący z naprzeciwka wiatr utrudniał marsz, gwizdząc w sieciach pajaków śpiewaków. Pharaun pocił się. Czuł się obnażony.

- Mistrzynie - zwrócił się do Quenthel. - Wkrótce nastanie świt. Znajdujemy się pod otwartym niebem.

Pharaun nie miał najmniejszej ochoty znosić oślepiającego blasku wschodzącego słońca, z jakim zetknął się w Świecie Ponad.

Quenthel nie spojrzała na niego. Jeden z węży przy jej biczu - Pharaun był pewny, że to Yngoth - zawisł na chwilę nad jej uchem. Quenthel skinęła głową.

- Nad Otchłaniami Lolth rzeczywiście wstanie słońce - powiedziała. - Ale blade, czerwone i odległe. Nie masz się czego obawiać, mistrzu Mizzrym. Podróżowanie w jego świetle będzie równie łatwe jak podróżowanie nocą.

Jegged prychnął i zapytał:

- Czy węże przy twoim biczu wypełniają luki w twojej wiedzy o krainie Pajęczej Królowej, ciotko?

Danifae zachichotała, a może był to kaszel.

- Czasami, siostrzeńcze - odpowiedziała Quenthel przez ramie. - To demony - spętane przeze mnie — i mają pewną wiedzę na temat Niższych Planów, którą każę im się ze mną dzielić. Może mistrzyni Danifae potrafi wypełnić resztę luk w naszej wiedzy?

Stanąła, odwróciła się i spojrzała na Danifae.

Branka nie odrzuciła kaptura.

- Kiedy będę mieć coś do dodania - powiedziała - sama się odezwę.

Quenthel uśmiechnęła się do draeglotha i ruszyła dalej.

- Może moglibyśmy podróżować za pomocą magii, mistrzyni? - podsunął Pharaun, choć nie wiedział, dokąd dokładnie się udają.

Quenthel potrząsnęła głową.

- Nie, magu. To kraina Pajęczej Królowej, która chce, żebyśmy jej doświadczyli. Będziemy szli pieszo, dopóki nie zmienię zdania.

Pharaun zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Mógł, rzecz jasna, wzbić się w powietrze dzięki pierścieniowi odebranemu Belshazu, ale postanowił nie prowokować Quenthel. Dla niego nowe Pajęcze Otchłanie były przeszkodą do pokonania.

Dla Quenthel stanowiły religijną próbę. Droga na skrótby była - by w jej mniemaniu herezją.

Podczas nocnej wędrówki osiem gwiazd Lolth obserwowało ich przez wyrwę w chmurach, która przesuwiała się wraz z nimi po nocnym niebie. Pharaun czuł wzrok Pajęczej Królowej wbijający mu się w plecy niczym ostrza ośmiu włóczy. W uszach szumiał mu głos Lolth - zawrocie wiatru w sieciach pajaków śpiewaków. Doprowadzało go ono do szału, ale nie dzielił się tym z nikim.

Wysoko nad nimi rzeka dusz płynęła milcząco naprzód. Syjące iskrami wiry na niebie wciąż wypluwały z siebie duchy umarłych.

Pharauna zdumiewała liczba drowich dusz. Wiedział, że wszystkie musiały zginąć po tym, jak Lolth zamilkła. Skąd się brały? Ile światów zaludniały dzieci Lolth? Miał nadzieję, że wiele. W przeciwnym wypadku obawiał się, że po powrocie do Menzoberran-zan zastanie miasto równie pustym jak mózgownica Jeggreda. Fakt, że Gromph przestał odpowiadać na przesłania, tylko wzmacniał jego obawy. Być może arcymag był zbyt zajęty obłożeniem Menzober-ranzan, aby odpowiedzieć. Być może nie żył.

Potrząsnął głową, odsunął od siebie wątpliwości i skupił się na tu i teraz.

Dzięki magicznym butom mag poruszał się zwinnie niż pozostali, ale nawet jemu zdarzało się potknąć. Na każdym kroku czekały ich nowe wyzwania - poszarpane skały o krawędziach ostrych jak sztylety, głazy wielkości budynków, strome urwiska, ukryte jamy i ruchome skalne rumowiska. Większość jam okazywała się przesłoniętymi pajęczyną wylotami tuneli, które wiły się w ciemnościach pod ziemią. Pharaun przypuszczał, że cały plan musi być nimi podziurawiony jak plaster miodu. Z czarnych czeluści dolatywał odór zgnilizny i ciche, ledwie słyszalne owadzie szczekanie. Nie miał nawet ochoty zastanawiać się, co może się czaić pod ich stopami.



Po kilku godzinach wędrówki zatrzymali się na chwilę na skraju jamy o średnicy większej niż rozpiętość ramion ogra, aby zjeść swoje racje grzybnego chleba, sera i wędzonego mięsa rothe. Z głębi mrocznego tunelu dolatywało niepokojące klekotanie i odór stęchlizny.

- Co to za dźwięk? - zapytał Jeggred z pyskiem pełnym mięsa.

- Co to za zapach, chciałeś chyba zapytać - poprawił go Pha-raun. - Śmierdzi prawie jak twój oddech, Jeggredzie. I mówię ci to jako przyjaciel.

Jeggred rzucił mu wściekle spojrzenie, odrywając zębami kolejny kawał mięsa.

- To głos dzieci Lolth - wyszeptała Danifae spod kaptura opończy.

- Jamy lęgowe, jak sądzę- wyjaśniła Quenthel i wbiła zęby w kawał suszonego mięsa.

Wyciągnęła bicz przed siebie i węże z sykiem wsunęły łebki w głąb dziury.

Klekotanie ucichło. W tej samej chwili wiatr ustał, a zawodzenie sieci śpiewaków umilkło. Zapadła cisza.

Skóra Pharauna pokryła się gęsią skórką. Czwórka towarzyszy siedziała nieruchomo, wpatrując się w jamę i czekając, aż wylezie z niej coś straszliwego. Nic z niej jednak nie wypęzło, a po jakimś czasie znów zerwał się wiatr, a wraz z nim rozległo się zawodzenie.

Pharaun spiesznie dokończył posiłek, wstał i zapytał:

- Idziemy dalej?

Quenthel kiwnęła głową, Jeggred wepchnął sobie do pyska kolejny kawał suszonego mięsa i wszyscy ruszyli dalej. Podczas marszu Danifae posłała Pharaunowi spod kaptura wzgardliwy uśmieszek. Niepokój, jaki budził w magu ten plan, wyraźnie ją bawił.

Pharaun zignorował ją i pomyślał, że nigdy nie wyobrażał sobie, jak bardzo będzie mu brakowało Valasa Hune. Najemny

przewodnik z pewnością poprowadziłby ich najłatwiejszą drogą. A może brakowało mu Rylda, z którym mógłby przynajmniej zamienić kilka słów. Quenthel i Danifae szły w milczeniu pod sznurkiem dusz, nie zważając na trudy drogi. A do Jeggreda nie warto się było odzywać, chyba że po to, żeby się z nim podrażnić.

Pajęczyny były wszędzie i z każdą chwilą robiło się ich coraz więcej. Od zwykłej wielkości pułapek czarnych wdów po potworne, grubo utkane srebrzyste zasłony wielkie jak żagle okrętu chaosu. Zasnęte pajęczyny oblepiały buty Pharauna. Samo powietrze, gęste i drapiące w gardle, wydawało się pełne niewidzialnych nici.

Po kilku kolejnych godzinach wyczerpującej wędrówki byli cali pokryci warstwą lepkich sieci. Pharaun musiał nieustannie usuwać delikatne pasma z twarzy, aby móc oddychać. Miał wrażenie, że cały ten plan jest gigantycznym pajakiem, który osnuwa ich kokonem na tyle powoli, że zdadzą sobie sprawę z zagrożenia dopiero wtedy, gdy całkowicie unieruchomieni będą już tylko czekać, aż zatopi w nich kły.

Pharaun potrząsnął głową i odsunął od siebie ten obraz.

Chociaż pomiędzy głazami i kamiennymi słupami rozpięte było mnóstwo ogromnych pajęczyn, do tej pory czarodziej uważał tylko pajęczaki zwykłej wielkości, od tych rozmiarów paznokcia do tych wielkich jak głowa. Pajaki śpiewaki o długich odnóżach i wąskich odwłokach były największymi pajakami, jakie dotychczas widział, choć zdawał sobie sprawę, że gdzieś muszą się ukrywać te większe. Pajaki czaiły się nad, pod i pomiędzy każdym kamieniem i dziurą w powierzchni. Na ziemi aż się od nich roiło. Pharaun przypuszczał, że twórcy największych sieci muszą się gnieździć w podziemnych tunelach, gdzie, miał nadzieję, zostaną - przynajmniej na razie. Małe pajaki były już wystarczająco irytujące.

Chociaż wiedział, że nawet najmniejszy z nich nie jest w stanie przekraść się przez magiczne osłony jego zaklęć, pierścienia

Sorcere oraz magicznego *piwajwi*, cały czas odczuwał mrowienie skóry.

Danifae i Quenthel, w przeciwieństwie do maga, pozwalały pająkom chodzić swobodnie po skórze i włosach i wydawały się znajdować w tym upodobanie. Jeggred, oczywiście, nie zwracał uwagi na pająki, tak jak nie zwracał uwagi prawie na nic, ale nawet półdemon starał się nie rozdeptać żadnego z nich.

Szli właśnie przez kolejne pole skamieniałych pajęczych odnóży, gdy Pharaun dostrzegł jakieś poruszenie na szczycie jednego z najwyższych słupów. Zatrzymał się i przyjrzał mu, ale ruch się nie powtórzył.

Zaciekawiony, a poza tym znudzony, Pharaun aktywował moc pierścienia i oderwał się od ziemi. Wznosząc się szybko w powietrze rzucił okiem na patrzących za nim towarzyszy podróży. Wiedział już, jacy wydają się w oczach Lolth - mali i pozbawieni znaczenia.

Kiedy znalazł się na wysokości szczytu kamiennej wieżycy, zatrzymał się i zawisł w powietrzu, przygotowując w myślach słowa zaklęcia.

Wicher dał, mierzwiąc mu włosy i łopocząc płaszczem. Nad nim przesuwiała się rozmigotana, przezroczysta procesja dusz, lecące najniżej duchy znajdowały się prawie w zasięgu jego ramion. Zmarli nie zwracali na niego uwagi, więc zignorował ich. Na niebie wirowały kłębowiska mocy, sypiące deszczem zielonych i błękitnych iskier. W powietrzu unosiły się kłęby kwaśnego dymu.

Quenthel krzyczała do niego coś z dołu, ale wiatr zagłuszał jej słowa. Mimo to potrafił sobie wyobrazić, co mówi.

Zlekceważył ją i skupił się na tym, co go zaciekawiło.

Wierzch słupa pokrywały nieregularne występy, jak gdyby pajęczce odnoże zostało w tym miejscu odrąbane, zanim skamieniało. Pomiedzy występami wisiały pajęczyny okrywające całą powierzchnię srebrzystym całunem.

Wisząc tak w powietrzu Lolth wraz jej umarłymi, Pharaun poczuł niewytłumaczalną błogość, jak gdyby pławiał się w gorącej kąpieli. Pajęczce Otchłanie rozpościerały się pod nim, wielkie i obce. Niebo rozciągało się nad nim, rozległe i dziwne, ale nic go to nie obchodziło. Przyszło mu do głowy, że może być mu prawie wygodnie, jeśli położy się wśród pajęczyn, otulony ich ciepłem. Podpłynął bliżej, rozpaczliwie pragnąc odpocząć.

Wśród pasm szarpała się jakaś zwierzyna - duża zwierzyna. Nie był w stanie przyjrzeć się schwytanym postaciom, bo były całkowicie owinięte pajęczyną. Ofiara najbliższej maga, być może pod wpływem jego obecności, zatrzepotała się, zaszamotała i kilka nici rozsunęło się, ukazując otwarte oko.

Przesłanie Aliiszy podziła na Kaanyra Vhoka jak rażenie gromem. Jej słowa wciąż rozbrzmiewały mu w głowie.

Lolth wita u siebie umarłych. Bogini żyje.

A potem nic. Kaanyr spodziewał się, że Aliisza wróci do niego, ale nie wróciła ani nie odezwała się od tamtej pory. Uznał jej zachowanie za zaskakujące.

Na chwilę udało mu się sobie wmówić, że alu-demon kłamała, ale wiedział, że sam siebie oszukuje. Nie dosłyszał fałszywego tonu w jej mentalnym głosie, a znał ją na tyle dobrze, że poznałby, iż kłamie. Mogła być w błędzie, ale w głębi duszy wiedział, że jej słowa są prawdziwe. Wkrótce on i jego ludzie będą walczyć nie tylko z menzoberranzańskimi żołnierzami i czarodziejami, ale także z kapłankami Lolth. Mnóstwem kapłanek.

Ostrzegł już Nimora, że Lolth wróciła, ale drow nawet nie odpowiedział na jego przesłanie.

Niewdzięczny dupek, pomyślał Kaanyr.

Szpiedzy Kaanyra donosili, że Nimor uciekł z Bazaru, gdzie arcyomag Menzoberranzan walczył z liczdrowem Dyrrem,

zostawiając tego ostatniego samemu sobie. Raporty nie były zbyt szczegółowe, ale wyglądało na to, że czarodziej Baenre w końcu odniósł zwycięstwo. Miejskie targowisko zostało zrównane z ziemią, a wielu Menzoberranzańczyków zginęło albo obróciło się w kamień.

Przynajmniej liczdrow na coś się przydał, pomyślał Kaanyr.

Kaanyr ocenił swoje położenie. Po pierwsze liczdrow został zabity, a dom Agrach Dyrre był otoczony i oblężony. Po drugie Nimor Imphraezl zbiegł. Po trzecie, i najważniejsze, Pajęcza Królowa żyła, a jej kapłanki znów mogły rzucać zaklęcia.

Ocena sytuacji pozwalała wyciągnąć tylko jeden wniosek, który opadł na niego niczym całun.

Przegrał bitwę o Menzoberranzan.

Ta świadomość przygniotła go swym ciężarem. Musiał przetrwać ją w myślach, zanim zdołał ją zaakceptować.

Siedząc na bogato wyściełanej sofie w magicznym namiocie służącym mu za centrum dowodzenia, uniósł do ust kielich brandy i napił się. Ledwie skosztował trunku, choć zwykle delektował się jego słodyczą. Westchnął, odstawił kielich na stojący w pobliżu stolik i z powrotem zapadł się w poduchy sofy.

Zwycięstwo było tak kusząco bliskie. Tak bliskie!

Jego Potępiony Legion walczył mężnie w tunelach wzdłuż południowo-wschodniej granicy miasta i w Donigarten, pośród nawożonych odchodami plantacji grzybów. Stracił setkę tana-rukków, ale zabił o połowę więcej drowów, a także kilkadziesiąt pajaków bojowych i kilku driderów. Przez pewien czas wydawało się, że jego tanarukkom uda się przedrzeć przez linie drowów, dostać do wielkich posiadłości wznoszących się na Qu'ellarz'orlu i przyspuścić szturm na sam dom Baenre.

A potem otrzymał wiadomość od Aliiszy.

Nie mógł wygrać tej bitwy, wiedział o tym. Mógł już tylko ratować własną skórę, a to wymagało szybkiego działania. Nie miał wątpliwości, że drowy i kapłanki właśnie planują kontratak.

Na szczęście Kaanyr Vhok miał plan. Wykorzysta Horgara i jego duergarów, aby osłonić odwrót Potępionego Legionu. Cuchnące, nieudolne karzelki przez całe oblężenie miasta tylko kryły się za swoimi zaporami i ostrzeliwały Tier Breche pociskami zapalającymi. Byłby zaskoczony, gdyby krasnoludz-kim siłom udało się zdobyć i utrzymać choć jeden tunel.

Przynajmniej teraz się do czegoś przydadzą, pomyślał kam-bion. Zginą, abym ja mógł żyć.

Wziął puchar i wznosił nim szydarczy toast.

Wyrazy wdzięczności, Horgarze, ty mały szkodniku, pomyślał. Oby spotkała cię paskudna śmierć, skoro byłeś tak paskudny za życia.

Wychylił kielich i uśmiechnął się. Dopiero wtedy przypomniała mu się Aliisza.

Czy jej milczenie oznaczało, że go opuściła?

Prychnął pogardliwie i wzruszył ramionami. Nie przejął się tym, że alu-demon go zostawiła - ich układ wynikał z obopólnych korzyści - ale wiedział, że będzie mu brakowało jej wdzięków. Zastanawiała go jednak motywy Aliiszy. Czy mogła się zakochać w tym drowim magu, o którym wspominała? Odrzucił tę możliwość i przyjął bardziej prawdopodobne rozwiązanie: jej fascynacja mistrzem Sorcere przerodziła się w oczarowanie. Często pałała afektem do słabych istot, tak jak ludzka kobieta mogła lubić jakieś zwierzątko.

W końcu do mnie wróci, pomyślał. Zostawiała go już w przeszłości, czasem nawet na kilkadziesiąt lat. Ale zawsze do niego wracała. Przypadkowość leżała w jej naturze, stałość w jego. Pociągał ją, więc wkrótce do niego wróci. Po prostu znalazła sobie nową zabawkę. Vhok nie żałował jej tego.

Uśmiechnął się i życzył mistrzowi Sorcere cierpliwości. Aliisza potrafiła być męcząca.

Oczywiście mag musiał coś w sobie mieć, bo wyglądało na to, że on i jego banda zdołali obudzić Lolth. Kaanyr uważał

ich wyprawę za całkowicie bezcelową, dopóki się nie powiodła.

Westchnął, wstał, przypasał pokrytą runami klingę i zawołał:

- Rorgak! Do mnie.

Za chwilę kotara namiotu rozsunęła się i do środka wszedł jego zwalisty, pokryty czerwoną łuską porucznik. Zbroja płyto-wa Rorgaka była wciąż uwalana krwią. Na cienkim łańcuszku na grubej szyi nosił kolekcję odciętych drowich keiuków. Ka-anyr doliczył się sześciu.

- Panie? — zapytał Rorgak.

Kaanyr gestem polecił mu, żeby się zbliżył, i powiedział w or-czym:

- Lolth powróciła. Wkrótce zaklęcia jej kapłanek wzmocnią obronę miasta.

Rorgak wybałuszyl czarne ślepie. Pomimo ordynarnego wy-glądu był w miarę inteligentny. Rozumiał implikacje tych słów.

- Panie, co w takim razie mamy... - zaczął, ale Kaanyr uciszył go podniesieniem dłoni i cichym syknięciem. - Przenosimy na-sze centrum dowodzenia z powrotem do Twierdzy Piekielnej Bramy - rzekł. Nie potrafił się jeszcze zdobyć na nazwanie tego manewru odwrotem. - Poinformuj oficerów. I dopilnuj, żeby dro-wy myślały, że to taktyczne wycofanie sił przed kontratakiem.

Rorgak kiwnął głową.

- A duergarowie? - Ton pytania sugerował, że domyśla się już odpowiedzi.

Kaanyr potwierdził jego przypuszczenia.

- Zabij tych stu, czy ilu ich tam jest, wmieszanych w nasze siły, ale dopilnuj, żeby wieść o tym nie dotarła do uszu Horgara i jego głównych sił. Niech dalej atakują Tier Breche.

- Horgar i jego karzelki zostaną wyróżnieni w pień, kiedy ka-płanki z Arach-Tinilith wesprą magów broniących Akademii -stwierdził Rorgak.

Kaanyr kiwnął głową, uśmiechnął się i rzekł:

- Ale ostatnia bitwa zajmie drowy na tyle długo, że Legion zdąży się oddalić od Menzoberranzan. Idź. Czas nagli.

Rorgak wyrznął się pięścią w napierśnik zbroi, okręcił na pięcie i wybiegł z namiotu.

Kaanyr przez chwilę żałował, że nie ma obok siebie Aliiszy. Przydałaby mu się jakaś pociecha.

Pharaun dopiero po chwili uświadomił sobie, co szamocze się w sieci.

Jedna z dusz, drowich dusz.

Prawdopodobnie pozostałe wyrrywające się kształty też były pojmanymi drowimi duszami. Musiały opaść zbyt nisko albo twórca pajęczyny zdołał schwytać je w locie. I być może ta sama istota była w stanie schwytać Pharauna z równą łatwością.

Obraz, jaki stanął magowi przed oczyma, nie przypadł mu do gustu.

Otrząsnął się i przyjrzał wierzchowi słupa, szukając pająka albo podobnej do pająka istoty, która uprzedła sieć, ale nie uważał niczego oprócz skazanych na śmierć duchów.

A jednak coś wpływało na jego umysł...

Najbliższa z uwięzionych dusz, być może wyczuwając jego obecność, zdołała oswobodzić większą część twarzy. Był to mężczyzna. Otwierając usta w bezgłośnym jęku, drow wpił w Pharauna przerażone spojrzenie. Szarpiąc się coraz bardziej, wprawił całą sieć na czubku iglicy w drzenie.

Jak gdyby pod wpływem wibracji, pozostałe dusze omotane przedzą też zaczęły się szamotać. Na próżno. Sieci trzymały mocno.

Mag usłyszał z dołu kolejny krzyk, ale zignorował go.



Zafascynowany i przerażony zarazem, Pharaun użył mocy pierścienia Sorcere, aby widzieć emanacje magii i to, co niewidzialne. Tak jak się spodziewał, sieć rozjarzyła się miękkim czerwonym blaskiem. Materialna pajęczyna posiadała magiczne właściwości umożliwiające jej chwytywanie w pułapkę i pętanie niematerialnych dusz. Zastanawiał się właśnie, jaki tajemny mechanizm się za tym kryje, kiedy jego zaostrzony wzrok dostrzegł niewidzialnego dla zwykłych oczu stwora przyczajonego na środku sieci obok jednej z uwięzionych dusz. Jeśli nie liczyć ośmiu czarnych oczu na środku twarzy i kłów wystających spod warg, istota przypominała drowa, który został skrzyżowany z pajakiem i rozciągnięty w izbie tortur do ponad dwukrotności swojego wzrostu. Stwór skulił się, obserwując czarodzieja. Był nagi i miał chwytny palce długości połowy przedramienia Pharauna. Skórę stwora porastały kępki krótkich, szorstkich włosów. Jego ciałem wstrząsały drgawki, jak gdyby targał nim ból. Z ust ciekła mu jakaś ohydna ciecz. Nogi pokryte były kądziółkami przednymi.

Widzę cię, pomyślał Pharaun, przywołując w myślach zaklęcie.

Musiał wpatrywać się w niego trochę za długo. Stwór zdał sobie sprawę, że został zauważony. Otworzył usta i pomknął w stronę czarodzieja. Jednocześnie w głowie Pharauna rozległ się głos, rozsądny, przekonujący głos nasycony magią:

*Tu jest wygodnie, tu jest ciepło. Zbliź się.*

Pharaun czuł, jak te słowa zapadają mu w serce i naginają jego wolę, ale oparł się ich sile i odleciał w tył, inkantując zaklęcie.

Stwór rzucił się do przodu, sycząc. Kiedy dotarł do końca sieci, przewrócił się na plecy i skierował odnóża ku Pharaunowi. Z kądziółków strzeliła przędza, uderzając Pharauna w pierś. Mag prawie nie poczuł uderzenia, ale nici wydawały się sięgać w głąb jego jestestwa.

Prawie stracił oddech. Czuł się tak, jak gdyby dzielił się na dwie części niczym zsiadłe mleko rothe. Nici wrywały mu duszę z ciała. Stwór znów zasyczał i zaczął ciągnąć.

Kolejne krzyki z dołu. Wściekły głos Quenthel.

Choć przyszło mu to z trudem, zdołał dokończyć szeptem zaklęcie. Wypowiedział pojedyncze słowo, a magia wzmocniła jego głos, dodając mu siły i mocy.

Zaklęcie przedarło pasma przędzy przyczepione do jego piersi i wyrznęło w stwora jak młotem. Siła ciosu odrzuciła go w tył pajęczyny, gdzie leżał nieruchomo.

Uwięzione dusze zaszamotały się w częściowo zniszczonej sieci, usiłując się z niej uwolnić. Mężczyzna najbliżej czaro-dzieja zdołał się z niej wyśliznąć. Dusza nawet nie spojrzała na Pharauna - drow po prostu skierował się do góry, gdzie dołączył do pozostałych dusz zmierzających ku Lolth.

- Nie ma za co - rzucił Pharaun swoim zwyczajnym głosem.

Stojąca pod nim Quenthel wciąż wrzeszczała.

Pharaun potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć, i sprawdził czy nie odniósł żadnych trwałych obrażeń. Usatysfakcjonowany oględzinami, wyjął z fałd opończy skórzaną rękawicę i wymówił kolejne zaklęcie.

Przed nim zmaterializowała się ogromna dłoń ożywiona magiczną mocą. Na jego mentalny rozkaz pochwyciła unieruchomione ciało pająkowatego stwora i ścisnęła je mocno, ale tak, aby kądziolki przedne pozostały zakryte.

Pharaun opadł w dół z trofeum w garści. Nawet nie rzucił okiem na pozostałe uwięzione dusze.

W chwili, w której jego buty dotknęły kamieni, zniecierpliwiona Quenthel zapytała:

- Co, na Dziewięć Piekieł, tam wyrabiałeś?

Nawet nie raczyła spojrzeć na stwora oplecionego ogromnymi magicznymi palcami.

- Chciałem coś zbadać - odparł Pharaun.

Zanim Quenthel zdążyła odpowiedzieć, Danifae odrzuciła z głowy kaptur i powiedziała:

- Nie słyszałam, żebyś prosił o pozwolenie na badania. Ani na zabicie jednego ze stworzeń Lolth.

Pharaun zmierzył Danifae wściekłym wzrokiem i byłby do niej podszedł, gdyby Jeggred nie warknął ostrzegawczo.

- Nie mam w zwyczaju prosić cię o pozwolenie, branko. A to stworzenie mnie zaatakowało.

- Więc zmień zwyczaje, mistrzu Mizzrym - odpaliła Danifae, mierząc go zimnym spojrzeniem spod zmrużonych powiek.  
- Jesteś tylko sługą kapłanki Lolth, niczym więcej. Twoje nieposłuszeństwo graniczy z bezczelnością i herezją.

- Ona ma rację - odezwała się Quenthel ku zaskoczeniu Pharauna. - Następnym razem, gdy zboczysz gdzieś z drogi bez mojego rozkazu, zostaniesz ukarany. Lolth czeka na swoją *Yor 'thae*. Nie będziemy marnować czasu na twoje „badania”.

Jak gdyby dla zaakcentowania jej słów zmije wyciągnęły się na prawie dwukrotność swojej normalnej długości i dotknęły językami ciała Pharauna.

Mistrz Sorcere przełknął złość, powściągnął dumę i zabrał się za naprawianie wyrządzonej szkody.

Złożył Quenthel ukłon i powiedział:

- Oczywiście, mistrzyni. Wybacz mi mój tupet. - A do Danifae: - Nie wiedziałem, że teraz przemawiasz w imieniu mistrzyni.

Słyszając to, Quenthel zacisnęła zęby. Najpierw spojrzała gniewnie na Pharauna, a potem na Danifae.

- Nikt nie przemawia w moim imieniu - powiedziała, a Pharaun spuścił wzrok.

- Pragnę tylko wypełniać wolę Pajęczej Królowej, mistrzyni Arach-Tinilith - odparła Danifae.

- Podobnie jak ja - rzekła Quenthel i odwróciła się, żeby przyjrzeć się dalszej drodze.

Kiedy stanęła plecami do nich, Pharaun napotkał wzrok Danifae. Uśmiechnęła się do niego leciutko - była zapewne przekonana, że wykazując, iż mag działał bez pozwolenia wysokiej kapłanki, udało jej się wbić klin między niego a Quenthel. Jej spojrzenie obiecywało Pharaunowi paskudną śmierć, jeśli tylko szczelina wybita klinem przerodzi się w wystarczająco szeroką wyrwę.

Pharaun uśmiechnął się do niej. Był przekonany, że naprawił szkodę poprzez zasugerowanie, iż Danifae zachowała się arogancko, przemawiając w imieniu Quenthel. Jeśli poleje się czyjaś krew, to Danifae spotka paskudna śmierć.

Wzdrygnął się na tę myśl. Zabić kapłankę Lolth? Danifae była bezdomna, to prawda, ale nadal była kapłanką. Przed Milczeniem Lolth coś podobnego nie przyszłoby mu nawet do głowy. Uświadomił sobie, że choć Lolth wróciła, jej Milczenie zmieniło nieodwracalnie coś fundamentalnego w stosunkach drowów i drowek - przynajmniej niektórym mężczyznom kapłanki przestały się wydawać całkowicie nietykalne. Ich słabość podczas Milczenia, choć tymczasowa, osłabiła część społecznych norm, na których opierały się ich rządy. Zastanawiał się, jak to wykorzystać w nadchodzących latach.

Stwór trzymany przez magiczną pięść poruszył się i jęknął. Zaklęcie Pharauna oszołomiło go tylko na pewien czas.

- Pani Danifae, jak to ona - zwrócił się Pharaun do Quenthel - opacznie rozumiała sytuację. Nie zabiłem jednego ze stworzeń Lolth. Oddałem je tylko do twojej dyspozycji, mistrzyni, abyś mogła zrobić z nim, co zechcesz. Może zechcesz je przepuścić?

Quenthel zatknęła bicz za pas i obróciła się. Pharaun dostrzegł w jej oczach aprobatę. Żmije przy jej biczu obwisły bezwładnie. Kapłanka po raz pierwszy przyjrzała się uważniej stworowi, a potem podeszła do niego, ujęła jego najeżoną kłami szczękę w dłoń i ścisnęła.

- Mów - rozkazała. - Czym jesteś?  
- Ostrożnie, mistrzyni - ostrzegł Pharaun. - Posiada zdolność wpływania na umysł. W ten sposób zwabia dusze w swoje sieci, obiecując im odpoczynek.

Quenthel ścisnęła mocniej i stwór zawył z bólu. Danifae prychnęła pogardliwie. Jeggred przyglądał się stworowi tak, jak gdyby zastanawiał się, jak może smakować.

- Jeśli spróbujesz na mnie sugestii - ostrzegła - ścisnę ci łeb tak mocno, że pęknie.

- Niedobrze - załkał stwór wysokim głosem. Mówił archaiczną formą niskiego drowiego. - niedobrze. - Pomylić go z duszą. Ale nie dusza. Żywy.

Quenthel kiwnęła głową i ponowiła pytanie.

- Czym jesteś?

Stwór spróbował potrząsnąć głową, ale silny uścisk Quenthel unieruchomił ją. Spomiędzy jego warg strzyknęła ślina i syki.

- Przeklętym Pajęczycy - wydusił w końcu bełkotliwym głosem.

- Przeklętym Lolth? - zapytała Quenthel, unosząc brwi.  
- Nie słyszysz Pajęczej Królowej?

Flegma i ślina pociekły po brodzie stwora. Jego czoło zmarszczyło się.

- Pajęczycza nienawidzić mnie, ale ja żywić się jej duszami. Zjadać wiele.

Quenthel rozluźniła uścisk i popatrzyła na Danifae, a potem na Pharauna.

- Ten bezużyteczny stwór nie ma nam nic do powiedzenia - stwierdziła. — Zabij go, mistrzu Mizzrym.

Pharaun nie zawahał się. Sprawił, że magiczna garść zaciśnęła się jeszcze mocniej. Stwór wrzasnął, trzasnęły kości, a z jego ust trysnęły ślina i krew.

- Horda was pochłonie - zawył, a potem rozpadł się w rozbryzgu posoki.

- Horda? - zapytał Pharaun, rozpraszając zakłęcie i pozwalając krwawym ochłapom spaść na ziemię.

Żadna z kapłanek nie odpowiedziała mu na pytanie, ani nie wydawała się zainteresowana groźbą stwora, więc powiedział:

- Wygląda na to, że Pajęcza Królowa ma dość specyficzne poczucie humoru. Nagradza swoich wyznawców służących jej przez całe życie pozwalając, by w drodze do niej schwytały ich i pożarły istoty, które uprzedły te sieci.

Quenthel prychnęła, przyglądając mu się z pogardą. Żmije przy jej biczu leniwie wysunęły języki w jego stronę.

- Mistrzu Mizzrym - powiedziała. - Rozumiesz niewiele więcej niż większość mężczyzn. Wierna służba za życia nie jest gwarancją bezpieczeństwa po śmierci. Cały ten plan stanowi próbę dla umarłych wyznawców Lolth. Chyba nawet ty to pojmujesz?

Danifae popatrzyła na Quenthel i zapytała:

- Czy w takim razie nie czyni to tego stwora służką Lolth, mistrzyni Quenthel?

Zapadła cisza. Quenthel sprawiała wrażenie osłupiałej. Zanim wysoka kapłanka zdążyła odpowiedzieć, Danifae spojrzała na Pharauna i powiedziała:

- Lolth zawsze odsiewa słabych, nawet spośród swoich umarłych. Jeśli dusza jest słaba albo głupia, zostaje unicestwiona.

Pharaun wzruszył ramionami.

- To miło z jej strony.

Quenthel określiła się w jego stronę.

- W rzeczy samej, czarodzieju. Czyżbyś martwił się o własną skórę?

Jegfred uśmiechnął się krzywo.

Pharaun prawie wybuchnął śmiechem, tak absurdalne było jej pytanie. Zawsze troszczył się o własną skórę. Zamiast odpowiedzieć Quenthel wprost, rzekł:

- Można by się spodziewać, że Pajęcza Królowa uczyni wyjątek przynajmniej dla swojej *Yor 'thae* i jej eskorty.

- Jest dokładnie na odwrót - powiedziała Danifae i odgarnęła włosy za uszy.

Trzymała dłoń na wprost twarzy i obserwowała małego czerwonego pajęczka o ogromnych szczękoczułkach, który po niej chodził. Ukłękła i pozwoliła mu zejść bezpiecznie na kamienie. Dopiero wtedy Pharaun zauważył na jej dłoni kropelkę krwi w miejscu, w którym pajęczek ją ukąsił. Nawet się nie wzdygnęła.

Danifae wstała i powiedziała:

- Lolth podlega tym samym prawom, którym podlegają jej sługi, magu. - Spojrzała na Quenthel z chytrym uśmiechem. - Tylko silni albo inteligentni przetrwają. Tylko ta, która posiada obie te cechy, może być jej *Yor 'thae*.

Quenthel rzuciła byłej brance lodowate spojrzenie. Danifae przeniosła wzrok z powrotem na Pharauna i ciągnęła dalej:

- Gdyby Lolth wybrała na swą *Yor 'thae* kapłankę niegodną tego zaszczytu, drugą kandydatkę bez wątplenia spotkałoby ją kieś nieszczęście. Jej eskortę też.

Bicz Quenthel znalazł się w jej dłoni, żmije zupełnie się rozbudziły.

- Dobrze zatem, że nie wybierze źle - powiedziała wysoka kapłanka.

Żmije uniosły się i pięć par czerwonych ślepi zmierzyło Danifae nienawistnym wzrokiem. Quenthel przekrzywiła głowę i kiwnęła nią, jak gdyby bicz coś do niej mówił.

- Więc jeszcze nie wybrała? - zapytała Danifae niewinnym tonem.

Oczy Quenthel błysnęły - być może była zła na siebie za niezręczny dobór słów. Podeszła do Danifae i rozdeptała czerwonego pajęczka, którego ta właśnie wypuściła na ziemię.

W oczach Danifae pojawiło się zaskoczenie, branka cofnęła się o krok. Nawet Jeggred sprawiał wrażenie zdumionego.

- Zabicie tego przeklętego stwora to żadna zbrodnia - wyrzuciła z siebie Danifae, wskazując poskręcana postać na ziemi  
- ale zabicie pająka to bluźnierstwo.

Quenthel parsknęła kpiąco, wgniotła obcasem ziemię i powiedziała:

- To nie był pająk. Tylko wydawał się nim być. Dzięki temu przeżył. Do czasu. - Popatrzyła znacząco na Danifae i dodała:

- Zabijanie istot, które udają, że są czymś więcej niż naprawdę są, jest zgodne z wolą Lolth.

Danifae zacisnęła usta, gdy dotarł do niej sens obraźliwej uwagi Quenthel. Bez słowa zarzuciła kaptur na głowę, odwróciła się i odeszła. Jeggred popatrzył spode łba na Quenthel i ruszył za nią.

Quenthel uśmiechnęła się do ich pleców, a Pharaun zadał sobie pytanie, dlaczego pozostawiła Danifae przy życiu - nie poniosłaby za to morderstwo żadnych konsekwencji. Danifae nie należała do żadnego z menzoberranzańskich domów, a Lolth lubowała się w bratobójczych rzeziach pomiędzy swoimi kapłankami.

- Chodź - powiedziała do niego Quenthel. - Zanim dotrzemy w góry, czeka nas jeszcze wiele przeszkód.

I te słowa wszystko mu wyjaśniły

Jeśli kraina Lolth rzeczywiście stanowiła jedną wielką próbę, jak zapewniały obie kapłanki, zapewne czekały ich kolejne wyzwania, sprostanie którym wymagało sojuszników, nawet w przypadku *Yor 'thae* Lolth. Quenthel nie zabiła Danifae z tej prostej przyczyny, że branka mogła jej się jeszcze przydać.

Pospiesznie ruszył za mistrzynią. Kiedy mijał miejsce, w którym przed chwilą stała, zauważył małego czerwonego pajęczaka, który wyglądał bardzo podobnie do tego rozdeptanego przez Quenthel.

Czy Quenthel tylko udała, że go rozgniotła?

Nie mógł być tego pewny, ale w głowie rozbrzmiewały mu jej słowa skierowane do Danifae: *Zabijanie istot, które*



*udają, że są czymś więcej niż naprawdę są, jest zgodne z wolą Lolth.*

Kto tu udaje? zapytał sam siebie.

Odepchnął od siebie to pytanie i ruszył w ślad za Quenthel.

Kiedy Larikal i Geremis udali się na poszukiwania filakte-rium liczdrowa, Yasraena postanowiła, że spróbuje wywalczyć dla swojego domu pokój, a jeśli to się nie uda, przynajmniej zyska na czasie.

Siedziała na kamiennym tronie w swojej sali audiencyjnej -pomieszczeniu, które Triel Baenre mogła z łatwością zlokalizować zaklęciem - i miała nadzieję, że matka opiekunka pierwszego domu odpowie.

Zebrała myśli i trzymając w dłoni swój święty symbol wymówiła słowa przesłania. Zaklęcie to pozwalało jej wypowiedzieć i wysłać Triel Baenre wiadomość składającą się z nie więcej niż dwudziestu pięciu słów. Osłony i zabezpieczenia nie stanowiły dla przesłania przeszkody, ponieważ czar przekazywał wyłącznie mowę. Nie był w stanie przekazać zaklęć ani słów mocy.

Kiedy skończyła rzucić czar, wymówiła imię Triel i wyrecytowała wiadomość.

*Matko opiekunko Baenre, matka opiekunka Agrach Dyrpragnie omówić sytuację. Siedzę w mojej sali audiencyjnej. Zabezpieczenia przed wróżeniem zawieszono. Zawieś swoje. Wzajemne jasnosłyszenie.*

Potem Yasraena wymówiła końcówkę zaklęcia likwidującego zabezpieczenia przed wróżeniem chroniące salę audiencyjną i telepatycznie skontaktowała się z Anival poprzez noszony na piersi magiczny amulet.

*Matko opiekunko? zapytała Anival.*

*Wyślij jednego z czarodziejów do sali tronowej, ma się znać na wróżeniu. Natychmiast.*

Tak, matko opiekunko, odparła Anival i połączenie zostało zerwane.

Czekając na przybycie domowego czarodzieja, Yasraena wyrecytowała słowa prostego czaru pozwalającego widzieć efekty wróżenia. Kiedy czarodziej Triel umieści czujnik jasnosły-szenia w jej sali tronowej, będzie o tym wiedzieć.

Zanim doliczyła do pięćdziesięciu, do komnaty wszedł sklepionym przejściem jeden z domowych magów, Ooraen, świeżo upieczony absolwent Sorcere. Skłonił się i szybkim krokiem ruszył w stronę tronu.

- Czym mogę ci służyć, matko opiekunko?

- Zakładam, że wiesz, jak rzucić zaklęcie jasnosłyszenia?  
-zapytała.

Czarodziej kiwnął głową.

- Na razie stań obok tronu i milcz. Kiedy rozkażę, rzucisz zaklęcie na wskazane przeze mnie miejsce i wyjdiesz.

Mężczyzna skłonił się i podszedł do tronu.

Yasraena bębniła palcami po trzonku zakończonych mackami buławy i czekała. Minęła już prawie godzina i zaczynała się coraz bardziej niecierpliwić.

W sali tronowej zmaterializował się niewielki magiczny czujnik, czerwona kula wielkości pięści, którą widziała tylko dzięki zaklęciu modyfikującemu wzrok.

- Widzę go, matko opiekunko Baenre - powiedziała do czujnika.

Ooraen wzdrygnął się na dźwięk tytułu Triel. Yasraena odwróciła się do niego i powiedziała:

- Rzuć swój czar jasnosłyszenia na salę audiencyjną domu Baenre.

Yasraena wiedziała, że Ooraen nigdy nie był wewnątrz domu Baenre, ale nie miało to znaczenia. Wystarczył dokładny opis danego miejsca.

Po chwili wahania Ooraen zdjął z płaszcza maleńki metalowy róg, przytknął go do ucha i wyrecytował słowa zaklęcia. Kiedy skończył, Yasraena usłyszała przez czujnik głos Triel:

- Witam, Yasraeno.

To, że Triel zwróciła się do niej po imieniu, było umyślnym uchybieniem, ale Yasraena przełknęła złość. Machnięciem ręki wyprosiła Ooraena, który umknął z komnaty.

- Witam, matko opiekunko Baenre - odparła.

- Jak się miewa dom Agrach Dyrre? - zapytała Triel i Yasraena dosłyszała w jej głosie sarkastyczny uśmiezek.

- Dom Agrach Dyrre miewa się dobrze - odparła wyzywająco.

Czujnik przekazał jej śmiech Triel.

Yasraena zignorowała to i powiedziała:

- Matko opiekunko, zależało mi na tej rozmowie, abyśmy mogły omówić ugodę.

- Doprawdy? - zapytała Triel.

- Doprawdy - odparła Yasraena i nie marnowała więcej czasu na uprzejmości. - Sojusz domu Agrach Dyrre z siłami oblegającymi Menzoberranzan został zawarty przez liczdrowa w tajemnicy przede mną. Kiedy się o nim dowiedziałam, było już za późno, żeby mu zapobiec. Przez cały czas starałam się po cichu pokrzyżować liczowi szyki. Teraz, gdy jego ciało zostało unicestwione...

- Teraz, gdy okazało się, że twoja ambicja przerosła umiejętności - przerwała jej Triel - próbujesz wynegocjować pokój. Czyż nie tak, Yasraeno?

Yasraena nie była w stanie ukryć złości.

- Mylisz się co do mnie, matko opiekunko Baenre. Ja...

- Nie - przerwała jej Triel. - To ty mylisz się co do mnie. Próbujesz ocalić swój dom, przypisując własne niepowodzenia liczowi. Nawet gdyby twoje słowa były prawdziwe, świadczą one wyłącznie o twojej nieudolności.

Yasraena ścisnęła buławę tak mocno, że zaboląły ją palce. Gotowała się z wściekłości, którą prawie wyładowała na Triel. Prawie.

Uspokoiła się i odparła:

- Może masz trochę racji — powiedziała, podkreślając słowo „trochę”. — Właśnie dlatego mam dla ciebie pewną propozycję.

Cisza. A potem:

- Słucham.

- Dom Agrach Dyrri zostanie wasalem domu Baenre na pięćset lat, a ustalenie to zatwierdzi Rada. Mój dom zostanie usunięty z Rady - tymczasowo, dodała Yasraena w myślach - i na pół tysiąclecia znajdzie się pod rządami i ochroną domu Baenre. Ja i dom będziemy do twojej dyspozycji, matko opiekunko.

Yasraena wiedziała, że to śmiała propozycja. Już od dawna żaden z domów Menzoberranzan nie został oficjalnym wasalem innego. Ale takie sytuacje się zdarzały, a ona miała ograniczone możliwości.

Nastąpiła długa cisza, na czas której Yasraena wstrzymała oddech. Triel bez wątpienia rozważała wszystkie za i przeciw. W końcu odezwała się.

- Twoja oferta ma pewne zalety, Yasraeno.

Yasraena odetchnęła.

- Aby udowodnić mi swoją dobrą wolę, zniszczysz filakterium liczdrowa.

Yasraena spodziewała się tego.

- Oczywiście, matko opiekunko. Właśnie staram się je od szukać, ale utrudnia mi to obleżenie. A także próby zlokalizowania go przez arcymaga. Wstrzymaj obleżenie i pohamuj za pędy brata. Kiedy odnajdę filakterium, skontaktuję się z tobą i dostarczę ci dowodów na jego zniszczenie.

Triel roześmiała się.

- Nie bądź głupia, Yasraeno - powiedziała. - Udowodnisz, że twój dom jest godny zostać wasalem domu Baenre, jeśli uda

ci się odnaleźć i zniszczyć filakterium pomimo oblężenia. A jeśli arcyomag uzna za stosowne przełamać wasze osłony, pogodzisz się z tym. Albo nie. Jeśli nie, twój dom czeka zniszczenie.

Yasraena ugryzła się w język, choć na usta cisnęła jej się gniewna odpowiedź. Nie miała wyboru.

- Twoje warunki wydają się rozsądne - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Ciesz się - odparła Triel. - Nie kontaktuj się już ze mną, Yasraeno, chyba że po to, by dostarczyć mi dowodów na unicestwienie Hczdrowa.

Połączenie urwało się. Uderzenie serca później zdematerializował się czujnik w sali audiencyjnej Yasraeny.

Yasraena siedziała na swoim tronie i rozmyślała. W głowie miała mętlik. Wykonała swój ruch, ale nie była pewna, jak teraz postąpić. Nie wiedziała czy dotrzyma warunków umowy, jeśli rzeczywiście uda jej się znaleźć filakterium, czy też stanie na jego straży, zanim liczdrow nie odzyska fizycznej postaci. Jakaś jej część bardzo pragnęła śmierci nieumarłego czarodzieja, który wtykał nos w nie swoje sprawy, ale pragmatyzm podpowiadał jej, że unicestwiając Hczdrowa osłabi swój dom, jeśli nie swoją pozycję w nim. Ale zdanie się na litość domu Baenre...

Yasraena potrząsnęła głową. Jeśli jej dom zostanie zdobyty albo Gromph Baenre odnajdzie filakterium przed nią, nawet tej decyzji nie będzie mogła podjąć sama. Wstała i ruszyła na poszukiwanie Larikal.

Kilka następnych lig Pharaun i jego towarzysze pokonali w milczeniu, wędrując między kamiennymi słupami wyrastającymi ze splekanej ziemi. Cały plan, a nawet powietrze, wydawał się podminowany i napięty, jak gdyby miał zaraz eksplodować.

W miarę upływu czasu wiatr wzmagał się, a jego podmuchy stały się tak silne, że Pharaun musiał pochylać się do przodu, żeby utrzymać się na nogach. Wicher wylł pomiędzy kamiennymi wieżycami, świszczwał wśród sieci pajaków śpiewaków i wzbijał w powietrze kurzawę pajaków, pyłu, pajęczyn i luźnych kamyków. Jeggred osłaniał Danifae przed tym żywym gradem własnym zwalistym ciałem. Pharaun opatulił się magicznym *piwafwi*. Quenthel szła przed siebie z uśmiechem i wyciągniętymi ramionami, wylapując wpadające na nią pajaki. Po pewnym czasie w jej włosach i opończy dosłownie roilo się od nich.

Jest w domu, uświadomił sobie Pharaun i naciągnął głębiej kaptur magicznego płaszcza, aby osłonić twarz. *Yor 'thae* wracała do domu.

Z każdą godziną podmuchy wiatru stawały się coraz częstsze i coraz silniejsze. Zasypywał ich coraz silniejszy grad kamyków, pajęczyn i pajaków, istna zadymka pocisków z procy. Zawodzenie sieci coraz bardziej przypominało zbolale wycie torturowanego zwierzęcia. Pharaun nie znał się na pogodzie panującej na powierzchni, ale nawet on wyczuwał w powietrzu burzę.

- Może powinniśmy znaleźć jakieś schronienie - zaproponował, przekrzykując wycie wichury.

- Wiara jest naszym schronieniem, magu - odparła Quenthel. Wiatr rozwiewał jej włosy wokół głowy. Mały czarny pajęczek przebiegł jej po powiece, nosie i ustach. Tylko się uśmiechnęła.

Danifae odrzuciła kaptur opończy i przekrzywiła głowę, jak gdyby coś usłyszała. W jej włosach i na twarzy też roilo się od czerwonych pajęczków.

- Nie słyszysz tego w zawodzeniu wiatru, magu? - krzyknęła Danifae. - Pajęcza Królowa każe nam iść naprzód. Nie za trzymamy się.

Mrużąc oczy, Pharaun przeniósł wzrok z jednej kapłanki na drugą, ale nic nie powiedział. Nie słyszał w wyciu wichru nic

oprócz ohydneho skrzypienia pajęczyn. A co do wiary zapewniającej schronienie? Miał na ten temat inne zdanie. Widział już wyznawców Lolth uwięzionych w sieci na szczycie kamiennego słupa i czekających na pożarcie. To było schronienie, jakie zapewniała wiara w Pajęczą Królową.

Mimo to ugryzł się w język i brnął naprzód, zgięty wpół dla ochrony przed wiatrem i gradem pajaków. Czas mijał, znużenie otepiało jego umysł i ciało.

Godziny płynęły, burza i wicher wciąż się wzmagaly.

Kiedy niebo po jego lewej ręce rozjaśniło się na tyle, by krajobraz stał się lepiej widoczny, postanowił nazwać ten kierunek „wschodem”. Choć Quenthel zapewniła Jeggreda, że słońce nie wyrządzi im krzywdy, mag odkrył, że mruży oczy w obawie przed jego blaskiem.

Na zachodzie, pięć, może sześć dni pieszej wędrówki przed sobą, widział góry. Wielkie trójkątne szczyty wznosiły się ku niebu, tworząc ścianę z ciemnego kamienia o zboczach tak ostrych, stromych i poszarpanych jak kły. Wierzchołki gór pokryte były warstwą czerwonego lodu. Nad nimi wisały chmury burzowe, rozszerzający się wał czerni gęstej jak krew demona - nawałnica przekraczająca wszelkie dotychczasowe wyobrażenia Pharauna.

Nawałnica sunęła ku nim. Zwiastowały ją porywisty wiatr i pisk pajęczyn.

Sznur dusz, nie zważając na podmuchy wiatru i nadciągającą burzę, zmierzał ku podnóża jednej z gór. Tam zbierały się w ciemnym punkcie, może dolinie albo przełęczy, między dwoma najwyższymi szczytami.

- Pajęczyna Lolth i jej miasto znajdują się po drugiej stronie tych gór - oznajmiła Quenthel, przekrzykując wichurę i pisk sieci.

Danifae odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała ku odległemu horyzontowi. Nieobecny wyraz oczu upodabniał ją do szalonego

proroka, którego Pharaun widział kiedyś na bazarze Menzober-ranzan.

- Wszystkie dusze gromadzą się w tym wąwozie u podnóża gór - powiedział Pharaun, nie mając pewności czy wszyscy to zauważyli.

- To nie wąwóz - odparła Quenthel. Wycie wiatru prawie zagłuszyło jej głos.

Nic więcej nie powiedziała, a Pharaunowi nie spodobał się znękany wyraz jej oczu.

- Słońce wschodzi - oświadczył Jeggred, osłaniając ślepią jedną z wielkich bojowych łap.

Mag odwrócił się i zobaczył skraj małej czerwonej kuli wysuwającej się nieśmiało zza wschodniego horyzontu. Rzuciła niewiele więcej światła niż srebrzysty nocny satelita Świata Ponad podczas pełni. Światło słońca Lolth wyznaczało wyraźną granicę między światłem a ciemnością, która sunęła ku nim, w miarę jak kula wznosiła się coraz wyżej. Tak jak powiedziała Quenthel, jej blask nie był specjalnie uciążliwy.

Pharaun odjął dłoń od oczu i patrzył na pierwszy w swoim życiu wschód słońca.

Ku swemu zaskoczeniu i zaniepokojeniu odkrył, że tam, gdzie padło blade światło, pojawia się ruch. Najpierw pomyślał, że w słońcu ziemia wydaje się drgać, ale zaraz uświadomił sobie, co tak naprawdę się dzieje.

Plan rodził pająki. Miliony pajaków.

Człapiąc, biegnąc, gramoląc się, pająki wychodziły z mroku swych rozpadlin i jam na światło, wezwane przez brzask. Wszystkie miały osiem odnóży, ośmioro oczu i kły, ale tu podobieństwa się kończyły. Niektóre były wielkości szczurów, inne rothe, a kilka tych, które wyczołgały się z największych szczelin, było wielkich jak olbrzymy. Niektóre pędziły susami, niektóre pojawiały się i znikwały, przenosząc się z planu materialnego na eteryczny, inne włokły swe odęte cielska na zbyt



wielkich nogogłaszczkach albo przypominających miecze odnóżach, a jeszcze inne leciały przez powietrze niesione wiatrem.

W miarę jak światło słońca zalewało ziemię, oświetlone jamy, tunele i dziury wypluwały z siebie zamieszkujące je pajęczaki. Powolna, ale widoczna fala przesuwała się po ziemi, w miarę jak słońce wspinało się coraz wyżej po niebie. Na ziemi roilo się od pajaków.

Światło sunęło ku nim. Obserwowali je w nabożnym milczeniu.

Pharaun żył wśród pajaków przez całe swoje życie, ale jeszcze nigdy nie widział niczego, co przypominałoby tę skłębioną masę pajęczaków, która zaczynała pokrywać całą powierzchnię planu. Pojawiały się wszędzie, gdzie dotarło światło - kołujące się kłębowisko odnóży, oczu i włochatych ciał.

Początkowo nie działo się nic więcej. Pająki, które wychyły ze swoich jam, wydawały się zadowolone, mogąc siedzieć w słońcu, podczas gdy linia światła przesuwała się coraz dalej. Ale wkrótce pierwszy, potem następny, później sto, a później milion pajaków zaatakowało pozostałe i pożarło poległe. Linia walki sunęła w odległości stu kroków za linią światła, a na jej wysokości powierzchnia planu wybuchała splątana, chaotyczną masą kłów, nogogłaszczek i szczypców, które gryzły, cięły i rozrywały. Syki, piski, szczekanie i chrupot rozrywanych ciał wypełniły powietrze falą dźwięku, która postępowwała tuż za słonecznym blaskiem. Na kamieniach leżały oderwane odnóża, wielkie cielska miały się i krwawiły, posoka splamiła ziemię.

Była to bezsensowna rzeź, szaleństwo, które stało się ciałem, namacalny chaos.

Lolth musiała się uśmiechać.

Pharaun rozumiał aż nadto dobrze, że ktokolwiek znajdzie się w środku tej krwawej jatki, nie ma wielkich szans na przeżycie. Rzucił okiem pod nogi i zobaczył wszędzie wokół siebie ziejące jamy i dziury przypominające otwarte usta. Nawet

poprzez zawrotenie wiatru słyszał dochodzące z ich głębi skrobanie pazurków, ochoczy szcęk kłów, tupot nóg na kamieniach. Okiem wyobraźni zobaczył kolejny milion pajaków czających się w mroku tych jam, czekających na dotyk bladego słońca, który wyzwoli je z podziemnego więzienia. Pha-raun nie miał pojęcia, jak tego rodzaju ekosystem może funkcjonować, i nie obchodziło go to. Choć urodził się w mieście, gdzie rzeź i morderstwa były na porządku dziennym, nawet jemu taki poziom przemocy wydał się odpychający.

A wkrótce mieli się znaleźć w samym środku tego chaosu. Słońce wschodziło. Linia światła sunęła w ich stronę.

- Chwalmy boginię - powiedziała Quenthel z ekstatycznym wyrazem twarzy.

Wicher dał, oblepiając jej postać opończą. Sieci zawodziły żałośnie w odpowiedzi. Pharaun pomyślał, że kapłanka Baenre postradała zmysły.

Danifae zrzuciła kaptur z głowy, aby przywitać słońce, trochę tak jak pajaki wychodzące z kryjówek. Pharaun doliczył się w jej włosach nie mniej niż siedem małych czerwonych pajęczków.

- Będziemy tak tu stać i czekać? - zapytał.

Żadna z kapłanek nie odpowiedziała, więc uznał, że na lepszą odpowiedź nie ma co liczyć.

- Boisz się? - zapytał Jeggred z drwiącym uśmiechem.

Pharaun zignorował draeglothę i mentalnie aktywował moc pierścienia pozwalającego mu latać. Wydał w myślach rozkaz i ukradkiem wzniósł się w powietrze na wysokość połowy dłoni. Jeśli kapłanki miały plan, bardzo dobrze. Jeśli nie, nie widział powodu, żeby pozostać przykutym do ziemi w obliczu tego szaleństwa.

Cała czwórka obserwowała, jak światło i terror suną w ich stronę. W miarę jak się zbliżały, szcęk i piski dobiegające z otaczających ich jaskiń i jam stawały się coraz głośniejsze,

zarłoczniesze, bardziej skwapliwe. Pająki wewnątrz nich wyczuwały nadciągającą jasność.

Z piersi Jeggreda wydobył się niski pomruk. Draegloth stanął przed Danifae i przyjął pozycję bojową. Kapłanki nawet nie patrzyły na otaczającą je ziemię. Wzrok miały wbity w zbliżającą się jatkę.

Pharaun postanowił spróbować jeszcze raz.

- Mistrzynie - zwrócił się do Quenthel - czy nie byłoby rozsądnie gdzieś się schronić?

Quenthel rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Nie, magu. Musimy stanąć w samym środku i dać światła.

Zdjęła z szyi święty symbol Lolth - dysk z gagatu inkrustowany ametystami układającymi się w postać pająka. Żmije przy jej biczu stały na sztorc i obserwowały nadciągającą falę pajaków. Quenthel zaintonowała modlitwę w języku, którego nawet czarodziej nie rozumiał.

Pharaun przełknął ciętą ripostę, która cisnęła mu się na usta, zadowolony, że może wzbić się w powietrze, jeśli i kiedy zajdzie taka potrzeba.

Danifae położyła dłonie na porośniętym futrem grzbiecie Jeggreda.

- To Horda - powiedziała, przywołując słowa żywiącej się duszami istoty wziętej w niewolę przez Pharauna. W jej głosie słychać było nabożny zachwyt.

Pharaun miał w nosie, jak się to nazywa. Wiedział tylko, że słoneczny blask wkrótce do nich dotrze, oświetli otaczające ich jamy i...

Wyobraził sobie swoje ciało pogrzebane pod górą wzdętych odwłoków, segmentowanych odnóży, szczękoczułek i bezlitosnych oczu.

Quenthel i Danifae sprawiały wrażenie ogarniętych zachwytem, jak gdyby na chwilę oszalały. Obie trzymały w dłoniach

swoje święte symbole, na obu twarzach malowała się dzika ekstaza.

Pharaun wiedział, że zwykle pająki słuchają rozkazów kapłanek, ale nie wiedział, czy posłuchają ich pająki zrodzone w Otchłaniach. Poza tym moc kapłanek miała swoje ograniczenia. Nie mogły chyba rozkazywać milionom pajaków?

Magowi cała ta sytuacja coraz mniej się podobała. Sięgnął w głąb *piwajwi*, wyjął bryłkę namoczonego w siarce nietope-rzego guana i złapał ją między kciuk a palec wskazujący - na wszelki wypadek. W normalnej sytuacji nie brałby pod uwagę stosowania przemocy wobec dzieci Lolth, przynajmniej nie w obecności jej kapłanek, ale jeśli miał zabijać pająki albo zginać pod stertą ich włochatych ciał, wybór był prosty.

Przygotowany na najgorsze, czekał.

Słoneczny blask sunął po kamieniach, wydając na świat kolejne pająki, bliżej, coraz bliżej...

Gdy ich dosięgnął, wszędzie dookoła zapanowało poruszenie. Tysiące pajaków wypadło ze swoich jam niczym para z gorącego kubka, sycząc i tupiąc. Z wielkiego tunelu z prawej strony Pharauna wyłoniły się kłęby włochatych pajęczych nóg - pięć, dziesięć, dwadzieścia. Serce łomotało mu pod żebrami. Stwory nie miały ciał jako takich, ani głów. Składały się ze zbitej, obrzydliwej, wijącej się masy odnóży, z których każde było dłuższe od czarodzieja, a osiem z nich kończyło się spiczastymi chity-nowymi pazurami długości jego przedramienia.

- Chwidenche - powiedział Pharaun. - Czterdzieści albo więcej.

Chwidenche - słyszał, jak nazywano je „monstrami pajęczych odnóży” - były kiedyś drowami, a może duszami drowów, ale zawiodły Lolth i za karę zostały zmienione przez Pajęczą Królową w te zdeformowane poczwary. Pajęcze Otchłanie przestały jawić się Pharaunowi rajem dla wyznawców Pajęczej Królowej. Bardziej przypominały więzienie dla potępionych.

Gwałtowne, falujące ruchy chwidench przyprawiły Pharau-na o mdłości. Kłębowiska długich, segmentowanych odnóży, przypominające gniazda żmij, wily się na powitanie czerwonego światła brzasku.

Choć nie zauważył u nich oczu, chwidenche natychmiast dostrzegły towarzyszy. Czterdzieści albo więcej gąb ukrytych pod płataniną odnóży wydało stłumione syki.

- Widzę je, mistrzu Mizzrym - powiedziała Quenthel, obracając się, ale w jej głosie nie było już tej pewności co chwilę wcześniej.

Tysiące pajaków wylewających się z otworów w ziemi dookoła nich nie zbliżało się do chwidench, zostawiając towarzyszy w spokoju - małą wysepkę poczitalności na morzu chaosu.

Potępieńcy Lolth budzili pewien respekt, a może strach.

Z zatrzważającą prędkością i koordynacją stado chwidench otoczyło ich, zatrzymując się w odległości dziesięciu kroków.

Czwórka drowów zbliżyła się do siebie o kilka kroków, odruchowo zwierając szyk. Pharaun przywołał w myślach słowa zaklęcia wzywającego kulę ognistą, ale ciągle czekał. Wymienił spojrzenia z Quenthel, ale nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy. Pierś Jeggreda wznosiła się i opadała ciężko, a jego pazury wysuwały się i chowały. Draegloth zasłonił sobą Danifae najlepiej jak potrafił, ale jego wysiłki nie na wiele się zdały. Byli otoczeni. Odpowiedzią na jego pomruki były syki i stukanie pazurów.

Poza kręgiem potępieńców Lolth pająki, które wydostały się na powierzchnię, stały przez chwilę nieruchomo niczym gladiatorzy zbierający siły. A potem, ogarnięte żądzą mordy, rzuciły się na siebie. Tysiące tysięcy pajaków biorących udział w orgii rozrywania na sztuki i pożerania. W porannym powietrzu rozbrzmiewały piski, wrzaski i syki. Ziemia drżała od takiej ilości przemocy.

Wewnątrz pierścienia napięcie rosło. Odnóza chwidench falowały w ohydny sposób, jak gdyby stwory były podniecone

albo porozumiewały się w ten sposób. Choć mag nie widział oczu, było dla niego jasne, że chwidencche przyglądają się im. Czuł na sobie ciężar ich spojrzeń, brzemie ich niechęci, głębie ich nienawiści.

- Hm... - odchrząknął.

Na dźwięk jego głosu chwidencche zasyczały jednocześnie. Mniejsze odnóża wyrastające z tego, co byłoby twarzami, gdyby je miały, wiły się, kłębiły i rozsuwały, ukazując najeżone kłami otwory gębowe większe niż głowa Pharauna. Kły długości palców ociekały gęstym, żółtym jadem.

- Nie zranimy żadnego z dzieci Lolth - odezwała się Quenthel do nich wszystkich.

Pharaun widział, że Quenthel poci się tak samo jak on, choć głos miała spokojny.

- Chyba raczej pasierbów - zauważył, przebiegając w myślach przygotowane zaklęcia.

- Nie są ani jednym, ani drugim - sprostowała Danifae, wznosząc przed sobą swój święty symbol - czerwonego pająka zatopionego w bursztynie. — To jej potępieńcy.

Na widok obnażonego symbolu Lolth chwidencche zaskrzeczały tak wysoko, że magowi zjeżyły się włoski na karku. Wszystkimi jednocześnie targnął spazm wściekłości. Monstra przebierały poruszającymi się odnóżami, których szpony ryły szczeliny w skale. Pharaun mimo woli wyobraził sobie, co się stanie, gdy te pazury zetkną się z ciałem.

-Nie wyglądają na specjalnie religijne, mistrzyni Danifae - stwierdził.

Danifae nie opuściła swojego symbolu.

Wicher dał, wprawiając w drżenie zawodzące sieci pajaków śpiewaków, a ich żałobny dźwięk przebił się nad nawet przez kakofonię Hordy.

Cały ten plan oszalał, uznał Pharaun. Kapłanki oszalały. Ja jestem szalony.

Chwidenche odpowiedziały na lament pajęczyn piskiem. Pharaunowi nie przypadł do gustu widok ich otwartych, najeżonych kłami gąb.

- Mistrzynie - zwrócił się do Quenthel - może mogłabyś za kończyć dalsze rozmowy z tymi stworami. Marni z nich roz mówcy. Pani Danifae?

Quenthel rzuciła mu mordercze spojrzenie. Danifae uśmiechnęła się drwiąco.

Quenthel uniosła swój symbol, naśladując gest Danifae, co wywołało podobny odzew.

Ściekający z kłów jad tworzył na ziemi kałuże. Każdy ich ruch był kwitowany sykiem.

- Zostawcie nas, potępieńcy Lolth! - zawołała Ouenthel. - Jesteśmy sługami Pajęczej Królowej. Nie zatrzymacie nas.

- Wracajcie do swoich nor! - rozkazała Danifae, unosząc jeszcze wyżej swój symbol.

Z obu kapłanek spłynęła namacalna fala boskiej mocy.

Pharaun oczekiwał, że chwidenche odwrócą się i uciekną do swoich tuneli, ale monstra nie poruszyły się, a przynajmniej nie odsunęły od drowów. Rozkazowi kapłanek odpowiedziały kolejne syki, odnoża wiły się i kłębiły. Chwidenche postąpiły jednocześnie o krok do przodu, krąg zacieśnił się.

Na twarzy Danifae błąkał się niewytłumaczalny uśmiech, a niepewny wyraz twarzy Quenthel powiedział Pharaunowi wszystko, co chciał wiedzieć.

# SZÓSTY

Kiedy Halisstra wkroczyła w portal, miała wrażenie, że rozciąga się na ogromnej przestrzeni. W ułamku uderzenia serca portal przeniósł ją ze stosunkowo spokojnej szarej nicości Planu Astralnego na...

Znalazła się w powietrzu, spadała.

Zanim zdążyła aktywować lewitacyjną moc broszy, opadła pięć stóp w dół i uderzyła z jękiem w ziemię. Zdołała utrzymać się na nogach i odkryła, że stoi pod bladym słońcem na spękanej ziemi w samym środku koszmaru.

Pająki otaczały ją, kłębiły się wokół niej. Od pajęczaków wielkości dłoni przebiegających jej pod nogami po potworne monstra dwa razy większe od niej. Stwory rozrywały się na strzępy wszędzie wokół niej. Uszy Halisstry wypełniły syki, szczę-



kanie i piski. Czarna, brązowa i czerwona posoka plamiły ziemię i bryzgały jej w twarz.

Halisstra pływała w oceanie oszalałych dzieci Lolth. Pajęcza Królowa musiała sprowadzić ją w sam środek tego chaosu w ramach pokuty za apostazję, jakiej się dopuściła.

Stanęła pewniej na nogach, dobyła Księżycowe Ostrze i jednym spojrzaniem omiotła okolicę. Stała wśród jałowego, pokrytego dziurami skalnego krajobrazu w cieniu dziwnej, smukłej skały, wieżycy z czarnego kamienia, która wyglądała, jak gdyby miała się zaraz przewrócić pod własnym ciężarem. Zachmurzone niebo było usiane wirami odrodzonej mocy Lolth. Halisstra wypadła z jednego z nich i dziękowała bogini, że nie znajdował się on wyżej. Niebo przecinał sznur dusz płynących w kierunku odległego górskiego pasma, przyciąganych magnosem mocy Lolth.

W uszach dzwonił jej niesamowity lament, zawodzenie poruszanych wiatrem sieci pajaków śpiewaków, które wydawały się przedrzeźniać w obsceniczny sposób dźwięk wydawany przez miecz Seyll. Usłyszała w nim echo słowa, które słyszała na Planie Astralnym, słowa, od którego jeżyły jej się włoski na karku:

*Yor 'thae.*

Nie miało czasu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać. Pajęki zauważyły ją. Morze ogarniętych szalem kłów, szczypców, odnóży i włochatych ciał rozstało się wokół niej. Pajęki biegły po kamieniach, po sobie, po niej. Cięła i rąbała mieczem, ale było ich zbyt wiele. Kąsały i szarpały co popadnie, zabijając i pożerając wszystko, co stało im na drodze. Ciała pajaków wpadały na nią, kły usiłowały przegryźć jej kolczugę, szpony obracały nią i obalały ją na kolana.

Nie miała zamiaru zginąć na kolanach.

- Bogini! - wrzasnęła i zawinęła żarzącym się Księżycowym Ostrzem w szerokim łuku.

Jak gdyby w odpowiedzi, w powietrzu pojawiły się Feliane i Uluyara. Wypadły z portalu, który ukazał się dwadzieścia kroków w prawo i pięć stóp nad ziemią, a potem zaraz zniknął. Spadły na ziemię i widziała je jeszcze tylko przez chwilę - na twarzach obu malowało się zaskoczenie i przerażenie - zanim i one utonęły pod masą miotających się, skaczących pajaków.

Kłęcząc, Halisstra machała na oślepk klingą, przy każdym cioście trafiając jakiegoś pajaka. Bryzgająca posoka zalewała jej twarz i ręce. W uszach słyszała syki, klekotanie i wizgi bólu.

Z wysiłkiem stanęła na nogi, nabijając wielkiego błękitnego pajaka na sztych miecza. Pośliznęła się na tryskającej z niego cieczy i prawie się przewróciła. Wielki, włochaty czarny pajak skoczył jej na plecy i zatopił kły w ramieniu, ale kolczuga drowki wytrzymała atak. Zrzuciła go z siebie i rozgniotła mu tułów na miazgę, a tymczasem kolejny wielki pajak stanął przed nią dęba i rzucił się ku jej nogom. Odskoczyła w tył, broniąc się przed nim Księżycowym Ostrzem. Czowała się tak, jak gdyby brodziła w tych stworzeniach po pas - przy każdym kroku rozgniatała butami pół tuzina mniejszych pajaczków. Nie widziała drogi ucieczki, już nigdy nie miała się stąd wydostać. Zginie od ich kłów, a z jej ciała zostanie wysuszona skorupka unosząca się na wyjąłym wietrze.

— Bogini! - krzyknęła znowu, rąbiąc jak szalona Księżycowym Ostrzem.

Magiczna klinga zabijała wszystko, czego dosięgła, z łatwością rozcinając ciała pajaków, ale były ich tysiące. Eilistraee nie miała jakiegóż szczególnej władzy nad tymi istotami i w swej desperacji Halisstra prawie powróciła do dawnego zwyczaju czerpania z mocy Lolth, aby rozkazywać pajakom. To byłoby takie proste, kazać im się cofnąć...

Usłyszała granie rogu Uluyary i uchwyciła się tego dźwięku z desperacją tonącego rozbitka. Pamiętała, jak pierwszy raz usłyszała jego czysty dźwięk w srebrzystym blasku księżyca Świata Ponad. Skupiła się i z wysiłkiem oparła przyciąganiu Lolth.

Dzierżąc oburącz Księżycowe Ostrze, siekła z zapamiętaniem zrodzonym z rozpacz, aż odnóży i kawałki mięsa wylatywały w powietrze. Mała tarcza kępowała jej nieco ruchy, ale jakoś dawała sobie radę. Musiała wkładać w ciosy dodatkową siłę.

Kły wpiły jej się w ramię i nogę, przebijając kolczugę i zatapiając się w ciele. Przeszył ją ból, w żyłach poczuła pulsowanie ciepłego jadu. Chwyliła włochatą kulę na swoim przedramieniu i ścisnęła, aż ta pękła. Cięła w dół, mierząc w kolejnego pajaka i nabijając go na klingę, a potem w prawo, odrąbując szczękoczułkę następnemu. Wydało jej się dziwne, że zabijanie stworzeń Lolth nie wprawia jej w takie samo uniesienie jak wtedy w lesie w Świecie Ponad, kiedy zabiła fazowego pajaka w imieniu Eilistraee.

Zamiast tego czuła się wytrącona z równowagi, zbrukana, winna.

- Przepraszam - wymamrotała, zabijając, ale nie była pewna, co ma na myśli. Te słowa wydały jej się po prostu odpowiednie. Pajęcza krew przyskała jej na ręce, płaszcz i twarz. - Przepraszam.

Ale wbrew temu, co mówiła, wyrąbywała sobie drogę przez skłębioną masę ciał, odnóży, szczękoczułek i posoki ku miejscu, w którym ostatni raz widziała dwie kapłanki Eilistraee. Z ulgą odkryła, że Feliane i Uluyara zdołały wstać i broniły się. Uskakiwały zwinnie wśród chaosu, tnąc i dżgając. Wyglądały, jak gdyby tańczyły - skakały, wirowały, obracały się i przetaczały, służąc Pani Tańca nawet wtedy, gdy mordowały. Obie były pokasane i pocięte, a Feliane miała ciemne ukłucie na nagim przedramieniu. Mimo to Halisstrze wydały się piękne. Ich ostrza świszczwały w powietrzu, co było jednocześnie wyzwaniem i odpowiedzią na dziwne zawrodożenie. Halisstra uchwyciła spojrzenie Feliane, gdy obie torowały sobie drogę przez niekończącą się masę pajaków.

- Halisstro! - zawołała Feliane, siekąc i rąbiąc. Jej okrągła twarz była zbryzgana krwią i posoką.

Uluyara zawięła mieczem młyńca tak szybko, że ostrze rozmazało się w oczach i na chwilę złowiła spojrzenie Halisstry.

- Tutaj! - odkrzyknęła Halisstra.

Nie zatrzymując się, rozplatała odwłok jakiegoś pająka, a potem następnego i jeszcze następnego. Od siostr dzieliło ją piętnaście kroków.

Z wiru kotłujących się ciał wyskoczył wysoko w górę brązowy pająk. Halisstra miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

Ośmioro odnóży stwora wielkiego jak juczny jaszczur kończyło się pazurami, które wyglądały jak krótkie miecze i zabiły tak samo niechybnie. Halisstrze zaparło dech, gdy pająk znalazł się w najwyższym punkcie skoku. Oglądała pająki mieczowe walczące na podziemnej arenie domu Meiarn. Widziała jak rozprawiają się z krwawą, brutalną skutecznością z wojownikami, którzy popadli w niełaskę.

Opadając, pająk złożył wszystkie szpony razem, tworząc pojedyncze ostrze skierowane w dół ku drobnej elfce.

- Nad tobą! - krzyknęła Halisstra, ale nie była pewna, czy Feliane ją usłyszała. - Feliane!

Przed Halisstra pojawił się wielki pająk, któremu odrąbała Księżycowym Ostrzem dwa odnóża.

Cień opadającego pająka mieczowego musiał przesłonić bla-doczerwone światło słońca. Feliane podniosła głowę, zobaczyła go i umknęła w bok, próbując unieść miecz. O uderzenie serca za późno. Pająk mieczowy spadł na nią, odbijając jej klingę w bok, i przewrócił na wznak na ziemię. Jego odnóża przecięły pancerz na ramieniu kapłanki i zatopiły się w ciele. Feliane wrzasnęła z bólu, trysnęła krew. Miecz wypadł jej z ręki, odto-czył się w bok i zniknął pod masą arachnidów.

Pająk mieczowy siedział na niej okrakiem, przytrzymując jej drobną postać okrwawionymi odnóżami. Usiłowała mu się wyrwać, okładając go zdrowym ramieniem i kopniakami, ale

słabła już z upływu krwi. Ciosy spadały gradem na wielkie cielsko pająka, który tylko gniewnie syczał.

Stado wielkich tarantul odciągnęło Uluyarę od Feliane i Halisstra straciła z oczu wysoką kapłankę.

Halisstra znów krzyknęła i przebiegała się dalej w stronę siostr, siekąc bezlitośnie wszystko, co stało jej na drodze. Za sobą zostawiała ślad odrąbanych odnóży i nogogłaszczek. Czternaście kroków, dwanaście, dziesięć. Zabijała na każdym kroku. Cała była pokryta, wręcz nasiąknięta, posoką. Drobne pajęczki biegały po jej odsłoniętej skórze, twarzy i włosach. Rozgryzała te, które dostały się w pobliże jej ust i wypluwała ich szczątki na ziemię.

Wiedziała, że nie dotrze do Feliane na czas.

Podobne do kling pazury wciąż lśniły od czerwonej krwi elfki, gdy mieczowy pająk przygwoździł umierającą Feliane trzema odnóżami do ziemi i uniósł przednie kończyny do ciosu, który otworzy pierś i przeszyje serce.

Uluyara wyłoniła się z szaleńczego kłębowiska po prawej stronie mieczowego pająka z uniesionym wysoko ostrzem. Wysoka kapłanka zaatakowała, przyzywając Mroczną Panią, i machnęła ukośnie klingą, chcąc rozplatać ciało stwora od łba do kądziółków przędnych.

Ale pająk dostrzegł ją. Przesunął się lekko nad ciałem rannej Feliane, sparował cios jednym ze szponów i chlasnął Uluyarę kolejnym. Trafił ją w środek piersi, wyrzucając w powietrze kółeczka kolczugi. Drowka poleciała w tył, potknęła się na leżącym za jej plecami trupie pająka i natychmiast opadły ją mniejsze arachnidy.

Pająk mieczowy znów zajął się Feliane. Wzniósł wysoko przednie odnóża i wbił je w pierś elfki. Rozerwał ogniwa kolczugi, połamał kości i zatopił pazury w ciele. Plecy Feliane wyprężyły się w łuk, wokół elfki rozlała się kałuża krwi.

- Feliane! - zawołała Halisstra, ścinając kolejnego pająka i jeszcze następnego.

Od elfki dzieliło ją pięć kroków. Za daleko.

Oczy elfki były wciąż otwarte, ale zaszyły mgłą. Krew lała się z jej klatki piersiowej i ciekła z kącików ust. Pająk mieczowy wyszczerzył kły długości noży i zatopił je w ciele Feliane. Głowa kapłanki opadła na bok. Pająk wykonał ruch, jak gdyby chciał podnieść elfkę i zabrać jądo swojej kryjówki.

Halisstra nie miała czasu na zastanawianie się, więc zrobiła jedyną rzecz, jaka jej pozostała. Gradem wściekłych ciosów zmusiła otaczające ją pająki do cofnięcia się, uniosła ręce za głowę - trudny manewr, gdy ma się tarczę na ramieniu - i cisnęła oburącz Księżykowym Ostrzem w mieczowego pająka.

Klinga poleciała prosto do celu, sztychem naprzód, i wbiła się do połowy główki w tułów ogromnego arachnida. Stwór syknął z bólu, całym jego ciałem wstrząsnął spazm. Wyciągnął z ciała elfki oślizłe od krwi kły i zaczął się obracać w stronę Halisstry. Księżykowe Ostrze sterczało z jego tułowia niczym proporzec. Kolejny spazm targnął jego cielskiem, kolejny syk wyrwał się z najeżonego kłami otworu gębowego i pająk runął na Feliane, martwy.

Feliane nie ruszała się.

Halisstra wyrznęła tarczą w łeb kolejnego pająka, który rzucał się na nią. Z pochwy na plecach wyrwała miecz Seyll. Z jego wydrążonej rękojeści wydobył się gwizd mogący konkurować z niesamowitym zawodzeniem wiatru, kiedy cięła następnego pająka, rąbnęła kolejnego i podbiegła do Feliane.

Uklękła i odetchnęła z ulgą, widząc, że Feliane jest nieprzytomna, ale żyje - ledwo ledwo. Nie miała czasu, żeby się jej uważniej przyjrzeć. Okręciła się i odepchnęła w tył trzy wielkie wdowy, zostawiając w boku jednej z nich długie rozcięcie. Odwróciła się, schyliła i z trudem zrzuciła z elfki truchło mieczowego pająka.

Nie musząc przez chwilę odpierać ataków, chwyciła miecz Seyll od drugiej strony i przytknęła rękojeść do ust. Kładąc jedną dłoń na rannej piersi Feliane i nie spuszczać oczu z otaczających ją

pająków, wydobyła z klingi pojedynczą, kojącą nutę. Jej dźwięk posłużył jej za kondensator uzdrawiającej magii *bae 'queshel*.

Nakłucia w piersi Feliane zasklepiły się, a elfka zaczęła lżej oddychać, choć nie odzyskała przytomności. Halisstra nie mogła pozwolić sobie na rzucenie następnego zaklęcia wśród roju pajaków. Chwyliła rękojeść w dłonie w tej samej chwili, w której trzy pajaki wielkości szczurów wylądowały jej na plecach. Ich kły nie były w stanie przebić kolczugi - wstając, zerwała je z siebie i zakłuła jednego po drugim.

Stojąc nad Feliane, rozejrzała się za Uluyarą.

Wysoka kapłanka walczyła w pobliżu z czerwono-czarnym pajakiem wielkości rothe. Zdażyła już odrąbać mu dwa odnóża.

- Uluyaro! - wrzasnęła Halisstra. - Tutaj!

Uluyara rzuciła na nią okiem i kiwnęła głową. Wysoka kapłanka cięła pajaka znad głowy, zmusiła go do cofnięcia się o krok, odwróciła się i pomknęła ku Halisstrze. Stwór skoczył za nią z zaskakującą szybkością.

Halisstra zmieniła uchwyt, przytknęła rękojeść miecza Seyll do ust i wygrała na nim serię dysharmonijnych nut. Magia *bae 'queshel* przetoczyła się falą nad głową Uluyary i uderzyła w pajaka. Moc zaklęcia rozpląszczyła olbrzymiego pajęczaka na ziemi, otwierając jego szkielet zewnętrzny. Zaraz obskoczyła go chmara mniejszych pajęczków chcących się pożywić.

Wymijając biegiem kolejne pajaki, Uluyara dopadła boku Halisstry. Popatrzyła z niepokojem na Feliane.

- Żyje - powiedziała Halisstra, dysząc ciężko - ale musimy się stąd wydostać, natychmiast!

Uluyara uśmiechnęła się dziko, położyła dłoń na ramieniu Halisstry i powiedziała:

- Oślaniaj mnie przez chwilę.

Halisstra kiwnęła głową i kiedy wysoka kapłanka skandowała modlitwę, przy użyciu miecza Seyll oraz tarczy cięła i waliła wszystkie pajaki, które ośmieliły się do nich zbliżyć. Gwałtowność tej

rzezi przyprowadziła ją o mdłości. Wszędzie dookoła walały się szczątki pajaków, ziemia była ciemna od krwi.

Kiedy Uluyara skończyła modlitwę do Pani, wokół nich zmateralizował się pierścień srebrzystych ostrz. Tysiące magicznych kling, wirujących i brzęczących, utworzyło krąg wysoki na dziesięć stóp. Dwa pająki, które w niego wpadły, zostały rozsiekane na krwawe strzępy.

- Zakłęcia Pani służą nam nawet w Pajęcznych Otchłaniach - powiedziała Uluyara głosem równie twardym jak jej spojrzenie.

Halistra skinęła głową, choć dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie przyszło jej do głowy, aby podczas walki rzucić jedno z zakłęb, którymi obdarzała je Eilistraee. Zastanawiała się dlaczego, ale za bardzo obawiała się odpowiedzi, żeby dłużej nad tym rozmyślać.

Wewnątrz wyczarowanego przez Uluyarę kręgu wirujących kling pozostały dwa tuziny pajaków. Halistra знаła zakłęb, które je zabije, ale zawahała się, czując niespodziewaną niechęć.

- Powinnyśmy się stąd wydostać - powiedziała.

- Najpierw te pająki - odparła Uluyara, wychodząc naprzód.

- Są zdane na naszą łaskę. Musimy z nimi skończyć.

Uluyara uniosła miecz, ale Halistra złapała ją za ramię i powstrzymała. Obserwowała włochate wilcze pająki czające się wewnątrz kręgu ostrz.

- Ja to zrobię - oświadczyła.

Uluyara zawahała się, ale w końcu kiwnęła głową.

- Ty dzierzysz Księżycowe Ostrze.

Halistra z wysiłkiem przełamała własną niechęć, dotknęła koniuszkami palców symbolu Eilistraee na piersi i pogрузzyła się w modlitwę. Na jedną straszliwą chwilę słowa modlitwy uleciały jej z głowy, ale zaraz przypomniała je sobie, a jej głos stał się mocniejszy. Kiedy skończyła inkantację, z miejsca, w którym stała, rozeszła się niewidzialna, kolistą falą mocy, która uderzyła w pająki i zawlokła je, choć opierały się i syczały, pod ścianę



ostrzy. Całe dwa tuziny zniknęły w fontannie posiekanych członków i mięsa.

Halisstrze było niedobrze, ale jednocześnie czuła euforię.

Odwróciła się i zobaczyła, że Uluyara przygląda się jej z przekrzywioną głową. Wysoka kapłanka wyglądała, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego skinęła głową z aprobatą i uklękła obok Feliane. Ujęła twarz elfki w dłoń i zaczęła szeptać słowa uzdrawiającej modlitwy. Po chwili ostatecznie rany Feliane całkowicie się zasklepiły, jej twarz nabrała rumieńców, powieki zatrzepotały i oczy otworzyły się. Uluyara pomogła jej wstać i utrzymać się na nogach.

- Pani ma w opiece swoich wyznawców zwróciła się do Feliane, która kiwnęła głową.

Drobna elfia wojowniczką przyglądała się trupowi mieczowego pająka. Potem spojrziała z wdzięcznością na Halisstrę.

Halisstra obdarzyła ją nieobecny uśmiechem, błędząc wzrokiem po tym, co działo się za murem wirujących kling. Rzeź trwała nieprzerwanie. Pająki kąsały, drapały, szarpały i pożerały się nawzajem w nieustającej orgii przemocy. Od czasu do czasu któryś z nich zapuszczał się albo został zepchnięty w pobliże ściany ostrz Uluyary, gdzie zniknął w fontannie krwi.

Choć przyznanie się do tego przyprawiło Halisstrę o mdłości, widziała w tej rzezi pewien sens. Silni pożą słabych i staną się jeszcze silniejsi.

Wiedziała, że patrzy na ucieleśnione sedno doktryny Lolth, metaforę całej wiary w Pajęczą Królową.

- To musi się kiedyś skończyć — stwierdziła. - Do tego czasu musimy się gdzieś ukryć.

Dokąd pójdziemy? - zapytała Feliane, podnosząc swój miecz z ziemi.

- Tam - odparła Halisstra i wskazała kamienny słup wznoszący się nad nimi. Tylko nieliczne pająki wspinały się po jego stromych, nachylonych pod dziwnym kątem ścianach. Na jego

szczybie będąc stanie odpierać ich ataki dopóty, dopóki to krwawe szaleństwo nie dobiegnie końca. - Polecimy tam.

Wyczytawszy z oczu Uluyary i Feliane zgodę, znów dotknęła medalionu na piersi i zaczęła szeptać modlitwę do Eilistraee.

- Halisstro - przerwała jej Uluyara cichym, nagłym głosem. - Księżycowe Ostrze.

Słowa modlitwy zamarły Halisstrze na ustach. Poczowała, że płoną jej policzki. Zostawiła miecz Eilistraee w ciele mieczowego pająka.

Zapomniała o nim.

— Oczywiście - powiedziała, nieudolnie próbując ukryć wlasne zaniechanie.

Nie patrząc Uluyarce i Feliane w oczy, schowała miecz Seyll do pochwy na plecach, podeszła do martwego pająka i wyciągnęła z niego Księżycowe Ostrze. Wytarła je o trupa, zanim schowała z powrotem do pochwy przy pasie.

Kiedy się odwróciła, dostrzegła zważenie w oczach Uluyary i zażenowanie w spojrzeniu Feliane. Postanowiła to zlekceważyć.

— Jesteś ranna — zauważyła Uluyara, wskazując rany na nogach Halisstry i ranki w jej ramieniu.

Halisstra też o nich zapomniała. Była pewna, że ukąszenia sąjadowite. Powiedział jej to magiczny pierścień, który nosiła, a jednak nie odczuwała żadnych efektów działania trucizny. Nie chciała przyznać się przed samą sobą, co jest tego powodem.

- To nic takiego - odparła i rozpoczęła od nowa zakłęcie.

Kiedy skończyła się modlić, ciała oraz ryszczunek jej i dwóch pozostałych kapłanek zmieniły się w niematerialny szary opar. Wciąż widziała, choć jej pole widzenia rozszerzało się, kurczyło i skręcało. Wciąż czuła swoje ciało, a przynajmniej jakieś ciało, choć wydawało się cienkie i rozciągnięte, podobnie jak jej dusza. Porywy wiatru szarpały nią, ale oparła się im i siłą woli wbiła się w powietrze. Feliane i Uluyara, które też wyglądały jak hu-manoidalne obłoki pary, podążyły za nią.

Przynajmniej na chwilę wolna od ograniczeń ciała, Halisstra czuła się wolna od wątpliwości, od wewnętrznej walki. Nie czuła brzemienia świata, czuła się lekka jak jedna z dusz Lolth sunących po niebie wysoko w górze. Żałowała, że nie może się tak czuć już zawsze.

Wzlatując w górę stromego, skalistego zbocza czarnej wieżycy, rozglądała się za miejscem, w którym będą mogły przeczekać rzeź. Z zadowoleniem odkryła, że na szczycie skały nie ma żadnych pajęczyn, choć na pobliskich słupach było ich wiele, i że porywisty wiatr uniemożliwia pająkom wspięcie się na jej szczyt.

Czubek iglicy wyglądał tak, jak gdyby został odcięty ostrą klingą, tworząc okrągłą, płaską platformę o średnicy dwudziestu kroków. Nie miały tu żadnej osłony przed wiatrem, ale były przynajmniej bezpieczne.

Halisstra opadła na platformę, zaczekała na Feliane i Uluyarę, po czym rozproszyła magię. Trzy kapłanki jednocześnie odzyskały zwykłą postać. Halisstrę natychmiast opadły wszystkie dawne wątpliwości. Porywisty wiatr prawie zbił ją z nóg.

- Będziemy potrzebować osłony - stwierdziła, przekrzykując wicher.

Nawet tu zawodzące pajęczyny wołały ją. *Yor 'thae*, szeptały.

W oddali widziała złowieszcze chmury gromadzące się nad odległym łańcuchem górskim i sunące szybko w ich stronę -nadciągała burza.

- Zbliżcie się - powiedziała Uluyara, przyciągając Halisstrę i Feliane do siebie, tak by utworzyły krąg.

W objęciach ramion obu kapłanek Halisstra czuła się jak w rodzinie, i to przynajmniej chwilowo uspokoiło ją.

- Razem utworzymy sanktuarium - oznajmiła Uluyara, przez krzykując wycie wichru. - Bezpieczną kryjówkę w środku tej ohydy.

Feliane i Halisstra kiwnęły głowami, choć Halisstra nie rozumiała, co właściwie wysoka kapłanka ma na myśli.

Uluyara wycofała się z kręgu, wyjęła spod koleczugi srebrzysty medalion i zmówiła modlitwę do Eilistraee. Wiatr zagłuszał jej słowa, ale kiedy skończyła, złączyła dłonie, skierowała je w dół, jak gdyby były nożem, a potem rozdzieliła.

Skała powtórzyła jej gest. Magia wysokiej kapłanki sprawiła, że kamień stał się jej powolny, tak że mogła go formować w dłoniach jak glinę. Precyzyjnymi ruchami wzniosła na płaskim czubku iglicy dwie ściany. Wyrastały z niej pod kątem prostym i osłaniały je przed wiatrem. Podeszła do nich i zaczęła kształtować je dłońmi, wygładzając je najlepiej jak potrafiła.

— Teraz twoja kolej — zwróciła się do Feliane.

Elfka uśmiechnęła się, kiwnęła głową i powtórzyła zaklęcie. Wzniosła trzecią i czwartą ścianę, zostawiając na środku jednej z nich wąskie przejście mające służyć jako drzwi.

-I twoja - powiedziała Feliane do Halisstry.

Halisstra zmówiła modlitwę, która pozwalała jej dowolnie kształtować kamień. Kiedy skończyła, miała wrażenie, że jej dłonie są naładowane elektrycznością. Poruszała nimi łagodnie, jak gdyby była garncarką, zbierając ze ścian nadmiar kamienia i formując z niego płaski dach ich prymitywnego, pułdelkowatego schronienia.

Odczuwała przyjemność płynącą z tak bliskiej współpracy z dwiema pozostałymi kapłankami. Tworzyły. Kiedy kapłanki Lolth współpracowały ze sobą, to zawsze po to, by niszczyć, choć Halisstra wiedziała, że czasem - czasem - zniszczenie też przynosiło przyjemność.

Kiedy skończyła, wszystkie trzy wymieniły uśmiechy. Rozwiane wiatrem włosy tworzyły aureole wokół ich głów.

Pod wpływem natchnienia Halisstra obnażyła Księżycowe Ostrze i jego sztychem wyrysowała symbol Eilistraee w miękkim wciąż kamieniu nad otwartymi drzwiami.

- Świątynia Pani w sercu władztwa Lolth - oznajmiła Uluyara ponad wyciem wiatru. - Dobra robota, Halisstro Melarn.

Halisstra zauważyła, że wątpliwości malujące się wcześniej na twarzach jej sióstr zniknęły. Pod ich aprobującym spojrzeniem wątpliwości targające jej własną duszą osłabły, aż zostało z nich tylko drobne, prawie niezauważalne ziarenko w samym środku jej jestestwa.

W tej samej chwili nogę Halisstry przeszył ból, jak gdyby ktoś dźgnął ją sztyletem. Świat rozmazał jej się przed oczyma. Skrzywiła się i byłaby upadła, gdyby nie uchwyciła się ściany świątyni Eilistraee.

Pajęczy jad.

Uluyara i Feliane przypadły do niej z troską na twarzach. Uluyara zbadała rany Halisstry i odkryła poczerwiałe otwory w jej nodze.

- Jad - stwierdziła.

- Pozwól - powiedziała Feliane i ujęła dłonie Halisstry w swoje.

Elfka wzniosła pieśń do Tańczącej Bogini, wysączając truciznę z żył Halisstry.

Halisstra miała wrażenie, że oczyściła jej żyły z czegoś jeszcze. Podziękowała Feliane, która ją uścisnęła.

Potem trzy kapłanki Eilistraee weszły do wzniesionej przez siebie świątyni. Uluyara szybko obesła jej wnętrze, trzymając w dłoniach święty medalion i recytując zaklęcie. Kiedy skończyła, spojrzała na dwie towarzyszki i oświadczyła:

- Teraz to poświęcona ziemia, odebrana Lolth w imieniu Mrocznej Panny. Przynajmniej na jakiś czas.

Halisstra uśmiechnęła się mimowolnie. Wnętrze świątyni rzeczywiście wydawało się inne, jakby czystsze. W jej nierównych ścianach po raz pierwszy od wielu dni poczuła pewność siebie.

Trzy wyczerpane kapłanki osunęły się na ziemię, oparły plecami o ściany i wyciągnęły nogi przed siebie. Twarze Uluyary i Feliane zdradzały wycieńczenie. Ale i uniesienie. Dotarły do Pajęczych Otchłani i przeżyły atak roju pajaków.

Po chwili odpoczynku Uluyara uleczyła wszystkie drobne ranki, zadrapania i ukąszenia. Feliane wyczarowała w miseczkach noszonych w sakwie podróżnej warzywny gulasz i świeżą wodę.

Po posiłku Halisstra powiedziała:

— Na wszelki wypadek powinniśmy czuwać na zmianę. Wątpię, żeby pająki ośmieliły się wspiąć na szczyt skały przy takim wietrze, ale nie możemy być tego pewne. Kiedy na dole się uspokoją, ruszymy dalej. Wezmę pierwszą wartę.

Uluyara skinęła głową, odsunęła się pod ścianę i zamknęła oczy. Westchnęła i wkrótce pogrążyła się w Zadumie. Feliane zaraz poszła w jej ślady.

Obie były doświadczonymi wojowniczkami, uświadomiła sobie Halisstra, które odpoczywają przy każdej sposobności.

Halisstra usiadła cicho obok otworu drzwiowego. Dobyła Księżycowe Ostrze, położyła je sobie na udach i rozpoczęła czuwanie.

Na zewnątrz wicher łomotał o ściany świątyni, którą miały czelność wznieść. W jego gniewnym wyciu Halisstra wciąż słyszała wołanie skierowane do Wybranki Lolth, ale wiedziała -a przynajmniej tak się jej wydawało - że wiatr już jej nie woła.

- Idę po ciebie - obiecała cichutko. - Już niedługo.

Chwidenche, składające się w zasadzie z samych odnóży, rzuciły się naprzód z zatrważającą szybkością. Pharaun natychmiast wzbił się w powietrze. W jednej dłoni wciąż trzymał bryłkę gu-ana, drugą wyciągnął z kieszeni płaszcza kawałek płatkowego grzyba i wykrzyczał słowa zaklęcia. Kiedy wymówił ostatnie słowo inkantacji, rozgniół grzyb w dłoni i rzucił proszek w stronę jednego z atakujących stworów. Chwidencha zakwiczała z bólu, gdy magia dosięgła ją, obdarła ze skóry i zerwała z niej

pancerz, pozostawiając niewiele więcej niż bezkształtną stertę krwawych szczątków.

Reszta stada nawet nie zwolniła.

Jeggred skoczył naprzód, zasłaniając Danifae i przyjmując na siebie atak trzech chwidench. Z pierwszą z nich starł się w powietrzu, chwytając ją w potężne ramiona bojowe i odrywając jej garściami odnóży, podczas gdy stwór kwiczał i okładał go pozostałymi pazurami, zostawiając na jego ciele krwawe ślady. Tryskająca posoka obryzgała draegloth, mieszając się z jego własną krwią. W trzy uderzenia serca draegloth pozbawił stworza kończyn, zostawiając tylko okrągłą grudę włosów i mięsa.

Dwie pozostałe chwidencie wskoczyły na Jeggreda, jedna na plecy, druga na bok. Ich ciężar obalił go na ziemię i cała trójka zmieniła się w warczące kłębowisko nóg i szponów. Jeggred wciąż ścisnął w łapie garść odnóży zabitego przed chwilą monstrum. Szpony chwidench unosiły się i opadały niczym kilof górnik, ryjąc w ziemi i mięsie. Najeżone kłami paszcze usiłowały przebić twardą jak stal skórę draegloth. Jeggred ryczał i odpowiadał ciosami pazurów. Fragmenty chwidench wylatywały wysoko w powietrze.

Reszta stada, nie zatrzymując się, ogarnęła kapłanki. Danifae ledwo zdążyła schować do kieszeni swój święty symbol i dobyć morgensztern. Odchyliła się w tył i wyrznęła jedną z chwidench nabijaną kolcami maczugą, gruchocząc jej kilka kończyn. Uchyliła się przed ciosem następnej i grzmotnęła kolczastą głowicą poczware przed sobą, ale trzecia wyskoczyła wysoko w górę i wylądowała na drowce. Danifae usiłowała wymówić zaklęcie, ale stwór oplótł ją odnóżami tak ciasno jak opończą i próbował przygwoździć do ziemi. Okręciła się dookoła, potykając się pod jego ciężarem, ale nie przerwała stłumionej recytacji. W końcu runęła na ziemię i pięć chwidench natychmiast rzuciło się na nią. Pha-raun ledwo widział kapłankę spod kłębowiska odnóży i szponów. Na jej kolczugę i odsłonięte części ciała posypał się grad ciosów.

Ku jego zaskoczeniu Danifae nie poddała się. Wyciągnęła sztylet z pochwy przy pasie i walczyła na leżąco, kopiąc, dźgając, wrzeszcząc i wbijając raz po raz sztylet w ciała stworów. Pha-raun uznał ją za martwą i przestał zaprzętać sobie nią głowę.

W dole, z prawej strony maga, słychać było strzelanie bicia Quenthel. Wszystkie pięć żmij wyciągnęło się właśnie na dwukrotność swojej normalnej długości i zacisnęło najeżone kłami pyski na odnóżach jednej z chwidench. Niemal natychmiast kończyny poczwary zesztyniały, a ona sama runęła martwa na ziemię, uśmiercona jadem żmij. Jej towarzyszki, zupełnie tym nie-zrażone, stratowały ją i otoczyły Quenthel ze wszystkich stron.

Quenthel zmówiła spiesźnie modlitwę do Lolth i natychmiast zrobiła się dwa razy większa niż zwykle. Jej ciało zapłonęło fioletowym blaskiem, manifestacją mocy Pajęczej Królowej. Posługując się magicznym puklerzem jak bronią, ze spotęgowaną zaklęciem siłą wyróżnęła pierwszą z chwidench, grucho-cząc masę odnóży jak gałązki. Chwidencha z lewej wymierzyła jej trzema pazurami serię szybkich ciosów, każąc jej się cofnąć, ale kapłanka nie odniosła żadnego widocznego uszczerbku. Znów machnęła biczem, zmuszając jednego ze stworów do odwrotu. Ręką, na której nosiła puklerz, chwyciła jedną z chwidench za dwa grube odnóża i cisnęła nią przez pole bitwy.

Zanim Pharaun zdążył ją ostrzec, kolejne dwie chwidenche skoczyły na nią od tyłu. Zniosła to lepiej niż Danifae, spróbowała strząsnąć je z siebie, ale rzuciło się na nią sześć następnych. Szpony załomotały głucho o jej pancerz, zostawiając rany w odsłoniętym ciele. Żmije przy biczu targnęły się, ale chybiły. Kapłanka padła na ziemię, pogrzebana pod kłębem kotłujących się odnóży i szponów.

Pharaun usłyszał ostrzegawczy krzyk Danifae, odwrócił się w powietrzu...

I zobaczył tylko masę odnóży, pazurów, sztywnych włosów i otwartą, najeżoną kłami paszczę. Jedna z chwidench wyskoczyła w powietrze wystarczająco wysoko, żeby go dosięgnąć.



Uderzyła go z całej siły w pierś i oplotła odnóżami. Siła zderzenia pełnęła czarodzieja do tyłu i w dół, pokonując moc pierścienia. Spleciony w uścisku ze stworem gruchnął o ziemię, tracąc oddech. Chwidencha unieruchomiła go kilkoma ze swoich niezliczonych odnóży, jednocześnie kąsając go ociekającymi jadem kłami i zasypując jak szalona ciosami wolnych pazurów. Razy spadały na boki, ręce, twarz i ziemię wokół maga.

Tylko magiczne *piwafwi* uchroniło Pharauna przed wypatroszeniem, ale i tak czuł krew spływającą mu po tułowiu, a uderzenia w głowę prawie pozbawiły go przytomności.

Usiłował odbijać ciosy rękami i stopami i wytoczyć się spod chwidenchy, ale stwór był zbyt ciężki i zbyt zajadły. Nie mogąc wzbic się w górę, mag przyzwał w myślach rapier ukryty w pierścieniu, ale zbyt późno przypomniał sobie, że stracił go w walce z Belshazu. Kły potwora znów zgrzytnęły o magicznie opancerzoną oponczę, na darmo usiłując ją przebić i wgryźć się w ciało.

Pharaun rozpaczliwie próbował odzyskać przytomność umysłu i oddech.

Chwidencha uniosła wysoko jeden ze szponów i opuściła go prosto w twarz maga. Spróbował wykręcić głowę w bok, ale na próżno, i pazur uderzył go z siłą mogącą roztrzaskać skałę. Zaklęcia ochronne uchroniły twarz i czaszkę maga przed rozłupaniem, ale cios rozbił mu nos i wgniół głowę w kamienistą ziemię. Przez jedną straszliwą chwilę Pharaun miał wrażenie, że traci świadomość. Uchwycił się jej całą siłą woli.

Oszołomiony i coraz bardziej wściekły, przypomniał sobie, że wciąż ściska w prawej dłoni grudkę nietoperzego guana.

- Niespodzianka - wybełkotał ustami pełnymi krwi.

Zaczął mamrotać bezgłośnie słowa zaklęcia, które miało spalić chwidenchę i wszystko dookoła na popiół. Przełknął krew ściekającą do ust z rozbitego nosa, żeby mówić wyraźniej. Miał nadzieję, że wrodzona drowia odporność na magię ocali jego i jego towarzyszy, że zniosą więcej niż potwory.

Wymawiał już ostatnie sylaby czaru, gdy kły stwora przebiły *piwqfwi* i zatopiły mu się w piersi. Spazm bólu targnął ciałem Pharauna, ale mag nie przerwał inkantacji. Był szkolony w Sorcere, będąc uczniem rzucał zaklęcia, podczas gdy mistrzowie przypalali mu ciało płomieniem świecy. Ukąszenie jednego z pomiotów Lolth nie było go w stanie zdekoncentrować.

Skończył zaklęcie, gdy chwidenchy odchyliła się w tył, przymerzając się do następnego ugryzienia. Zaciskając zęby, Pha-raun zamknął w dłoni grudkę nietoperzego guana i wepchnął ją do otwartej paszczy chwidenchy.

Stwór odruchowo zamknął pysk.

Pharaun zacisnął powieki, gdy cały jego wszechświat eksplodował pomarańczowym światłem i palącym żarem. Czuł, jak topią mu się włosy, a mięso na ramionach, piersi i twarzy zwęglą się. Nie był w stanie powstrzymać krzyku.

Siła wybuchu zerwała z niego chwidenchę, natychmiast obracając ją w popiół. Zewsząd dookoła słyszał syki, ryki i wrzaski wzbijające się ponad huk eksplozji. Czuł swąd spalonego mięsa. Swojego własnego, bez wątpienia.

Jedno bolesne uderzenie serca i było po wszystkim.

Otworzył oczy i odkrył, że patrzy w ciemne niebo nad sobą. Do głowy przyszła mu absurdalna myśl, że jego czar osmalił chmury, ale zaraz potem przypomniał sobie o zbierającej się nad nimi burzy.

Mrugając otumaniony, zrzucił z siebie zwęglone fragmenty ciała chwidenchy - zostały z niej tylko drobne kawałki spalonego mięsa- i powoli usiadł. Ocierając poczerńiałą krew z twarzy i nosa, mrugał, dopóki nie odzyskał ostrości widzenia. Ręka poczerńiała mu jak spalony kawał mięsa. Jeszcze go nie bolała, ale wiedział, że zaraz zacznie.

Rozejrzał się i zobaczył, że kula ognista wypaliła wokół niego idealny krąg zniszczenia. Jego granice wyznaczał kolisty pas poczerńiałych i nadtopionych skał. Nie osmalił nieba, ale spalił

ziemię. Czerpał profesjonalną dumę ze spustoszeń, jakich dokonał.

Wewnątrz kręgu, oddychając ciężko i mrugając, siedział na czworaka Jegged. W pazurach trzymał spalonego trupa chwi-denchy, a z pyska zwisały mu jej odnóża. Krwawiący, ale tylko lekko poparzony draegloth zmierzył Pharauna zimnym spojrzeniem, wypluł odnóża na ziemię i wstał.

- Ogniem się mnie nie pozbędziesz, magu - powiedział ochrypłym głosem.

Ku zaskoczeniu maga Danifae i Quenthel też przeżyły. Były poparzone i posiniaczone, ale żyły. Quenthel, już normalnej wielkości, stała po przeciwnej stronie kręgu. Obsypane popiołem żmije przy jej biczu syczały na czarodzieja. Zmarszczył brwi, żałując, że ich nie zabił.

Danifae stała po drugiej stronie krateru, opierając się na mor-genszternie. Musiała dźwignąć się z ziemi i odzyskać oręż podczas walki.

Po polu bitwy wałyły się dwa tuziny osmalonych, dymiących i cuchnących trupów chwidench.

- Coś ty na Otchłań zrobił? - zapytała Danifae i rozkaszała się. Jej zaróżowioną od żaru twarz przecinały zadrapania pazurów.

Uratowałem ci skórę, niestety, pomyślał Pharaun, ale nie powiedział tego na głos.

- Zakłęcie się wypaczyło, pani Danifae - odparł.

- Wypaczyło? - zapytała Quenthel. Większość włosów miała przypalonych, ale wyglądało na to, że nie odniosła innych obrażeń. - Dobrze sobie. - Kaszlnęła. - Jeśli zakłęcie się wypaczyło, magu, nie należą ci się podziękowania za zakończenie walki.

Pharaun uśmiechnął się kwaśno spod złamanego nosa i ukłonił na tyle, na ile pozwalało mu poobijane ciało. Rana od ugryzienia w brzuch tętniła, poza tym strasznie bolała go ręka.

Danifae rzuciła mu gniewne spojrzenie i dodała:

- Następnym razem, samcze, masz nas ostrzec, zanim kolejny z twoich czarów... się wypaczy.

Pharaun prychnął z pogardą i natychmiast tego pożałował. Z nosa trysnęła mu krew, a twarz wykrzywił ból. Jeggred parsknął. Pomimo bólu Pharaun zwrócił się do Danifae:

- A ty mogłaś mnie wcześniej ostrzec, że...

Jakiś ruch na zewnątrz kręgu przykuł wzrok czarodzieja i Pharaun nie dokończył zdania.

Wszyscy popatrzyli w tamtą stronę.

Horda wciąż walczyła wokół nich, ale nie to zaniepokoiło maga.

Prawie dwadzieścia dymiących chwidench wyłoniło się zza skał wyznaczających granicę spalonego kręgu. Wszystkie miały powykrzywiane nogi i nadtopioną szczecinę, ale one też przeżyły wybuch. Zasycały, uniosły przednie odnóża i ruszyły z wahaniami naprzód.

- Możliwe, że walka wcale się jeszcze nie skończyła - za uważył Pharaun i z satysfakcją odnotował zjadliwe spojrzenie, jakie rzuciła mu Quenthel.

Quenthel strzeliła z bicza i zmije zasyczały na chwidenchy. Danifae, z morgenszternem w dłoni, zbliżyła się do Jeggreda. Draegioth odrzucił łeb do tyłu i wydał z siebie ryk, od którego zatrzęsły się kamienie.

Pharaun pozwolił, aby jego towarzysze niepokoił się, zanim powiedział:

- A może jednak się skończyła. - Miał już dość chwidench jak na jeden dzień. - Zbliżcie się - polecił i popatrzył na Danifae. — Niniejszym czuj się ostrzeżona.

Jego towarzysze wymienili spojrzenia i pospiesznie dołączyli do maga. Chwidenchy powoli zbliżały się do nich. Pharaun wyciągnął z kieszeni *piwafwi* szczyptę fosforyzującego pyłu, wyrzucił ją w powietrze i wymówił słowa zaklęcia. Kiedy skończył,

po między nimi a chwidencami pojawił się z sykiem na wół-przezroczystry pierścień zielonego ognia wysoki na dwadzieścia stóp. Ogień płonął wesoło, zalewając ich wszystkich chorobliwie zieloną poświatą.

- To powinno je na trochę zatrzymać - stwierdził mag.

Towarzysze nie podziękowali mu, ale Pharaun zauważył z zadowoleniem, że nawet żmije przy biczu oklapły z ulgą. Ponieważ chwilowo nie miał nic innego do roboty, powiedział:

- Proszę o wybaczenie - po czym przycisnął jedną dziurkę od nosa, wydmuchnął z drugiej skrzep krwi i smarków, a po tem zrobił to samo z drugiej strony.

Był nieco zażenowany - takie zachowanie pasowało do Jeg-greda - ale nie miał większego wyboru. Z trudem oddychał. Potrząsnął głową, żeby dojść do siebie, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni chusteczkę i wytarł nią twarz najlepiej jak potrafił. Gdy odjął ją od twarzy, biały jedwab był czarny od popiołu i czerwony od krwi.

Poprzez pierścień płomieni Pharaun widział, że chwidencze okrążają ich, przyglądając się im przez przerwy w ogniu. Za nimi migały mu walczące ze sobą pajęczaki.

- Ile mamy czasu, magu? - zapytała Quenthel.

- Niestety, niewiele - odparł. - Być może kwadrans. Jak długo to potrwa?

Quenthel zatknęła bicz za pas i pokręciła głową. Pharaun nie był pewny, czy oznacza to, że nie wie, czy że nie chce powiedzieć.

- Potrwa tak długo, jak zechce Lolth - odpowiedziała Dani-fae, przypasując morgenszterna. Przesunęła palcami po zadrapaniach na policzkach, sprawdzając ich głębokość.

- Nie jesteś zbyt pomocna, mistrzyni Danifae - rzekł Pharaun. - Cóż za przedziwny zbieg okoliczności, że Horda pojawiła się tuż po naszym przybyciu.

- Uwważaj na słowa, magu - ostrzegła Quenthel.

- Właśnie - przytaknęła Danifae, mierząc go wzrokiem.

Pharaun miał ochotę zapytać, dlaczego chwidenche nie odpowiedziały na rozkazy żadnej z nich, ale jeden rzut oka na bicz Quenthel wybił mu to z głowy. Zamiast tego powiedział:

- Moim zdaniem dopóki trwa ta rzeź, podróźowanie dołem nie jest zbyt rozsądne. Chwidenche mogą się okazać najmniej szym z naszych zmartwień. Wygląda na to, że Pajęcza Królowa postanowiła uczynić Hordę częścią próby.

Kapłanki nic nie odpowiedziały, patrzyły tylko poprzez zasłonę zielonych płomieni z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Może one też zastanawiały się, dlaczego chwidenche nie poddały się ich mocy.

W końcu Danifae powiedziała:

- Powinniśmy schronić się na jakiś czas, dopóki rzeź wciąż trwa. Potem ruszymy w dalszą podróż.

Jegged przyglądał się chwidenchom wygłodniałym wzrokiem.

- Czarodziej powiedział, że ściana ognia opadnie po kwadransie. Jakie schronienie znajdziemy w tak krótkim czasie?

- Jaskinie - odparł Pharaun.

Wszyscy najpierw popatrzyli na czarodzieja, a potem na ziemię i otaczające ich ze wszystkich stron jamy.

- Dlaczego nie szczyt jednego ze słupów? - zapytała Danifae, wskazując jedną z niezliczonych wieżyc z czarnego kamienia, którymi usiana była równina. - Pająki jakoś się nie kwapią, żeby wspiąć się tak wysoko.

- Spójrz na niebo, pani Danifae - odparł Pharaun. Słońce skryło się już za warstwą czarnych burzowych chmur. - Myślę, że pod ziemią będzie bezpieczniej i wygodniej.

Poza tym Pharaun spotkał już jedno monstrum na szczycie słupa. Nie miał najmniejszej ochoty spotkać następne.

- Jaskinie - powiedziała Quenthel, kiwając głową.

- Tak, mistrzyni - syknęła jedna ze żmij. - W jaskiniach będzie bezpieczniej.

- Milcz, Zindo - skarciła ją łagodnie Quenthel.

- Bezpieczniej? - zapytał z drwiną Jegged. - O bezpieczeństwo troszczą się tchórze, bojaźliwe kapłanki i słabi magowie.  
- Draegloth rzucił najpierw Quenthel, a potem Pharaunowi znaczące spojrzenie.

Pharaun uśmiechnął się do draeglotha, odwrócił do Quen-thel i rzekł:

- Przypomniałbym twojemu siostrzeńcowi, że to pani Danifae zaproponowała znalezienie kryjówki przed Hordą. Czy to oznacza, że uważasz, iż jest bojaźliwa, Jeggedzie?

Czarodziej przez chwilę napawał się konsternacją malującą się na pysku Jeggeda, zanim powiedział:

- Może jednak nie. W każdym razie wygląda na to, że wołałbyś zostać na powierzchni, dopóki nie wrócimy. Myślę, że to doskonały pomysł. Dziękuję, Jeggedzie. Twoje męstwo opiewać będą pieśni.

Sklonił się nieszczerze przed draeglothem, który warknął i wyszczerzył kły.

Pharaun zignorował prostaka - udowadnianie głupkowi, że jest głupkiem, dawało mizerną satysfakcję - i wbił wzrok w ziejący otwór jamy, z której wypełzły chwidencche.

- Mogę zamknąć za nami wylot jaskini - zwrócił się do Quenthel - i zaczekamy pod ziemią tak długo, jak będzie trzeba. Kiedy burza się przetoczy, a rzeź skończy, przeniosę nas na drugą stronę i będziemy mogli podróżować dalej.

Quenthel skinęła głową.

- Świetny pomysł, mistrzu Mizzrym.

Jegged parsknął ze wzgardą i Quenthel zmierzyła go spojrzeniem tak lodowatym, że zmroziłoby żywiołaka ognia. Żmije przy jej biczu uniosły się i też wbiły ślepią w draeglotha.

- Siostrzeńcze? - zapytała takim tonem, że zabrzmiało to jak obelga. - Może chcesz powiedzieć coś więcej?

Jegged otwierał już pysk, ale Danifae położyła mu dłoń na ramieniu, powstrzymując go.

Branka uśmiechnęła się rozbrajająco i popatrzyła na Pharauna.  
- Mistrz Mizzrym udzielił nam mądrej rady - powiedziała, udając, że mówi do Jeggreda, choć w rzeczywistości zwracała się do Quenthel. - A mistrzyni Quenthel postępuje mądrze, stosując się do niej. - Urwała na chwilę, przekrzywiła swoją śliczną główkę i zmarszczyła brwi. - Choć pierwszy raz widzę, żeby mężczyzna miał taki wpływ na kapłankę Lolth.

Pharaun prawie gruchnął śmiechem, tak łatwe do przejrzecia było jej zagranie. Danifae chciała osłabić więź między magiem a Quenthel sugerując, że wysoka kapłanka za bardzo na nim polega.

- Nie ma mowy o żadnym wpływie - odparł. - Ale może gdyby Quenthel nie była jedyną kapłanką tej drużynie, która wykazuje zdrowy rozsądek, nie musiałyby polegać na nieśmiałych sugestiach byle mężczyzny.

Jeggred zmierzył go nienawistnym spojrzeniem, szczerząc kły. Pharaun nie spuścił wzroku.

Danifae nie dała po sobie poznać, że usłyszała słowa maga. Wpatrywała się wyłącznie w Quenthel.

Kapłanka Baenre wytrzymała jej spojrzenie, uśmiechnęła się w wymuszony sposób i rzekła:

- Niektórzy mężczyźni bywają przydatni, branko. - Zaczekała, aż jej słowa zrobią odpowiednie wrażenie. - Oczywiście należy ich dobierać tak, aby jak najlepiej służyli doraźnym celom. — Jej wzdorczywy wzrok spoczął na Jeggredzie. - Kapłanka, która źle dobiera sobie sługi, często ginie. Może twój dra-egloth też może nam udzielić jakiejś rady w tej kwestii?

- Rady? - warknął Jeggred. - Oto moja rada, ty...

- Jeggred - przerwała mu Danifae, gładząc go po jednym z bojowych ramion. - Milcz.

Draegloth zamilkł.

- Twój piesek jest dobrze wytresowany - powiedział Pharaun i Jeggred spiął się do skoku.



Danifae złapała go za grzywę i przytrzymała w pół kroku. Pharaun, który nawet nie drgnął, uśmiechnął się.

Danifae po raz kolejny zlekceważyła go i zwróciła się do Quenthel:

- Nie, Jeggred nie ma w tej chwili nic do powiedzenia. Jest samcem i udziela mi rad tylko wtedy, gdy go o to poproszę.

Pharaun widział, że Quenthel gotuje się z wściekłości. Podeszła do Danifae - nawet Jeggred nie śmiał zastąpić jej drogi, choć pozostał przy boku branki - i spojrzała z góry na niższą drowkę.

- Mój siostrzeniec nigdy nie grzeszył intelektem - powie działa.

Danifae uśmiechnęła się i pogłaskała ramię draegloth.

- Nie, mistrzyni Quenthel - odparła. - Tylko wiernością.

Spojrzenie Quenthel stwardniało. Po raz ostatni zmierzyła Danifae gniewnym wzrokiem, po czym odwróciła się do Pharauna i powiedziała:

- A ja polegam tylko na Lolth, samcze.

Słyszając to Pharaun zrozumiał, że Danifae osiągnęła swój cel.

- Oczywiście, mistrzyni - odparł, bo cóż więcej mógł po wiedzieć. Szkoda już się dokonała.

Danifae uśmiechnęła się do niego znacząco za plecami

Quenthel. Jeggred warknął na maga z nieskrywaną

nienawiścią. Zignorował ich oboje i zapytał:

- Do jaskini, mistrzyni?

- Do jaskini - odrzekła, kiwając głową. - Ale najpierw...

Wysoka kapłanka wyjęła z wewnętrznej kieszeni *piwafwi* różdżkę uzdrawiania, którą ukradła Halisstrze Melarn w Ched Nasad. Dotknęła nią siebie i wyszeptwała słowo-rokaz. Rozcięcicia na jej twarzy zamknęły się, poparzenia zmniejszyły, a oddech stał się mniej chrapliwy. Potem bez pytania o zgodę podeszła do Pharauna i zrobiła to samo. Ku jego ogromnej uldze nos zrosł się, zwęglona ręka zregenerowała, a niezliczone rany i zadrapania na klatce piersiowej zasklepiły.

- Dziękuję, mistrzyni - rzekł, kłaniając się.

Quenthel zlekceważyła jego słowa. Schowała różdżkę w fałdach płaszcza, odwróciła się do Danifae i powiedziała:

- Bez wątpienia sama zadbasz o siebie i swojego wiernego draeglotha.

Pharaun uśmiechnął się drwiąco do branki. Danifae nie mogła nikogo uleczyć. Choć Lolth przebudziła się i obie drowki dysponowały czarami, kapłanki Lolth rzadko przechowywały w pamięci więcej niż jedno zaklęcie uzdrawiające. Kapłanki Lolth niszczyły, nie leczyły. Quenthel mogła uzdrowić siebie i Pharauna tylko dzięki różdżce Halisstry.

Ku jego zaskoczeniu Danifae uśmiechnęła się do Quenthel i powiedziała:

- Lolth zadba o nas. Jak zwykle.

- Oczywiście - odparła Quenthel z chytrą miną.

Pharaun rozprostował szaty. U jego stóp ział wylot jaskini. Szyb opadał niemal pionowo w dół. Jego ściany były pokryte pajęczynami, ze środka cuchnęło.

- Prosimy przodem, pani Danifae - rzekł mag, wskazując wylot tunelu i pamiętając, że w dole może się czaić coś groźnego.

Piękną twarz Danifae wykrzywił drwiący uśmieszek.

- Chodź, Jeggredzie, mistrz Mizzrym wciąż się lęka.

Draegloth złapał jej apetycznie zaokrąglone ciało w ramiona i unióśł do góry.

- Urocze - skwitował mag.

Draegloth rzucił mu mordercze spojrzenie.

Płaszcz Danifae zsunął się, odsłaniając jedną nogę. Nosila dopasowane spodnie i jej krągłe udo i biodro przykuły wzrok Pharauna wbrew jego woli. Zauważyła, że się jej przygląda i nie osłoniła nogi.

- Na dół - poleciła Jeggredowi, nie przestając uśmiechać się uwodzicielsko do Pharauna.

Jegged dotknął broszy z insygniami domu Baenre i zaczął opadać w dół.

Specjalnie dla Quenthel Pharaun pokazał na migi w ślad za branką: *Dziwka*.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Quenthel przygląda mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Dobyła bicz i podeszła do wylotu jaskini.

- Zapieczętuć go za nami, magu - rozkazała.

Dotknęła broszy i poszybowała w dół w ślad za Danifae i swoim siostrzeńcem, trzymając bicz w pogotowiu na wypadek zasadzki.

Pharaun stał przez chwilę na krawędzi szybu, patrząc, jak czubek głowy Quenthel znika w ciemności. Quenthel powiedziała Danifae, że niektórzy mężczyźni bywają przydatni - musiał dopilnować, żeby nie zmieniała zdania.

Przez chwilę, przez jedno kuszące uderzenie serca, rozważał opuszczenie jej, opuszczenie wyprawy, ale szybko uznał, że to nierozsądne. Lolth przebudziła się, a jej kapłanki znów władaly mocą swej bogini - wszystko zaczynało wracać do normy. Poza tym Pharaun wiedział, że po powrocie do Men-zoberranzan odpowie przed Gromphem i domem Baenre za jakiegokolwiek działania na szkodę Quenthel, pośrednie czy bezpośrednie.

Nie mając większego wyboru, dotknął broszy domu Miz-zrym i zrobił krok naprzód. Na chwilę zawisł w powietrzu, nasłuchując i zastanawiając się czy Danifae i Jegged ośmieliliby się zastawić na niego pułapkę. Nic nie usłyszał, więc opadł nieco w dół, tak że jego głowa znalazła się tuż pod krawędzią szybu. Tam wyciągnął z kieszeni okrągły odłamek wypolerowanego granitu kupiony dawno temu od handlarza osobliwości na bazarze w Menzoberranzan. Przycisnął go kciukiem do wnętrza dłoni, zacisnął na nim palce i wyrecytował serię tajemnych słów.

Kiedy skończył inkantację, magia utworzyła nad wylotem jaskini ścianę z kamienia. Jej brzegi stopiły się z otaczającą je skałą, odcinając go od światła słońca Lolth. Wisząca w powietrzu burza i kotłująca się Horda zniknęły. W pieczarze zapadła przyjemna ciemność, z którą oczy maga szybko się oswoiły.

Schował odłamek granitu z powrotem do kieszeni i zaczął lewitować w dół szybu, który wił się miejscami, ale wyraźnie opadał. Nie słyszał żadnych odgłosów dobiegających z dołu i założył, że nic groźnego się tam nie kryje - oprócz jego towarzyszy. Roztropnie wyjął z kieszeni kolejny grzyb płatkowy i przygotował się szybko do rzucenia zaklęcia obdzierającego ze skóry. Do głowy przyszło mu stare drowie powiedzenie: „Bogowie, brońcie mnie przed sojusznikami, przed wrogami obronię się sam”. Teraz rozumiał jego mądrość. Pharaun nigdy nie czuł się tak nieswojo, jak wtedy, gdy tracił Jeggreda i Danifae z oczu.

Było dla niego jasne, że Danifae usiłuje podważyć roszczenia Quenthel do bycia *Yor 'thae*. Może sama chciała przyjąć ten tytuł? Choć brzmiało to absurdalnie, Pharaun uznał, że tak właśnie jest.

Czarodziej zaczynał powoli dochodzić do wniosku, że żadna z kapłanek nie jest, ani nie będzie Wybranką Lolth.

# SIÓDMY

Nimor stał na popękany balkonie luksusowej niegdyś arystokratycznej rezydencji pośród dymiących zgliszcz Ched Nasad. Magiczne osłony częściowo uchroniły budynek przed zniszczeniem, kiedy spadł na dno rozpadliny, ale i tak leżał potrzaskany i zwichrowany na jej skalnym dnie.

Większość Ched Nasad spoczywała w ruinach wokół niego. Sterty gruzu i kamiennych odłamków leżały rozrzucone na dnie rozpadliny niczym płyty nagrobne jakiejś rasy tytanów. Kiedyś miasto wisiało nad szczeliną na grubych skamieniałych pajęczynach. Potem pojawili się duergarowie, pajęczyny spłonęły od ich pocisków zapalających i miasto runęło w dół.

Nimor uśmiechnął się. Wrócił z Chaulssin, aby raz jeszcze spojrzeć na spustoszenie, jakiego dokonali jego pobratymcy.

Wysoko nad jego głową wisiały nieliczne ulice, które prze-  
trwały atak krasnoludów. Kilka nienaruszonych budynków zwi-  
sało z ponadrywanych, skamieniałych nici niczym schwythane  
w sieć muchy jaskiniowe skręcające się bezradnie nad otchła-  
nią. Garstka domostw pomniejszej szlachty wbudowanych w  
ściany rozpadliny pozostała w większości nietknięta.

Nimor wiedział, że Jazred Chaulssin zaczęli odbudowywać  
miasto. Służące im drowy pracowały na dnie rozpadliny,  
wzdłuż jej ścian i w ocalałych pasmach pod jej sklepieniem. W  
głębi jaskini słychać było łopot smoczycy skrzydeł, a wiele  
zrujnowanych budowli leżących na dnie szczeliny połączono  
już ze Skrajem. Tłuste, nieprzeniknione obłoki ciemności  
spowijały miejsca istniejące jednocześnie na obu planach.

Wiedział, że transformacja tego miejsca zajmie dziesięcio-  
lecia, może wieki. Ale kiedy dobiegnie końca, Ched Nasad sta-  
nie się kolejnym Chaulssin. Wskrzeszone Ched Nasad będzie  
drowim miastem, gdzie nie zostanie nawet ślad po Pajęczej Kró-  
lowej i jej sługach.

Nimor uśmiechnął się blade. Wspomnienie poniesionej po-  
rażki wciąż kłuło dotkliwie, przytłaczając satysfakcję, jaką mógł-  
by odczuwać w tej chwili. Miał kiedyś nadzieję, że ujrzy prze-  
obrażone nie tylko Ched Nasad, ale i Menzoberranzan.

Popatrzył na magiczny pierścień cieni, obrączkę płynnej czer-  
ni opasującą jego palec jak maleńka żmijka. Z wielu magicz-  
nych przedmiotów, jakie posiadał, tylko ten pierścień i insy-  
gnia domu zachowały swoją moc po tym, jak Gromph Baenre  
rzucił zakłęcie rozłączenia podczas walki na targowisku Men-  
zoberranzan. Nimor nie zastąpił jeszcze żadnego z tych przed-  
miotów nowym. Ich utratę traktował jako pokutę za swoją po-  
rażkę.

Menzoberranzan. Widział miasto oczyma duszy, wyobrażał  
sobie, że leży w ruinach tak jak Ched Nasad...

Odepchnął od siebie ten obraz. Menzoberranzan wciąż trwało, a Lolth powróciła. Nimor zawiódł i nie był już Namaszczonym Ostrzem.

Westchnął, bawiąc się pierścieniem.

Dziad opiekun Tomphael kazał mu po raz ostatni wrócić do Ched Nasad i Menzoberranzan, aby spojrzeć świeżym okiem na miejsce triumfu Jazred Chaulssin i miejsce ich porażki. Nimor zamierzał wypełnić jego polecenie.

Poza tym musiał jeszcze załatwić w Menzoberranzan parę spraw. Jedna z nich dotyczyła pewnego łysego krasnoluda, a druga półdemonia.

- Oto triumf- powiedział Nimor do siebie, po raz ostatni rozglądając się dookoła. - A teraz porażka. - Bez dalszych ceregieli Nimor przyzwał moc pierścienia cieni, aby przenieść się na Skraj. Kiedy magia zadziałała, zrujnowane Ched Nasad zniknęło, zastąpione przez widmowy cień samego siebie. Tylko te części miasta, które zostały przeniesione na Plan Cienia, wydawały się namacalne.

Nimor siłą woli otworzył ścieżkę wiodącą Skrajem do Menzoberranzan. Wkroczył na nią, załopotał skrzydłami i wzbił się w powietrze. Skraj, nieskrępowany fizycznymi prawami rządzącymi Pierwszym Planem Materialnym, pozwalał się szybko przemieszczać. Poskręcane smużki cienia przemykały obok i na wskroś Nimora. Moc pierścienia i natura Skraju skróciły wielodniową podróż do niecałej godziny.

Teraz znajdował się w cienistym odpowiedniku Menzoberranzan, widmowym, martwym mieście wież, iglic i stalaktytowych fortec. Siłą woli przebił zasłonę między Skrajem a Planem Materialnym i znalazł się w mroku pod sklepieniem pieczary. Ciemność otoczyła go, czyniąc niewidzialnym nawet dla oczu drowów, które mogłyby popatrzeć w górę. Spojrzał w dół na swoją porażkę.

Jaezred Chaulssin obserwowali miasto za pomocą magii, śledząc bieg wydarzeń nawet po ucieczce Nimora. Wiedział, co pokazały zaklęcia: siły, które zgromadził z taką starannością, aby podbiły Menzoberranzan, szły w rozsypkę.

Vhok i jego Potępiony Legion zaczęli się wycofywać i walczyli w jaskiniach na wschód od plantacji grzybów. Ta-narukkowie z pewnością ocalą skórę, jeśli nie godność, i uciekną do swoich nor pod Twierdzą Piekielnej Bramy. Horgar i jego idiotyczne krasnoludzkie oddziały nie będą mieli tyle szczęścia. Duergarowie obrócili skałę Tier Breche w podziurawione, nadtopione i poczerniałe pustkowia, ale nie udało im się przebić - Melee-Magthere, Arach-Tinilith i Sorcere pozostały w rękach Menzoberranzańczyków. Bitwa wciąż trwała. Eksplozje i wybuchy magicznej energii świadczyły o zaciekłości toczonych walk. Nimor wiedział, że są daremne. Lolth przebudziła się, okazja podbicia miasta minęła. Pajęcza Królowa po raz kolejny odpowiedziała na modlitwy swoich kapłanek, a kiedy Arach-Tinilith wypłuje z siebie swoje córki, które wspomogą siły Menzoberranzan odzyskanymi właśnie zaklęciami, duergarowie zostaną rozgromieni. Nielicznym udało się ujsć z Menzoberranzan z życiem. W przeciwieństwie do Vhoka, Horgar był zbyt zaślepiiony albo zbyt głupi, żeby to dostrzec.

Wzrok Nimora zatrzymał się dłużej na płaskowyżu Tier Breche, a konkretnie na strzelistych wieżach Sorcere. Wiedział, że gdzieś w środku przebywa Gromph Baenre. Na myśl o arcyma-gu zagotowała się w nim krew. Gromph unicestwił liczdrowa Dyrre - bazar wciąż dymił po ich pojedynku na zaklęcia -i znacznie przyczynił się do pokrzyżowania szyków wrogom miasta. Nimor nienawidził go i szanował zarazem.

Nimor machnął skrzydłami i spojrzał w prawo, na wielki słupek Narbondelu. Jego podstawa żarzyła się w mroku czerwieni, obwieszając całemu Podmrokowi, że Menzoberranzan wciąż



trwa. Nimor był ciekaw, czy Gromph Baenre osobiście zapalił ogień latarni.

Z zaskakującą raptownością Nimor stracił panowanie nad sobą. Zalała go fala nieznośnej frustracji. Zacisnął pięści i przełknął wzbierający w gardle ryk.

Walczył mężnie, spiskował najlepiej jak potrafił i prawie -o włos rothe - zdobył najpotężniejsze drowie miasto w Pod-mroku. Trofeum, jakim było Ched Nasad, zbladłoby w porównaniu z klejnotem podbitego Menzoberranzan.

Oczywiście wiedział, że „prawie” to za mało, a „niemal” jest bląhą wymówką, tak dla niego, jak dla Jaezred Chaulssin. „Niemal” nic mu nie dało. „Niemal” sprawiło, że stracił zaszczytną funkcję Namaszczonego Ostrza Jaezred Chaulssin.

To była lekcja, jaką chciał mu dać dziad opiekun: Nimor miał zakosztować porażki, jej smak miał go zemdlić do tego stopnia, żeby już nigdy do niej nie dopuścił. Poczul w sercu ziarnko pokory i utemperował wrodzoną arogancję.

*Obiecałeś oczyścić Menzoberranzan ze smrodu Lolth, powiedział do niego dziad opiekun Mauzkyll. Czy udało ci się to?*

Nimor odpowiedział zgodnie z prawdą- nie. Prawie mu się to udało i gorzki smak tego „prawie” przyprawiał go o mdłości.

*Będą inne okazje, obiecał ojciec opiekun Tomphael. Jeśli nauczysz się mądrości.*

Dostałem nauczkę, Tomphaelu, pomyślał Nimor.

Spojrzał na Tier Breche, gdzie wciąż toczyła się bitwa, na spokojny Donigarten, gdzie patrole drowów krążyły wśród gigantycznych grzybów. Pomyślał o Horgarze, o porażkach książątka...

Nimor też miał zamiar dać komuś nauczkę. Horgarowi.

Podjąwszy decyzję, po raz ostatni spojrzał na Menzoberranzan. Patrzył na strzeliste, eleganckie iglice, wysokie wieże, poskręcane budynki wielkich arystokratycznych posiadłości - nie-  
me świadectwo nieznośnej arogancji Menzoberranzańczyków. Może oni też nabrali pokory.

A może nie.

Nimor spojrział w dół na miasto i niechętnie schylił głowę z uznaniem.

Został pokonany.

Tym razem.

Niewielkim wysiłkiem woli przeniósł się w posępny krajobraz Skraju.

Szyb opadał kilkadziesiąt metrów w dół i kończył się okrągłą komnatą, z której wychodził długi poziomy tunel. Ściany były pokryte starymi pajęczynami, a po ziemi walały się tu i ówdzie wyschnięte pancerze wypatroszonych pajaków, zapewne resztki posiłków chwidench. Jeggred kopał je z roztargnieniem. Suche powietrze zalatywało pleśnią i rozkładem.

Pharaun opadł na ziemię obok Quenthel. Żmije przy jej biczu wysunęły w jego stronę języki.

Danifae i Jeggred stali w pewnej odległości, przyglądając się im. Danifae przesunęła palcami po noszonym na szyi medalionie.

Pharaun nie potrafił pozbyć się myśli, że nie wszyscy wrócą na powierzchnię. Na wszelki wypadek ciągle trzymał w dłoni kawałek płatkowego grzyba.

- Zapieczętowałem tunel za nami, mistrzyni - powiedział do Quenthel.

Wysoka kapłanka kiwnęła głową, popatrzyła na poziomy tunel i oznajmiła:

- Pójdziemy jeszcze trochę dalej. Znajdziemy bardziej od powiednie miejsce na odpoczynek.

Nikt nie zaprotestował i Quenthel ruszyła w głąb tunelu. Pozostali podążyli za nią. Korytarz był na tyle szeroki, że pozwalał iść ramię przy ramieniu, więc właśnie tak zrobili. Żadne nie miało ochoty pokazać pozostałym pleców.

Od czasu do czasu od głównego korytarza odchodziły mniejsze tunele ginące w mroku. Pharaun był ciekawy, czy cały plan Lolth jest podziurawiony tunelami i posiada własny Podmrok. Przyszło mu do głowy, że być może udało im się uciec chwi-dencom i Hordzie tylko po to, żeby stawić czoła czemuś jeszcze gorszemu.

Na razie nic na to nie wskazywało, ale cały czas nasłuchiwał odgłosów dochodzących z naprzeciwka.

Słyszał tylko oddech Jeggreda i odgłos własnych butów na kamieniach. Draegloth spychał na bok wszystkie truchła, jakie zagroziły im drogę, ale nie natknęli się na nic żywego. Wyglądało na to, że skoro stado chwidench zostało na powierzchni, przynajmniej główny poziomy tunel jest pusty.

Wkrótce doszli do następnej kulistej komnaty, gdzie znów natrafili na wyssane pancerze pajaków i puste wylinki chwidench. Wylinki, każda cienka jak pergamin, przypominały dziesiątki duchów. Jeggred chwycił jedną z nich za odnóże i cała wylinka rozsypała się pod jego dotykiem.

Na dnie jaskini dymiło kilka cuchnących kałuż zielonego kwasu. Dym uchodził szczelinami w niskim sklepieniu. Naturalny łuk w przeciwległej ścianie komnaty otwierał się na następny duży tunel.

- Może tutaj, mistrzyni? - zaryzykował Pharaun. -Nie grozi nam atak od tyłu - przynajmniej ze strony chwidench, pomyślał - i możemy wystawić wartę w tunelu przed nami. Miałbym czas na przestudiowanie moich ksiąg i odnowienie rzuconych zaklęć.

Wiedział, że po krótkiej Zadumie kapłanki też będą mogły odświeżyć zaklęcia otrzymywane od Lolth. Przydałby mu się jeden czy dwa czary uzdrawiające Quenthel.

Quenthel przyglądała mu się z zimną pogardą, wyraźnie niezadowolona, że znów ośmielił się udzielić jej „rady”. Mimo to powiedziała:

- Miejsce dobre jak każde inne. Zjemy, odpoczniemy i po modlimy się do Lolth.

Nie słysząc protestów, Pharaun znalazł jakiś kamień i usiadł na nim z impetem.

- Jegfred obejmie pierwszą wartę - oświadczyła Quenthel.

Draegloth, krusząc następną wy linkę chwidency, popatrzył na Danifae, która skinęła głową.

- Świetnie - powiedział Jegfred i przeszedł przez komnatę, aby stanąć u wylotu następnego tunelu.

Quenthel powiedła za nim gniewnym wzrokiem. Kiedy się zatrzymał, powiedziała:

- Nie tu, siostrzeńcze. Trochę dalej. Na co nam ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, kiedy już nas ono osiągnie.

Jegfred warknął z irytacją i znów popatrzył na Danifae. Była branka zawahała się.

- Obawiasz się zostać ze mną sama? - zapytała Quenthel głosem ociekającym pogardą.

Danifae popatrzyła na nią z wyzwaniem w zadziwiająco zielonych oczach:

- Musiałabym mieć ku temu powody - odparła.

Quenthel uśmiechnęła się. Nie spuszczać wzroku z Danifae, odprawiła Jegfreda ruchem ręki.

- Idź, siostrzeńcze.

Jegfred nie ruszył się z miejsca, dopóki Danifae nie strzepnęła palcami, każąc mu usłuchać.

- Będę w pobliżu - ostrzegł draegloth.

Jegfred zniknął w głębi tunelu, ale Quenthel wciąż wpatrywała się w Danifae. Była branka rozmyślnie ją ignorowała - obejrzała swoje rany, oczyściła oręż i rozebrała się do obcisłej tuniki i spodni. Jej skórę znaczyły zadrapania, rozcięcia i siniaki, ale w żaden sposób nie umniejszało to jej atrakcyjności.

Pharauna po raz kolejny uderzyła niezwykła ponętność tej kobiety. Mężczyźni walczyli i umierali za rzeczy o wiele brzydsze od ciała Danifae.

Szkoda, że musiała umrzeć. Oby jak najszybciej.

Po pewnym czasie Quenthel zajęła się własnym ryzsztunkiem i tylko żmije nadal obserwowały Danifae. Pharaun uznał to za rozejm i rozsiadł się wygodniej.

Każde z nich usiadło jak najdalej od pozostałych, z plecami przyciśniętymi do pokrytych pajęczynami ścian. Posilali się w milczeniu zapasami zdobytymi dawno temu przez Valasa Hune i dumali w milczeniu wśród wylinek zrzuczonych przez chwidencche.

Żeby się czymś zająć, Pharaun zrobił przegląd komponentów przechowywanych w licznych kieszeniach *piwawfi*. Po ich uporządkowaniu wyjął jedną z podróźnych ksiąg magicznych z pozawymiarowej przestrzeni w sakwie i zastąpił zużyte zaklęcia nowymi. Wybrał je starannie, pamiętając, że być może będzie zmuszony użyć ich przeciwko Jegredowi i Danifae.

Kiedy skończył, obie kapłanki zdążyły już zamknąć oczy i pogрузić się w Zadumie. Pharaun przypuszczał, że obie otoczyły się ukradkiem zaklęciami, które ostrzegają, gdy ktokolwiek za bardzo się do nich zbliży. Aktywował moc pierścienia Sorcere i zobaczył bladoczerwoną poświatę wokół obu kapłanek. Uśmiechnął się.

Jak na stworzenia chaosu, pomyślał, drowy były strasznie przewidywalne.

W przeciwieństwie do swojej pani, węże Quenthel pozostały przytomne i czujne. Dwa z nich - chyba K'Sothra i Yngoth - wyciągnęły się do przodu i obserwowały tunel, w którym przyczał się Jegged. Dwie pozostałe żmije miały na oku Danifae, a Qorra, patrzyła na Pharauna.

Nieco urażony tym, że obserwuje go tylko jeden wąż, Pharaun pokazał Qorrze język. Żmija odpowiedziała mu tym samym.

Pharaun zignorował ją, rozprostował nogi i usadowił się wygodnie na swoim kamieniu. Był zmęczony, ale jeszcze niego-towy, żeby pograżyć się w Zadumie. Przez chwilę patrzył, jak pierś Danifae unosi się i opada. Nie pozwalał sobie na nadmierne fantazjowanie na jej temat - dobrze wiedział, w jaki sposób branka wykorzystuje męskie pożądanie dla swoich celów. Poza tym było tylko kwestią czasu, kiedy Quenthel się jej pozbędzie.

Wreszcie uznał, że on też powinien spędzić godzinę lub dwie w Zadumie. Ale najpierw chciał rzucić na siebie zaklęcie ochronne podobne do tych, jakimi otoczyły się kapłanki. Ostrzeże go, jeśli ktokolwiek podejdzie do niego na mniej niż pięć kroków.

Zaczął właśnie szeptać słowa czaru, kiedy poczuł w umyśle znajome łaskotanie. Rozpoznał je natychmiast, a zaraz potem wyraźniejszy dreszcz przeszył całego jego ciało. Przerwał in-kantację, zachwycony, że alu-demon znów ich odnalazła.

*Co za mile spotkanie, mistrzu Mizzrym, zamruczał w jego głowie aksamitny głos Aliiszy.*

Czując delikatne muśnięcie jej umysłu Pharaun mimowolnie uśmiechnął się jak student pierwszego roku. Choć wiedział, że Aliisza ma własne powody, by śledzić maga i jego towarzyszy, nie mógł zaprzeczyć, że cieszy go jej zainteresowanie.

*Aliiszo, moja droga, odpowiedział. Spotykamy się w na/dziwniejszych miejscach.*

*Czasy są dziwne, najdroższy, odparła Aliisza. A dziwne czasy sprzyjają dziwnym kochankom.*

*Miejmy nadzieję, odrzekł i uśmiechnął się jeszcze szerzej.*

Obserwująca go żmija syknęła. Mag powściągnął uśmiech, odwrócił się i spojrzął w głąb tunelu, w którym pełnił wartę pół-demon.

W odległości rzutu kamieniem zobaczył zarys umięśnionej postaci Jeggregda. Draegloth siedział na czworakach, obserwując

korytarz przed sobą, odwrócony do Pharauna szerokimi plecami, które wznosiły się i opadały przy każdym cuchnącym oddechu. Pharaun nie potrafił stwierdzić, czy drągłoth śpi czy nie. W przeciwnieństwie do drowów Jeggred musiał się od czasu do czasu wyspać.

Quenthel i Danifae były pogrążone w Zadumie, ale obie miały chmurne oblicza. Ucieszyło to Pharauna. Musiał tylko przechrzyć żmije Quenthel.

*Kapłanki, którym towarzyszysz, wydają się niespokojne, zauważyła Aliisza.*

*To cecha rasowa, odparł ze zwykłym dla siebie sarkazmem.*

*Po prostu potrzebują odrobiny czegoś, co je najpierw zmęczy.*

*Odrobiny?* zapytał Pharaun udając oburzenie.

Aliisza roześmiała się.

*Kim jest Yor'thae?* zapytała.

Pytanie zaskoczyło Pharauna, ale nie zdradził tego ani wyraz jego twarzy, ani powierzchowne myśli. Skąd Aliisza wiedziała cokolwiek o *Yor 'thael*

Wyczuwając poruszenie maga, obserwująca go żmija wydała z siebie cichy syk. Pharaun udał, że go nie dosłyszał i rozsiadł się jeszcze wygodniej.

*Skąd znasz to słowo?* zapytał.

Jej mentalne palce musnęły pieśczośliwie jego mózg.

*Rozbrzmiewają nim całe Niższe Plany. Słysząc je w wyciu wiatru, we wrzasku udreńczonych dusz, w bulgotaniu wrzącej wody. Co to takiego, najdroższy?*

Pharaun nie usłyszał w jej głosie niczego podejrzanego, więc odpowiedział zgodnie z prawdą:

*Yor'thae to Wybranka Lolth.*

*Ooo, zdziwiła się Aliisza. Która to, ta ślicznotka, czy ta większa z biczem?*

Pharaun mógł tylko wzruszyć ramionami.

*Może żadna z nich, powiedziała Aliisza.*

Pharaun nie skomentował, ale zaniepokoiło go to zdanie. Jej słowa za bardzo przypominały jego niedawne myśli. Postanowił zmienić temat.

*Gdzie jesteś?* zapytał.

*Jestem niewidzialna. Rozejrzyj się i znajdź mnie, odparła z uśmiechem. Jeśli ci się uda, czeka cię nagroda.*

Pharaun bez większego wysiłku dostroił swój wzrok, aby widzieć niewidzialne przedmioty i istoty - zdolność tę uczynił permanentną. Mimochodem, aby nie zaniepokoić żmii, która wciąż się w niego wpatrywała, spojrzął w głąb tunelu, którym przyszli. Tam ją zobaczył.

*Wygrwasz, powiedziała.*

Aliisza opierała się wygiętymi kusząco plecami o ścianę tunelu. Zwinięte nietoperze skrzydła odsłaniały jej szczupłe ciało - zmysłowy zarys drobnych piersi, długie nogi, krągłość kształtnych bioder. Długie, czarne jak heban loki spływały jej na plecy. Patrzyła na niego i uśmiechała się. Jej małe kły wydały się magowi bardziej pociągające, niż chciałby przyznać.

*Witam, pani, rzekł. Za chwilę do Ciebie dołączę.*

*Nieuprzejmie jest kazać damie czekać, powiedziała z uśmiechem w głosie. Będziesz musiał mi to jakoś wynagrodzić.*

*Miejmy nadzieję, Aliiszo, odparł.*

Jej chichot zabrzmiał dziewczęco i prowokująco zarazem. Czarodziej poczuł dreszcz podniecenia. Popatrzył na obserwującą go żmiję. Żnów wysunęła język.

Odchylił się z powrotem do tyłu i zamknął oczy, jak gdyby przygotowywał się do Zadumy. Na szczęście znalazł iluzję, która nie wymagała żadnego materialnego komponentu.

Poruszając wyłącznie palcami i szepcząc pod nosem, rzucił finezyjny urok. Czar objął swoim działaniem cały obszar, w którym siedział. Żmii będzie się wydawać, że czarodziej siedzi na kamieniu połączony w Zadumie, a tymczasem prawdziwy



Pharaun będzie mógł pod osłoną iluzji zrobić wszystko, co tylko zapagnie.

Kiedy dokończył zaklęcie, spojrzał na żmiję - Qorra najwyraźniej nie zauważyła, że coś jest nie tak- i bezszelestnie wstał. Żmija wciąż wpatrywała się w iluzję, w fałszywego Pharauna.

Uśmiechając się, Pharaun wyciągnął z kieszeni skrawek owczego runa i wyszeptał słowa zaklęcia, które uczyniło go niewidzialnym - było to konieczne, gdyż po opuszczeniu obszaru objętego urokiem iluzyjny obraz przestałby go osłaniać. Wiedział, że krew demona płynąca w żyłach Aliiszy pozwala jej widzieć niewidzialne istoty, więc zobaczy go bez problemu.

Aliisza znów zachichotała w jego umyśle i dźwięk ten przeszył go rozkoszą. Dziwne, że obecność demona, nawet tak pięknego, sprawiała mu taką przyjemność.

*Sprytne, najdroższy, pochwaliła.*

Ruszył cicho korytarzem w jej stronę, zostawiając za plecami własną iluzję opartą o kamień, pogrążoną w Zadumie.

*Ojej, wyglądasz okropnie!* zawołała, gdy się zbliżył.

Wiedział o tym. Przemierzył Jądro Cienia, Otchłań i Pajęczce Otchłanie ani razu się nie kąpiąc. Używał prostych sztuczek, aby złagodzić swój odór i naprawić odzienie, ale pomniejsze czary nie były w stanie zdziałać nic więcej.

*Podróż była wyczerpująca, odparł. Może bardziej podobałby ci się iluzoryczny Pharaun?* Kciukiem wskazał komnatę za plecami.

*Nie, najdroższy,* odpowiedziała i przeciągnęła się leniwie, demonstrując wdzięki. Omiotła go wymownym spojrzeniem. Wyciągnęła ręce. *Wolę tego prawdziwego.*

Gdy tylko znalazła się na wyciągnięcie ręki, wziął ją w ramiona. Rozwinęła skrzydła i owinęła ich nimi, otaczając maga dusznym zapachem perfum. Jej skóra i krągłości podnieciły go. Pozwolił sobie na chwilę przyjemności, chciwie przesuwając

dłońmi po jej gładkiej skórze, a potem, z ogromnym wysiłkiem, odpechnął ją na długość ramienia.

*Jak nas znalazłaś? zapytał. Dlaczego wróciłaś?*

Nadała się i zatrzepotała skrzydłami. *Co za pytania, mistrzu Mizzrym! Znalazłam was, szukając. Nietrudno było was znaleźć. A dlaczego... Zrobiła poważną minę i spojrzała mu prosto w oczy. Chciałam się pożegnać.*

Ku swemu zaskoczeniu Pharaun poczuł ukłucie w sercu.

*Pożegnać?* Jego palec nakreślił linię na jej biodrze.

Na chwilę odwróciła wzrok.

*Obawiam się, że już się nie zobaczymy, najdroższy, a ja chciałam popatrzeć na ciebie po raz ostatni.*

Nie uwierzył nawet w jedno słowo tego ostatniego zdania, choć bardzo tego chciał.

*Wykonałaś swoje zadanie i teraz wracasz w objęcia Vhoka? O to chodzi?* Był zaskoczony rozgoryczeniem, jakie wkrađło się w jego ton. Jego dotyk stał się mniej delikatny.

Uśmiechnęła się i przesunęła długim palcem po brodzie czarodzieja.

*Jesteś taki zazdrosny, mój magu. Nie, nie wrócę do Kaanyra. Powiedziałam mu wszystko, co miałam mu do powiedzenia, i skończyłam z nim. Przynajmniej na jakiś czas. Zainteresował mnie inny typ mężczyzny.*

Pharaun zignorował ten ukryty komplement.

*Co mu o nas opowiedziałaś? zapytał.*

*Wszystko, odparła. Takie miałam zadanie.*

Pharaun nie spodziewał się niczego innego, ale odpowiedź i tak sprawiła mu ból.

*Nie wrócisz do niego i wykonałaś swoje zadanie, więc dlaczego mamy się już nie zobaczyć?* zapytał. Pytaniem tym zdradzał pewną słabość i nienawidził się za to, ale nie potrafił się powstrzymać.

Uśmiechnęła się, a jej oczy stały się tak smutne, jak tylko pozwalała na to krew demona.

*Ponieważ wątpię, żebyś przeżył to, co cię czeka.*

Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Jej szczerość zaskoczyła go. Wreszcie zdobył się na uśmiech.

*Co mnie czeka?*

Potrząsnęła głową i powiedziała:

*Nie wiem. Ale ten plan jest niebezpieczny i cuchnie... czymś.*

Wypuścił ją z objąć.

*Jesteś w błędzie, rzekł.*

Popatrzyła na niego tak, jak jeszcze nigdy przedtem.

*Może. Zawsze mogę mieć nadzieję. Ale jeśli mam rację, czy mogę otrzymać coś, co będzie mi Ciebie przypominać? Pamiątkę po moim czarującym drowim magu?*

Pharaun zadał sobie pytanie czy dobrowolnie otrzymana pamiątka nie jest tym, na czym jej naprawdę zależy. Wiedział, co potrafiłby z nią zrobić zdolny czarodziej. W głębi duszy chciał, żeby było inaczej, ale przejrzał ją na wylot.

*Najpierw powiedz mi, co się dzieje w Menzoberranzan, zażądał.*

Aliisza zachmurzyła się, jak gdyby los miasta Pharauna był jej zupełnie obojętny.

*Stoi, odparła. Kapłanki Lolth odzyskały moc. Kaanyr dał sygnał do odwrotu, a duergarowie też się wkrótce wycofają.*

Pharaun poczuł przyływ ulgi. Menzoberranzan wciąż trwało.

Dziwne, pomyślał, że czuję takie przywiązanie do miejsca, skoro nie czuję podobnego przywiązania do mieszkających w nim osób.

Był ciekaw, czy Gromph przeżył oblężenie. Jeśli nie, „arcy-mag Pharaun Mizzrym” brzmiało zachęcająco. A ponieważ to dom Baenre będzie wybierał następcę Grompha, miał kolejny powód, żeby trzymać stronę Quenthel.

*Pamiątka? nalegała Aliisza. Coś małego. Pukiel włosów?*

Pharaun uśmiechnął się do niej twardo.

*Nie, Aliiszo. Żadnych pamiątek. Myślę, że zatrzymam wszystko co moje dla siebie.*

Zrozumiała, co ma na myśli, i zmarszczyła brwi w autentycznym gniewie.

*Źle mnie zrozumiałeś, zaprotestowała. Chciałam...* Spojrzała mu przez ramię, w głąb tunelu. *Wygląda na to, że zauważono twoją nieobecność. Zegnaj, ukochany.*

To powiedziawszy, Aliisza pocałowała go tak, jak gdyby miał to być ich ostami pocałunek, i znikła, teleportując się bezgłośnie i zostawiając go wpatzonego w ścianę. W powietrzu unosił się zapach jej perfum i wspomnienie ostatnich słów.

Zanim Pharaun zdążył cokolwiek zrobić, jego niewidzialne ciało zapłonęło fioletowymi płomieniami. Ogień *faerie*. Poczul trzepotanie w żołądku.

Smród gnijącego mięsa zagłuszył resztki unoszącego się w powietrzu aromatu Aliiszy - oddech Jeggreda. Pharaun wymyślił na poczekaniu jakąś wymówkę, jednocześnie przywołując w myślach inkantację, która uaktywni jedno z potężniejszych zaklęć, jakie znał. Zaklęcie, które wymagało wymówienia pojedynczego słowa.

Chwytnąjąc w dwa palce pajęczynę ze ściany, rozproszył czar niewidzialności, obrócił się i odkrył, że prawie dotyka nosem falującej piersi Jeggreda. Draegloth zaszedł go od tyłu bezszelstnie niczym skrytobójca.

-Jegg...

Z zapierającą dech szybkością Jeggred złapał go bojową łapą za gardło i poderwał z ziemi, podnosząc na wysokość swojego pyska. Pharaun zakrzuszył się - draegloth dyszał mu prosto w twarz i ścisnął krtań szponiastą łapą.

- Użyłeś zaklęcia, aby ukryć swą nieobecność? - zapytał draegloth, wskazując komnatę, gdzie wciąż siedział iluzoryczny Pharaun. Jeggred z namysłem wciągnął powietrze w nozdrza. —

Co tu robisz, magu? - Jego czerwone ślepia zwięzły się. Wyprężył ramię i grzmotnął Pharaunem o ścianę jaskini.

Magiczne *piwafwi* i pierścienie uchroniły Pharauna przed polamaniem żeber i zmiżdżeniem krtani w niewiarygodnie silnym uścisku Jeggreda, ale niewiele brakowało.

- Wypuść mnie - zażądał Pharaun.

Był coraz bardziej wściekły, częściowo na Jeggreda, częściowo na siebie - obawiał się, że źle ocenił motywy kierujące Alii-szą. Mimo to uważał, że szamotanie się jest poniżej jego godności, więc nie próbował się wyrwać.

Jeggred mocniej ścisnął gardło czarodzieja, trzymając drugą bojową łapę przed jego twarzą. Wewnętrzny, ludzki rękoma złapał Pharauna za nadgarstki, zapewne po to, żeby unieвозмоżliwić mu rzucanie zaklęć wymagających gestykulacji. Pharaun przez chwilę mocował się z nim, ale nie miał szans. Spomiędzy żółtych kłów draegloth zwisły żółte skrawki starego mięsa.

- Ona tobą manipuluje - zaskrzeczał Pharaun. Oboje wiedzieli, że ma na myśli Danifae.

- Nie - zaprzeczył Jeggred z szyderczym uśmiechem. - Ona manipuluje tobą. I moją ciotką. - Wypluł ostatnie słowo, jak gdyby miało ohydny smak.

- Jesteś głupcem Jeggredzie - zdołał wykrztusić Pharaun. - I czas to pokaże.

Mag poczuł cuchnący oddech draegloth.

- Nawet jeśli, to ty tego nie dożyjesz, czarodzieju, ponieważ twój czas się kończy. Od dawna ci się to należało.

Jeggred spojrział przez ramię, żeby sprawdzić, czy Danifae albo Quenthel się nie poruszyły. Nie. Iluzoryczny Pharaun siedział na kamieniu pogrążony w błogiej Zadumie.

Ku zaskoczeniu maga żmije przy biczu Quenthel - wszystkie -patrzyły w milczeniu w głąb tunelu, obserwując konfrontację.

Wtedy Pharaun zrozumiał. Skoro żmije obserwowały konfrontację, Quenthel też się jej przyglądała, przynajmniej pośrednio. Chciała się przekonać, co zrobi Pharaun w razie konfrontacji z jej siostrzeńcem. Kolejna próba. Zaczynały go już nudzić.

Jegfred, rzecz jasna, widział w całym tym zajściu wyłącznie okazję do zabicia irytującego rywala. Draegloth uważał zapewne, że skoro w obozie siedzi iluzja Pharauna, będzie mógł wymyślić dowolną historyjkę o zdradzie maga.

Jegfred nachylił się bliżej i Pharaun aż się wzdrygnął od jego kwaśnego oddechu.

- Teraz pojmujesz, co? - zapytał draegloth. - No dalej, krzycz. Będziesz martwy, zanim się obudzą. Powiem im, że straciłem zdrajcę i pożrę twoje serce. Moja ciotka będzie się wściekać, ale na nic więcej się nie odważy.

Pharaun nie był w stanie powstrzymać drwiącego uśmiešku. Jegfred naprawdę był idiotą. Miał subtelność młota bojowego. Mag nie mógł się nadziwić, że draegloth ma w sobie choć kroplę drowiej krwi, tak nieporadnie szło mu spiskowanie. Oczywiście po spotkaniu i zabicu Belshazu wiedział, że rodowód draeglotha nie należy do najświetniejszych.

- Twoja śmierć tak cię bawi? - wyszeptał Jegfred, nachylając się nad magiem.

Pharaun przekreślił głowę, żeby łatwiej mu było mówić.

- Nie, ty.

Po czym wyszeptał pojedyncze słowo, jedno z najpotężniejszych, jakie znał.

Ukryta w nim tajemna moc uderzyła Jegfreda z siłą młota tytanów. Wycisnęła mu z płuc całe powietrze i draegloth wypuścił Pharauna - mag uderzył o ziemię, ale zdołał ustać na nogach - zachwiał się, wybąkał coś i osunął na kolana.

Pharaun wiedział, że słowo ogłuszające obezwładni Jegfreda na krótko. Wiedział też, że w normalnej sytuacji zakłęcie

w ogóle nie miałyby na niego wpływu, ale walka z chwidem-chami osłabiła draeglothą.

Oczywiście idiota Jeggred nie miał o tym pojęcia, tak jak nie miał pojęcia o milczącym przyzwoleniu Quenthel na udzielenie mu nauzki.

Pharaun z przesadną godnością wygładził *piwafwi* i wyprostował sztywny kołnierzyk koszuli. Kiedy zauważył, że pazur Jeggreda rozerwał mu ją na piersi, zagotowało się w nim.

- Idiota - powiedział i trzepnął Jeggreda w łeb. Spodobało mu się to. Zdzielił go jeszcze dwa razy.

Draegloth klęczał przed nim, śliniąc się i jęcząc cicho.

Pharaun popatrzył w górę tunelu i zobaczył dziesięcioro oczu obserwujących ich w ciszy. Pochylił się, żeby spojrzeć w zwiotczałą twarz Jeggreda.

Pharaun chciał podać draeglothowi przygotowaną zawczasu wymówkę - zbierałem komponenty. Użyłem iluzji, aby zapobiec niepokojeniu kogoś, kto po przebudzeniu zobaczy, że mnie nie ma. Niewidzialność jest jednym ze środków bezpieczeństwa, które stosuję, kiedy działam sam — ale zrezygnował. Qu-enthel chciała wypróbować Pharauna i jednocześnie dać Jeggredowi nauzkę. Będzie brnął w to tak długo, jak zechce wysoka kapłanka.

Ujął w dłoń zwiotczały pysk Jeggreda i powiedział:

- Zapamiętaj tę chwilę, demoni pomioście. To lepsze niż ogień, co? Gdybym chciał, mógłbym zawlec cię do jednej z tych kałuż kwasu i wepchnąć ci w nią łeb. Wyobraź to sobie, pół główku. Zakłęcie, którym cię obezwładniłem, nie było szczególnie potężne. Gdybym chciał cię zabić, w mgnieniu oka odarłbym cię z mięsa do kości albo jednym słowem wstrzymał bicie twojego serca. - Znów trzasnął go w pysk, zły na siebie bardziej z powodu Aliiszy niż Jeggreda. Postanowił, że przed za biciem draeglothą wypali mu oczy. Zaczął rzucać zakłęcia...

Powstrzymało go trzaśnięcie z bata.

- Mistrz Mizzyr - zawołała Quenthel ostrym głosem.

Pharaun z wysiłkiem powściągnął gniew. Nachylił się nad ohydłą twarzą Jeggrede'a i powiedział:

- Służ swojej pani, a ja będę służył swojej. Zobaczymy, kto lepiej na tym wyjdzie. Tymczasem rzucę na siebie zaklęcie ewentualności. Może nie wiesz, co oznacza „ewentualność”? To znaczy, że jeśli choć tkniesz mnie swoim cuchnącym łapskiem...

- Magu! - zawołała znów Quenthel. Pharaun oblizał wargi, spojrzał ku wylotowi tunelu i powoli wstał. Draegloth dostał nauczkę. Był ciekaw, czy przeszedł pomyślnie próbę.

Quenthel stała nad iluzorycznym Pharaunem, przyglądając się konfrontacji między magiem a Jeggrede'm. Danifae stała zaraz za nią.

- Wyłumacz się - rozkazała wysoka kapłanka.

Pharaun uniósł dłoń, w której trzymał pajęczyny i wyrecytował bez zająknięcia przygotowaną wymówkę:

- Zbierałem materialne komponenty, mistrzyni. Użyłem iluzji, żeby nie niepokoić twoich żmij, które mogłyby zakłócić ci sen.

W tym momencie żmije syknęły, a Qorra uniosła się do ucha Quenthel i wysyczała coś. Wysoka kapłanka przekrzywiła głowę i kiwnęła nią.

Zakapturzona Danifae przeniosła wzrok z Quenthel na oszłomionego, śliniącego się Jeggrede'a, a potem na Pharauna. Choć w tej chwili była prawie całkowicie bezbronna, nie okazywała strachu. Mistrz Sorcere był ciekaw, czy Quenthel skorzysta z okazji, aby zabić byłą brankę.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała kapłanka Baenre. Prze sunęła dłonią przez iluzję, która znikła, po czym wskazała trzonkiem bicia Jeggrede'a. - Wyjaśnij to.

Pharaun popatrzył na draeglotha, który wreszcie zaczynał wracać do siebie. Demon odruchowo zaciskał i rozluźniał



wszystkie cztery dłonie. Jego jęki przybrały na sile, a ślina utworzyła na podłodze tunelu kałużę.

- A, to — rzekł Pharaun, uśmiechając się do Danifae. - Pod czas waszej nieobecności twój siostrzeniec i ja wdaliśmy się w... dysputę światopoglądową. Obawiam się, że obezwładniła go siła moich argumentów. - Poglaskał łeb draeglotha tak, jak gdyby głaskał ulubionego jaszczura. - Przepraszam, Jeggredzie. Ale chyba już mi wybaczyłeś, prawda? Ustaliliśmy, że się nie zgadzamy.

Jeggred zdołał wydobyć z siebie pomruk, pazury jego bojowych ramion drapały rąbek *piwafwi* maga.

- Tak, no cóż - powiedział Pharaun i cofnął się o krok. - To by było na tyle. Znów jesteśmy przyjaciółmi.

Wrócił tunelem do komnaty i uklonił się przed Quenthel.

- Przepraszam, że zakłóciłem ci Zadumę, mistrzyni - rzekł. Quenthel milczała przez chwilę, zanim odparła:

- Niczego nie zakłóciłeś, mistrzu Mizzrym.

Słyszając te słowa, Pharaun zrozumiał, że pomyślnie przeszedł próbę. Uśmiechnął się znacząco do Danifae i widząc, że Jeggred wraca do siebie, przywołał w myślach kolejne zaklęcie. Na wszelki wypadek.

Efekty działania słowa mocy szybko ustąpiły. Jeggred oddychał ciężko, złościąc pazurami bruzdy w kamieniach. Podniósł się z ziemi, potrząsnął łbem i wbił w Pharauna złowrogie spojrzenie.

- Urwę ci łeb! - ryknął, idąc tunelem.

- Stój - rozkazała Quenthel, ale bez skutku.

Atak draeglotha powstrzymała uniesiona ręka i cichy głos Danifae. Jeggred stał w korytarzu, świdrując Pharauna wściekłym, nienawistnym wzrokiem.

- Wszystko w swoim czasie - powiedziała Danifae, uśmiechając się kwaśno do maga.

- W rzeczy samej - odparła Quenthel, mierząc siostrzeńca lodowatym spojrzeniem.

Pharaun zmusił się do uśmiechu tylko po to, żeby rozdrażnić draeglothę, ale kiedy patrzył na Quenthel i Danifae, słyszał w myślach niepokojące słowa Aliiszy. Może żadna z nich nie była *Yor 'thae*.

Nimor odnalazł księcia Horgara w jego polowej kwaterze - dużej, usianej stalagmitami jaskini w Mrocznym Władztwie, niedaleko linii walk na Tier Breche. Komnata cuchnęła potem, krwią i gęstym dymem pocisków zapalających. Nimor wisiał pod sklepieniem pieczary w swojej półsmoczej postaci, niewidzialny za sprawą zaklęcia.

Oddziały duergarów wpadały i wypadały z komnaty z brzękiem klockowatych pancerzy, spiesząc na pole bitwy lub wracając z niego. Ich śniada skóra była uwalana krwią i poczerniała od dymu. Niektórzy byli wciąż powiększeni - duergarowie posiadali wrodzoną magiczną zdolność podwajania swoich rozmiarów - więc Nimor zakładał, że właśnie wrócili z placu boju.

Rozmawiali ze sobą w swoim prymitywnym języku głębokimi, chrapliwymi głosami. W ich rozmowach Nimor wychwytał nikły cień obawy. Być może krasnoludzcy żołnierze zetknęli się wreszcie z zaklęciami kapłanek Lolth. Jeśli tak, nawet ich ograniczone rozumki zamknięte w łysych łepetynach musiały pojmować, co to oznacza.

Dwaj klerycy w podeszłym wieku, obaj pokrzywieni i pogięci jak serce demona, zajmowali się rannymi. Nimor nie znał imienia ich bóstwa i nie obchodziło go ono. Pieczarą od czasu do czasu wstrząsały odległe wybuchy - bez wątpienia bomby zapalające i czary - aż pył i kamienie leciały ze stropu.

Książę Horgar stał nachylony nad niskim kamiennym stołem i patrząc na prowizoryczną mapę dojsć do Tier Breche wydawał rozkazy dwóm dowódcom stojącym po obu jego stronach. Po

kilku minutach rozmowy, kiwania głowami i wskazywania na mapę dwaj łysi dowódcy przyznali rację Horgarowi, zasalutowali, uderzając drzewcami pik w ziemię i odbiegli.

Horgar został sam nad stołem. Pograżony w myślach, głądził podbródek i patrzył w mapę.

W pobliżu księcia stał jego ochroniarz o twarzy poznaczonej bliznami. Dzierżył młot bojowy, ale jego niedbała postawa zdradzała, że nie spodziewa się, by jego panu mogło coś zagrozić. Nimor uśmiechnął się i wysunął pazury. Wyostrzonymi zmysłami, które zawdzięczał swojemu smoczemu dziedzictwu, przyjrzał się uważnie komnacie. Duergarowie posiadali także wrodzoną umiejętność stawania się niewidzialnymi. Nimor nie chciał żadnych niespodzianek.

Tak jak przypuszczał, nie wyczuł w pieczarze nikogo oprócz tych duergarów, których widział.

Horgar wyprostował się i wbił wzrok w ścianę pieczary, zapewne zmagając się z jakimś problemem czy strategią, która zaprzętała jego żalosny, ciasny umysł. Położył dłoń na trzonku topora i potarł tył łysej głowy.

Nimor aktywował moc broszy, opadł w dół i stanął dokładnie za niespodziewającym się niczego Horgarem. Krasnolud mamrotał coś w swoim prostackim języku.

Poślednie rasy, pomyślał ze wzgardą Nimor.

Nimor mógł odczuwać się do Horgara, zanim go zabije, mógł się pokazać, wzbudzić strach, ale nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Był kiedyś Namaszczoneym Ostrzem, skrytobójcą niemającym sobie równych. Kiedy zabijał, nie potrzebował fanfar.

Poruszając się z szybkością i zwinnością wynikającą z wieoletniej wprawy, sięgnął łapą i rozerwał gardło Horgara. Stał się widzialny w momencie, w którym uderzył.

Z rany w szyi księcia trysnęła krew, obryzgując mapę i ścianę pieczary. Horgar zacharczał i zwałił się na stół, jego bełkot przeszedł w gulgotanie. Książę usiłował się odwrócić, żeby zobaczyć

napastnika, ale Nimor rozplątał mu gardło z taką precyzją, że mięśnie szyi odmówiły szaremu krasnoludowi posłuszeństwa.

Nimor chwycił Horgara za czubek głowy i obrócił mu twarz — żeby zobaczyć, kto go zabił, i aby upewnić się, że duergarscy klerycy nie są już w stanie mu pomóc. Oczy Horgara rozszerzyły się i Nimor odnotował w nich z satysfakcją błysk rozpoznania. Krasnoludowi z rozszarpanego gardła nieubłaganie tętniła krew, a jego sękatę ciało zaczęło dygotać w przedśmiertnych drgawkach. Klerycy nie mogli go już ocalić.

Wokół Nimora rozległy się okrzyki zdumienia i wściekłości, tupot butów, dzwonienie pancerzy, szczęk oręża. Podniósł głowę i zobaczył duergarów biegnących ku niemu ze wszystkich stron, pędzących do boku swego zamordowanego księcia. Niektóre rosły w biegu, z każdym krokiem robiąc się wyższe i szersze. Inne skorzystały z wrodzonej umiejętności stawania się niewidzialnymi i zniknęły mu z oczu.

Nieważne. Nimor uśmiechnął się, zrobił wdech, uruchomił reakcję w swoich płucach i wypuścił z nich obłok skłębionych, żrących cieni, które wypełniły prawie całą jaskinię. Włożył w ten wydech całą swoją nagromadzoną frustrację, wściekłość i wstyd. Obłok ciemności ogarnął atakujących duergarów i wypompał energię z ich dusz. Nimor słyszał, jak krzyczą z bólu, przeklinają i wrzeszczą. Stał, cały i zdrowy, w środku chmury, uśmiechając się do otaczającej go śmierci.

Cienie rozproszyły się szybko. Duergarowie leżeli na podłodze jaskini, niektórzy martwi, niektórzy umierający, niektórzy tak osłabieni, że nie byli w stanie ustać na nogach. Być może kilku z nich przeżyje.

Chyba że natrafi na nich patrol drowów.

Nimor odszukał ochroniarza z bliźniami. Duergar leżał po prawej, wciąż ściskając młot bojowy. Oczy szarego krasnoluda nie były w stanie skupić się na niczym, z kącika ust ciekła mu ślina. Nimor podszedł do niego, ukląkł i spojrział mu w twarz.

- Trzeba było staranniej wybierać sobie pana - powiedział i poderżnął mu gardło.

Zabicie krasnoluda podziało jak katharsis. Zabijanie zawsze poprawiało mu humor.

Nimor wstał bez słowa i przeniósł się na Skraj, zostawiając za sobą jaskinię pełną martwych i umierających duergarów. Przed powrotem do Chaulssin chciał się zobaczyć z Kaanyrem Yhokiem.

Inthracis szedł przez wyłożone mięsem niższe korytarze Tru-piszcz. Mijane przez niego ściany falowały. Porucznik Nisviim, arcanaloth o głowie szakala, szedł obok niego.

Przez ściany dobiegały ich odległe wrzaski śmiertelnych dusz. Zapewne część mezzolothów karmiła jego ulubione canolothy larwami.

- Czy mam zwołać Regiment, Panie? - zapytał Nisviim.

Mimo pyska i zbyt wielkich kłów arcanaloth miał nieskazitelną wymowę i dykcję. Jego ciężkie szaty szeleściły przy każdym kroku. Mówiąc, bawił się jednym z dwóch magicznych pierścieni, które nosił na kosmatych palcach.

- Wkrótce, Nisviimie. - odparł Inthracis - Najpierw musimy załatwić pewną drobną sprawę w moim laboratorium.

Arcanaloth przekrzywił łeb z ciekawością, ale pytania zachował dla siebie.

- Doskonale, panie - powiedział.

Nisviim był równie zdolnym zaklinaczem, co Inthracis ne-kromantą. Zwykle arcanaloth, równie potężny jak Nisviim, nie zadowolili się służbą u Inthracisa, ale Inthracis już dawno temu poznał jego prawdziwe imię. W ten sposób zapewnił sobie jego całkowite oddanie i posłuszeństwo. Jediną alternatywą był dla Nisviima ból.

Dotarli do drzwi z mięsa i kości prowadzących do jednego z alchemicznych laboratoriów Inthracisa. Dwa ogromne, milczące, czteroramienne dergolothy stały przed nimi na straży, oba martwe, oba ożywione zaklęciami Inthracisa. Rozpoznaawszy swego pana, strażnicy nie uczynili nic, aby go zatrzymać.

Inthracis wysłał telepatycznie hasło rozpraszające osłony na drzwiach. Drzwi rozjarzyły się na zielono, gdy osłony opadły. Z zawiasów wysunęły się gnijące ręce, które otworzyły podwoje. W korytarzu rozszedł się miły nozdrzom Inthracisa odór rozkładu.

Inthracis i Nisviim minęli dergolothy i weszli do środka. Truchła Trupiszcza zamknęły za nimi drzwi.

Po podłodze laboratorium pełzały ożywione dłonie, ręce i łapy - efekt eksperymentów Inthracisa. Wszystkie umykały ul-trolothowi z drogi. Na stołach leżało kilka unieruchomionych i magicznie uciszonych diabłów, wszystkie częściowo wypatroszone. Na licznych ławach stały zlewki i kosze na węgiel. Chusteczka, którą Inthracis starł krew Vhaerauna, moczyła się w magicznej zlewce wypełnionej esencją cienia. Spętany me-phit ognia przykuty do zlewki trzymał pod nią drobną, płonąca dłoń. Inthracis miał nadzieję, że uda mu się otrzymać z krwi destylat silnie odporny na Magię Cienia.

- Za mną, Nisviimie - polecił.

Przeszli pod przeciwległą ścianę laboratorium, gdzie Inthracis wymówił słowo mocy. Trupy w ścianach przemieściły się, odsuwając na boki i tworząc łuk. Po drugiej stronie znajdowała się ściśle strzeżona komnata. Inthracis wymówił w myślach serie słów i czasowo dezaktywował osłony.

Ultroth, a za nim jego porucznik, weszli do komnaty.

Arcanaloth był pewien, że nie widział jej nigdy wcześniej, ale Inthracis wiedział, że jest inaczej. Nisviim był w niej wiele razy, ale nic z tego nie pamiętał.

W komnacie, w przezroczystej gablocie ze szkłostali, spoczywało ciało Intracisa. A przynajmniej jedno z nich. Ultro-loth na wszelki wypadek zawsze przechowywał przynajmniej jeden ze swoich klonów w tymczasowym zastoju. Gdyby jego ciało umarło, jego dusza, a także wszystkie wspomnienia i cała wiedza natychmiast zamieszkałyby ciało sobowtóra. Po wyzwoleniu z zastoju klon miał żyć, Intracis miał żyć.

W tej chwili zamieszkiwał ciało trzeciego klona z kolei i był z tego zadowolony. Zginął od szponów diabła przed bramami Dis w bitwie z siłami Dispatera i został pochłonięty przez żrący muł na trzydziestym czwartym poziomie Otchłani.

- Klon, panie - zauważył Nisviim.

Intracis odepchnął od siebie wspomnienia swoich wcześniejszych śmierci i kiwnął głową. Nadszedł czas.

Bez żadnych wstępów wymówił prawdziwe imię Nisviima:

- Wysłuchaj mnie, Gorgalisinie.

Ciało Nisviima natychmiast zwiotczało, jego wzrok stał się nieobecny. Arcanaloth stał całkowicie nieruchomo, niczym ożywiony trup taki jak dergolothy za drzwiami laboratorium. W tej chwili Intracis mógł mu wydać dowolny rozkaz i arcanaloth spełniłby go bez szemrania. Gdyby tylko zapragnął, mógłby zniszczyć jego duszę albo zatrzymać bicie jego serca.

Oczywiście nie pragnął tego. Spętany arcanaloth, którego imię znał, był zbyt cennym sługą, aby zabić go dla rozrywki.

Zamiast tego Intracis powiedział:

- Gdybyś dowiedział się o mojej śmierci albo gdybym nie wrócił do Trupiszcza w ciągu dwóch tygodni od dnia dzisiejszego, wejdiesz do tej komnaty - tu Intracis telepatycznie przekazał umysłowi Nisviima słowa pozwalające ominąć osłony chroniące laboratorium i tajemną komnatę z klonem - i rozproszysz zaklęcie zastoju nałożone na to ciało. Potem wrócisz do swojej kwatery i zapomnisz, że jakiegokolwiek z tych wydażeń miało miejsce. Kiwnij głową, jeśli rozumieasz.

Nisviim kiwnął głową.

— Teraz wróc do swoich komnat - polecił Inthracis - i wyrzuc ze świadomości wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny. Potem odtrąb zbiórkę i wezwij Regiment do Sali Zgromadzeń.

Nisviim kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł powoli z komnaty.

Inthracis patrzył, jak odchodzi, zadowolony, że nawet jeśli zginie w walce z dwiema drowimi kapłankami albo jeśli Vha-eraun zdradzi go i zamorduje, i tak będzie znów żył.

W zadumie przyglądał się swojej dłoni, porównując ją z dłonią klonu w zastoju. Przez kilka uderzeń serca zastanawiał się nad naturą tożsamości. Czy ożywiony klon był wciąż Inthra-cisem? Czy Nisviim był wciąż Nisviimem, kiedy Inthracis zwracał się do niego jego prawdziwym imieniem?

Na chwilę Inthracis wydał się sobie takim samym konstruktem jak Trupiszcze, równie martwym jak truchła czające się w korytarzach twierdzy.



# Ósmy

Nad świątynią przez wiele godzin szalała burza. Feliane i Uluyara siedziały cały czas nieruchomo, pogrążone w Zadumie, której nie mogło zakłócić wściekłe wycie wichru ani skwierczenie dymiącego, kwaśnego deszczu. Halisstra pozwoliła im odpocząć.

Po kilku godzinach nawałnica zelżała, jak gdyby sam plan był zbyt wyczerpany, żeby kontynuować swą tyradę. Nawet wszechobecny wiatr trochę osłabł. Halisstra zmówiła modlitwę dziękczynną do Eilistraee, cichutko wstała i wyszła z prowizorycznej świątyni.

Na zewnątrz zapadał zmrok. Małe słońce Lolth właśnie zniknęło za odległym horyzontem, rzucając ostatnie krwistoczerwone promienie na spustoszony krajobraz. Rzeź w dole też ustała

i Halisstra przez chwilę napawała się ciszą- żadnej burzy, żadnego zawrota pajączycy sieci, żadnego *Yor 'thae*.

Czuła się wolna od Lolth, całkowicie wolna. Zamknęła na chwilę oczy i odetchnęła głęboko czystym powietrzem.

Odwróciła się i zobaczyła, że deszcz wyłobiał rowki w ścianach świątyni, ale symbol Eilistraee nad drzwiami pozostał nie naruszony, nietknięty przez burzę.

Nasza bogini jest uparta, pomyślała Halisstra z uśmiechem.

Wysoko nad nią rzeka dusz płynęła ku swemu wiekiestemu przeznaczeniu. Patrząc na nie, poczuła ukłucie w sercu na myśl o Ryldzie. Miała nadzieję, że odnalazł przynajmniej odrobinę spokoju.

Dusze sunęły ku łańcuchowi poszarpanych górskich szczytów tak wysokich, że wyglądały jak mur między światami. Halisstra zauważyła, że choć na niebie wciąż kłębiły się wiry mocy, było ich jakby mniej.

Miała wrażenie, że wszystko uspokaja się i scala przed ostatecznym rozwiązaniem. Niestety, nie miała pojęcia, co to będzie za rozwiązanie. Przycisnęła Księżycowe Ostrze płazem do dłoni, próbując uspokoić bicie serca.

Czując swoją małość, ale i determinację, podeszła do krawędzi słupa i spojrzała w dół na Pajęczce Otchłanie.

Ich widok przyprawił ją o mdłości.

Dowody niszczącej przemocy przetrwały burzę. Jak okiem sięgnąć, po spękanej ziemi wałyły się odnóża, porozdzierane pancerze i nogogłaszczki. Skały były splamione posoką, której deszcz nie zdołał zmyć. Powierzchnię ziemi szpeciły dziury, jamy i nory. Każdy otwór zasnuwały pajęczce sieci, a z jezior kwasu unosiły się w powietrze trujące opary.

Wiedziała, że wkrótce powróci wiatr, a wraz z nim lament pajączycy sieci i wołanie *Yor 'thae* Lolth.

Dlaczego Lolth potrzebuje tej *Yor'thae*? zastanawiała się Halisstra. Co takiego miała zrobić Wybranka?

Z wysiłkiem odepchnęła od siebie te pytania. Plany Lolth już jej nie dotyczyły.

Dotknęła wytłoczonego na napierśniku symbolu Mrocznej Panny i uśmiechnęła się. Czowała, że wkroczyła na nową ścieżkę, że głos Lolth nie będzie już targał jej duszą. Była wolna od Pajęczej Królowej.

Do czasu, odezwał się z zakamarków jej umysłu uparty głos, ale zepchnęła go jeszcze głębiej.

Słońce zaszło za góry i jego światło zupełnie zgasło. Halis-stra poczuła bolesne swędzenie między łopatkami, jak gdyby ktoś wbijał jej w plecy igły. Odwróciła się i zobaczyła przez wyrwę w chmurach osiem czerwonych gwiazd wznoszących się po niebie. Siedem było jasnych, jedna przyćmiona. Skupione ciasno niczym ślepia pająka, gwiazdy wpatrywały się w Halis-strę z wyraźną wrogością.

Odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem i uniosła w niebo klingę.

Gromph siedział za ogromnym biurkiem z wypolerowanej smoczej kości w swoim gabinecie w Sorcere. Bładozielona kula pod sufitem zalewała pomieszczenie zielonkawą poświatą i rzucała na ściany długie cienie. Gabinet ozdabiała przeróżne drobiazgi, oręż, rzeźby i malowidła, magiczne łupy zbierane przez Grompha przez całe jego długie życie.

Magiczny pierścień prawie całkowicie zregenerował ciało ar-cymaga. Poparzenia zupełnie znikły, pęcherze zagoiły się. Gromph bębnił palcami w blat - skóra była wciąż delikatna i mrowiła - i zastanawiał się nad dalszym postępowaniem.

Choć nie miał czasu do stracenia, zdążył zjeść szybki posiłek składający się z przyprawionych grzybów i wędzonego mięsa rothe, kiedy wraz z Nauzhrorem czekali na przybycie Pratha.

Gromph nie miał czasu wykąpać się ani przebrać, więc wciąż roztaczał wokół siebie odór brudu i spalenizny, który w zamkniętej przestrzeni gabinetu stał się jeszcze bardziej przykry. Gromph zmarszczył nos, po czym wymówił słowa prostej magicznej sztuczki, aby doprowadzić się choć trochę do porządku.

Rozległo się pukanie do drzwi z drewna zurkh prowadzących na korytarz.

- To Prath, arcymagu - zawołał uczeń.

Strzępieniem palca Gromph zawiesił chwilowo osłony na drzwiach.

- Wejź - rozkazał i Prath wszedł.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, osłony znów stały się aktywne.

Prath skinął głową Nauzhrorowi, który siedział na jednym z wystielanych krzeseł naprzeciw biurka Grompha, po czym przeszedł przez pokój.

- Usiądź, uczniu - rzekł Gromph, wskazując drugie krzesło.

Prath zapadł się w nie bez słowa.

Gromph przyjrzał się dwóm czarodziejom, dochodząc do wniosku, że uczeń jest zbyt muskularny i nerwowy, a mistrz zbyt pulchny i ambitny. Ani jeden, ani drugi nie znał jeszcze zamiarów arcymaga.

Prywatny gabinet Grompha był prawdopodobnie najbezpieczniejszym miejscem w mieście, bezpieczną przystanią, z której mógł rozpocząć swój potajemny atak na dom Agrach Dyr. Komnatę otaczała seria osłon - znacznie liczniejszych niż te, które broniły wstępu przez drzwi - mających uniemożliwić nie tylko fizyczne wtargnięcie, ale również wrózenie i inne formy magicznej obserwacji. Gromph odbierał ich obecność podobnie jak łaskotanie odrastających włosków na rękach, jak gdyby powietrze w komnacie było lekko naładowane elektrycznością.

Ze wszystkich magów w Menzoberranzan tylko liczdrow miałby szansę przedrzeć się przez te zabezpieczenia, a i to nie było pewne.

Oczywiście z liczdrowa został tylko proch i Gromph miał zamiar dopilnować, żeby tak już zostało.

Obok resztek posiłku na gładkim białym blacie biurka stał w połowie pusty kielich wzmacniającego grzybowego wina. Obok kielicha i srebrnego półmiska leżał jeden z dwóch osobistych kryształów wróżących Grompha. W przeciwieństwie do kryształowej kuli i wielkiej soczewki w komnacie wróżenia w Sorcere kryształ na biurku nie miał gładkiej powierzchni - była to nieregularna, poprzecinana brązowymi, czarnymi i czerwonymi żyłkami bryła chryzoberylu wielkości głowy. W Świecie Ponad nazywano ją „kocim okiem”, a jej właściwości były wysoko cenione.

Niestety, kryształ chryzoberylu miał zazwyczaj mniejszy zasięg niż inne rodzaje kryształów. Mimo to do wróżenia na mniejszą odległość nic nie nadawało się lepiej. A kryształ Grompha miał dodatkową zaletę: arcyomag mógł przezeń rzucać pewne typy czarów.

Kryształ spoczywał na trójkątym stojaku z szarego kamienia o niezwyklej strukturze. Stojak ozdabiał motyw oka. Gromph wyrzeźbił go ze sferycznego ciała tyrana wielu oczu, którego dawno temu obrócił w czasie walki w kamień.

- Niezwykły kryształ - zauważył Nauzhror. - Nigdy takiego nie widziałem.

- Sam go wykonałem - odparł Gromph. - I nigdy nie zapiłem procesu jego tworzenia.

Nauzhror tylko kiwnął głową, przyglądając się kryształowi.

Gromph pociągnął łyk grzybowego wina. Jego gorzki smak pozostawiał na języku przyjemną cierpkość. Wino wzmacniało jego wolę. Położył opuszki palców na fasetowanej powierzchni kryształu. Był chłodny w dotyku, choć uwięziona w nim

magia poraziła jego dłoń prądem. Przesuwał palcami po jego powierzchni, obwodząc krawędzie i dostrajając go do swojej woli.

Nauzhor i Prath obserwowali arcy maga w pełnej oczekiwania ciszy.

Gromph zamknął oczy, aby zobaczyć w umyśle linie mocy wewnątrz chryzoberylu. Czekał, aż zaistnieje połączenie między kamieniem a jego umysłem.

Gotowe.

Uśmiechnął się, czując, że kryształ stał się przedłużeniem jego własnego umysłu, jego własnych zmysłów. Wciąż połączony z nim, otworzył oczy i kiwnął głową z zadowoleniem. Kolorowe żyłki wewnątrz chryzoberylu zlały się ze sobą, tak że kamień stał się jednolicie czarny, a zaraz potem mgliście szary.

- Gotowe - rzekł, tyleż do siebie, co do Pratha i Nauzhora.

- Rzeczywiście - rzekł Nauzhor. - Czy mamy ci służyć pomocą, arcy maga?

- Tak - odparł Gromph. - Ale jeszcze nie teraz. Bądź cierpliwy, Nauzhorze.

Prath nachylił się do przodu w swoim krześle, trzymając łokcie na kolanach. Przyglądając się wirującej szarej mgli wewnątrz kryształu, zapytał:

-Arcy maga, rozumiem, że masz zamiar zlustrować dom Agrach Dyr. Dlaczego nie użyć w tym celu komnaty jasnowidzenia? Kryształ, który tam...

Zanim Gromph zdążył się odezwać, Nauzhor odpowiedział mu tonem, jakim strofuje się wyjątkowo tępego ucznia:

- Bo tylko Baenre mają o tym wiedzieć. W murach Sorcere mogą być prócz Voriona inni szpiedzy.

Gromph uniósł brew. Analiza Nauzhora zrobiła na nim wrażenie. Mistrz okazał się nad wyraz przenikliwy. Wkrótce będzie go musiał awansować w hierarchii Sorcere albo, jeśli jego ambicje okażą się zbyt duże, zabić.

- Mistrz Nauzhror podał tylko jeden z kilku powodów - rzekł Gromph, obdarzając mistrza Sorcere spojrzeniem wyrażającym powściągliwą aprobatę. - Oprócz tego wiem, że mój gabinet jest zabezpieczony przed jasnowidzami Yasra-eny. Co do osłon chroniących komnatę jasnowidzenia nie mogę mieć tej pewności. Nie mamy teraz czasu, żeby to sprawdzić. Trzeci powód jest taki, że obaj będziecie mi potrzebni tutaj, w moim gabinecie, aby uwiarygodnić mój podstęp.

- Podstęp? - zapytał Prath.

- Potrzebni? zapytał Nauzhror.

Gromph pożałował doboru słów w chwili, w której je wymówił. Twarz Nauzhrora zdradzała źle ukrywane podniecenie, jakie wywołało użycie słowa „potrzebni”. Nawet Prath sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego.

Gromph natychmiast naprawił swój błąd.

Wbił lodowaty wzrok w pulchną twarz Nauzhrora i rzekł:

-To tylko kwestia wygody, Nauzhrorze. Niczego więcej. Każdy mag Baenre by się nadał. Może nawet lepiej niż ty. Czy mam się ciebie pozbyć?

Mnogość znaczeń, jakie krył w sobie ten eufemizm, zawisła w powietrzu między nimi.

Nauzhror pokręcił głową tak gwałtownie, że zatrzęsł mu się kałdun.

- Nie, arcymagu zapewnił. Jestem zaszczycony, mogąc służyć ci nawet drobną pomocą w tak ważkiej kwestii. Chciałbym tylko wiedzieć, co zamierzasz.

- I dowiesz się - odparł Gromph. W swoim czasie i nie wszystkiego.

Gromph zmierzył wzrokiem Pratha, w którego spojrzeniu nie było śladu wyzwania. Gromph był lekko rozczarowany.

- Cieszę się, że mogę ci się przydać, arcymagu - powiedział niepotrzebnie uczeń.

- Wiem - odrzekł Gromph. Kilka godzin wcześniej Prath odciął sobie kawałek mięsa, żeby dostarczyć Gromphowi potrzebnego materialnego komponentu. Na palcu miał wciąż bliznę.

Prath był lojalny, ale Gromph gardził lojalnością. Było to zbyt kapryśne uczucie, można je było łatwo podkopać, zmanipulować. Gromph nie wymagał lojalności, tylko posłuszeństwa, które wzbudzał strachem przed swą mocą. Uznał, że będzie musiał Pratha uważnie obserwować, choć uczeń mógł mu się przydać w ciągu kilku następnych godzin.

- Dobrze więc - powiedział Gromph. - Najpierw ustalmy naturę czekającego nas wyzwania.

Skoncentrował się na kryształach i w szarej mgłę zawirowały barwne smugi. Prath i Nauzhror przyglądali się bacznie. Obaj przysunęli się z krzesłami do biurka Grompha.

- Filakterium liczdrowa musi się znajdować w domu Agrach Dyr - oznajmił Gromph, wyrażając na głos swoje myśli i nadzieje. - A przynajmniej musi tamtędy istnieć dostęp do niego.

- Zasadne przypuszczenie, arcymagu. - Nauzhror podrapał się po policzku. - Ale nawet jeśli filakterium tam jest, czy nie będzie pilnie chronione przez zaklęciami lokalizującymi?

- Będzie - potwierdził Gromph.

Gromph wyobraził sobie dom Agrach Dyr - fosę, most, fortyfikację ze stalaktytów i adamantytu i adamantytową fortecę wewnątrz murów. W przeszłości był to wiele razy. Przywołał te wspomnienia, aby zogniskować na nich wizję.

- Więc jak zamierzasz je znaleźć? - zapytał Nauzhror.

Na pełnym skupieniu obliczu arcymaga pojawił się uśmiech.

- Nie zamierzam go znaleźć. - Pozwolił, by jego podwładni wymienili zmieszane spojrzenia, zanim dodał: -Zamierzam znaleźć wszystko oprócz niego.

Na twarzy Pratha wciąż malowała się konsternacja, ale na twarzy Nauzhrora zaczynało świtać zrozumienie.



- Sprytne, arcy maga - powiedział Nauzhror i Gromph usłyszał w jego głosie niekłamany podziw.

Gromph nie podziękował za komplement, tylko pozwolił umysłowi zapasć się głębiej w kryształ, a świadomości unosić się na jego wielu fasetach.

- Co zamierza arcy maga? - wyszeptał Prath do Nauzhrora.

Nie musiał ściszać głosu. Gromph potrafił zachować skupienie, prowadząc jednocześnie rozmowę, a nawet płonąc w ogniu piekielnym.

- Wykluczyć pewne możliwości - odparł mistrz Sorcere. - Patrz i ucz się, Prathu Baenre.

Prath wyglądał, jak gdyby chciał jeszcze o coś zapytać, ale powstrzymał się.

Mgła w kryształach rozwinęła się i ich oczom ukazał się dom Agrach Dyr. Nauzhror i Prath nachylili się do przodu, opierając łokcie na biurku Grompha.

Gromph zmusił kryształ do zmiany perspektywy i zobaczył fortecę z góry, jak gdyby wisiał pod stropem pieczary Menzo-berranzan.

Twierdza Agrach Dyr składała się z serii koncentrycznych okręgów ze świątynią Lolth w samym środku. Cały kompleks opasywała szeroko fosa w głębokiej rozpadlinie. Nad rozpadliną wyrastał pierścień dziewięciu stalagmitów, z których każdy był gruby jak pas olbrzyma i wysoki jak tytan. Pomiedzy stalagmitami wzniesiono mury z adamantytu. Drugi, niższy adamantytowy mur otaczał wewnętrzne budynki.

Gromph przesunął widzące oko w dół, ku fosie, i zobaczył ciała unoszące się na wodzie twarzą w dół, poparzone, wzdęte, pozbawione głów. Wiele należało do drowów, część do orków i ogrow, niektórych nie dawało się rozpoznać.

- Żołnierze Xorlarrinów - zauważył Nauzhror.

Gromph kiwnął głową.

- Może także kilku Dyrów - powiedział.

Fosa służyła przede wszystkim do skanalizowania sił nieprzyjaciela. Doświadczeni magowie potrafili przerzucić nad nią magiczną konstrukcję albo nad nią przelecieć, ale trudno było zaatakować mury w więcej niż kilku miejscach naraz bez zużycia znacznych magicznych zasobów. A po sforsowaniu rozpadliny atakujący musieli jeszcze stawić czoła posepnym zewnętrznym obwarowaniom domu Agrach Dyrr.

Na szczycie zewnętrznego muru z kamienia i metalu zgromadziły się siły Dyrrów - drowy, ogry, trolle, magowie, kilka kapłanek Yasraeny. Spoglądali na oblegające twierdzę siły Xor-larrinów przez wąskie szczeliny w kamiennych parapetach. Gromphowi przypominali owady rojące się wewnątrz ula.

Brzeży fosy spinał pojedynczy adamantytowy most, wąska metalowa płyta pozbawiona barierek, po której mogło przejść ramię w ramię dwóch, może trzech mężczyzn. Gromph przypuszczał, że most został zaprojektowany tak, aby w razie potrzeby można go było zrzucić w przepaść. Na końcu mostu znajdowały się masywne wrota z adamantytu i mithralu, stanowiące jedyne przejście na drugą stronę stalagmitowego muru. W cieńcu wrót leżały popalone ciała ośmiu ogrów. Metalowy taran, który przyniosły, leżał w poprzek mostu. Gromph wiedział, że nie zostawił na wrotach nawet zadrapania. Tak jak we wszystkich drowich rezydencjach wrota, mury, most, fosa i sam dom Agrach Dyrr były strzeżone mnóstwem ochronnych czarów i zaklęć rzuconych przez liczdrowa i długi ród potężnych matek opiekunek.

Dom Agrach Dyrr miał trwać dopóty, dopóki osłony pozostaną aktywne. Gromph wiedział, że czarodzieje Xorlarrinów, pomimo swej zasłużonej sławy, będą mieli kłopot z rozproszeniem zaklęć rzuconych przez liczdrowa. Dopóki zabezpieczenia nie zostaną zlikwidowane, czary Xorlarrinów nie będą w stanie uszkodzić murów domu Agrach Dyrr, tak jak płomień świecy nie mógł zrobić krzywdy żywiołakowi ognia.

- Oblężenie będzie długie i krwawe - stwierdził Nauzhror. Mistrz Sorcere i Prath nachylili się nad biurkiem do tego stopnia, że ich głowy prawie zetknęły się z głową Grompha.

- A jeszcze dłuższe i bardziej krwawe, jeśli liczdrow powróci - rzekł Gromph, a młodszy magowie wymienili spojrzenia.

- Ile mamy czasu, arcymagu? - zapytał Prath.

- Nie jestem pewny - przyznał Gromph. - Ale mniej, niż bym chciał.

Prath sposepniał i opadł z powrotem na oparcie krzesła.

Gromph znów skupił się na kryształach i zobaczył gros sił Xor-larrinów zgromadzonych po drugiej stronie mostu, tuż poza zasięgiem kusz i zaklęć.

Gromph dostrzegł tam pajęczą kawalerię, drowią piechotę, dwudziestu kilku odzianych w szaty magów, garstkę kapłanek i tłum żołnierzy ostatnich ras. Wyglądało na to, że napór oblegających osłabł na chwilę, jak gdyby dom Xorlarrin obmyślał nową strategię.

Gromph przesunął obraz nad stalagmitowym murem i przybliżył go. Wewnątrz obwarowań stały przysadziste, połączone ze sobą budynki właściwego domu Agrach Dyr. Dominowała nad nimi świątynia Lolth, zwieńczony kopułą przybytek osadzony w środku kompleksu, który przypominał z góry sylwetkę pająka.

- Zobaczmy, co tu mamy - powiedział Gromph i wyszeptał słowa zaklęcia, które pozwalało widzieć magiczne emanacje, ich siłę i rodzaj. Mógł po prostu aktywować permanentny dwomer, który pozwalał mu widzieć emanacje tego typu, ale chciał, żeby jego podwładni też je zobaczyli.

Kiedy skończył i zaklęcie zadziało, Nauzhror wciągnął gwałtownie powietrze w płuca.

- Na osiem odnóży Lolth - zaklął Prath, a Gromph wybażył mu to bluźnierstwo.

Budynek, most i fosę spowijały niezliczone warstwy ochronnych zaklęć. Było ich więcej niż Gromph się spodziewał. Czar Grompha przekładał owe osłony na sieć jarzących się linii, macrycę pulsujących mocą żyłek biegnących wzdłuż i wewnątrz kamieni fortecy. Magiczna energia przepływająca przez ściany, posadzki i stropy domu Agrach Dyrr prawie dorównywała energii otaczającej prywatne komnaty Grompha. Liczdowny i kapłanki Dyrr nie próżnowały przez wieki.

Niektóre osłony żarzyły się ochrą i zielenią, inne głębokim błękitem, a jeszcze inne gorącą purpurą. Większość z nich miała za zadanie uniemożliwić fizyczne wtargnięcie, wzmocnić odporność budynków na ataki albo osłabić lub zanegować magiczne efekty, ale wiele miało uniemożliwić magiczne próby zlustrowania wnętrza twierdzy. To właśnie one najbardziej interesowały Grompha, przynajmniej na razie.

Wśród różnych typów osłon znajdowały się zaklęcia-pułapki, czary zabijające i alarmy, które uruchamiała nieudana próba sforsowania danego zabezpieczenia.

- Wszystko po kolei - rzekł Gromph do siebie i towarzyszących mu magów.

Wyszeptał ciąg tajemnych słów i zmodyfikował nieco zaklęcie, aby pokazywało mu jedynie jarzące się błękitem linie osłon przeciwko jasnowidzeniu. Tworzyły one misterną sieć otaczającą całą fortecę. Różne pomniejsze sieci okrywały tylko niektóre budynki lub pomieszczenia wewnątrz nich.

- Jest gęsta jak sieć rybacka - zauważył Prath.

- To prawda - przyznał Nauzhror. - Pełno alarmów, ale nie widzę wśród osłon przeciw jasnowidzeniu żadnych zabójczych zaklęć-pułapek.

- Ja też nie - stwierdził z zadowoleniem Gromph.

Zaklęcia-pułapki umieszczone wśród osłon otaczających jego gabinet, jeśli zostały uruchomione, więziły duszę niedoszłego

jasnowidza albo doprowadzały go do szaleństwa. Dyrrowie nie byli aż tak skrupulatni.

Gromph badał przez chwilę strukturę osłon, szukając jakiejś furtki. Niestety, nie znalazł żadnej. Postanowił przypuścić dłuższy szturm.

Wziął dla uspokojenia głęboki oddech i zarządził:

- Zaczynamy.

Potępiiony Legion przystąpił do odwrotu, Nimor nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Tanarukowie zdążyli już opuścić plantacje grzybów w Donigarten i tylko symboliczne siły broniły tuneli na wschód od miasta. Tunele patrolowała pajęczna jazda domu Shobalar oraz piechota domów Barrison Del'Armgo i Hunzrin.

Znów niewidoczny, pod osłoną cieni i mroku, Nimor prze-mykał między liniami drowów. Widział, że przygotowują się do kontrataku. Kusilo go, żeby zabić po drodze kilku mrocznych elfów, z czystej niegodziwości, ale nie zrobił tego. Z Menzoberranzańczykami nic go już nie łączyło.

Kontratak, który drowy tak starannie planowały, miał prawdopodobnie uderzyć w próżnię. Zanim pierścień Narbondelu pokaże kolejną godzinę, Potępiony Legion rozplynie się w Pod-mroku, umykając do swoich nor pod Twierdzą Piekielnej Bramy. Było mało prawdopodobne, myślał Nimor, że umęczone drowy będą ich ścigać, zwłaszcza że duergarowie wciąż szturmowali Tier Breche. Nimor uznał za ironię losu fakt, iż Vhok okazał się bardziej skuteczny w odwrocie niż w ataku.

Minąwszy linie drowów, Nimor leciał teraz przez puste prze-ważnie tunele, tylko od czasu do czasu natykając się na drowiego zwiadowcę. Sądząc po śladach na kamieniach, większość walk pomiędzy Potępionym Legionem a Menzoberranzańczykami

miało miejsce właśnie tutaj. Posadzkę tuneli znaczyły wgłębienia pozostawione przez mnóstwo nabijanych ćwiekami butów, tu i ówdzie na skale widniały plamy krwi, w kilku komnatach wałały się odrąbane części ciała i truchła pajaków, po ziemi rozrzucony był połamany oręż, tarcze i ogniwa kolczuga, a na ścianach zostały czarne plamy spalenizny.

Nimor nie widział żadnych ciał, dopóki...

Wąski, kręty boczny tunel otwierał się na dużajaskinię, w której leżały zakrwawione trupy czterdziestu duergarów. Wyglądało to tak, jak gdyby piechurzy zostali przyparci do ślepej ściany i walczyli do ostatniej kropli krwi. Po ziemi wałała się połamana broń, wgniecione pancerze i rozplątane tarcze. Posadzka była uwalana krwią, wciąż lepka w dotyku. Duergarowie zostali posiekani na strzępy i była to robota toporów i mieczy tanarukków, nie eleganckich drowich kling.

- Dobra robota, Kaanyrze - skwitował Nimor.

Wyglądało na to, że Vhok, podobnie jak Nimor, postanowił przed odwrotem odciąć się od swojego sojuszu z duergarami. Widocznie Vhok też nie lubił zostawiać za sobą nierozwiązanych spraw.

Vhok dobrze zaplanował odwrót. Podczas ucieczki z Men-zoberranzan nie poniósł prawie żadnych strat, a padlinożercy w ciągu dziesięciu dni oczyszczą jaskinię z ciał duergarów. W Podmroku mięso żywe lub martwe, prędzej czy później zostawało skonsumowane. Nikt oprócz Nimora nie znajdzie żadnych dowodów na to, że Kaanyr zdradził szare krasnoludy.

Wciąż niewidzialny Nimor zostawił martwych duergarów i kontynuował lot przez jaskinie. Po pewnym czasie zaczął natrafiać na grupki wycofujących się sił Kaanyra. Oddziały pokrytych łuską, rogatych tanarukków - stworów dorównujących dzikością orkom, a sprytem demonom - maszerowały krętymi tunelami z bronią w pogotowiu, wypatrując nabiegłymi krwią oczyma oznak pogoni. Dudnienie ich butów i szcęk rynsztun-

ku odbijały się echem od skał. Nimor przemykał nad nimi i między nimi niczym duch i tylko podmuch bijących smoczyczych skrzydeł zdradzał obecność skrytobójcy.

Przez jakieś pół godziny Nimor śledził wycofujących się tanarukków. Półorki, półdemony zmierzali w określonym kierunku, prawdopodobnie ku ustalonemu miejscu zbiórki, a Nimor przeskakiwał od jednej grupki do następnej. Wiedział, że w końcu natknie się na Vhoka.

Nimor usłyszał kambiona, zanim go zobaczył - z naprzeciwka dobiegły go ochryple głosy, tupot dziesiątków butów, brzęk ciężkiej zbroi i wydawane surowym głosem rozkazy. Nimor załopotał skrzydłami, przyspieszając, i dostrzegł kambiona na przodzie długiej kolumny niosących pochodnie tanarukków. U boku Vhoka szedł jego adiutant Rorgak, tanarukk o kłach dzikiej świni, szeroki w barach, nawet jak na przedstawiciela swojej rasy. Wyglądało na to, że Vhok znalazł się na czele rejte-rujących oddziałów.

Nimor uśmiechnął się, odkrywając nowe cechy charakteru Vhoka - kambion był hałaśliwym tyranem, ale cichym tchórzem.

Mimo to dowodził armią i mógł się jeszcze do czegoś przydać.

Nimor wyprzedził kolumnę, opadł na ziemię i stał się znów widzialny.

Przez szeregi tanarukków przebiegł niski, groźny pomruk. Kolumna zatrzymała się gwałtownie. W dłoniach Vhoka i Ror-gaka w ułamku sekundy znalazła się broń.

Rorgak, z wielkim mieczem w ręku, rzucił się w stronę Ni-mora. Kilku tanarukków za plecami Vhoka wysunęło się do przodu.

Vhok zatrzymał ich wszystkich uniesieniem ręki i krótkim rozkazem.

- Stać - rozkazał kambion i tanarukkowie zatrzymali się. Nawet Rorgak.

Dziesiątki czerwonych, wygłodniałych ślepi wbiło się w Ni-mora.

Nimor uniósł ręce, pokazując, że nie jest uzbrojony, choć wiedział, że jego skrzydła i kły muszą wyglądać niepokojąco. Vhok i jego żołnierze nigdy przedtem nie widzieli go w jego półsmoczej postaci. Gdyby okazało się to konieczne, skrytobójca mógł szybko umknąć na Skraj.

- Nimor - rzekł Vhok, unosząc skośne brwi. - Prawie cię nie poznałem. Wyglądasz inaczej niż przy naszym ostatnim spotkaniu. - Schował do pochwy pokrytą runami klingę i rzucił Nimorowi twarde spojrzenie. - Rzykujesz, pokazując swoją samotną drowią twarz moim ludziom i mnie.

Tanarukowie obok Vhoka warknęli na znak zgody. Rorgak nie spuszczał z zabójcy wzroku, wciąż trzymając oręż w ręku. Nimor machnął skrzydłami, z nozdrzy pociekł mu cień.

- Jak widzisz, Kaanyrze, taki ze mnie drow, jaki z ciebie czło-wiek, a z nich orki.

Słyszając to, Vhok uśmiechnął się i kiwnął głową, przyznając mu rację. Kilku tanaruków zarechotało.

- A więc? - zapytał kambion. - Czy chcesz mi przedstawić następny cudowny plan? - Wskazał swoją sponiewieraną, wycofującą się kolumnę. - Widzisz, do czego doprowadził twój poprzedni pomysł.

Żołnierze Vhoka roześmiali się, ale był to śmiech wymuszony. Odwrót musiał być dla nich powodem do wstydu. Nimor z trudem utrzymał na twarzy uśmiech.

- Być może - rzekł. - Ale porozmawiam o nim na osobności. Twój namiot?

Nimor wiedział, że namiot Vhoka jest magiczny i na rozkaz rozkłada się lub kurczy do rozmiarów pięści, więc zawsze mógł zapewnić odrobinę prywatności.

Vhok przyglądał się przez chwilę twarzy Nimora, zanim odpowiedział:



- Świetnie. - A do Rorgaka: - Zarządz posiłek. Wkrótce wrócę.

Vhok dodał coś półgłosem, zwracając się do swojego porucznika w piekielnym. Choć Nimor nie rozumiał tego języka, rozumiał znaczenie rozkazu. Vhok polecił Rorgakowi zachować czujność na wypadek gdyby Nimor zaatakował kambiona w namiocie.

Nimor patrzył, jak zwalisty, pokryty czerwoną łuską porucznik kiwa głową, a potem dołącza do swoich, wydając rozkazy. Kolumna tanarukków rozproszyła się, ale wielu żołnierzy nie spuszczało przekrwionych oczu z Nimora.

Vhok wyciągnął z sakwy magiczny zwitek materiału, wybrał w miarę płaski odcinek tunelu i rzucił zwitek na ziemię, wymawiając słowo-rokaz w szorstkim, zapomnianym języku.

Materiał zaczął się rozwijać, aż w końcu rozłożył się w zło-to-czerwony, ozdobiony proporczykami namiot, który Nimor tak dobrze znał. Vhok zaprosił go gestem do środka. Jedną dłoń trzymał na rękojeści miecza, a jego napierśnik lśnił w blasku pochodni.

Nimor zwinął skrzydła i wszedł do środka. Wnętrze namiotu było wyposażone w drewniany stół, wygodną otomanę i pluszową sofę. Karafka czegoś, co Nimor uznał za brandy -jedna ze słabostek Vhoka - stała na stole obok dwóch pustych szklanek.

- Umeblowany i wyposażony - rzekł Nimor, obracając się.  
- Wspaniały magiczny przedmiot, Kaanyrze. Brakuje tylko tan cerek. A właśnie, gdzie twój skrzydlaty cukiereczek?

Vhok prychnął szyderczo, ale Nimor wyczuł, że to poza.

- Odszedł - rzekł Vhok. - Przynajmniej na pewien czas.

- Ach, ta niewieścia niestałość - powiedział Nimor i uznał, że nie będzie bardziej naciskać. - Czy mogę usiąść? - zapytał.

Vhok wskazał sofę. Nimor przeszedł przez namiot i opadł na nią.

- Nie musieliśmy przegrać tej walki, Kaanyrze - powiedział.

- W tej walce brał udział tylko jeden z nas - odparł Vhok.  
-Drugi uciekł, gdy zrobiło się gorąco.

Nimor z wysiłkiem zachował uśmiech na twarzy.

Na zewnątrz namiotu, obok wejścia, wyostrzony słuch Ni-mora wychwycił ciche szuranie butów na kamieniach - bez wątpienia Rorgak.

Dopiero gdy w pełni odzyskał panowanie nad głosem, odrzekł:

- Tylko powrót Lolth ocalił Menzoberranzan. To i chybiony wybór sojuszników.

Vhok spojrział na niego ostro.

- Nie was - wyjaśnił Nimor. - Duergarów.

Wyraz twarzy Vhoka złagodniał.

- To prawda - powiedział, kiwając głową.

Ku dziwieniu Nimora kambion napełnił z karafki dwa małe kielichy i podał mu jeden. Nimor wziął go, ale nie pił. Vhok wciąż stał.

- Nasze książątko nie żyje - oznajmił Nimor, kołyszając brandy w kielichu.

Vhok uniósł brew.

-Ty?

Nimor kiwnął głową. Kiedy Vhok pociągnął brandy, zrobił to samo. Trunek był zacny.

- Dobrze tak temu małemu głupcowi - stwierdził kambion. - Duergarowie to bezużyteczne stworzenia.

- Przynajmniej co do tego się zgadzamy, Kaanyrze - rzekł Nimor. - Szare krasnoludy to rasa imbecyli. - Po chwili przerwę dodał: - Znalazłem cię, aby podziękować ci, że ostrzegłeś mnie o powrocie Lolth, kiedy walczyłem z arcymagiem.

Vhok uśmiechnął się znad brzegu pucharu.

- Byliśmy sojusznikami.

- Rzeczywiście. I jeśli o mnie chodzi, nadal nimi jesteśmy. Kiedy Vhok nie odpowiedział, Nimor wypełnił ciszę, wznosząc kielich w toaście:

- Za wielkie przedsięwzięcia.

Vhok uniósł bez przekonania swój puchar i pociągnął łyk, obserwując Nimora znad jego brzegu. Potem zapytał:

- Czy to wszystko, drowie? A może wróciłeś tylko po to, żeby wyrazić swoją wdzięczność i napić się mojej brandy?

Nimor postanowił wziąć arogancję Vhoka za żart i wybuchnął śmiechem. Nachylił się do przodu, aby ponownie napełnić swój kielich. Nalewając sobie brandy, powiedział:

- Będą inne bitwy, Kaanyrze. Może nie jutro ani pojutrze, ale kiedyś. Jak mówiłem, wciąż uważam cię za swojego sojusznika. Razem odnosiliśmy sukcesy i odnieśliśmy triumf, gdyby nie pewne nieprzewidziane okoliczności.

- Nieprzewidziane okoliczności? - prychnął Vhok. - Masz na myśli powrót Lolth?

Nimor wzruszył ramionami, odchylił się na oparcie sofy i pociągnął kolejny łyk brandy.

- Nazywaj to jak chcesz - odparł. - Czy zaprzeczysz, że stworzyliśmy zgrany zespół?

Vhok zastanowił się nad tym.

- Nie zaprzeczę - rzekł kambion - ale w tej chwili wolałbym nigdy cię nie spotkać i nigdy nie zobaczyć tego przeklętego drowiego ula.

Nimor kiwnął głową, jak gdyby ze zrozumieniem.

- Ale uczucia zmieniają się z czasem i z odległością - dodał Vhok. - A ja jestem zawsze otwarty na przyszłe możliwości. Pod warunkiem, że nie ma w nich miejsca dla duergarów.

Roześmiał się i Nimor zawtórował mu.

To była odpowiedź, jaką Nimor chciał otrzymać. Vhok mógł być cennym sprzymierzeńcem w jego dążeniach do odzyskania tytułu Namaszczonego Ostrza.

- Wiem, gdzie cię szukać - powiedział Nimor.

Vhok odstawił kielich i wbił w niego wzrok z twardym uśmiechem.

- Czy to groźba? - zapytał.

Szuranie na zewnątrz namiotu.

- Konstatacja faktu - odparł Nimor. - Jeszcze się zobaczymy, Vhoku. Nie mam co do tego wątpliwości.

To powiedziawszy, Nimor aktywował pierścień i przeniósł się na Skraj, zostawiając Menzoberranzan i jego okolice daleko za sobą.

Ze wzrokiem wbitym w obraz w kryształach Prath i Nauzhror obserwowali, jak Gromph zaczyna szturmować dom Agrach Dyr.

Gromph wyszeptał inkantacje kilku wstępnych zaklęć mających spotęgować jego magiczny wzrok i przystąpił do dzieła.

Sforsowanie zewnętrznej sieci osłon otaczających fortecę okazało się zaskakujące proste. Nie naruszając siatki, nie przerywając żadnej z połączonych ze sobą linii mocy, łagodnie odsunął kilka z nich na bok, stworzył conceptualny wyłom w warstwach sieci i wsunął do środka swoje widzące oko.

- Dobra robota, arcymagu - pochwalił Nauzhror, wypuszczając głośno powietrze. Prath tylko się uśmiechnął.

Czekała nań druga warstwa splecionych misternie osłon -szywniej sza magia, której nie był w stanie nagiąć, nie aktywując przy tym alarmów. Po chwili obserwacji zdecydował się na inne rozwiązanie. Ale musiał się spieszyć.

Świadomy tego, że się poci, Gromph tak szybko rzucił dwa zaklęcia jedno po drugim, że mogłyby stanowić pojedynczą inkantację. Najpierw odłączył drobny wycinek sieci. Przy następnym oddechu gwałtownie rozproszył osłony w odciętej części, otwierając wyrwę w siatce, i wsunął do środka widzące oko. Zmienił perspektywę i wstrzymując oddech rozproszył pierwsze zaklęcie.

Cała sieć zadrżała, gdy przepływ magii został na chwilę zakłócony maleńkim wyłomem, którego dokonał.

Wypuścił powoli powietrze, gdy magia obiegnęła otwór i popłynęła od nowa. Sieć naprawiła się sama. Udało mu się. Do stał się do środka.

- Śmiało posunięcie - wyszeptał Nauzhror.

Gromph przesunął widzące oko na poziom ziemi, wewnątrz murów twierdzy Agrach Dyrrow. Odczekał chwilę, dochodząc do siebie.

Wiedział, że teraz będzie miał do czynienia tylko z wiązkami osłon o różnej mocy, pomniejszych siatkami strzegącymi tego czy innego pomieszczenia lub budynku. Większość z nich nie miała połączenia z główną siecią zabezpieczeń.

Nie spuszczać wzroku z obrazu zdjął jedną dłoń z kryształu i wysączył resztę grzybowego wina. Prath rozejrzał się po gabinecie i znalazł butelkę na stoliku obok. Przyniósł ją i napełnił z powrotem kielich.

Gromph po kolei forsował lub omijał każdą z osłon. Mógł je z łatwością rozproszyć, ale wiedział, że prędzej czy później wyjdzie to na jaw. Te, których nie potrafił rozpracować, rozpraszał, ale po zbadaniu budynku lub pomieszczenia zastępował je podobnymi zabezpieczeniami rzuconymi przez siebie.

- Ani śladu - stwierdził Prath.

- Ani śladu - przyznał Gromph. Przynajmniej na razie.

Prawdopodobnie magia osłaniająca filakterium liczdrowa była ukryta przed widzącym okiem. Mógł je „zobaczyć” dopiero wtedy, gdy na nie wpadł. A zatem mógł zlokalizować filakterium wyłącznie drogą eliminacji - w końcu trafi na miejsce, które będzie wyglądało na niezabezpieczone, ale którego spenetrować nie będzie w stanie. Właśnie tam będzie ukryte filakterium.

Oczywiście istniała możliwość, że filakterium w ogóle nie ma w stalagmitowej fortecy. W tym wypadku nie uda mu się go znaleźć, zanim liczdrow odzyska cielesną postać. Skłoniło go to do zastanowienia. Ale zaraz odepchnął od siebie te myśli.

Metodycznie lustrował widzącym okiem każdy z budynków, pomieszczenie po pomieszczeniu.

Nauzhror nachylił się jeszcze bardziej nad kryształem, ale spojrzenie Grompha kazało mu się cofnąć.

- Przepraszam, arcymagu - wymamrotał Nauzhror.

Gromph przesuwiał obraz przez jadalnie, kaplice, sale ćwiczeń, sypialnie, laboratoria, kwatery niewolników, kuchnie, amfiteatry, cały czas szukając niewidzialnej ściany, która zatrzyma jego widzące oko. Korytarzami biegali żołnierze, magowie i kapłanki. Nie słyszał ich, choć ich twarze zdradzały wzburzenie. Nie zatrzymywał widzącego oka na dłużej na żadnej z osób, aby nie wyczyły, że są śledzone.

Pot z czoła arcymaga skapnął na kryształ, zamazując obraz. Prath stał go rękawem *piwafwi*.

Gromph przesunął obraz wzdłuż kolejnego korytarza, mijając grupę...

- Larikal -powiedział, rozpoznając krótkowłosą, niezbyt urodziwą trzecią córkę domu Agrach Dyrr. Przewodziła grupie trzech magów, w których Gromph rozpoznał absolwentów Sor-cere. Pozwolił, żeby obraz zatrzymał się na nich na chwilę. Zaklęcie pokazało, że każde z nich ma przy sobie różne magiczne przedmioty: różdżki, pierścienie, szpile, brosze, a Larikal trzymała w dłoni laskę.

- Geremis, Viis i Araag - powiedział Nauzhror, wymieniając czarodziejów z imienia. - Przeciętni uczniowie.

Gromph kiwnął głową, nie spuszczając z nich widzącego oka i licząc w myślach. Zanim doliczył do dwudziestu, przesuwiał obraz na kolejną osobę.

Larikal wydawała rozkazy, ale Gromph nie potrafił czytać jej z ust. Magowie przechodzili z komnaty do komnaty, z korytarza w korytarz, rzucając zaklęcia i czekając w skupieniu. Gromph ustawił widzące oko za ich plecami i nieco nad nimi. Choć nie słyszał słów wymawianych przez magów, obserwował ich gesty.

- Co oni robią? - zapytał Prath.  
- Rzucają zaklęcia wieszczące - odpowiedział Gromph na ułamek sekundy przed Nauzhrorem.

- Potężne zaklęcia wieszczące - dodał Nauzhror, patrząc, jak Geremis kończy gestykulować i w skupieniu przykładła dłoń do czoła.

Na Grompha spłynęło nagle olśnienie.

- Szukają filakterium - oznajmił. - Nie ma innej możliwości.

Wszyscy zrozumieli, co to oznacza: Yasraena nie miała filakterium w swoim posiadaniu i też przypuszczała, że jest ukryte gdzieś w domu.

- To dobry znak - stwierdził Nauzhror.

Gromph kiwnął głową. Musiał się spieszyć.

Nie widząc nic, co mogłoby mieć jeszcze jakieś znaczenie, zdjął widzące oko z Larikal i jej magów i kontynuował wędrówkę przez kompleks Agrach Dyrarów. Było to czasochłonne zajęcie, ale musiał wytrzymać. Badał skrupulatnie każdą komnatę, rzucając dodatkowe zaklęcia wieszczące, aby zlikwidować maskujące czary liczdrowa. I za każdym razem spotykał go zawód - widział tylko obłączony dom walczący rozpaczliwie o przetrwanie.

- Czy jest możliwe, że filakterium nie ma w fortecy? - za pytał w końcu Nauzhror po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań.

Gromph nawet nie podniósł wzroku.

- Milcz - rozkazał.

Musiało tu być. Liczdrow nie pozwoliłby, żeby filakterium znalazło się daleko od niego. Ryzyko było zbyt duże.

Gromph kontynuował poszukiwania. Gruntownie przetrząsał każdy budynek. W odizolowanej części kompleksu znalazł laboratorium alchemiczne, bibliotekę i komnaty liczdrowa. Połyskujące golemi, którym rzeźbiarz nadał kształt czarodziejów, stały sztywno na straży każdych drzwi.

- Jego laboratorium - powiedział Prath, przyglądając się niezliczonym zlewkom, koszom na węgle, chemikaliom i komponentom. W pomieszczeniu panował nieład, jak gdyby ktoś w nim niedawno buszował.

Będąc zdania, że laboratorium lub komnaty liczdrowa są prawdopodobnym miejscem ukrycia filakterium, Gromph ostrożnie poruszał się między osłonami nieumarłego maga, badając pomieszczenia. Jego frustracja wzmożła się, kiedy niczego nie znalazł. Przeczesał je ponownie, pewny, że gdzieś natrafi na trop zaklęcia maskującego. I znowu nic.

Wyczerpywał swoje zaklęcia i sam czuł się coraz bardziej wyczerpany. Od czasu pojedynku z liczdrowem zużył równą połowę swoich zasobów. Jeśli nie znajdzie wkrótce filakterium, będzie musiał odpocząć, przestudiować księgi, ponownie nauczyć się na pamięć inkantacji, które umykały jedno za drugim jego znużonemu umysłowi w miarę, jak je rzucał. Do tego czasu Yasraena może odnaleźć filakterium.

Westchnął, otarł czoło i ruszył dalej. Została mu tylko świątynia Lolth i kilka innych budynków.

Najpierw świątynia.

Wkładając w to minimalny wysiłek, prześliznął się pomiędzy osłonami chroniącymi przybytek Lolth. Bez wątplenia rzucała je Yasraena. Gromph uznał zdolności magiczne matki opiekuńki za marne. Jej osłony nie stanowiły dla niego żadnego wyzwania.

Wnętrze świątyni przypominało przybytki Lolth w innych wielkich domach. W apsydzie na końcu dużej, owalnej nawy znajdował się ołtarz ofiarny spowity fioletowym ogniem faerie i zastawiony świecami. Nad ołtarzem górowała ogromna postać pająka wyrzeźbiona z gładkiego bazaltu a może gagatu.

Gromph wiedział, że to golem stróż, który obudzi się do życia, gdy ktokolwiek niepowołany wejdzie do świątyni bez zezwolenia.



W nawie ciągnęły się rzędy bogato zdobionych ławek o wysokich oparciach. Na otoczonych ogniem faerie oknach wisiały przezroczyście zasłony z babiego lata wykonane na podobieństwo pajęczyn. Wszystko pokrywały pajęcze motywy, od czarnego ołtarza i rzeźbionych zawiasów drzwi po podłokietniki ławek. W każdym kącie wisiały pajęczyny, srebrne nici i ich mali czarni twórcy uznawani za błogosławieństwo Lolth.

Sklepienie świątyni zdobił malunek Pajęczej Królowej w jej hybrydalnej postaci - głowa i tułów pięknej drowki wyrastające z odętego odwłoka olbrzymiej czarnej wdowy. Gromph zadał sobie pytanie, czy Lolth wygląda po powrocie tak samo, czy Lolth jest taka sama.

Prawie cała świątynia mieniła mu się w oczach, rozświetlona zaklęciami ochronnymi rzuconymi przez kapłanki Lolth. Poza tym nawa była pusta.

Gromph westchnął z irytacją i miał już ruszać dalej, ale coś go powstrzymało. Zatrzymał widzące oko na świątyni, patrząc, zastanawiając się.

— Co się stało, arcymagu? — zapytał Prath z podnieceniem. -

Znalazłeś je?

- Milcz - zgromił ucznia Nauzhror, choć jego głos też zdradzał przejęcie.

Gromph potrząsnął głową. Nie widział nic niezwykłego, ale... Golem!

Widzące oko nie wykryło w nim żadnej magii, a powinno -i to silną - chyba że kapłanki Agrach Dyrz zastąpiły dawnego golema zwykłym posągami. Uznał, że to mało prawdopodobne.

Przeszył go dreszcz emocji. Kazał oku zbliżyć się do golema, aż jego obraz wypełnił cały kryształ. Przyglądał mu się uważnie, cal po calu. Czyżby stał nad sekretną zapadką w podłodze? Rzucił następną serię zaklęć jasnowidzących, starając się dociec, czy magia golema została zamaskowana, czy też nie.

Z początku nie udawało mu się niczego wykryć, ale nie dawał za wygraną.

Wreszcie, i tylko na chwilę, uchwycił przeblysk bladego czerwonego blasku ulotny niczym promień światła przeciskający się pod drzwiami. W tej jednej chwili golem rozjarzył się uśpioną w nim magią, która miała go ożywić w razie potrzeby, ale jeszcze jaśniejszy blask bił z jego wnętrza.

Nauzhror uśmiechnął się. Prath sapnął, a Gromph zachichotał mimowolnie.

- Golem - wyszeptał Nauzhror.

Głos mistrza Sorcere wydawał się równie znużony jak głos Grompha, choć przez cały czas tylko patrzył.

- Golem jest zamaskowany - potwierdził Gromph, kiwając głową. Nie mógł uwierzyć w zuchwałość liczdrowa.

- To golem jest filakterium? - zapytał Prath.

Gromph przyglądał się konstruktowi jeszcze przez chwilę, potwierdzając swoje przypuszczenia serią zakłęk. Kiedy skończył, odparł:

- Nie, ale filakterium jest ukryte wewnątrz niego.

Pomimo dowodów, jakich dostarczył im kryształ, na twarzach Pratha i Nauzhrora malowało się niedowierzanie.

- Wewnątrz golema strzegącego świątyni? - zapytał Prath.  
- To bluźnierstwo.

- To akt geniuszu - sprzeciwił się Nauzhror.

Gromph zgadzał się z nim. Liczdrow ukrył swoje filakterium nie dość że w świątyni Lolth, to jeszcze w ciele najpotężniejszego strażnika świątyni. Gromph zlokalizował je tylko dlatego, że wiedział, iż posąg golema powinien być żarzyć się pod jego wykrywającym magię spojrzeniem. A i tak prawie je przeoczył.

Niewielkim wysiłkiem woli Gromph sprawił, że obraz w kryształach rozmył się. Zrobił się szary, a potem czarny.

Arcymag odchylił się na oparcie krzesła i wyciągnął ręce nad głowę. Bolało go całe ciało, czuł łomotanie w skroniach i był

cały spocony. Niestety, nie miał czasu, żeby doprowadzić się do porządku. Sforsowanie osłon antymagicznych i znalezienie filakterium było łatwiejszym z dwóch czekających go zadań. Teraz musiał dostać się do domu Agrach Dyr, do świątyni Lolth, i zniszczyć najpierw golema, a potem filakterium.

- Powinieneś najpierw odpocząć, arcy maga - powiedział Nauzhror, odczytując wyraz jego twarzy i wiedząc, co go czeka.

Gromph uniósł kielich i przełknął łyk wina. Wystarczy. Nie chciał, żeby szumiało mu w głowie, kiedy zaatakuje dom Agrach Dyr.

- Nie ma na to czasu - odparł. - Yasraena albo jej córki mogą natrafić na filakterium. Łatwiej mi będzie wydobyć je z golema niż z rąk matki opiekunki.

Nauzhror musiał przyznać mu rację.

- Więc kiedy? - zapytał.

- W ciągu godziny - odpowiedział Gromph i westchnął ze znużeniem.

Kiedy Prath i Nauzhror przetrawali tę informację, Gromph zamknął oczy, próbując uspokoić walące serce.

- Osłony stanowią pewne wyzwanie - powiedział w końcu Prath.

Nauzhror trzasnął Pratha w twarz wierzchem dłoni.

- Arcy maga jest świadom czekających go wyzwań, uczniu - warknął.

Prath osunął się na krzesło, dotykając rozbitej wargi, z której płynęła krew. Jego oczy płonęły, ale nie odzywał się. Gromph był zadowolony, widząc złość na twarzy Pratha.

Gromph był świadom czekających go wyzwań. Przed chwilą widział - wszyscy trzej je widzieli.

Misterna sieć zaklęć ochronnych, zupełnie inna warstwa osłon co najmniej równie złożonych jak te, które właśnie ominął, spróbuje uniemożliwić mu fizyczne wtargnięcie do fortecy. Połączone siły wszystkich magów domu Xorlarrin nie były

w stanie uczynić w nich do tej pory wyłomu. Gromph nie był, rzecz jasna, pierwszym lepszym czarodziejem Xorlarrin, ale zdawał sobie sprawę, że druga warstwa zabezpieczeń nie będzie tak łatwa do sforsowania jak zaklęcia antymagiczne.

Zaś aktywacja osłony, kiedy będzie tam fizycznie obecny, narażała go na obrażenia, a nawet śmierć, nie tylko wykrycie. Dobrze pamiętał groźny czerwony blask zaklęć-pułapek.

- Czy mam ci towarzyszyć, arcy maga? - zapytał Nauzhror.

- Nie - odparł Gromph, masując sobie skronie. - Mam wobec was inne plany. Ty, Nauzhrorze, masz zostać w moim gabinecie i pomóc mi w przeszukiwaniu domu Agrach Dyrr.

Tłusta twarz Nauzhrora przybrała pytający wyraz.

- Pomóc w przeszukiwaniu...? Przecież już go przeszukałeś. Co masz na myśli?

Gromph przyglądał się Prathowi, który też wyglądał na zaskópotanego.

- Mam na myśli to - rzekł Gromph - że będę w dwóch miejscach naraz, mistrzu Nauzhrorze.

Gromph pozwolił, by jego słowa zawisły w powietrzu. Dopiero po chwili na twarzy Nauzhrora zaświtało zrozumienie.

- Prath zostanie tutaj pod twoją postacią - powiedział mistrz Sorcere.

- Tak - potwierdził Gromph. - A ja pod jego, przynajmniej jakiś czas. Ty także zostaniesz tutaj, Nauzhrorze, i będziesz udawał, że pomagasz mi w poszukiwaniach.

Wyraz twarzy Pratha świadczył o tym, że rozumie, ale było w nim też nieme pytanie.

- Po co ten wybieg, arcy maga? - zapytał. - Yasraena i jej magowie nie są w stanie zajrzeć do twojego gabinetu. Nikt tego nie potrafi.

- To prawda - zgodził się Gromph - ale na pewno próbują. Yasraena wie, że muszę wystąpić przeciwko jej domowi i będzie

chciała wiedzieć, kiedy to nastąpi. Wyprowadzimy ją w pole. Ty i ja zamienimy się postaciami. Osłabię moc osłon otaczających mój gabinet na tyle, żeby Yasraenie i jej czarodziejom udało się je w końcu sforsować. Kiedy im się to uda, zobaczy Grompha i Nauzhrora usiłujących przedrzeć się przez osłony domu Agrach Dyrr, jak gdyby dopiero przygotowywali się do ataku. A tymczasem prawdziwy atak już się zacznie. Nauzhror uśmiechnął się.

- Bardzo sprytnie, arcy maga - powiedział. - Ale czy nie będzie prościej, jeśli to ja przybiorę twoją postać?

Gromph spodziewał się tego po nim. Zmierzył mistrza chłodnym spojrzeniem i rzekł:

- Nie sądzę. I uważaj, Nauzhrorze, żeby zapął, z jakim stasz się zająć mój fotel, nie wydał mi się niestosowny.

Nauzhror wbił oczy w podłogę.

- Nie chciałem się narzucać, arcy maga - wyjaśnił. - Pomyślałem sobie tylko, że będę potrafił wcielić się w ciebie lepiej niż uczeń.

Gromph nie miał zamiaru kontynuować tematu. Powiedział już swoje.

- Prath da sobie radę. Poza tym twoja obecność, obecność mistrza Sorcere u mojego boku, uwiarygodni nasz podstęp.

Nauzhror przyznał mu rację unizonym kiwnięciem głowy.

Arcy mag wstał z krzesła.

- Czas nagli. Zaczynamy.

To powiedziawszy, Gromph zdjął z siebie magiczne szaty i swoje najbardziej znane magiczne przedmioty, między innymi pierścień, jaki nosił tylko arcy mag Menzoberranzan. Nauzhror patrzył ze źle skrywaną pożądlivością, jak zsuwa go z palca.

Prath wstał i też się rozebrał.

Wkrótce Gromph stał odziany w za duże na niego *piwafwi*, szaty oraz ekwipunek ucznia Sorcere, a Prath w szaty arcy maga Menzoberranzan.

- Może któregoś dnia będą na ciebie dobre - zwrócił się do Pratha.

Uczeń zbladł.

- Moje nie pasują na ciebie - powiedział z zawstydzeniem. Gromph prawie się roześmiał, wyobrażając sobie, jak musi wyglądać. Od wieków nie był tak skromnie odziany.

Popatrzył na Nauzhrora, wskazał Pratha i rzekł:

- Mistrzu Nazuhrorze.

Nauzhoror kiwnął głową i wymówił słowa prostego uroku. Kiedy skończył inkantację, obok Pratha uformował się jego iluzyjny obraz, magiczny portret służący za układ odniesienia.

- Doskonałe podobieństwo - zauważył Prath.

Gromph zgadzał się z nim. Otworzył niższą szufladę biurka i wyjął z niej zwój z jednym ze swoich najpotężniejszych zaklęć.

- Uczniu - zwrócił się do Pratha — jeśli pomylisz się pod czas rzucania tego czaru, może to mieć wielce niefortunne skutki.

Arcymag chętnie by go wyręczył, ale zaklęcie działało tylko na osobę, która je rzuciła. Prath musiał poradzić sobie sam.

- Po zakończeniu inkantacji - ciągnął Gromph - spójrz na mnie, pragnąc przybrać moją postać. Zaklęcie dokona reszty.

Prath wziął zwój do ręki, która, trzeba mu przyznać, nie drżała. Rozwinął pergamin, przestudiował słowa, spojrzał raz jeszcze na Grompha i Nauzhrora, a kiedy kiwnęli głowami, zaczął czarować.

Gromph przysłuchiwał się uważnie wymowie słów wypowiedzianych przez ucznia. Ku jego zadowoleniu Prath czytał z dużą pewnością siebie. Kiedy wymówił ostatnie słowo, zwój obrócił się w pył w jego dłoni, a ciało zaczęło się przeobrażać.

- Nie czuję bólu - stwierdził Prath. Jego głos już zaczynał się zmieniać.

Ciało Pratha wyszczuplało, oczy zapadły się głębiej, włosy wydłużyły, a kolor tęczyówek przeszedł z karmazynowego

w krwistoczerwony. Prath badał wzrokiem rysy Grompha, mentalnie wpływając na transmutację. Magia zaklęcia uzupełniła konieczne szczegóły i już po dziesięciu uderzeniach serca Gromph patrzył na swojego sobowtóra.

- Dobra robota - pochwalił Pratha.

Uczeń rozpromienił się.

- W najwyższej kieszeni z prawej strony znajdziesz jadeitowy diadem - powiedział Gromph do Pratha, wskazując swoje szaty. - Oddaj mi go.

Gromph potrzebował tego komponentu, aby rzucić podobny czar na siebie - nie ze zwoju, lecz z pamięci.

Prath sięgnął do kieszeni szat arcy maga, odnalazł diadem i podał go Gromphowi.

Arcy mag założył go na głowę, po czym wymówił słowa i wykonał gesty zaklęcia, które pozwalało mu przybrać dowolną postać. Kiedy magia zaczęła działać, całe jego ciało przeszło dreszcz. Jego skóra stała się plastyczna i jednocześnie nieco grubsza, jakby była z wosku.

Posługując się iluzorycznym obrazem ucznia jak modelem, Gromph rozkazał magii ukształtować swoje własne ciało i rysy twarzy na podobieństwo Pratha. Gromph nie czuł bólu, miał tylko dziwne wrażenie, że jego ciało jest płynne. Kiedy poczuł, że się zestala, wiedział, że transformacja dobiegła końca. Magia zaklęcia miała działać przez kilka następnych godzin, podczas których mógł przybrać niemal dowolną postać.

- Gotowe, arcy maga - rzekł Nauzhror, przyglądając mu się.

- Podobieństwo jest prawie idealne.

Nimor rozproszył iluzoryczny obraz Pratha.

Gromph kiwnął głową.

- Reszta moich komponentów, uczniu - zwrócił się do Pratha.

Prath wymamrotał coś pod nosem, sięgnął do pozawymiarowych kieszeni w szatach Grompha, wyciągnął z nich magiczne przedmioty i ułożył je wszystkie na blacie biurka. Znalazł się

wśród nich kradnący dusze duergarski topór. W jego żeleźcu kłębiły się cienie przywodzące na myśl twarze z otwartymi do krzyku ustami.

Gromph ukrył tę mnogość komponentów w swoich nowych szatach. Wziął też topór i zawiesił go sobie przy pasie. Był ciężki, ale w szatach Pratha nie było pozawymiarowych kieszeni, w których mógłby go schować.

Sięgnął do następnej szuflady biurka i wyjął z niej kilka eliksirów, jakiś zwój oraz mlecznobiały okular na srebrnym łańcuszku, który pozwalał przejrzeć niektóre typy iluzji. Wyjął też kilka różdżek - każda była wykonana z kości i zwieńczona skamieniałym okiem niewolnika o bystrym wzroku. Po wykorzystaniu tylu własnych zaklęć potrzebował mocy okularu i różdżek, aby uzupełnić swój repertuar.

Kiedy uporządkował w kieszeniach szat wszystko, czego potrzebował, popatrzył na Pratha i wskazał swoje kościane krzesło z wysokim oparciem.

- Usiądź, e... arcymagu - powiedział z uśmiechem.

Z wyraźną niechęcią Prath obszedł biurko i zapadł się w krzesło Grompha.

- Żadnego wahania, żadnych wątpliwości - skarcił go Gromph. - Inaczej Yasraena przejrzy nasz podstęp. Do mojego powrotu ty jesteś arcymagiem Menzoberranzan.

Prath spojrział Gromphowi w twarz, zacisnął zęby i kiwnął głową.

Gromphowi została jeszcze tylko jedna sprawa do załatwienia.

Choć Nauzhror i Prath należeli do domu Baenre, Gromph wiedział, że nie może polegać na rodzinnych powiązaniach, kiedy w grę wchodzi posłuszeństwo. Musiał wzbudzić strach. Kiedy znajdzie się już w domu Agrach Dyrr, łatwo będzie go zdradzić. Nauzhrora, a może nawet Pratha, będzie kusiło, żeby to zrobić, chyba że Gromph uczyni koszt niepowodzenia wyższym od zysków z sukcesu. Wystarczy proste kłamstwo.



- Oprócz waszej dwójki zdradziłem swój plan tylko mistrzowi Mizzrym - rzekł Gromph. - Dopilnowałem, aby w razie mojej porażki Pharaun zawiadomił o niej matkę opiekunkę Triel i bardzo dokładnie zbadał jej przyczyny.

Ani Nauzhror, ani Prath nie odezwali się. Przesłanie Grom-pha było jasne - zdrada zostanie ukarana, i to surowo, nawet jeśli Gromph zginie.

- Yasraena nie przejrzy twojego podstępu - zapewnił Nauzhror.

- Powodzenia, arcymagu - dodał Prath.

- Utrzymujcie iluzję do mojego powrotu albo do momentu, kiedy dowiecie się, że zawiodłem - rozkazał Gromph.

Obaj kiwnęli głowami.

Zadowolony, Gromph wymówił słowa mocy, które osłabiły najpotężniejsze osłony otaczające jego gabinet. Czarodzieje Yasraeny wkrótce znajdą drogę do środka.

Przełknąwszy dumę, skłonił się swoim „przełożonym” jak każdy młody uczeń.

- Mistrzowie - rzekł, wycofując się z gabinetu.

Zakłęcie zmieniające postać miało działać jeszcze tylko dwie godziny. Musiał zmieścić się w tym czasie.

Prawdziwa praca miała się dopiero zacząć.

# DZIEWIĄTY

Wciąż pod postacią Pratha Gromph wyszedł ze swojego gabinetu i ruszył sklepiionymi korytarzami Sorcere. Ozdobione arrasami korytarze były przeważnie puste. Prawie wszyscy mistrzowie i uczniowie Sorcere byli zajęci wyżynaniem w północnych tunelach zaskakująco upartych duergarskich oddziałów. Gromph spotkał tylko jednego mistrza, Havela Duskryna.

Mijając go, Gromph skłonił się i powiedział:

— Mistrzu Duskryn.

- Prathu Baenre - odparł wysoki, chudy mistrz, pocierając słabo zarysowany podbródek. Najwyraźniej był zbyt zajęty własnymi sprawami, żeby zapytać „Pratha”, dokąd idzie.

Gromph szybkim krokiem przemierzał korytarze o ścianach pokrytych obrazami, rzeźbami i oprawionymi magicznymi

pismami, aż dotarł do skrzydła uczniów. Tam spotkał dwóch nowych adeptów, którzy szukali jakiejś książki w uczniowskiej bibliotece. Żaden nie odezwał się do Grompha, który skierował się do urządzonej po spartańsku kwatery Pratha.

Tak jak wszyscy uczniowie, Prath mieszkał sam w kamiennej izbie mierzącej pięć na pięć kroków. Skromne umeblowanie składało się z niewygodnej pryczy oraz małego biurka i krzesła z drewna zurkh. Książki, papiery, inkaust, kula oświetleniowa i trzy pióra leżały starannie ułożone na biurku. Prath był zaskakująco pedantyczny. Kiedy Gromph był uczniem, w jego komnacie zawsze panował nieład.

Gromph wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. W chwili, w której się zatrzasnęły, magiczne usta wyszeptały: „Witaj z powrotem, mistrzu Prath”.

Gromph uśmiechnął się. Uczeń mógł zostać wychłostany za lekkomyślne rzucanie czarów, choć mistrzowie często przymykali oko na tę praktykę. Prawdę mówiąc, używanie czarów dla żartów i rozrywki czyniło surowy żywot ucznia nieco bardziej znośnym. Rozwijało też kreatywność w używaniu zaklęć. Kiedy Gromph był uczniem, trzymał w rogu swojego pokoju niewidzialny barek z winem i niewidzialnego sługę, który nalewał je na rozkaz. Przeszmuglowanie wina do Sorcere stanowiło nie lada wyzwanie. Złamanie zasad przez Pratha było niczym w porównaniu z wykroczeniem Grompha.

Gromph usiadł na krześle za biurkiem i przekartkował szpagę Pratha. Z notatek i odczytanych z nich formuł wywnioskował, że adept uczył się właśnie serii coraz bardziej skomplikowanych transmutacji powiększających. Gromph zagłębił się na chwilę w obserwacjach Pratha.

Najpierw uznał, że Prath ma potencjał. Zaraz potem stwierdził, że czas zabierać się do roboty. Musiał rzucić kilka zaklęć wstępnych. Odsunął papiery na bok.

Magiczna szata Grompha posiadała pozawymiarowe kieszenie, które porządkowały swoją zawartość zgodnie z jego mentalnymi poleceniami. Szata Pratha nie zawierała podobnego zaklęcia i szukanie potrzebnych w danej chwili komponentów było dla arcymaga przykrą koniecznością. Mimo to podszedł do całej sytuacji z optymizmem, znalazł potrzebne mu przedmioty i zaczął czarować.

Najpierw nasypał sobie na głowę szczyptę sproszkowanego diamentu i wyszeptał słowa ochronnego zaklęcia antymagicznego. Czar nie stanowił tak potężnej ochrony przed jasnowidzeniem jak stacjonarny ekran, ale był w stanie zniweczyć większość prób wróżenia.

Potem, mając w pamięci zaklęcia-pułapki, które czekały na niego w fortecy Agrach Dyrarów, rzucił serię czarów osłaniających, które przez kilka godzin ochronią jego ciało przed negatywną energią, ogniem, błyskawicą, zimnem i kwasem. Jeśli zaklęcia-pułapki wyrządzą szkody, których osłony nie będą w stanie wchłonać, jego magiczny pierścień zregeneruje obrażenia, o ile arcymag nie zginie na miejscu. Nawet jego pierścień nie potrafił wskrzesić umarłego.

Później wyjął z kieszeni maleńką fiołkę ze szkłostali zawierającą odrobinę rtęci. Skaleczywszy koniuszek palca o krawędź duergarskiego topora, wycisnął do fiołki kilka kropel krwi. Potem wysmarował sobie czubki palców tą miksturą i wyrecytował słowa jednego z najpotężniejszych zaklęć, jakie znał, dwie-omeru, który przeniesie go z powrotem do jego gabinetu w razie gdyby zaistniały pewne okoliczności - okoliczności, które musiał wyartykułować w trakcie rzucania zaklęcia.

Jego palce kreśliły w powietrzu płomienne linie, gdy recytował inkantację. Po chwili zaklęcie było już prawie gotowe, brakowało tylko wyzwalaczy. Magia zaklęcia skwierczała wokół niego, czekając na to, co powie. Zastanawiał się przez chwilę nad rodzajem pułapek, na jakie może się natknąć, po czym wyszeptał:

- W razie gdyby moje ciało zostało wbrew mej woli unieruchomione albo pochłonięte przez magiczną energię, w razie gdyby moja dusza została schwytana w pułapkę albo uwięziona w jakikolwiek inny sposób, w razie gdyby mój umysł został osłabiony albo niezdolny do funkcjonowania.

Czar wsiąkł w niego, czekając w uśpieniu na wydarzenie, które wyzwoli jego moc. Gromph był już prawie gotowy do wyruszenia przeciwko Agrach Dyrrom.

Wykonał dłońmi kilka zawiłych gestów i wymówił słowa zaklęcia, które uczyniło go niewidzialnym. Potem szeptem zmodyfikował magię czaru tak, aby efekt niewidzialności utrzymał się przez cały dzień, zamiast jak zwykle godzinę czy dwie.

Wreszcie przywołał transmutację pozwalającą mu zmieniać kształty i mentalnie wybrał postać niematerialnej, nieumarłej istoty: cienia. Magia objęła go w swe władanie i jego ciało stało się ciemne, mroczne i bezcielesne. Jego ciało stało się lekkie, a dusza ciężka. Przepełniła go mroczna energia. Prath znikł - zastąpił go żywy cień.

Gromph czuł, jak jego jestestwo rozciąga się na niezliczone rzeczywistości. Sam sobie wydawał się stały, ale jego „ciało” mrowiło, a większość zmysłów była przytłumiona. Nie słyszał i nie czuł zapachów i ta utrata zmysłów denerwowała go. Nie mógł też dotknąć niczego należącego do fizycznego świata, przynajmniej nie w sposób, do jakiego był przyzwyczajony. Sam był stały, a świat stał się cieniem. Odbierał dotyk fizycznych przedmiotów bardziej jak niejasną zmianę nacisku niż namacalne wrażenie. „Siedział” w krześle Pratha tylko dlatego, że tego chciał, nie z powodu fizycznych właściwości krzesła. Mógł z łatwością przez nie przeniknąć, gdyby tylko zapragnął. Arcy-mag nie widział żadnych kolorów - tylko różne odcienie szarości - ale jego ostrość widzenia polepszyła się. Stałe obiekty wyglądały solidnie, linie między nimi były ostre jak brzytwa. Wiedział, że mógłby iść po powietrzu z równą łatwością jak po

ziemi. Wiedział też, że pod postacią cienia jest wciąż w stanie rzucać zaklęcia. Jego ekwipunek i komponenty przeobraziły się wraz z nim, więc odbierał je jako ciała stałe.

Był gotowy.

Okryty pancerzem magii ochronnej uniósł się z krzesła Pra-tha i wpłynął w kamienny sufit. Kiedy przez niego przenikał, lity kamień stropu oślepił go na chwilę, ale siłą woli unosił się w górę, aż znalazł się po drugiej stronie. Osłony w strukturze Sorcere nie stanowiły dla niego przeszkody. Gromph rzucał większość z nich i znał gesty oraz słowa — jego głos brzmiał ' głucho, kiedy mówił - potrzebne, aby bezpiecznie je ominąć.

Wkrótce znalazł się w powietrzu nad szkołą, skąd roztaczał się zapierający dech w piersi widok na całe Tier-Breche: zaokrąglone, przypominające pająka mury Arach-Tinilith, potężną piramidę Melee-Magthere, strzeliste wieże Sorcere. Z tuneli na północy bił w górę dym, a w powietrzu wciąż rozbrzmiewały wybuchy i krzyki. Przez chwilę rozkoszował się tym widokiem, po czym odwrócił się i poleciał na południe wzdłuż sklepienia jaskini, lawirując między ostrymi jak włócznie szczytami zwisających z niego stalaktytów.

Przeleciał nad bazarem, gdzie walczył z liczdrowem, nad Bra-erynem, po czym skierował się prosto ku Qu'ellarz'orlowi i obłożonemu domowi Agrach Dyr.

Na kolanach przed ołtarzem Lolth, w zupełnie pustej świątyni, Yasraena modliła się do Pajęczej Królowej nie o wybaczenie - Lolth nienawidziła słabości - ale o okazję. Wiedziała, że jeśli nic się nie zmieni, i to szybko, oblężenie przyniesie w końcu efekty. Musiała odszukać filakterium i zdecydować czy dotrzymać umowy z Triel. Przeklęty przedmiot mógł się znajdować tuż pod jej nosem, a ona i tak nie wiedziałaby o tym.

Przekleła liczdrowa po raz tysięczny, a potem samą siebie za to, że pozwoliła, by jej dom prowadził intrygi uknute przez męczyznę.

Podniosła oczy na ołtarz, czekając na jakiś znak przychylności Lolth. Nic. Płomyk pojedynczej świętej świecy rzucał roztańczone światło na stojący za ołtarzem wypolerowany posąg majestatycznej czarnej wdowy, który był w rzeczywistości golemem stróżem. Posąg wpatrywał się w nią ośmiorgiem beznamiętnych oczu.

Z oddali dobiegały ją od czasu do czasu krzyki żołnierzy zgromadzonych na murach fortecy. Kilka godzin temu całym kompleksem wstrząsały grzmiące wybuchy niosące się echem wzdłuż fortyfikacji. Obecna cisza wydawała jej się złowieszczą. Wiedziała, że siły Xorlarrinów wycofały się za most nad fosą, aby opracować strategię następnego ataku. Powietrze aż trzeszczało od napięcia. Widziała je w oczach swoich żołnierzy, magów i córek. Następny atak Xorlarrinów będzie bardziej zaciekły niż poprzedni. Była pewna, że dom Agrach Dyrrego odeprze, ale co z kolejnym i jeszcze następnym? Co się stanie, gdy Xorlarrinów wesprze jeszcze jeden dom? I kolejny?

Jej domowi zostało tylko kilka dni życia, chyba że uda jej się znaleźć filakterium i doprowadzić do pokoju. Albo przywrócić liczdrowa do życia i zażądać pokoju przy jego wsparciu.

Larikal i ten sapiący idiota Geremis nie zdołali jeszcze zlokalizować filakterium, jednak Yasraena była przekonana, że znajduje się ono gdzieś w stalagmitowej fortecy. Liczdrow rzadko przebywał poza obrębem jej murów. Musiał ukryć naczynie ze swą duszą gdzieś na terenie ich posiadłości.

Przywołując moc noszonego na piersi amuletu przesłała do Larikal: *Moja cierpliwość się kończy.*

Przez połączenie między amuletami wyczuła gniew córki.

*Poszukiwania trwają, matko opiekunko. Liczdrow nie był pierwszym lepszym magiem. Dobrze ukrył swój skarb.*

*Nie tłumacz się. Mentalny głos Yasraeny ociekał jadem. Oddasz mifilakterium albo ja oddam twoje życie Pajęczej Królowej.*

*Tak, matko opiekunko,* odpowiedziała Larikal i połączenie urwało się.

Nie była to czcza groźba. Yasraena zabijała już swoje dzieci, aby coś im udowodnić. Zrobi to ponownie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Za plecami usłyszała odgłos kroków w portyku świątyni. Wstała i odwróciła się w chwili, w której Esvena wbiegła do środka przez otwarte wrota. Ogniwa jej adamantytowej kolczugi pobrzękiwały jak dzwonki niewolnicy. Hełm trzymała w ręku, twarz miała zarumienioną.

Przez głowę Yasraeny przemknęło tysiąc możliwości, żadna z nich pomyslna. Zaciśnęła palce na buławie.

- Esveno? - zapytała. Jej głos odbił się echem od sklepienia świątyni.

- Matko opiekunko - wysapała Esvena, biegnąc przejściem między ławkami. Pospiesznie ukorzyła się przed Lolth, przeszła przez apsydę i ukloniła się Yasraenie.

Yasraena pierwszy raz widziała takie ożywienie na kamiennej zazwyczaj twarzy córki.

- Mamy go, matko! - powiedziała Esvena z uśmiechem.

Nie musiała dodawać, kogo ma na myśli. Yasraenę przeszły dreszcz. Chwyliła wyższą od siebie córkę za ramiona.

- Lolth odpowiedziała na nasze modlitwy - wyszeptała. - Pokaż mi go.

Matka i córka wybiegły ze świątyni, mijając wyczerpanych żołnierzy i magów o zapadłych oczach, przemknęły przez puste korytarze i komnaty, aż wreszcie dotarły do zwieńczonej kopułą komnaty jasnowidzenia i kamiennej misy, która się w niej znajdowała.

Czekało tam na nie dwóch brzydkich czarodziejów ubranych w ciemne *piwajwi*. Jeden z nich - ten, którego Yasraena poddusiła za uśmiechanie się - powitał je z pochyloną głową



i spuszczonego wzrokiem. Nie uśmiechał się, obserwując ze strachem jej zakończoną maczkami buławę. Drugi drow stał nad misą, trzymając wyciągnięte ręce nad nieruchomą wodą wnętrzem dłoni do dołu. Na jego zmarszczonym czole perlili się pot.

Nawet nie skinąwszy im głową, Yasaena przepchnęła się obok córki i podeszła szybkim krokiem do sięgającej jej do pasa misy. Esvena dołączyła do niej.

Na wodzie unosił się falujący obraz. Gromph Baenre siedział za wielkim kościanym biurkiem ze wzrokiem wbitym w ustawiony na nim niezwykły kryształ. Yasaena uznała, że kryształ służy do jasnowidzenia, choć pokazywał w tej chwili tylko szarą mgłę.

Naprzeciw arcy maga siedział drugi czarodziej, gruby mistrz Sorcere, którego imienia Yasaena nie знаła. Od czasu do czasu wymieniali kilka słów. Wyglądali na poirytowanych i znużonych.

- Doskonale - powiedziała. - Doskonale.

Wiedziała, że ma jeszcze czas na zlokalizowanie filakterium liczdrowa. Arcymag wciąż tkwił w Sorcere. Być może pojedynek z liczdrowem nadwątlił jego siły do tego stopnia, że w ogóle nie spróbuje zaatakować jej domu.

- Długo nad tym pracowaliśmy, matko opiekunko - odezwał się drow, którego podduśła. - Osłony arcy maga były potężne. Ale nie poddawał się.

- Uniknięcie bolesnej śmierci - powiedziała Yasaena. A po chwili dodała. - Dobra robota.

Mężczyzna prawie się uśmiechnął, ale jeden rzut oka na buławę Yasaeny wystarczył, żeby kąciki jego ust nie powędrowały do góry.

- Zwróć uwagę na szarą mgłę unoszącą się w kryształ arcy maga, matko opiekunko - ciągnął mag. - Jeśli arcy mag, jak przypuszczamy, usiłuje zlustrować dom Agrach Dyrr, zamgle nie świadczy o tym, że jeszcze nie udało mu się sforsować na szych osłon antymagicznych.

Kiwnęła głową. Liczdrow dobrze zabezpieczył ich fortecę, lepiej, jak się wydawało, niż arcymag własne komnaty.

Yasraena zauważyła, że arcymag i mistrz Sorcere rozmawiają o czymś z ożywieniem. Przyglądając się mowie ich ciał, doszła do wniosku, że Gromph jest zbyt pobłażliwy dla zuchwałości swoich podwładnych.

- Dlaczego nie słyszymy, o czym rozmawiają? - zapytała.

Odpowiedziała jej cisza. Podniosła wzrok, a Esvena warknęła:

- Odpowiedz matce opiekunce!

Mężczyzna podduszony przez Yasraenę odkaslnął i rzekł:

- Matko opiekunko, misa nie pozwala na transmisję dźwięków. Pokornie przepraszam.

Yasraena wpatrywała się przez chwilę w czubek głowy maga, zanim znów wbiła wzrok w obraz. Wizja za bardzo fałowała, żeby można było odczytać cokolwiek z ruchu warg. Do oceny planów Grompha musiała jej wystarczyć sama obserwacja.

Popatrzyła na spoconego czarodzieja, który nachylał się nad misą, podtrzymując obraz. Widziała, że nie wytrzyma dużo dłużej. Spojrzała na Esvenę.

- Każ magom się zmieniać, żeby obraz pozostał niezakłócony. Musimy wiedzieć, co robi w danej chwili Gromph Baenre.

Esvena kiwnęła głową.

Yasraena zaczynała dochodzić do wniosku, że tymczasowe wycofanie się sił Xorlarrinów było częścią jakiegoś większego planu arcymaga. Może chciał zgrać własny atak z atakiem Xorlarrinów w nadziei, że uda mu się przemknąć w bitewnym zamęcie.

Mamy cię, Baenre, pomyślała, przyglądając się Gromphowi przez misę. Z utkwionym w sobie widzącym okiem czarodziejów domu Dyr arcymag nie będzie w stanie ich zaskoczyć. Jeśli przybędzie, będą gotowi.

Yasraena odetchnęła z zadowoleniem. Prosiła Pajęczą Królową o okazję. Otrzymała dodatkowy czas i to musiało jej wystarczyć.

Świadomy utkwionych w nim spojrzeń towarzyszy, Pharaun wyciągnął z kieszeni *piwafwi* kępkę futerka nietoperza, utworzył z palców kółko i wypowiedział dwuwiersz.

Przed nim pojawiła się niematerialna, srebrzysta kula. Kiedy wysilił wolę, widział przez nią, jak gdyby była jego oczyma. Na mentalny rozkaz czarodzieja kula pomknęła z powrotem tunelem chwidench, wleciała w górę szybu i przeniknęła przez ścianę z kamienia, którą przykrył wylot jamy.

Za jej pośrednictwem Pharaun zobaczył powierzchnię.

Była noc. Padało. Krajobraz usiany był trupami pajaków i oderwanymi odnóżami. Ciała chwidench, które zostawili za sobą, leżały w strzępach. Pharaun nie widział żadnego ruchu, żadnych pajaków. Zostawił kulę tam, gdzie się dotoczyła i kazał wzrokowi wrócić do jego własnych oczu.

Quenthel stała obok maga, czekając. Danifae stała kilka kroków za wysoką kapłanką z trudnym do odczytania wyrazem twarzy. Jegfred pochylał się nad branką, spoglądając na Pharauna z nieskrywaną żarłocznością.

- Jest noc, mistrzyni - zwrócił się do Quenthel mag. - Lekko pada. Wygląda na to, że Horda się schowała.

Quenthel skinęła głową, jak gdyby właśnie tego się spodziewała.

- W takim razie wyruszamy - oznajmiła. - Otwórz nam drogę. Pharaun kiwnął głową. Do przeniesienia ich wystarczył prosty czar.

Wyobraził sobie powierzchnię i wymówił magiczne słowo, które otworzyło portal pomiędzy miejscem, w którym stali, a powierzchnią. W powietrzu pojawiła się zasłona zielonej energii.

Pharaun wyciągnął rękę do Quenthel i zmięł z sykiem stanęły dęba. Nawet węże były bardziej spięte niż zwykle. Konfrontacja maga z Jeggredem dolała oliwy do ognia wojny nerwów

między kapłankami. Pharaun powtórzył sobie w myślach, żeby nie paść ofiarą płomieni, które musiały nieuchronnie rozgorzeć.

- Muszę cię dotknąć, jeśli chcesz skorzystać z portalu - wyjaśnił Quenthel.

Kiwnęła głową i uciszyła zmię. Delikatnie położył jej dłoń na ramieniu. Jednocześnie uniósł lekko brwi i popatrzył na nią pytająco.

Wyraz twarzy wysokiej kapłanki powiedział mu, że zrozumiała. Mogli zostawić Jeggredda i Danifae uwięzionych pod ziemią.

Danifae przestąpiła z nogi na nogę, jak gdyby wyczuła tę wymianę spojrzeń.

Quenthel zastanawiała się przez chwilę, zanim pokazała ukradkiem na migi: *Wszyscy*.

Pharaun nie dał po sobie poznać, że jest rozczarowany. Popatrzył na Danifae i zapytał:

- Pani Danifae?

Gdy kiwnęła głową, podszedł do niej i nakrył jej dłoń swoją, przytrzymując przez chwilę rękę na jej gładkiej skórze. Jej ciało było gorące w dotyku.

- Jeszcze Jeggred - przypomniała z uwodzicielskim, drapieżnym uśmiechem.

Pharaun spojrział na draeglothę, który wyszczerzył kły i zionął kłębem cuchnącego oddechu.

- Oczywiście - powiedział Pharaun, krzywiąc się od smrodu. Podszedł do draeglothę, który aż się ślinił na jego widok.

Zgodnie z daną Jeggredowi obietnicą, Pharaun rzucił na siebie zaklęcie ewentualności, które miało automatycznie wyzwolić następny czar, jeśli spełnione zostaną określone warunki. Pharaun rzucił zaklęcie ewentualności w taki sposób, aby w razie ataku Jeggredda, nawet jeśli czarodziej zostanie obezwładniony albo nie będzie mógł mówić ani czarować, draeglothę natychmiast zaatakowała gigantyczna, miazdząca dłoń. Dłoń była

większa od draegloth, silniejsza od niego i miała ścisnąć, dopóki półdemonowi nie popękają kości.

- Delikatnie, magu - ostrzegła Danifae.

- Jeggred zdążył się już przekonać, jak delikatny jest mój dotyk - powiedział przez ramię Pharaun. - Nie skrzywdzę go, pani Danifae.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - odparła.

Szepcząc w piekielnym języku demonów, Jeggred wysyczał:

- Tylko jej rozkaz powstrzymuje mnie przed urwaniem ci głowy.

Pharaun rozumiał język demonów tak jak wiele innych języków, więc odpowiedział w nim draeglothowi:

- Jeśli spróbujesz, twój koniec będzie gwałtowny i bolesny. Właściwie chciałbym, żebyś spróbował.

Popatrzył wyzywająco w twarz draegloth. Wargi Jeggreda odchyliły się, ukazując żółte kły, ale półdemon na nic więcej się nie odważył.

- Dość tego - rozkazała Quenthel.

Pharaun bez słowa wyrzucił draegloth pięścią w ramię. Równie dobrze mógł uderzyć ścianę z żelaza. Jeggred tylko się uśmiechnął.

- Mistrzynie - powiedział Pharaun, odsuwając się od Jeggreda. - Twój siostrzeniec jak zwykle nie ma sobie równych w sztuce konwersacji. - Popatrzył na Quenthel i dodał: - Chyba już wszyscy są gotowi.

Podszedł do Quenthel, która złapała go za ramię.

- Najpierw my - powiedziała.

- Oczywiście - odparł Pharaun.

Razem wkroczyli w portal między wymiarami.

Natychmiast zmaterializowali się na powierzchni. Panowała tu cisza i wszędzie wały się fragmenty pajaków. Po chaosie rzezi powierzchnia wydawała się niesamowicie nieruchoma. Osiem jasnych gwiazd przypominających oczy

pająką spoglądało na nich z czarnego jak atrament nieba. Lekki deszczyk bębnił na kamieniach.

- Nie sądzisz, że Danifae wyglądałaby lepiej martwa, mi strzyni? - syknął Pharaun. - A twój siostrzeniec byłby cennym trofeum...

Quenthel uciszyła go uniesieniem ręki. Żmije przy jej biczu zasyczały.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała wysoka kapłanka - ale jeszcze lepiej będzie wyglądać jako ofiara. Ta bezczelna suka zgi nie wtedy, kiedy ja zechcę, magu. A mój siostrzeniec, pomimo swej głupoty, pozostaje wciąż Baenre i synem matki opiekunki.

Zanim Pharaun zdążył odpowiedzieć, obok nich pojawili się Jeggred i Danifae, oboje w postawie bojowej. Nie widząc żadnej pułapki, rozluźnili się wyraźnie. Jeggred prychnął z pogardą, jak gdyby był rozczarowany, że jego ciotka nie zaatakowała.

Quenthel nawet nie próbowała ukryć drwiącego parsknięcia. Trzymała bicz w garści i kiwała głową, słuchając czegoś, co jeden z węży, Yngoth, szeptał jej do ucha. Podniosła oczy na sznur dusz na niebie i podążyła za nimi wzrokiem ku dalekim góróm. Posiadana przez drowy zdolność widzenia w ciemnościach nie miała aż tak dużego zasięgu, więc poszarpane szczyty ginęły w mroku nocy.

- Lolth każe nam się spieszyć - oznajmiła.

Wiał wiatr, przez szum deszczu przebijało zawodzenie pajączyn. Quenthel kiwnęła z roztargnieniem głową, jak gdyby sieci przemawiały do niej.

Pharaun ożywił się.

- Mistrzyni, skoro Lolth każe nam się spieszyć, może czas wykorzystać magię do podróży przez tę nieszczęsną krainę?

Był już bardziej niż trochę zmęczony marszem przez pustkowie Lolth.

- Rzeczywiście, już czas, mistrzu Mizzrym - odparła Quenthel.

Pharaun przebiegł w myślach swoje zaklęcia.

- Przy takiej ilości zbląkanej energii - wskazał wiry mocy, którymi wciąż upstrzone było niebo - nie polecałbym telepor tacji. Ale znam inne zaklęcia, które...

Quenthel uniosła dłoń, aby go uciszyć, i wbiła wzrok w Da nifae.

- Wezwij taką pomoc, na jaką cię stać, kapłanko powie- działa Quenthel -jeśli chcesz mi towarzyszyć. Lolth domaga się szybkiego przybycia *Yor 'thae*.

- Czy to jest właśnie powodem, mistrzyni Quenthel? - za- pytała Danifae z tajemniczym uśmiechem. Odrzuciła kaptur z głowy. Pająki chodziły po jej włosach, czole i wargach. -A może obawiasz się, że Lolth zmieni zdanie, jeśli podróż się przedłuży?

W oczach Quenthel wezbrał gniew. Jej żmije rzuciły się w stronę Danifae, ale nie ukąsiły. Cała piątka syknęła brance prosto w jej piękną twarz.

- Bezczelna dziwka! - powiedziała K'Sothra.

Jegfred spróbował schwycić węże za łby wewnętrznym ra- mieniem, ale zdążyły się cofnąć. Draegloth warknął. Pharaun nie przypominał sobie, żeby żmije kiedykolwiek głośno się od- zywały.

Danifae uśmiechnęła się niewinnie.

- Nie chciałam cię urazić moim pytaniem.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Quenthel, a żmije zawi- rowały wokół jej głowy.

Jegfred warknął, jak gdyby słyszał mentalne głosy węży.

Pharaun poczuł się nagle bardzo zmęczony. Chciał tylko, żeby było już po wszystkim. Skoro Lolth się spieszyło, tym lepiej.

- Mistrzyni - zwrócił się do Quenthel. - Znam zaklęcia, które...

- Milcz! - rozkazała Quenthel, nie odrywając wzroku od Da nifae. - Użyj swoich zaklęć, aby podążyć za mną, mistrzu Miz-zrym, ale masz przenieść tylko siebie. Zrozumiałeś?

Jak gdyby dla podkreślenia jej słów żmije oderwały wzrok od Danifae i wlepiły ślepią w czarodzieja, wysuwając języki. Pharaun pochylił głowę na znak zgody.

-Powiedziałaś, żebyś wezwała taką pomoc, na jaką cię stać, kapłanko, jeśli chcesz mi towarzyszyć w dalszej drodze.

Pharaun wreszcie zrozumiał, ale nie był pewny, co o tym myśleć.

Quenthel wystawiała Danifae na próbę, sprawdzała jej umiejętności kapłańskie. Dlatego kazała Pharaunowi przenieść tylko siebie. Wszyscy w drużynie mieli jakieś pojęcie o mocy Qu-enthel. Nikt nie znał możliwości Danifae oprócz niej samej. Quenthel chciała je poznać, zanim złoży ją w ofierze.

Dwie kapłanki wpatrywały się w siebie jeszcze przez chwilę, wyzwanie Quenthel wisiało w powietrzu między nimi. Dął wicher. Padał deszcz. Zawodziły pajęczyny.

- Doskonale, mistrzyni Quenthel -powiedziała Danifae i pochyliła lekko głowę.

Jegged, patrząc na Pharauna, zaproponował:

- Mógłbym zdjąć pierścień latania z trupa czarodzieja i...

Danifae uniosła rękę i draegloth zamilkł.

Pharaun uśmiechnął się drwiąco do Jeggeda, chcąc go rozdrażnić. Podniósł rękę i pomachał palcami, pokazując draeglo-thowi pierścień.

Quenthel odwróciła się plecami do młodszej kapłanki i swojego siostrzeńca, i rozpoczęła przyzywanie. Odsunęła się na pewną odległość i za pomocą swojego świętego symbolu, dysku z gaga-tu, narysowała na kamieniach krąg - nie pętający, ale przyzywający. Jej ruchy pulsowały magią, od której falowało powietrze. Cały czas recytowała cicho modlitwę, w której Pharaun rozpoznał początkowe słowa zaklęcia sięgającego w głąb Otchłani.

Quenthel wzywała demona.

Danifae obserwowała przez jakiś czas jej plecy, przysłuchując się zaklęciu. Może rozgryzła zagrywkę wysokiej kapłanki



i zastanawiała się, jak na nią zareagować. Po chwili rozpoczęła własne zaklęcie.

Przyciskając do piersi swój święty symbol, obcasem zakreśliła w pyłe drugi krąg, z dala od kręgu Quenthel. Ona też recytowała inkantację.

Pharaun i Jegfred stali pomiędzy pojedynkującymi się kapłankami, nie robiąc nic. Pharaun odsunął się kilka kroków od draegloth. Wiatr niósł w stronę maga jego smród, jeszcze ohydniejszy z powodu wilgoci.

Głosy kapłanek mieszały się z zawodzeniem wichru i bębnieniem deszczu. Quenthel podniosła głos, rozpoczynając właściwe przyzywanie. Głos Danifae, która wciąż była w trakcie wstępnej recytacji, też się wzmógł.

Wiatr zawiął mocniej i na chwilę wznosił się ponad głosy obu kapłanek, nie wyróżniając żadnej z nich.

Pharaun rzucił okiem na Jegfreda, spodziewając się, że ten będzie usiłował go zastraszyć groźnym spojrzeniem, ale śliniący się kretyn patrzył tylko na Danifae. Wpatrywał się w nią jak urzęczony. Pharaun mógł tylko pokręcić głową nad jego prostactwem.

Moc kumulowała się. Quenthel zaczęła czarować pierwsza i miała pierwsza skończyć.

W kręgu Quenthel zapłonęły pomarańczowe iskry, małeńkie odbicia wirów wciąż kłębiących się na niebie.

Danifae skończyła przygotowania i przeszła do ostatniego etapu przyzywania.

Pocąc się, oddychając ciężko, Quenthel stanęła na skraju kręgu, wymówiła ostatnią frazę zaklęcia i wykrzyzczała imię:

-Zerevimeel!

Imię zawisło w powietrzu niczym mgłą, jego plugawe echo wciąż rozbrzmiewało w uszach maga. Wewnątrz kręgu zaskwier-czała ostatnia fontanna iskiei, zostawiając po sobie rozżarzoną pomarańczową smugę. Smuga zaczęła rosnać, tworząc wysoki owal. Bardzo wysoki owal.

Portal.

Przez portal Pharaunowi udało się zobaczyć fragment nocy w innym świecie, na innym planie.

Po drugiej stronie bramy czekała bujna dżungla powykręcanych drzew, traw i krzewów wyrastających z gleby barwy krwi. Z ziemi sterczały pośółkłe kości wszelkich rodzajów i rozmiarów, jak gdyby cały ten plan był cementarzem. Wezbrane rzeki pokryte brązową pianą wiły się przez plugawą krainę. W cieniu przemykały ukradkiem chude, niezgrabne postacie - śmiertelne dusze rozpaczliwie usiłujące się przed czymś ukryć. Pharaun widział w ich oczach przerażenie, które napelniło go dziwnym niepokojem.

Z wnętrza portalu wydostał się podmuch wilgotnego powietrza. Pachniało kostnicą, jak gdyby w leśnym upale gnily dziesiątki tysięcy trupów. Podmuch niósł jęki, ciche westchnienia udreżonych dusz.

- Zerevimeelu, przybądź! - krzyknęła Quenthel.

Obraz we wnętrzu portalu uległ zmianie, gdy perspektywa przemknęła przez krajobraz, mijając zrujnowane miasta z purpurowego kamienia, jeziora wodnistego szlamu i wielkie, potężne istoty polujące w dżungli na dusze.

W portalu zaczęła nabierać kształtów postać, wysoka muskularna sylwetka, przy której nawet Jeggred wydawał się drobny, i która przesłoniła Pharaunowi widok rodzimego planu demona.

Nalfeshnee, poznał po sylwetce czarodziej. Quenthel wezwała dość potężnego demona. Nie tak potężnego, jak by mogła, niemniej jednak potężnego.

Pharaun przygotował w myślach zaklęcie, które ostrzela demona błyskawicami, na wypadek gdyby Quenthel nie udało się przekonać go do swojej propozycji. Wiedział, że demony, nawet te potężne, obawiają się piorunów.

Ogromny demon wyszedł z portalu i przybrał całkowicie materialną postać wewnątrz kręgu Quenthel. Był nagi i wysmarowany

czymś lepkiem i czerwonym. Wydzielał mdląco słodki odór podobny do zapachu niedogotowanego mięsa.

Za ich plecami Danifae kontynuowała własną inkantację, jej głos stawał się coraz bardziej doniosły. Pharaun wiedział, że wkrótce skończy swoje zaklęcie, ale na razie nie zwracał na nią uwagi, skupiony na demonie Quenthel.

Z pyska nalfeshnee wyrosły wielkie kły. W jego zwierzęcej twarzy dominowały płonące czerwienią ślepia. Przy każdym oddechu potężna pierś demona, porośnięta ciemną sztywną sierścią, unosiła się i opadała jak miech kowalski. Z pleców wyrosły mu dwa absurdalnie małe skrzydełka. Zakończony szponami dłoń na końcu muskularnych rąk zaciskały się i rozluźniały. Demon wziął głęboki oddech, rozdymając nozdrza, i zmarszczył nos.

- Otchłanie Pajęczej Dziwki - warknął głębokim, donośnym głosem. - Nie dość, że jej smród unosi się na wszystkich Niższych Planach, to jeszcze muszę go znosić z tak bliska? - Wbił ślepia w stojącą przed nim Quenthel, która wydawała się nagle mała i drobna. - Zapłacisz za to, drowia kapłanko. Pływałem właśnie w jeziorach posoki...

Quenthel trzasnęła z bicia i pięć kompletów klów zatopiło się we wrażliwym ciele uda demona, bardzo blisko genitaliów. Cios miał być raczej bolesnym ostrzeżeniem, niż próbą zranienia.

Nalfeshnee zaryczał i spróbował pochwycić zmije, ale był zbyt powolny.

- Jeszcze jedno bluźnierstwo, demonie — powiedziała cicho Quenthel - a w ramach pokuty ofiaruję twoją męskość Lolth.

Płomienne ślepia Zerevimeela zwęziły się. Po raz pierwszy rozejrzał się wokół siebie, jak gdyby oceniał swoje położenie. Jego wzrok przesunął się z Pharauna na Jeggreda (na widok którego prychnął z pogardą) i wreszcie Danifae, która kończyła swoje zaklęcie.

Pharaun poczuł na skórze mrowienie magii wieszczącej. Demon próbował wybadać ich moc, wyczuć ich dusze. Pharaun nie przeszkadzał mu, choć mógł to uczynić z łatwością.

Ostrożnie, jak gdyby spodziewając się gwałtownej reakcji, Zerevimeel zbadał granice kręgu. Wydawał się zaskoczony, kiedy okazało się, że nie jest w nim uwięziony.

Uśmiechnął się, z pyska pociekły mu wielkie krople śliny.

- Nie spętałaś mnie, drowia dziwko.

Wyszedł na zakończonych kopytami nogach z wyrysowanego na ziemi koła, przytłaczając Quenthel swym ogromem. Pharaun przygotował zakłęcie, ale kapłanka Baenre nie cofnęła się.

- Moje zakłęcie było wezwaniem, głupcze - powiedziała.

- Nie spętaniem. Czy nawet wśród demonów samce są aż tak głupie?

Wszystkie pięć żmij przy jej biczu wpatrywało się w nalfeshnee, posykując ze śmiechu.

Demon przyglądał się jej z arogancją typową dla swego gatunku.

- Albo jesteś bardzo głupia, albo masz mi bardzo wiele do zaoferowania.

- Ani jedno, ani drugie - odparła Quenthel. Uniosła swój święty symbol, spojrzała na górującego nad nią demona i powiedziała: - Rzuciłeś przed chwilą czar jasnowidzenia. Znasz moje możliwości. Pajęcza Królowa znów odpowiada na modlitwy swoich kapłanek, a ja mogę cię unicestwić w każdej chwili. Albo będziesz mi posłuszny z własnej woli, albo rozedrę cię na strzępy i wezwę innego demona.

Z piersi nalfeshnee wydobył się głęboki pomruk podobny do tych, jakie wydawał Jeggred, ale demon nie zakwestionował słów Quenthel.

- Jeśli będziesz mi posłuszny - ciągnęła wysoka kapłanka - po moim powrocie do Menzoberranzan otrzymasz sowitą rekompensatę w duszach.

- O ile tam wrócisz - powiedział demon, a jego twarz wykrzywił grymas, który Pharaun uznał za uśmiech. Stwór spojrział w niebo i chyba po raz pierwszy zauważył sznur dusz unoszący się wysoko nad nimi. Przyglądał się im drapieżnym wzrokiem, oblizując grube wargi.

- W duszach, powiadasz - rzekł, przenosząc wzrok na Qu-enthel.

Quenthel strzeliła z bicia.

- Owszem, w duszach. Ale nie tych. Te należą do Lolth. Za płacę ci innymi, jeśli przeniesiesz mnie do podnóża tamtych gór, na początek Ścieżki Pożeracza.

Wskazała batem w kierunku odległych gór wciąż ukrytych w nocnych ciemnościach.

Pharaun przekrzywił głowę. Nigdy dotąd nie słyszał, żeby Quenthel wymieniała nazwę celu ich podróży u podnóża gór, choć od dawna podejrzewał, że wie, co tam znajdują.

- Nie przeżyjesz próby przejścia ścieżki - rzekł demon.

- Przeżyję - powiedziała Quenthel, kładąc ręce na biodrach.

- Podobnie jak ci, którzy mi towarzyszą.

Demon oblizął usta, zapewne zastanawiając się, co zrobić. W końcu powiedział:

- Nie jestem zwierzęciem jucznym, drowko.

- Nie - odparła Quenthel - ale poniesiesz Wybrankę Lolth i uznasz to za zaszczyt.

Demon uniósł wargi, ukazując ogromne, pożółkłe kły. Odwrócił głowę w bok i splunął cuchnącą śliną w brudny piach. Skrzyżował ramiona na potężnej piersi i powiedział:

- Może jesteś Wybranką, kapłanko, a może nie. Tak czy inaczej, Pożeracz upomni się o ciebie na ścieżce. A co do upokorzenia, o jakie mnie prosisz, moja cena brzmi sześćdziesiąt sześć dusz.

Pharaun uniósł brwi. Sześćdziesiąt sześć dusz było bardzo skromnym żądaniem. Quenthel skutecznie udało się go zastraszyć.

- Zgoda - powiedziała Quenthel. - Spróbuj mnie zdradzić, a zginiesz.

- Nie ma mowy o zdradzie, kapłanko - powiedział demon niskim głosem. - Chciałbym już poczuć dotyk twojej miękkiej skóry. A kiedy wrócę do jezior posoki w mojej krainie, będę myślał z rozrzewnieniem o twej duszy pochłanianej przez Pożeracza.

Quenthel prychnęła, a jej źmije zachichotały.

- Ruszajmy, kapłanko - powiedział demon. - Chcę już wracać do domu.

- Jeszcze nie - sprzeciwiła się Quenthel. Odwróciła się plecami do stwora, dając dowód najwyższej pewności siebie, i partryła, jak Danifae kończy przyzywać swojego demona.

Stojąc przed kręgiem z rozpostartymi ramionami Danifae krzyknęła:

-Vakuul!

Krąg Danifae rozbłysnął mocą. Powietrze rozdarło się, ukazując okrągły portal obrysowany błękitnym światłem. Pharaun dostrzegł przezeń tylko kłębiącą się gęstą niebieską mgłę. Trochę mgły wyciekło przez bramę, niosąc słodkawy odór przypominający zapach gnijących grzybów.

- Charistral - zauważył nalfeshnee z nieskrywaną pogardą.

Pharaun uznał, że to nazwa planu widocznego przez portal.

- Vakuul! - zawołała znów Danifae.

Rozległo się brzęczenie. Coraz głośniejsze i głośniejsze...

- Chasme - stwierdził Zerevimeel z jeszcze większą pogardą.

Pharaun zauważył, że Quenthel się uśmiecha. Podobne do much demony chasme były stosunkowo słabe, słabsze od nalfeshnee. Albo Danifae rozmyślnie nie wykorzystwała pełni swych możliwości, albo po prostu nie potrafiła wezwać niczego potężniejszego.

Skrzydłata, owadzia postać wypełniła sobą cały portal. Błękitna mgielka znikła i portal zamknął się, tak że w kręgu został tylko brzęczący chasme.

Uśmiech znikł z twarzy Quenthel, kiedy zobaczyła stwora. Pharaun gwałtownie wciągnął powietrze.

Chasme wezwany przez Danifae był największym, jakiego Pharaun dotychczas widział - był prawie tak wielki jak cztery juczne jaszczury.

- Ogromny - stwierdził Zerevimeel.

- Milcz - rozkazała Quenthel, a jej wężę syknęły na demona. A do Danifae zawołała: - Czy wzywanie mętów z dna Otchłani uchodzi w Eryndlynie za czar przyzywający?

Danifae nie odwróciła się, ale Pharaun wyczytał złość z jej zgarbionych pleców.

Chasme zlekceważył drwinę Quenthel, wodząc dookoła złożonymi oczyma, z których każde miało wielkość dwóch pięści Pharauna. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na Jeggredzie i nalfeshnee. Stwór zabrzączał ze wzburzeniem skrzydłami.

- Dlaczego niepokoisz Vakuula? - zapytał Danifae. W przeciwieństwie do barytonu Zerevimeela głos chasme był wysoki, rozwibrowany i bzyczący.

Z wyglądu Vakuul przypominał Pharaunowi wielką czarną muchę jaskiniową z rodzaju tych, które uprzykrzają życie rothe, i których ukąszenia zostawiają nabiegłe ropą ranki. Demon miał sześć odnóży. Cztery tylne wyglądały na owadzie, z haczykami i włoskami sterczącymi z górnych segmentów, a dwie przednie przypominały przerośnięte ręce drowa i obie kończyły się dłońmi, które podrygiwały i zaciskały się spazmatycznie. Z pleców chasme wyrastała wielka podwójna para skrzydeł, o wiele większych niż skrzydła nalfeshnee. Za każdym razem, gdy nimi poruszał, w stronę Pharauna niósł się cuchnący trupi odór. Głowa chasme wyrastała z odwłoka niczym guz, a twarz stanowiła mieszankę rysów muchy i człowieka, tworząc groteskowy profil. W bezzębnych ustach widać było czarne kościane grzebienie, a z miejsca, gdzie powinien znajdować się nos, sterczał długi róg. Całe ciało demona porastały nieregularne kępki krótkiej, czarnej szczeciny.

Danifae stanęła przed demonem i oznajmiła:

- Masz przenieść mnie w góry widoczne w oddali, na ścieżkę u ich podnóża.

Demon określił się i popatrzył w kierunku wskazanym przez Danifae. Jego ruchy były nerwowe i owadzie. Potem odwrócił się z powrotem do branki i powiedział:

- To Pajęczne Otchłanie.

Jego skrzydła zabrzęczały niespokojnie.

- A ja jestem kapłanką Lolth - oświadczyła Danifae, wyciągając przed siebie swój święty symbol.

Jegged stanął u boku Danifae, wwiercając się wzrokiem w demona-muchę. Chasme, choć był tak wielki, zatrzepotał skrzydłami. Potarł ludzkimi dłońmi jedną o drugą, tak jak mucha pociera czasem o siebie przednimi odnóżami.

- Prosisz o przysługę, ale nie wspominasz o zapłacie - rzekł Vakuul. - Jaka będzie zapłata, kapłanko Lolth?

Quenthel przyglądała się bacznie tej scenie, podobnie jak Pharaun. To będzie prawdziwy sprawdzian mocy Danifae. Propozycja i przyjęcie zapłaty było formalnością stanowiącą nieodłączną część wezwania demona, ale szczegóły dobitego targu odzwierciedlały potęgę przyzywającego i przyzwanego. Im wyższa zapłata, tym niżej przyzwany demon oceniał moc przyzywającego. Czy Danifae była w stanie zmusić demona groźbą do przyjęcia korzystnej zapłaty, tak jak uczyniła to Quenthel?

Danifae spojrzała na Quenthel, zanim zrobiła krok w stronę chasme.

Weszła w krąg, wyciągnęła ręce i przesunęła palcami po rogu zastępującym nos chasme. Skrzydła demona zabrzęczały w niekontrolowany sposób. Otworzył usta, pokazując długi, wklęsły język, wilgotny od śmierdzącej śliny.

- Jestem pewna, że dojdziemy do... porozumienia, które za dowolni obie strony - mruknęła Danifae.



Z ust chasme pociekła gęsta, ciemna ciecz. Demon przeniósł wzrok z Danifae na Jeggreda, który sam był owocem spółko-wania drowki z demonem, zabzyczał i spojrzał lubieżnie na Danifae. Coś długiego, cienkiego i ciekącego wysunęło się z jego odwłoka.

Pharaun przyglądał się z fascynacją tej groteskowej scenie.

Danifae tylko się uśmiechnęła, owinęła dłoń wokół rogu demona i powiedziała:

- Mam nadzieję, że moja propozycja przypadła ci do gustu?

- Jak najbardziej, kapłanko - odparł Vakuul. Grubym, żółtym językiem oblizal grzebienie służące mu za zęby. - Poniosę cię w ramionach, blisko siebie. A potem - zabzyczał z podnieceniem -jeszcze bliżej.

Danifae puściła róg demona.

- Mój draegloth musi nam towarzyszyć - oświadczyła.

Vakuul zabzyczał ze wzburzeniem. Jego głos stał się jeszcze bardziej piskliwy.

- Nie, kapłanko, nie. Jest zbyt duży, jego odór zbyt plugawy. Tylko ty.

Jeggred nic nie powiedział, tylko patrzył.

Pharauna rozbawił fakt, że wielki demon-mucha nie chce przenieść Jeggreda, gdyż według niego jest on zbyt ohydny. Miał ochotę dociąć draeglothowi, ale powstrzymał się.

Danifae uśmiechnęła się i położyła rękę na głowie Vakuula. Chasme zatrzepotał szybko skrzydłami, gdy przesunęła palcami po porastającej go szczecinie.

- Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, co jestem gotowa dla ciebie zrobić - powiedziała niskim, chrapliwym głosem. - Jeśli tylko przeniesiesz mnie i mojego sługę.

Wypustka stercząca z odwłoka stwora wysunęła się jeszcze bardziej.

- A więc oboje - powiedział chasme. Z jego otwartych ust ciekła ślina. - Chodźcie. Chodźcie.

Danifae odwróciła się i skinęła na Jeggreda.

-Chodź, Jeggred-powiedziała, jednocześnie pokazując na migi: *Gdy tylko wyładujemy, oderwij mu wszystko, co wystaje z odwłoką, a potem zabij.*

Jeggred uśmiechnął się do demona i ruszył w jego stronę.

Kiedy Danifae odwróciła się z powrotem do Vakuula, na jej twarzy znów widniał uwodzicielski uśmiech.

Pharaun był pełen podziwu dla branki. Ta kobieta nie była tak potężna jak Quenthel - to było jasne - ale mag jeszcze nigdy nie spotkał tak uzdolnionej manipulatrixki. Pharaun wrócił myślami do starcia z draeglothem w tunelu chwidench. Mag powiedział wtedy, że Danifae manipuluje draeglothem. Jeggred odpowiedział mu, że to Danifae manipuluje nim i Quenthel.

Pharaun zaczynał podejrzewać, że obaj mieli rację. Tam gdzie Quenthel polegała na czystej mocy, Danifae posługiwała się chytrym podstępem. Obie kobiety były niebezpieczne. Zaczynał dochodzić do wniosku, że obie mogą być *Yor 'thae*, a może nie jest nią żadna z nich. Prawdę mówiąc, nie obchodziło go - zależało mu tylko na tym, żeby wyjść z tej opresji z życiem.

Danifae popatrzyła na Quenthel i Pharauna.

- A więc do zobaczenia w górach, mistrzyni Quenthel?

Quenthel kiwnęła głową z beznamiętnym wyrazem twarzy, który nie był w stanie ukryć jej wściekłości.

Jeggred wziął uśmiechniętą Danifae w ramiona, a chasme objął ich odnóżami i szybko zatrzepotał skrzydłami.

- Ciężko - powiedział demon jęklwym głosem, ale zdołał oderwać się od ziemi. - Tak ciężko.

Quenthel odwróciła się do nalfeshnee i pozwoliła, żeby wziął ją w swoje wielkie ramiona. On też zamachał skrzydłami i jakimś cudem te absurdalnie małe wyrostki uniosły go w powietrze.

- Za mną, czarodzieju - zawołała Quenthel.

Pharaun westchnął, przywołał moc pierścienia i poszybował w ślad za nimi.

Wzbili się wysoko nad Pajęczę Otchłanie, lecąc pod wiatr. Trzymali się poniżej dusz, ale ponad najwyższymi słupami. Na-lfeshnee tulił Quenthel do gigantycznej piersi. Jej włosy łopotały na wietrze. Chasme trzymał Jeggreda i Danifae blisko siebie, obłapiając przy tym brankę.

Mimo dość dużego obciążenia demony poruszały się szybko i Pharaun musiał wyteżać siły, żeby za nimi nadążyć. Wycie wichru zagłuszało wszystko oprócz przytłumionego brzęczenia skrzydeł Vakuula. Na twarz maga padały krople deszczu.

Lot oszczędził im podróży po nierównym, wyboistym terenie, więc szybko pokonywali kolejne ligi. Piesza wędrówka do podnóża gór zajęłaby im pięć, sześć dni. Przy obecnym tempie Pharaun spodziewał się dotrzeć tam o świcie, może trochę później.

Lecąc, przyglądał się równinie pod sobą. Z góry powierzchnia Otchłani wyglądała jak chora skóra pokryta bąblami, bliznami i dziobami. Ziemia usiana była jeziorami kwasu, wszędzie wałały się trupy pajaków, a wielkie rozpadliny przecinały krainę niczym blizny.

Popatrzył przed siebie, w stronę gór, ale pozostawały wciąż niewidoczne. Widział jednak żarzące się dusze lecące w stronę gór, ku Ścieżce Pożeracza.

Odtworzył w myślach słowa demona: *Me przeżyjesz próby przejścia ścieżki*, powiedział Zerevimeel. A potem: *Będę myślał z rozrzewnieniem o twojej duszy pochłanianej przez Pożeracza*.

Pharaun stwierdził, że wolałby zachować swoją duszę dla siebie, ale leciał naprzód.

## DZIE SIĄTY

Było już dawno po północy, a Halisstra jeszcze nie zakłóciła Zadumy swoich sióstr. Wiedziała, że powinna to zrobić. Powinny były wyruszyć w drogę nocą, na wypadek gdyby o świcie znów zaczęła się rzeź, ale Halisstra wiedziała, że jej siostrom potrzebny jest odpoczynek. Nie będą już miały do niego wielu okazji, gdy opuszczą prowizoryczną świątynię na szczycie kamiennej wieżycy. Poza tym Halisstra chciała mieć jeszcze kilka godzin spokoju, sam na sam ze swoją wiarą. Wkrótce na to też nie będzie już czasu.

Siedziała na krawędzi iglicy, modląc się do Mrocznej Panny o siłę stawienia czoła czekającym ją wyzwaniom.

Nad nią, na niebie, wciąż kłębiły się wiry kolorowej energii. W każdej upływającej chwili jeden z nich wyrzucał w powietrze

zarzając się duszę. W każdej chwili jakiś wyznawca Lolth umierał gdzieś w multiwersum, a jego dusza odnajdywała drogę do Pajęcych Otchłani. Proces ten odbywał się z regularnością mechanizmu. Halisstra patrzyła, jak powtarza się raz za razem i jak każda nowoprzybyła dusza dołącza do niekończącego się sznurka duchów leących ku swej mrocznej bogini, ich wiekiustemu losowi.

Będzie to trwało aż do końca multiwersum.

Chyba że Lolth zginie.

Obserwowała dusze przesuujące się metodycznie ku swemu przeznaczeniu i zastanawiała się czy jest wśród nich Danifae. Po zerwaniu łączących je Więzów Halisstra nie potrafiła wyczuć jej śmierci. Miała jednak głęboką nadzieję, że jej była branka wciąż żyje.

Na myśl o Danifae Halisstrę przeszedł dreszcz nadziei i strachu. Danifae powiedziała jej kiedyś, kiedy stały w jakichś ruinach Świata Ponad, że czuje wołanie Eilistraee. Branka wymówiła te słowa, kiedy przyszła ostrzec Halisstrę, że Quenthel wysłała Jeggrede, aby zabił Rylda.

Danifae ostrzegła ją.

Między nimi istniała więź, Halisstra była o tym przekonana - więź zrodzona z Więzów, które kiedyś łączyły panią i niewolnicę. Wiedziała, że Danifae może zostać odkupiona. A ponieważ Halisstra oddała się całkowicie Pani Tańca, będzie w stanie pomóc Danifae podążać ścieżką odkupienia - o ile ta jeszcze żyła.

Obezwładniający żal ścisnął Halisstrze gardło, żal z powodu życia spędzonego na zadawaniu bólu i tyranizowaniu innych. Zmarnowała wieki trwając w nienawiści. W oczach zakręciły jej się łzy, ale powstrzymała je upartym potrząśnięciem głowy.

Wicher dął, szatkując jej modlitwę, rwąc sieci pajaków śpiewaków i wzywając *Yor 'thae*.

Słowo to straciło dla niej cały urok. Nie czuła już jego przyciągania.

Podniosła wzrok na osiem gwiazd tak podobnych do oczu Lolth i przysięgła:

- Nikt nie odpowie na twoje wezwanie.

Halisstra nie wiedziała, jakie Lolth ma plany wobec swojej *Yor 'thae* i nie obchodziło ją to. Zgadywała, że zabicie *Yor 'thae* zrani Lolth, może ją osłabi. I wiedziała, że wybranką Lolth może być tylko jedna osoba - Quenthel Baenre.

- Zabiję twoją Wybrankę, a potem ciebie - wyszeptała.

Wiatr znów umilkł, jak gdyby uciszony tą obietnicą.

Halisstra popatrzyła na spustoszony krajobraz krainy Lolth, na sterty porozdzieranych członków i truchła pajaków. Zastanawiała się, gdzie w tej chwili jest Quenthel. Podejrzewała, że kapłanka Baenre jest już w Pajęczych Otchłaniach i kieruje się ku Lolth, kolejna potępiona dusza przyciągana przez Pajęczą Królową.

- Jestem tuż za tobą, Baenre - wyszeptała.

Przez chwilę siedziała w ciszy, sam na sam ze swoją boginią, wpatrując się w nieskończony strumień dusz lecących ku Lolth. Po pewnym czasie wyciągnęła miecz Seyll, przytknęła jego wydrażoną rękojeść do ust i zagrała cichy lament, oddając cześć zagubionym душom. Nuty niosły się nad jałową krainą, ciesząc jej uszy.

Jeśli dusze ją słyszały, nie dały tego po sobie poznać.

Wiatr wzmógł się, jak gdyby chcąc zagłuszyć jej pieśń, ale Halisstra grała dalej. Choć wiedziała, że to niemożliwe, miała nadzieję, że gdzieś, jakimś cudem, Seyll słyszy jej pieśń i rozumie.

Kiedy skończyła, schowała klingę Seyll do pochwy i wstała. Patrząc w niebo, wyciągnęła przed siebie rękę, wnętrzem dłoni do góry, i zagięła palce, układając je w błuznierczy dla Lolth symbol martwego pajaka.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- To też dla ciebie - powiedziała.

Wiedziona impulsem, zdjęła pancierz i tarczę, dobyte Księżycowe Ostrze i zatańczyła. Wysoko na szczycie chłostanej wiatrem iglicy, na przeklętym planie Lolth, Halisstra Melarn wirowała, obracała się, dźgała mieczem i skakała. Oprócz wycia wichury nie było innego dźwięku, do którego mogłaby się poruszać, więc tańczyła do rytmu, który słyszała we własnej głowie. Przepelniała ją radość, z każdym krokiem, z każdym obrotem coraz większa. Ona i jej klinga stały się jednością, jednością z Eilistrae. Wyrzucała Lolth przez skórę, z każdym przyspieszonym, radosnym oddechem rozstając się ze swoją przeszłością.

Rozwiane włosy wirowały wokół niej. Nie mogła przestać się uśmiechać. Księżycowe Ostrze wydawało jej się lekkie jak źdźbło trawy, małej zielonej roślinki porastającej Świat Ponad. Miecz przecinał ze świstem powietrze, tworząc własną melodię, wygrywając własną pieśń.

Halisstra tańczyła, dopóki cała nie oblała się potem i nie zaczęła oddychać z trudem. Kiedy wreszcie skończyła, padła plecami na ziemię, wyczerpana i pełna uniesienia. Przepelniała ją łaska. Czowała się oczyszczona, nareszcie godna tego, by dzierżyć Księżycowe Ostrze.

Dziękuję ci, Pani, powiedziała w myślach do Eilistrae i uśmiechnęła się, kiedy chmura przesłoniła na chwilę osiem gwiazd Lolth.

Leżała tak jakiś czas, nie robiąc nic prócz rozkoszowania się wolnością.

Trochę później wstała, podeszła do krawędzi słupa i wdziała z powrotem pancierz. Kiedy mocowała miecz Seyll do pleców, czyjaś ręka zacisnęła się na jej ramieniu. Halisstra prawie podskoczyła.

- Feliane - powiedziała, odwracając się i spoglądając w życzliwe, migdałowe oczy elfki z powierzchni.

Feliane uśmiechnęła się ciepło.

- Nie zbudziłaś mnie na moją wartość. Przespałam cały dzień. Późno już?

- Do świtu zostało jeszcze kilka godzin - odparła Halisstra, wsuwając miecz Seyll do pochwy. - Powinniśmy obudzić Uluyarę.

Feliane kiwnęła głową.

- To twój śmiech mnie obudził - powiedziała.

- Przepraszam - odrzekła Halisstra. Nie zdawała sobie sprawy, że śmieje się na głos.

- Nie ma za co - odparła Feliane. - Mogłam obejrzeć twój taniec.

Ku swemu zaskoczeniu Halisstra nie czuła zawstydzenia.

- Był piękny - powiedziała Feliane z uśmiechem. - Widziałam w nim Panią, tak wyraźnie jak jeszcze nigdy przedtem.

Halisstra nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc spuściła wzrok i powiedziała tylko:

- Dziękuję.

- Daleko zaszłaś w tak krótkim czasie - stwierdziła Feliane, mijając ją, aby spojrzeć w dół.

Halisstra kiwnęła głową. To była prawda.

- Mogę cię o coś zapytać? — spytała Feliane.

- Oczywiście - odparła Halisstra i coś w głosie Feliane sprawiło, że serce zabiło jej szybciej.

- Dlaczego zostałeś wyznawczynią Lolth? Ta wiara jest... przepelniona nienawiścią, ohydna. A ja nie widzę w tobie żadnej z tych cech.

Serce załomotało Halisstrze w piersi. Nie była pewna, dlaczego to pytanie tak ją dotknęło. Małe ziarenko w samym środku jej jestestwa drgnęło, ale żadna odpowiedź nie przyszła jej natychmiast do głowy.

Zastanowiła się chwilę i w końcu odparła:

- Przecieniasz mnie, Feliane. Byłam pełna nienawiści. I ohydna. Nic mnie do tego nie skłoniło. Nie musiało. Zostałam wychowana



w kulcie Lolth i cieszyłam się przywilejami związanymi z moją pozycją. Byłam nikczemna i małosłowna, tak przepelniona mściwością, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że może być inaczej. Dopóki nie spotkałam ciebie i Uluyary, i nie zobaczyłam słońca. Jestem waszą ogromną dłużniczką. Jestem dłużniczką Pani. Feliane kiwnęła głową, ujęła jej dłoń i uściśnęła ją.

- Mogę zapytać o coś jeszcze?

Halisstra skinęła głową. Nie miała zamiaru ukrywać niczego przed swoją siostrą w wierze.

Feliane wzięła głęboki oddech, zanim zapytała:

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to co robisz w jej imieniu jest... złe?

Halisstra nie dopatrzyła się oskarżenia w tym pytaniu. Feliane nie osądzała jej, jej twarz zdradzała wyłącznie ciekawość. Drowka zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Nie - odparła w końcu. - Wstyd mi to teraz przyznać, ale nie. Wiara w Pajęczą Królową oznaczała władzę, Feliane. W Ched Nasad władza wyznaczała różnicę między tymi, którzy rządzą, a tymi, którzy służyli. Tymi, którzy żyli, i tymi, którzy umierali. To nie jest usprawiedliwienie - dodała, widząc, że Feliane pochmurnieje - tylko wyjaśnienie. To, co wtedy robiłam, to, kim byłam, przynosi mi teraz wstyd.

Spoglądając w zadumie w mrok, Feliane kiwnęła głową. Milczała.

W końcu elfka powiedziała:

- Dziękuję, że mi się zwierzyłaś, Halisstro. I nie wstydź się tego, kim byłaś. Z każdą chwilą stajemy się kimś innym. Nigdy nie jest za późno na zmiany.

Halisstra uśmiechnęła się.

- Bardzo podoba mi się to, co mówisz, Feliane. Twoje słowa dają mi nadzieję, że ktoś jeszcze, kogo znam, może zostać odkupiony.

Feliane odwzajemniła uśmiech.

Stały przez chwilę w milczeniu, wsłuchując się w wiatr.

- Powinnyśmy obudzić Uluyarę i ruszać w drogę—odezwała się w końcu Halisstra.

Feliane kiwnęła głową, ale nie odwróciła się. Zamiast tego powiedziała:

-Boję się.

Jej słowa zaskoczyły Halisstrę. Nigdy dotąd nie słyszała podobnego wyznania z ust innej elfki.

Po chwili objęła Feliane ramieniem, przyciągnęła ją do siebie i powiedziała:

- Ja też. Ale odnajdziemy siłę w naszym strachu. Zgoda?

- Zgoda - odparła Feliane.

Halisstra odsunęła ją na długość ramienia.

- Pani jest z nami. A ja mam plan.

Feliane uniosła brwi.

-Plan?

- Obudźmy Uluyarę - powiedziała Halisstra.

Feliane kiwnęła głową i obie ruszyły ku świątyni. Zanim do niej doszły, ze środka wyszła Uluyara.

- Tu jesteście - powiedziała wysoka kapłanka. - Czy wszystko w porządku?

- Tak - odrzekła Feliane z uśmiechem. - Halisstra ma plan.

Uluyara zmarszczyła brwi.

- Plan?

Halisstra nie marnowała słów.

- Wydaje mi się, że wiem, dlaczego Eilistrae włożyła Księżycowe Ostrze w moje ręce.

Uluyara spochmurniała.

- Już to wiemy, Halisstro. Masz zabić tym mieczem Królową Pajęczych Otchłani.

Halisstra kiwnęła głową.

- Tak, ale myślałyśmy, że mam go użyć tylko przeciwko sa mej Lolth. Ale ja myślę, że Lolth zostanie osłabiona, jeśli jej

Wybranka nie odpowie na wyzwanie. Muszę pozbawić Lolth jej *Yor 'thae*. Muszę zabić Quenthel Baenre. Jej siostry popatrzyły na nią z konsternacją.

- Nie rozumiecie? Moim przeznaczeniem było spotkać Quenthel Baenre podczas upadku Ched Nasad. Moim przeznaczeniem było dowiedzieć się o jej misji przebudzenia Lolth. W tym wszystkim tkwi palec Eilistraee. Teraz to widzę. Quenthel Baenre jest *Yor 'thae* Lolth. Jeśli ją zabiję...

Może wtedy uda mi się zabić Lolth, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

- Wtedy łatwiej będzie zranić Lolth - dokończyła Uluyara, kiwając głową.

- Czy jesteśmy tego pewne? - ośmieliła się zapytać Feliane.

- Przepowiednia o Księżycowym Ostrzu nie wspominała o Wybrance Pajęczej Królowej.

- Nie mogłabym być tego bardziej pewna - odparła Halisstra, wiedząc, że wcale tak nie jest.

Feliane nie wahała się.

- W takim razie przekonałaś mnie.

Uluyara przeniosła wzrok z Feliane na Halisstrę. Po chwili westchnęła, dotknęła świętego symbolu Eilistraee noszonego na szyi i oznajmiła:

- W takim razie mnie też przekonałaś. Jak znajdziemy Quenthel Baenre?

Halisstra miała ochotę uściskać wysoką kapłankę.

- Jest gdzieś tutaj, gdzieś w Pajęczych Otchłaniach - odparła.

- Próbuje dotrzeć do Lolth. Tego też jestem pewna.

- A zatem musimy ją odnaleźć zanim dotrze do Pajęczej Królowej - stwierdziła Feliane. - Ale jak? Pójść za duszami? - Wskazała potępione dusze sunące wysoko nad nimi.

- Nie - odparła Halisstra. - Musimy znać dokładne miejsce jej pobytu.

Uluyara zrozumiała, co chce przez to powiedzieć.

- Baenre z pewnością chronią osłony. Zaklęcie wieszczące nie zadziała.

- To prawda - przyznała Halisstra - ale Quenthel ma przy sobie przedmiot, który kiedyś należał do mnie, różdżkę uzdrawiająca, którą odebrała mi po upadku Ched Nasad. To wzmocni moje zaklęcie. - Spojrzała siostrą w twarz. - Uda nam się, a to, że się nam uda, będzie oznaką przychylności Panny.

- Baenre może wyczuć nasze zaklęcia - zauważyła Uluyara.  
.Halisstra kiwnęła głową.

- Może. Zaufajmy Pani, wysoka kapłanko. Czas nagli. - Halisstra czuła, jak czas przecieka jej przez palce.

- Jestem z tobą, Halisstro Melarn - oznajmiła Uluyara z uśmiechem. - Ale w tym celu potrzebujemy naczynia ze święconą wodą.

Halisstra rozejrzała się po szczycie słupa, szukając jakiegoś zagłębienia pełnego deszczówki. Uluyara i Feliane rozdzieliły się, pomagając w poszukiwaniach.

- Tutaj! - zawołała po chwili Feliane.

Halisstra i Uluyara podbiegły do Feliane, która stała nad wielką kałużą brudnej wody w zagłębieniu skalnym.

- To wystarczy - stwierdziła Halisstra.

- Ja ją poświęcę - rzekła Uluyara, wyciągając swój święty symbol.

Trzymając medalion nad wodą zmówiła modlitwę konsekrującą do Eilistraee. Recytując suplikę, wyjęła z płaszcza małą perłę i upuściła ją do wody. Perła rozpuściła się w niej, jak gdyby była z soli, warstwa brudu zniknęła, a woda zrobiła się przezroczysta. Uluyara zakończyła modlitwę i odsunęła się od kałuży.

- Gotowe - oświadczyła.

Halisstra uśmiechnęła się mimowolnie. Wznosząc świątynię i uświęcając wodę trzy kapłanki odebrały Lolth mały fragment jej planu w imieniu Eilistraee. To było miłe uczucie, to było wyzwanie rzucone Otchłaniom. Była ciekawa, jak długo

przetrwają świątynia i chrzcielnica, nim zagarnie je zło tego planu.

Będą stały wiecznie, kiedy Lolth zginie, pomyślała.

Z nową determinacją uklękła przed chrzcielnicą i zobaczyła w przezroczystej tafli swoje blade odbicie. Osiem gwiazd Lolth, choć wisiały dokładnie nad nią, nie odbijało się w wodzie. Ucieszyło to Halisstrę. Nawet na swoim własnym planie Lolth nie była w stanie splugawić chrzcielnicy Eilistraee.

Dotykając swojego świętego symbolu, Halisstra zaintonowała pieśń jasnowidzenia.

W miarę jak magia nabierała kształtów, przywołała w myślach obraz Quenthel Baenre -jej wysoką postać, gniewne oczy i zacięte usta, długie białe włosy, żmijowy bicz, różdżkę, którą ukradła Halisstrze...

Przezroczysta woda pociemniała. Halisstra poczuła, jak jej świadomość się poszerza. Recytowała melodyjną modlitwę coraz pewniejszym głosem. Choć nie była szczególnie uzdolnioną wieszczką, słowa zaklęcia wieszczącego same płynęły z jej ust. Wiedziała, że osłony mogą ochronić Quenthel, ale z pewnością zrodzoną ze swej wiary wiedziała, że stanie się inaczej. Wola Eilistraee zostanie spełniona. Halisstra stanie się narzędziem Mrocznej Panny.

W chrzcielnicy uformował się obraz, chwiejny z początku, ale wyraźniejszy z każdą nutą wyśpiewaną przez Halisstrę. Kiedy wypełnił całe naczynie, był wyraźny jak portret. Uluyara i Fe-liane nachyliły się nad nim.

Obraz pokazywał leącą w powietrzu Quenthel Baenre, którą przyciskał do piersi ogromny umięśniony stwór porośnięty krótką szczeciną. Reszta ciała potwora była niewidoczna. Zaklęcie Halisstry pokazywało tylko Quenthel i jej bezpośrednie otoczenie. Wszystko inne wydawało się zamazaną szarością.

Quenthel patrzyła przed siebie z cierpkim uśmiechem na ustach, jej oczy płonęły. Długie włosy kapłanki rozwiewały się

za nią na wietrze. Jej wargi poruszały się, jak gdyby *krzyczała* coś do stwora, który ją trzymał.

- Leci w objęciach demona - stwierdziła Uluyara. Spójrz, jaki wielki, ma dłonie o sześciu palcach i pazury... to nalfeshnee.

Halisstra kiwnęła głową. Quenthel musiała wezwać i spętać nalfeshnee, naginając go do swej woli.

Demon wzbił się nagle wyżej - Halisstra sprawiła, że widzące oko podążyło za nim - w środek chmary drowich dusz. Duchy wypełniły sobą cały obraz, wpadając i wypadając z „oka” zaklęcia.

- Rzeka dusz! - zawołała Feliane i popatrzyła w górę na cie nie płynące po niebie. - Przynajmniej jest w Pajęczych Otchłaniach.

Halisstra kiwnęła głową, ale cały czas koncentrowała się na obrazie Quenthel. Wysoka kapłanka Lolth warknęła coś do demona i uwolniła rękę, żeby sięgnąć po węzowy bicz. Demon padł niżej, a dusze zniknęły z pola widzenia.

- Gdzie jej towarzysze? - zapytała Uluyara.

Halisstra potrząsnęła głową.

- Może są poza polem widzenia - powiedziała, ale poczuła ukłucie strachu na myśl o Danifae.

Halisstra nie miała wątpliwości, że Quenthel jest gotowa zabić każdego, jeśli tylko posłuży to jej celom. Zagryzła wargi z irytacji. Jej czar pokazywał zbyt mało. Wiedziały, że Quenthel jest w Pajęczych Otchłaniach i leci dokądś, niesiona przez demona, ale nic więcej.

- Uluyaro - powiedziała. -- Musisz mi pomóc. Potrzebuję my więcej informacji.

Uluyara kiwnęła głową.

- Teraz, kiedy zobaczyłam Quenthel Baenre, mogę użyć pewnego zaklęcia. Rzucenie go zajmie trochę czasu. Podtrzymaj obraz jeszcze przez chwilę. Chcę, żeby obraz kapłanki Baenre wrył mi się w pamięć.

Wysoka kapłanka przyglądała się wizji przez pewien czas, a potem wstała.

- Wystarczy - oznajmiła. — Przerwij wieszczenie, Halisstro, zanim coś wyczuje. Nic więcej nie zobaczymy. Teraz potrzebne nam inne zaklęcia.

Halisstra sapnęła i pozwoliła czarowi rozproszyć się. Obraz znikł, a woda znów stała się przezroczysta. Wstała, ale trzęsły się jej kolana.

Ulyara dotknęła z czułością jej ramienia.

- Dobra robota, kapłanko. Wskazałaś nam drogę. Moje zaklęcie powie nam, jak daleko od tego miejsca znajduje się Baenre, ale niewiele więcej. To istotna informacja, jednak potrzebujemy czegoś więcej. Kiedy ja będę szukać Quenthel, wy dwie połączycie się w komunii z Panią i poprosicie ją o wskazówki.

^Halisstrze odebrało mowę. Serce zabiło jej mocniej w pierś. Komunia z Panią! Kiedy była kapłanką Lolth, czasem łączyła się z Pajęczą Królową podczas krwawych rytuałów odprawianych w domowej świątyni, ale nigdy nie było to przyjemne doświadczenie. Śmiertelny umysł dawał się łatwo przytłoczyć boskością. Myśl o komunii z Eilistraee była przerażająca i upajająca zarazem.

Napotkała spojrzenie Feliane i zobaczyła akceptację w jasnej twarzy elfki. Obie skinęły głowami Ulyarze.

- Dobrze - powiedziała wysoka kapłanka. - Pospieszmy się. Jak powiedziałaś, Halisstro, czas nagli.

- Nie tutaj. W świątyni - zaproponowała Halisstra.

Ulyara kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

- Tak. W świątyni. Doskonale.

Trzy kapłanki szybkim krokiem przeszły na uświęconą ziemię ich prowizorycznej świątyni. Tam zaczęły czarować.

Ulyara siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i świętym symbolem ułożonym na podolku. Zamknęła oczy, wyciszyła się i zapadła szybko w medytacyjny trans. Z jej ust

popłynęły szeptane modlitwy i urywki pieśni w nieznanym Halisstrze języku, który mimo to wydał jej się piękny.

Halisstra i Feliane usiadły w pewnej odległości od Uluyary, przodem do siebie, trzymając się za ręce, aby stworzyć krąg. Większe dłonie Halisstry przykryły dłonie drobnej kapłanki. Dłonie obu elfek były wilgotne. Feliane położyła swój medalion na ziemi między nimi.

- Gotowa? — zapytała Feliane i z powrotem ujęła jej dłonie.

- Gotowa - odparła Halisstra. Wiedziała, że zakłęcie, które zaraz rzucą, utworzy krótkie połączenie z Eilistrae. Odpowiedź na zadane przez nie pytania będzie krótka i zapewne zagadkowa. Taka była natura bezpośredniej komunikacji bogów i śmiertelników.

- Ja zadam pytania - powiedziała Halisstra i Feliane bez wahania skinęła głową.

Zamknęły oczy i zaintonowały zakłęcie - modlitwę w formie pieśni. Halisstra zaczęła, Feliane zawtórowała jej i wkrótce śpiewały już razem, jednym głosem. Gromadząca się moc otwierała okna pomiędzy rzeczywistościami.

Pod wpływem zakłęcia ich umysły sięgnęły na zewnątrz i w górę, poprzez plany, ku domowi ich bogini w innym świecie.

W niemiejscu utworzonym przez zakłęcie Halisstra nic nie widziała, ale czuła- i to z intensywnością, jakiej nie doświadczyła nigdy wcześniej. Wbrew sobie skuliła się mentalnie, czekając na kontakt z umysłem bogini. Czuła, że obok niej Feliane też czeka.

Niemiejsce załała czyjaś obecność i Halisstra spięła się cała w sobie. Kiedy nastąpił kontakt, kiedy umysł Halisstry spotkał umysł bogini w miejscu-pomiędzy-miejscami, był on czymś zupełnie innym niż to, czego się spodziewała. Zamiast przygniatającej nienawiści i oceny, jaką czuła łącząc się z Lolth, teraz załała jałobezwładniającą miłość, pociecha i zrozumienie. Czuła się jak po zanurzeniu w ciepłej, kojącej kąpieli.



*Pytajcie, córki*, powiedział w jej umyśle głos.

Wdzięk tego głosu, łagodna miłość, jaka z niego była, sprawiły, że Halisstrze stanęły lży w oczach.

*Pani*, przekazała Halisstra. *Znasz cel naszej wyprawy. Proszę, powiedz nam, czego pragnie Quenthel Baenre i dokąd nie sie ją nalfeshnee.*

Halisstra wyczuła, że pytanie spotkało się z uznaniem.

*Pragnie stać się naczyniem zmartwychwstania mej matki*, odparła bogini. *Bez Yor'thae Lolth nie zdoła się odrodzić.*

Halisstra ugięła się pod ciężarem tej wiadomości, ale Eilistraee ciągnęła dalej:

*Demon niesie Quenthel Baenre ku Ścieżce Pożeracza Duszu podnóża Gór Oczu. Moja matka czeka po drugiej stronie.*

W umyśle Halisstry pojawił się obraz wysokich szczytów, mrocznych iglic sięgających ku samemu sklepieniu niebieskiemu. Widziała je w oddali, kiedy zmaterializowała się w Pajęcznych Otchłaniach. U podnóża gór ział czarny otwór, jedyna droga prowadząca na drugą stronę gór - Ścieżka Pożeracza Duszu. Ta nazwa wydała jej się znajoma, jak gdyby czytała o niej w trakcie studiów w domu Melarn, ale szczegóły umknęły jej.

*Kiedy dotrze do ścieżki, Pani?* zapytała Halisstra.

Przerwa, a potem: *Dotrze tam, zanim znużone słońce mojej matki znów wzejdzie.*

Połączenie zaczęło słabnąć. Zakłęcie przestanie wkrótce działać. Halisstra poczuła, że bogini odsuwa się od niej. Spróbowała się jej uchwycić, ale Eilistraee prześliznęła jej się przez palce. Zanim działanie zakłęcia całkowicie ustało, wyrzuciła z siebie: *Czy Danifae Yauntyrr wciąż towarzyszy Quenthel Baenre?*

Wyczuła wahanie i natychmiast pożałowała, że zadała takie samolubne pytanie. Mimo to Eilistraee odpowiedziała, jak gdyby z daleka, a jej słowa dały Halisstrze nadzieję.

*Tak.* Przerwa, a potem: *Zwątpienie jest jej orężem, córko.*

Połączenie urwało się. Halisstra otworzyła oczy i odkryła, że znów siedzi naprzeciw Feliane, z powrotem w swoim niezgrabnym ciele. W oczach elfki też wezbrały łzy.

- Pani obdarzyła nas łaską- wyszeptwała Feliane.

- To prawda - odparła Halisstra. - To święta prawda. Jeśli Lolth nie będzie miała swej Wybranki...

- Wtedy zginie - dokończyła Feliane.

Halisstra mogła tylko kiwnąć głową.

Spontanicznie i jednocześnie obie siostry w wierze rozpostarły ramiona i uściślały się, rozświetlone wewnętrznym blaskiem, jaki spłynął na nie po spotkaniu z bóstwem.

- Uda nam się - powiedziała Feliane, a w uszach Halisstry zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie faktu.

- Uda - potwierdziła drowka, choć ostatnie słowa Eilistraee nie dawały jej spokoju. Czyją bronią było zwątpienie? Czyje zwątpienie? Nie знаła odpowiedzi.

Zaraz potem Uluyara wyszła z transu i Halisstra z Feliane przekazały jej treść ich komunii. Uluyara kiwnęła głową.

- Baenre znajduje się trzy ligi stąd. Podąża w ślad za duszami. Wyśledzimy ją, znajdziemy i zabijemy.

- Jej szlak prowadzi w góry - rzekła Feliane. - Do Ścieżki Pożeracza Dusz.

- W takim razie właśnie tam się udamy - odparła Halisstra.

- Musimy dotrzeć tam przed wschodem słońca.

Raz jeszcze dadzą się ponieść plugawemu wichrowi Pajęcznych Otchłani. Halisstra wiedziała, że dopadną Quenthel i Da-nifae, zanim tamte wejdą na ścieżkę.

- Możemy się spodziewać, że oprócz demona i Danifae z Baenre podróżuje ktoś jeszcze - stwierdziła Uluyara. - Czarodziej, draegloth i najemnik, o których nam opowiadałaś, mogą jej wciąż towarzyszyć.

- To prawda - przyznała Halisstra.

Kiedy przygotowywały się do ruszenia w drogę, Halisstra pomyślała o Danifae, zawahała się, a potem powiedziała do Uluyary:

- Danifae Yauntyrr powiedziała mi kiedyś, że Eilistraee wzywała ją. Chciałabym... - Nie dokończyła. - Ocaliła mnie raz przed draeglothem. Chciałabym dać jej jeszcze jedną szansę, aby odpowiedziała Pani.

Twarz Uluyary wyrażała niedowierzanie.

- Czy to, że towarzyszy Quenthel Baenre, nie wystarczy ci za odpowiedź? - zapytała. Jej twarz złagodniała, gdy Halisstra zmarszczyła brwi i wyciągnęła rękę, jak gdyby chcąc jej dotknąć, choć nie zrobiła tego. - Halisstro Melarn, poczucie winy z powodu życia, jakie wiodłaś przed Eilistraee, utrudnia ci ocenę sytuacji. Dobrze znam to uczucie. Ale nikt, kogo wezwała Pani, nie podróżowałby z kapłanką Lolth. Jeśli Danifae towarzyszy Baenre, to znaczy, że stoi po jej stronie.

Halisstra wiedziała, że słowa Uluyary mają sens, ale nie chciała tak szybko odrzucać Danifae.

- Możesz się mylić - powiedziała. - Zobaczymy, co przy niesie przyszłość. Jeśli ma być służką Pani, dowiedzie tego, kiedy się zobaczymy.

Feliane z niepokojem przeniosła wzrok z jednej drowki na drugą.

Uluyara sposepniała. Otworzyła usta, zamknęła je i w końcu powiedziała:

- Nie spierajmy się o to, nie teraz. Jak powiedziałaś, wszystko okaże się w swoim czasie. Będę rada, gdy okaże się, że nie miałam racji.

Halisstra patrzyła jeszcze chwilę na wysoką kapłankę, a potem postanowiła odłożyć tę sprawę na później.

- Zbierzcie się blisko mnie - poleciła.

Wyśpiewała pieśń, która miała znów zmienić je w mgłę, aby mogły lecieć razem z wiatrem. Kiedy skończyła zaklęcie,

przedzierzgnęły się w opar. Tak jak poprzednio pole widzenia Halisstry rozszerzyło się i skurczyło jednocześnie, utrudniając ocenę odległości. Mimo to czuła, że panuje nad swoim ciałem. Oderwały się od szczytu iglicy, lecąc w niebo ku duszom wysoko w górze.

Kiedy wzbijały się w zasnuwane chmurami niebo, Halisstra rzuciła okiem na świątynię na szczycie wieżycy, którą objęły na własność w imieniu Eilistrae. Wiedziała, że już nigdy jej nie zobaczy.

Trzy kapłanki zrównały się z duszami, trzy niematerialne postacie wśród tysięcy. Na mentalny rozkaz Halisstry przyspieszyły i pomknęły w powietrzu szybciej niż którykolwiek z cieni, szybko jak bełty wypuszczone z kuszy.

Mamy cię, Quenthel Baenre, pomyślała. Nadchodzimy.

Głęboko w trzewiach Trupiszcza Intrhacis stał w przedsionku sali zgromadzeń oddzielony od najlepszego regimentu swojej armii tylko misternie zdobionymi podwojami. Tak jak resztę twierdzy wykonał te wrota z rzeźbionej kości i płatów mięsa. Za drzwiami stało pięciuset mezzolothów i nycalothów z jego elitarnego regimentu Czarny Róg, wszystkich co do jednego weteranów Wojen Krwi. Nisviim odtrąbił wezwanie i regiment odpowiedział. Dowodzące nim nycalothy przekazały już swoim oddziałom, jaki jest cel wyprawy i doprowadziły je do stanu wrzenia obietnicą chwały i nagrody w postaci dwudziestu dusz-larw na głowę.

Żołnierze uderzali trzonkami glewii, trójzębów i halabard w posadzkę, wprawiając ściany i podłogi w drżenie, wybijając rytm, który chwilowo zagłuszył nieprzerwane wycie wichury. Równocześnie żołnierze skandowali na głos imię swojego generała, co brzmiało jak inkantacja.

- Intrhacis! Intrhacis! Intrhacis!

Inthracis uśmiechnął się, pozwalając napięciu narastać.

Nawet poprzez tumult słyszał ryki sierżantów. Wyobraził sobie zgromadzone za drzwiami oddziały - szeregi uzbrojonych i opancerzonych yugolothów- i upajał się ich oddaniem. Yugo-lothy były najemnikami do szpiku kości, a Inthracis dobrze traktował swoich żołnierzy, nagradzając ich przez milenia chwałą, duszami, skarbami i mięsem. Zapewnił sobie ich oddanie rzucanymi ukradkiem subtelnymi zaklęciami wiążącymi. Przez wieki starannie budował swoją armię, a jej budząca grozę siła i niezachwiana wierność wyniosły go prawie na szczyt hierarchii Krwawej Rozpadliny. Musiał tylko pozbawić pozycji Ke-xxona Oinolotha, aby zasiąść na wierzchołku Caalasu.

Vhaeraun rozkazał Inthracisowi sprowadzić armię na *Ereilir Vor*, Równinę Ognia Dusz w Pajęczych Otchłaniach Lolth. Inthracis nie mógł przenieść tam całej swojej armii, gdyż Tru-piszczce pozostałoby bez ochrony, ale mógł zrobić coś innego -zabrać tam regiment Czarny Róg i poprowadzić go samemu. Do swojego powrotu zostawi twierdzę pod opieką Nisviima, swojego porucznika arcanalotha. Inthracis wiedział, że spętany arcanaloth go nie zdradzi.

Poza tym był pewny, że Czarny Róg wystarczy - i to z nadatkiem - do zamordowania trzech drowich kapłanek i tych, którzy im towarzyszą. A kiedy trzy kapłanki będą martwe, może Vhaeraun go wynagrodzi.

- Inthracis! Inthracis!

Rytmiczne uderzenia trzonków broni w podłogę stawały się coraz głośniejsze, szybsze, wzbierając w crescendo. Obok In-thracisa, warcząc i śliniąc się, stały Rzeź i Mord, jego ulubione canolothy. Coraz głośniejsze okrzyki wprawiały czworonożne, podobne do psów yugolothy - oba były tępe, ale silne i wierne - w coraz większe wzburzenie. Długie, kolczaste jęzory wystawały im z najeżonych kłami pysków. Pazurami drapały posadzkę i warczały cicho.

Inthracis poklepał je po potężnych, opancerzonych bokach.  
- Spokojnie - powiedział, pozwalając, by w jego głos wkra  
dła się tajemna moc.

Magia uspokoiła canolothy, które zamruczały z zadowole  
niem i rozluźniły się w widoczny sposób.

Dla zachowania pozorów Inthracis kazał ubrać Rzeź i Mord  
w rynsztunek bojowy - szorstką, czarną sierść porastającą ich  
szerokie plecy i klatki piersiowe okrywały nabijane kolcami pan  
cerze. Ba, on sam wdział zbroję, choć konieczność wdania się  
w walkę wręcz uznalby za osobistą porażkę.

Mimo to żołnierze lubili oglądać swojego generała odziane  
go jak do walki.

Jego lekka, absorbująca magię kolczuga oraz hełm, wykute  
w paleniskach Caalasu z nasączonej magią rudy wydobywanej  
wyłącznie w Krwawej Rozpadlinie, lśniły w świetle żółtej kuli  
oświetlającej przedsionek. Jego klinga, Magiczna Brzytwa, którą  
potrafił rzucać zaklęcia i rozcinać cudze czary, wisiała w po  
chwie ze skóry czarta. W kołczanie przy udzie nosił cały arsena  
ł metalowych różdżek i trzy kościane buławy.

- Inthracis! Inthracis!

Wrzawa wywołała poruszenie wśród trupów w murach  
Tru-piszczka. Kończyny drgały, oczy wybałuszały się, z ciał  
sączyła się ropa. Wyciągające się ze ścian ręce próbowały go  
dotknąć, może z podniecenia, a może dla dodania sobie  
otuchy.

Rzeź obrócił wielki łeb, od niechcienia wyrwał ze ściany  
przedramię usiłujące złapać Inthracisa i pożarł je razem z kość  
mi. Widząc to, Mord przyjrzał się ścianie, sprawdzając, czy nie  
wystaje z niej następny smakowity kąsek.

Nie. Dłonie i ramiona schowały się w ścianach. Na  
współświadome oczy wpatrywały się w nich ze strachem.

Inthracis uśmiechnął się do swoich pupilów, przebiegając w  
myślach swój plan. Nie był w stanie wysledzić żadnej z trzech  
kapłanek - nie wiedział dlaczego - a awatar Yhaerauna już się

nie pokazał. Mimo to nie śmiał się sprzeciwić rozkazowi Pana w Masce.

Inthracis miał zamiar użyć prostego zaklęcia, aby pokazać regimentowi, dokąd ma się udać - na płomienną, spustoszoną Równinę Ognia Dusz, w cieniu miasta Lolth i Nieskończonej Pajęczyny - i tam się udadzą. Z tego, co wiedział, równina była niezamieszкана, jeśli nie liczyć umęczonych dusz, płonących na niebie i może kilku ósmionożnych ulubieńców Lolth.

- Inthracis! Inthracis!

Nadszedł czas.

Bez słowa otworzył na oścież podwoje i wkroczył na wysoki balkon wychodzący na salę zgromadzeń. Wrzawa, jaka go powitała, wstrząsnęła murami Trupiszcza niczym trzęsienie ziemi, które tak często nawiedzały Krwawą Rozpadlinę.

Spojrzał w dół na regiment. Szeregi przysadzistych, podobnych do żuków mezzolothów wpatrywały się w niego czerwonymi złożonymi oczyma. Mezzolothy stały na dwóch nogach, pozostałymi czterema dzierżąc oręż. Ich czarne pancerze były osłonięte zbrojami płytowymi. Klekotały cicho szczękoczułkami. Między nimi przechadzały się większe nycalothy, domagając się ciszy.

Pod zielonymi łuskami gargulcowatych nycalothów grały mięśnie. Na plecach nosiły wielkie topory. Z muskularnych piersi wyrastały cztery szponiaste ręce, a z okrągłych głów dwa rogi, czarne, rzecz jasna.

Inthracis uniósł ręce i tłumy ucichły. Słysząc było tylko wycie wichru na zewnątrz. W jego zawodzeniu Inthracis wciąż słyszał echo wołania Lolth, ale jakby cichsze: *Yor 'thae*.

Inthracis nie zwracał na nie uwagi, miał tylko nadzieję, że ta zmiana nie oznacza dla Lolth nic dobrego.

Wzmocnił zaklęciem swój głos. Kiedy przemówił, wymawiane przez niego słowa wydawały się żołnierzom tak czyste i wyraźne, jak gdyby stał obok każdego z nich.

- Musimy zabić kilka drowich kapłanek - oświadczył -1 musy to zrobić pod bokiem samej Pajęczej Królowej.

Szeregi zafalowały. Wszyscy wiedzieli, że coś się ostatnio działo z Lolth.

Inthracis wymówił słowa zaklęcia, przywołując ogromny obraz *Ereilir Vor*. Nad podziurawionym jamami krajobrazem wisiała zielona mgła. Z bulgoczących jezior żrącej cieczy bił w niebo smród. Na niebie płonęły magicznym ogniem dusze.

Za równiną majaczyło miasto Lolth, wielka cytadela z żelaza osadzona w Nieskończonej Pajęczynie. Po jej pasmach przełykały miliony arachnidów.

Szeregi znów zafalowały. Niektórzy żołnierze bez wątpienia rozpoznali to miejsce.

- Właśnie tam stoczmy bitwę - zawołał. - A oto nasze ofiary.

Czerpiąc z mentalnego wizerunku umieszczonego w jego umyśle przez Vhaerauna, wymówił na głos słowa kolejnego zaklęcia, sprawiając, że przed żołnierzami pojawił się obraz trzech kapłanek.

- Wszystkie trzy muszą zginąć - rzekł - i dodatkowe dwa dziecięta pięć dusz z moich prywatnych zasobów dla tego, kto zada śmiertelny cios.

Odpowiedział mu ryk. Inthracis kiwnął głową.

Regiment Czarny Róg był gotowy. Jeśli Vhaeraun miał rację i jedna z trzech drowich kapłanek była albo miała zostać *Yor'thae* Lolth, Wybranka Pajęczej Królowej nie dotrze do swej bogini.



# JEDENASTY

Zbliżał się świt. Nalfeshnee i chasme wciąż leciały przed siebie. Pharaunowi wydawało się, że góry rosną w oczach. Choć dzieliła go od nich może liga, były tak wysokie, że wyglądały jak niebosiężna ściana z czarnej skały. Wiedział, że nikt nie jest w stanie nad nimi przelecieć. Istniała tylko jedna droga na drugą stronę - Ścieżka Pożeracza Dusz.

Sunące nad głową czarodzieja dusze opadały w dół i płynęły ku podnóża gór. Nalfeshnee przyglądał się łakomie mijanym duszom, ale strach przed Quenthel nie pozwalał mu posunąć się dalej. Chasme wciąż jęczał, narzekając na ciężar swego brzemienia.

W miarę jak góry się zbliżały, Pharaun przyłapał Quenthel na tym, że ogląda się za siebie - nie na niego, ale na linię horyzontu. Pharaun też się odwrócił, spodziewając się, że blask

wschodzącego słońca po raz kolejny wezwie spod ziemi dzieci Lolth.

Słońce wychyliło się zza krawędzi świata, rzucając blade czerwone światło na całą krainę. Ku zaskoczeniu maga nic się nie wydarzyło.

Słoneczny blask zalewał skały, jamy i doły, ale nie wyszły mu na spotkanie żadne pająki.

Wyglądało na to, że Horda miała dość. Dziwne, że przemoc na taką skalę mogła wybuchnąć i zakończyć się z taką gwałtownością. Pharaun miał niejasne wrażenie, że Pajęcze Otchłanie wstrzymały oddech, czekając na coś.

Kiedy się obrócił, Quenthel wpatrywała się w niego. Wyolbrzymionymi gestami pokazała na migi: *Bądź gotów, kiedy wyładujemy. Ale nie rób nic bez mojego rozkazu.*

Pharaun kiwnął głową ze zrozumieniem. Wreszcie nadeszła chwila konfrontacji.

Został trochę w tyle za chasmem. Tam zaczął ukradkiem rzucać zaklęcia ochronne niemające żadnego widocznego efektu -nie chciał, żeby jakaś aura albo emanacja ostrzegła Danifae i Jeg-greda przed planami Quenthel. Posypał się sproszkowanym diamentem, czyniąc swoją skórę twardą jak kamień. Potem wyszeptał sekwencyjne inkantacje, które uczyniły jego ciało odpornym na ogień, piorun i kwas.

Mistrz Sorcere nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Kiedy dotrą na miejsce, Quenthel zabije Danifae, a on zabije Jeggreda.

Najwyższy czas, pomyślał.

Halisstra, Feliane i Uluyara mknęły przez powietrze niesione wiatrem. Pływały w strumieniu dusz, choć Halisstra nie patrzyła żadnemu z jarzących się duchów w twarz. Bała się, że znów spotka kogoś, kogo znała.

Przed sobą widziały góry, gigantyczną ścianę litej skały. Przypominały kły niewyobrażalnie wielkiej bestii. Strumień dusz kierował się w dół, ku podnóża jednej z nich.

Za nimi słońce wytoczyło się nad horyzont. Halisstra patrzyła na ziemię, oczekując kolejnego dnia rzezi, ale wyglądało na to, że jedyny akt przemocy, do jakiego dziś dojdzie, będzie dziełem drowów.

Daleko przed sobą Halisstra dostrzegła dwie wielkie postacie opadające ku podnóża najwyższej z gór - demony.

Wiedziała, że jest tam Ouenthel Baenre. I Danifae.

Serce zabiło jej szybciej.

Dusze kłębiły się wokół demonów opadających ku otworowi w zboczu góry, który mógł być tylko Ścieżką Pozeracza Dusz.

Halisstra i dwie pozostałe kapłanki przyspieszyły, powoli je doganiając.

Lecąc pod postacią cienia pod najeżonym stalaktytami sklepieniem pieczary Menzoberranzan, Gromph dotarł nad dom Agrach Dyr. Patrząc w dół widział, że niewiele się zmieniło od czasu, kiedy obserwował fortecę godzinę wcześniej.

Obrońcy wciąż obchodzili wysokie, stalagmitowe mury, spoglądając w dół na oblegających. Nad blankami podskakiwały hełmy oficerów zwieńczone fioletowymi pióropuszcami oraz groty włóczni i ostrza mieczy. Mury zdobiły proporce z herbem domu Agrach Dyr, nadpalone, ale w większości całe. Siły drowów zostały wzmocnione przez dziesiątki orków i niedźwieżuków.

Bezcielesny Gromph nie czuł zapachów, ale widział chmury czarnego dymu zbierające się pod sklepieniem jaskini i wyobrażał sobie swąd unoszący się nad polem bitwy.

Na płaskowyżu przed stalagmitowym zamkiem zebrały się zmasowane siły domu Xorlarrin. Armia liczyła około ośmiuset

żołnierzy i stała w odległości strzału z kuszy od fosy. Gromph przeliczył liczebność oddziałów: dziesięciu drowich czarodziejów, kilkuset drowich wojowników, cztery dziesiątki bojowych pajaków i liczne plutony pośledniejszych istot, wszystkie stojące w szyku i gotowości bojowej. Wśród żołnierzy stało kilka machin oblężniczych z magicznie utwardzonego kryształu i żelaza.

Było cicho. Wyglądało na to, że Xorlarrinowie czekają na posiłki przed przypuszczeniem następnego ataku. Gromph był lekko zaskoczony. Wiedział, że matka opiekunka Zeerith ma wobec swojego domu równie wielkie ambicje jak każda matka opiekunka. Spodziewałby się, że będzie chciała przypisać całą chwałę pokonania Dyrarów sobie. Yasraena musiała stawiać zażarty opór, skoro udało jej się tak poskromić ambicje Xorlarrinów.

Gromph spłynął w dół i zobaczył dziesiątki trapów i fragmentów ciał unoszących się w wypełnionej wodą rozpadlinie opasującej mury posiadłości. Kilka zębatach gadów — zapewne wielkich wodnych jaszczurów - pływało w fosie, pożerając szczątki. Gromph zauważył, że martwe ogry i ich taran, które widział przez kryształ, nie leżą już przed adamantytowymi wrotami. Bez wątplenia jakiś nekromanta z domu Dyrar ożywił ich trupy i zwrócił je przeciwko Xorlarrinom.

Gromph nie śmiał podlecieć do fortecy bliżej niż do linii wyznaczonej przez fosę, zanim nie oceni z bliska sieci chroniących ją osłon. Niewielkim wysiłkiem woli aktywował permanentny dweomer na swoich oczach, który pozwalał mu widzieć magiczne emanacje.

Dom Agrach Dyrar rozjarzył się jak słońce Zielonych Pól, idiotycznego „nieba Niziołków", dokąd liczdrow zesłał go w trakcie ich magicznego pojedynku. Gromph spodziewał się tego, ale widok osłon domu Agrach Dyrar przez przyćmione soczewki kryształu był czymś innym niż zobaczenie barwnej sieci zaklęć na

własne oczy. W przeciwieństwie do reszty materialnego świata, który obecnie postrzegał tylko w odcieniach szarości, osłony pło-  
nęły czerwinią i błękitem. Ich moc sięgała poprzez plany i mo-  
gła wpływać nawet na bezcielesne istoty.

Bardziej z dumy niż z konieczności Gromph postanowił, że  
wejdzie do środka przez główne wrota, na złość Yasraenie. Praw-  
dę mówiąc, nie miało znaczenia to, którądy przypuścił atak. Osłony i zabezpieczenia miały kształt sfer, koncentrycznych kręgów  
mocy, nie ścian. Zamykały wszelkie możliwe drogi dostępu.  
Musiał stawić czoła wszystkim zaporom chroniącym dom, bez  
względu na to czy spróbuje sforsować adamantytowe wrota, czy  
drzwi do jaszczurzej stajni.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na dużym kamieniu na koń-  
cu adamantytowego mostu. Usadowił się dokładnie w połowie  
drogi między twierdzą Agrach Dyrów, a oblegaj ącymi ją woj-  
-skami Xorlarrinów. Cieszył się, że jego obecność przeszła  
niezauważona przez jedną i drugą armię. Wiedział, że magowie  
po obu stronach operują różnymi zaklęciami wieszczącymi, z  
których część pozwala widzieć niewidzialne istoty. Osłona  
przed wykryciem, którą otoczył się arcyomag, musiała je  
zablokować. Jednak to zwycięstwo nie przyniosło mu wielkiej  
pociechy.

Zaczął od wyciągnięcia okularu, który przyłożył sobie do oka.  
Choć mlecznobiały klejnot był niematerialny, jego magia wciąż  
działała. Patrząc przez jego soczewkę Gromph widział rzeczy  
takimi, jakimi są naprawdę - niezmienionymi przez magię  
ilu-zyjną, zmieniającą wygląd czy kształt. Moc okularu mogła  
nie oprzeć się osłonom takim jak ta, która chroniła Grompha,  
ale podobne zabezpieczenia nie były typowe.

Przyjrzał się kompleksowi i nie zauważył niczego nadzw-  
yczajnego oprócz dwóch drowich oficerów, którzy byli tak na-  
prawdę demonami poddanyimi polimorfizacji. Magiczna so-  
czewka pokazywała Gromphowi ich prawdziwą postać  
-wysokie, muskularne, dwunogie istoty podobne do sępów

o czerwonych, ziejących nienawiścią oczach i wielkich opierzonych skrzydłach.

Rocki, pomyślał Gromph. Yasaena musiała zapłacić za usługi pary czartów.

Gromph schował okular i wymówił cicho słowa zaklęcia, które zmodyfikowało jego widzenie tak, że przestał widzieć osłony przeciw magii jasnowidzącej i zaklęcia wzmacniające budowlę fortecy. Dla jego celów czary te były nieistotne. Interesowały go tylko te zabezpieczenia, które utrudniały mu fizyczne wtargnięcie do wnętrza kompleksu oraz te, które mogły go zabić albo pojąć, kiedy dostanie się już do środka.

Kiedy modyfikacja zaczęła działać, połowa nitek mocy znikła, choć forteca wciąż żarzyła się jasno, otoczona siecią czerwonych pasm. W sieci czaiły się zaklęcia-pułapki: czary zabijające, które wyzwało sforsowanie albo nieudolne rozproszenie osłony. Gromph użył serii zaklęć wieszczących, aby zbadać zawilą płataninę zaklęć widoczną z miejsca, w którym siedział. Chciał zrozumieć powiązania między zabezpieczeniami, zanim spróbuje je pokonać.

Wiedział, że musi odchyłać osłony płatami, warstwa po warstwie, tak jak wtedy, kiedy obdzierał niewolnika ze skóry.

Wyciągnął różdżki zakończone oczyma i przy ich pomocy pogłębił analizę. Wśród mnóstwa zaklęć-pułapek wplecionych w sieć odkrył ślady magicznych symboli - jeden bólu, drugi śmierci. Potwierdził obecność glifów emitujących ogień i błyskawice, klatek siłowych, zaklęć ewentualności mogących uwieźnić jego duszę oraz barier wzbraniających wstępu czy to pod fizyczną, czy bezcielesną postacią.

Zobaczył też coś jeszcze. Całą sieć przecinała cienka, prawie niezauważalna nić osłony, która łączyła wszystkie pozostałe i wzmacniała je - osłona główna.

Gromph nie miał żadnych wątpliwości, że to robota licz-drowa.

Ogólnie rzecz biorąc, Dyrr zawiązał supel na suple, przetykając nic głównej osłony przez szczeliny pozostałych osłon, aż wszystkie zostały nieodwracalnie splecione. W rezultacie zwykle zabezpieczenia nałożone na fortecę przez różne matki opiekunki na przestrzeni lat stawały się po aktywacji jeszcze bardziej zabójcze na skutek przyływu mocy z zaklęcia liczą.

Gromph przyjrzał się uważniej nici głównej osłony. Wyciągnął następną różdżkę i przy jej pomocy starannie zanalizował dweomer zaklęcia. Jego złożoność sugerowała, że czar, oprócz wzmocnienia pozostałych osłon, pełni jeszcze inną rolę, ale zaklęcia Grompha nie były w stanie wykryć nic więcej, przynajmniej nie z miejsca, w którym siedział. Musiał znaleźć się wewnątrz samej sieci, aby móc dokonać bardziej szczegółowej analizy.

Schował różdżkę i zmarszczył brwi. Nieznajomość roli, jaką odgrywała główna osłona, napędzała go obawą, ale wiedział, że nie ma wyboru. Nie mógł zawrócić, a upływający czas działał na jego niekorzyść.

Uniósł się z ziemi i od razu napotkał pierwsze wyzwanie, prosty czar wykrywający, który alarmował osobę, która go rzuciła, że ktoś, obojętnie w jakiej postaci, przekroczył adamanty-towy most. Gromph przyjrzał się grubym, lśniącem liniom zaklęcia, nie zauważył żadnej pułapki, która byłaby z nimi połączona, i rozproszył czar wyszeptanym kontrzaklęciem.

Przeleciał nad adamantytowym mostem uwalanym w kilku miejscach krwią. Ze szczytu murów patrzyli na niego żołnierze i dwa demony. Dla nich nie istniał. Był sam na sam z osłonami.

Unosząc się przed bramą, badał linie magii krzyżujące się na jej powierzchni. Linie nie tylko uniemożliwiały fizyczne dostanie się do środka. Ich wzór tworzył dwa magiczne symbole, które miały za zadanie zabić każdego, kto dotknie podwoi i nie wymówi hasła, nie będzie miał przy sobie odpowiedniego przedmiotu, albo właściwej krwi w żyłach. Dalsza

analiza za pomocą jednej z różdżek zdradziła Gromphowi, że symbole są permanentne. Nie znikają po jednorazowym rozładowaniu. Odnawiały się i zabijały dopóty, dopóki nie zostały wyeliminowane.

Wymówił słowa kontrzaklęcia i skupił jego magię w swoim palcu wskazującym. Delikatnie przesunął widmowym koniuszkiem palca wzdłuż linii pierwszego symbolu. Choć jego palec był niematerialny, magia sięgała do świata fizycznego. W miejscach, gdzie dotknął symbolu palcem, zaklęcie wymazywało znak. Wkrótce symbol całkiem zniknął.

Gromph rzucił kolejne kontrzaklęcie i zajął się drugim symbolem. Ten okazał się bardziej oporny od pierwszego. Magia Grompha napotkała magię symbolu i nic nie wskórała. Jego kontrzaklęcie nie odniosło skutku. Przełykając frustrację, arcy-mag przygotował następny czar. Potężniejszą, bardziej skupioną wersję poprzedniego.

Jego wzrok przykuł jakiś ruch na górze. Deszcz bełtów z kusz spadł na coś za jego plecami. Gromph odwrócił się i zobaczył dziesięć gigantycznych trolli biegnących mostem. Szarozieloną, pokrytą brodawkami skórę stworów chroniły poprzipinane chaotycznie przypadkowe części uzbrojenia. Najmniejszy z trolli był trzy razy wyższy od Grompha, miał przydługie łapy, najężony kłami pysk, pazury długości palców i falujące pod skórą mięśnie. W ogromnych łapach olbrzymie trolle trzymały gigantyczny stalagmit przekształcony za sprawą magii w budzący grozę taran. Wykrywający magię wzrok Grompha powiedział mu, że w taran wsączono potężne zaklęcia.

Nad wielkimi stworami wisiały zielone dyski magicznej energii - dzieło ukrytych w oddali magów Xorlarrin - osłaniające trolle przed gradem bełtów sypiących się zza murów. Trolle w dziesięciu krokach pokonały połowę mostu.

Od linii Xorlarrinów oderwał się pluton orogów składający się z kuszników oraz osłaniających ich tarczowników, którzy



dopadli skraju fosy i posłali salwę strzał w stronę obrońców na murach. Odpowiedziała im podobna salwa. Ogień i błyskawice wystrzelone z różdek Dyrów wybuchły w środku oddziału oro-gów i kilka bestii stanęło w płomieniach albo rozpadło się na kawałki.

Drowi żołnierze stali w szyku pięćdziesiąt kroków za oroga-mi, gotowi w każdej chwili runąć do ataku, gdyby trollom udało się sforsować bramę.

Wielkie stwory toczyły się dalej, most wibrował pod ich ciężarem. Pomiędzy nimi wybuchł ogień, ale nie przerwało to ich szarży.

Przed olbrzymimi stworami pojawiła się ściana magicznego lodu, wyższa od nich i gruba na szerokość ramienia, blokując im dalszą drogę. Trolle nawet się nie zatrzymały. W biegu wyrzuciły w ścianę magicznym stałagmitem i lód eksplodował milionem odłamków. Trolle biegnęły dalej.

Przeklinając, Gromph wzbił się wyżej. Choć był niematerialny, magiczna energia mogła wyrządzić mu krzywdę, podobnie jak odpowiednio zaklęta broń. Nie chciał znaleźć się na linii ognia.

Przed drzwiami uformował się obłok gazu - trującego gazu, jak przypuszczał Gromph. Gigantyczne trolle zaczerpnęły powietrza i runęły naprzód, wymachując przy tym olbrzymim taranem - prosto w Grompha.

Uskoczył w bok, ale ucieczka pod postacią cienia była kłopotliwa i powolna. Magiczny taran otarł mu się o ramię, a rzucone nań zaklęcia sięgnęły poprzez inne rzeczywistości, wpływając na jego niematerialne ciało. Mózg eksplodował mu bólem. Siła uderzenia obróciła nim, pchnęła na bramę i morderczy symbol.

Spróbował się uchylić i skulić w sobie, aby uniknąć kontaktu z naładowanymi magią wrotami. Odzyskał kontrolę nad ciałem na uderzenie serca przed wpadnięciem w bramę i uleciał

w powietrze obok mostu, gdzie zawisł nad fosą. Cały prawy bok arcy maga płonął bólem, ale jego pierścień zaczął natychmiast uzdrawiać ranę.

Wciąż wstrzymując oddech, gigantyczne trolle cofnęły taran do tyłu i grzmotnęły nim we wrota. Z czubka tarana posypały się iskry, na most spadła fontanna kamiennych odłamków, ale na adamantytowych wrotach nie zostało nawet zadrapanie. Na trolle spadało coraz więcej beltów z kusz, niektóre przebijały się przez magiczne dyski i odnajdywały cel. Jeden ze stworów, trafiony beltem w policzek, wrzasnął z bólu i nieuchronnie wciągnął w płuca trujące powietrze. Padł na most, wijąc się w męczarniach, i wkrótce skonał.

Pozostałe trolle nie poddawały się, nadaremnie waląc taranem w bramę pod ostrzałem z kusz. Cała ta scena wydawała się arcy magowi surrealistyczna. Nic nie słyszał, nie czuł zapachów. Czuł się tak, jak gdyby patrzył na niedoskonałą iluzję ucznia pierwszego roku.

Gromph przypuszczał, że szturm gigantycznych trolli to tylko przykrywką dla prawdziwego ataku przypuszczanego w innym miejscu, ale nie mógł potwierdzić swoich przypuszczeń. Najwyraźniej pomylił się co do samozadowolenia Xorlarrinów. Matka opiekunka Zeerith jeszcze nie pożegnała się z myślą o złu-pieniu Dyrarów. Albo po prostu chciała uspić ich czujność i zmusić do zużywania magicznych zasobów na mięso armatnie.

Musiał jednak przyznać obrońcom, że w walce z gigantycznymi trollami używali przeważnie broni konwencjonalnej. Wykorzystali tylko dwa zaklęcia i kilka wystrzałów z różdżek. Większość roboty odwalały kusze. Już cztery trolle leżały martwe. Pozostała szóstka wciąż waliła taranem w bramę, choć z mniejszą siłą.

Gromphowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

Szybko wykonał dłońmi zawity gest i wymówił na głos słowa zaklęcia. Magia wygenerowała pole siłowe stanowiące

przedłużenie woli Grompha. Znalazł się w nim jeden ze stojących z przodu trolli - stwór wybałuszył oczy, ale nie krzyknął z obawy przez trującym gazem.

Gromph zmusił olbrzymiego trolla do wypuszczenia tarana i sięgnięcia ręką do bramy. Bestia wydawała się wyczuwać zagrożenie i jego siła walczyła przez chwilę z wolą Grompha - ale wola arcy maga Menzoberranzan okazała się silniejsza. Gigantyczny troll wyciągnął szponiastą łapę, dotknął bramy i aktywował drugi symbol.

Gromph odwrócił wzrok, gdy symbol zapłonął. Magia wstąpiła w trolla, który rozdziawił pysk do krzyku. Stwór zwałił się na most, martwy. Arcymag nie zaprzętał już nim sobie głowy.

Reszta trolli, wyraźnie oszołomiona głupotą towarzysza, nie była w stanie utrzymać bez niego ciężaru tarana. Jeden za drugim wypuszczały go z rąk, odwracały się i rzucały do ucieczki. Bełry ścigały je przez całą długość mostu. Łeb jednego ze stworów otoczyła sfera magicznej ciemności. Oślepiąca bestia spadła z mostu w przepaść.

Gromph przyjrzał się bramie i stwierdził z zadowoleniem, że symbol zniknął. Na kilka cennych chwil przestał osłaniać bramę.

Gromph zawisł przed drzwiami, wewnątrz trującego obłoku, nad trupami olbrzymich trolli. Z chirurgiczną precyzją odgiął na boki pasma osłony blokującej fizyczny dostęp do środka i prześliznął się na drugą stronę. Niechętnie zostawiał za sobą nienaruszony symbol, ale doszedł do wniosku, że wydostanie się z domu Agrach Dyrri będzie o wiele łatwiejsze niż dostanie się do niego. Osłony zwykle broniły wstępu, nie wyjścia.

Przeleciał przez adamantytowe wrota i znalazł się w tunelu strażnicy, pomiędzy czterema dziesiątkami jezdnych dosiadających jaszczurów i uzbrojonych w dzidy. Groty dziedziarzyzyły się magiczną mocą. Mocą, która mogła wyrządzić Gromphowi krzywdę, gdyby tylko żołnierze wiedzieli o jego obecności.

Otaczali go gromadą, nie widząc go. Zapewne zostali tu przyślani na wypadek, gdyby napastnikom udało się jednak sforsować bramę, a może przygotowywali się do kontrataku.

Gromph nie słyszał ich głosów, ale widział pot na ich twarzach i determinację w ich oczach. Niektórzy przemieszczali się z miejsca na miejsce, przejeżdżając przez niego na wylot. Arcymag wzbił się w powietrze ku stropowi tunelu, aby uniknąć ich dotyku. Negatywna energia jego widmowej postaci mogła uszkodzić któregoś z nich i ostrzec ich o jego obecności albo, co gorsza, któryś z żołnierzy mógł go przypadkiem zranić magiczną dzidą.

Bezpieczny pod stropem, pozwolił sobie na uśmiech. Pokonał pierwsze wyzwanie. Dostał się do środka. Kiedy popatrzył na koniec tunelu, zobaczył za kawalerią następne zabezpieczenie.

Powietrze wokół niego i żołnierzy było naładowane od żarzących się pasm głównej osłony. Było dosłownie nasyczone magią, ale oni nie widzieli tego, tak jak nie widzieli Grompha.

Po pokonaniu pierwszej linii zabezpieczeń arcymag zyskał pewną perspektywę na strukturę głównego zabezpieczenia. Wyciągnął jedną z różdżek, aktywował jej dweomer i zbadał nić głównej osłony.

Różdżka pokazała, że składa się ona z wielu mniejszych pasm. Arcymag spochmurniał.

Jedno z pasm było wymiarową blokadą. Jej uśpioną magię przebudziło najprawdopodobniej unicestwienie fizycznej postaci liczdrowa, aby uniemożliwić łatwy dostęp do twierdzy, a w efekcie dostęp do jego filakterium. Obecność wymiarowej blokady komplikowała sprawę.

Wymiarowa blokada uniemożliwiała wszelkie sposoby magicznego podróżowania. Nawet jeśli Gromph unieszkodliwi albo rozproszy wszystkie zwykłe zabezpieczenia chroniące twierdzę Dyrrow, nie będzie w stanie teleportować się poza kompleks bez uprzedniego rozproszenia głównej osłony, a przynajmniej

wymiarowej blokady stanowiącej jej część. Nawet potężny czar ewentualności, który Gromph rzucił na siebie, nie działał w obecności wymiarowej blokady.

Gromph zdawał sobie sprawę, że główne zabezpieczenie jest zbyt skomplikowane, by udało mu się je łatwo rozproszyć. Potrzebował na to wielu godzin, a nie miał tyle czasu. Musiał działać.

Przeleciał nad żołnierzami, kierując się ku przeciwnemu końcowi tunelu pod strażnicą. Nagły rozbłysk za plecami kazał mu się odwrócić z obronnym zaklęciem na końcu języka.

Fioletowy puls przebiegł przez nią głównej osłony i dotarł do miejsca, gdzie na adamantytowych wrotach znajdował się wyładowany chwilowo symbol. Magia okrążyła to miejsce, narysowała symbol z powrotem, naładowała go i aktywowała.

Ku zaskoczeniu Grompha magia głównego zabezpieczenia okrążyła punkt, gdzie Gromph rozproszył pierwszy symbol i narysowała go z powrotem, w zasadzie rzucając zaklęcie jeszcze raz. Rozpraszający dweomer Grompha powinien był zniszczyć symbol na zawsze.

Magiczna moc liczdrowa była potężna. Szkoda, że taka wiedza przepadnie na zawsze, kiedy arcymag zniszczy filakterium licza.

Nie tracąc czasu, Gromph odwrócił się i zaatakował zabezpieczenie na końcu tunelu.

# DWUNASTY

Z bliska góry wydały się Pharaunowi najbardziej majestatyczną rzeczą, jaką kiedykolwiek widział. Strome i poszarpane szczyty wznosiły się tak wysoko, że wydawały się nie mieć końca, bezkresna skalna ściana wznosząca się z ziemi ku niebu. Tak jak całe Pajęczce Otchłanie zbocza gór podziurawione były rozpadlinami, jamami i tunelami. Pająki wybiegały z nich i chowały się na powrót, pożerając się nawzajem. Słońce Lolth nadawało ciemnym skałom dziwny czerwony odcień, jak gdyby góry były pokryte rdzą, a może krwią.

Dusze przemyczały tak blisko czarodzieja, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby ich dotknąć. Miał nadzieję, że wkrótce dołączy do nich duch Jeggeda.

Nalfeshnee i chasme przyglądali się mijanym duszom łakomym wzrokiem. Tylko ostre rozkazy Quenthel i Danifae powstrzymywały demony przed rzuceniem się na potępieńców Lolth.

Sznur dusz płynął w stronę poszarpanej czarnej dziury u podnóża najwyższego szczytu. Pharaun domyślał się, że ów otwór jest Ścieżką Pożeracza Dusz, choć bardziej przypominał tunel. Przywodził mu na myśl rozdarcie w tkance gór, zniekształcone usta otwarte do krzyku.

W głębi otworu panowały nieprzeniknione ciemności. Blask słońca Lolth nie rozpraszał ich, nawet się tam nie zapuszczał. Dziura była dosłownie ścianą czerni.

Pharauna olśniło: Ścieżka Pożeracza Dusz znajdowała się w Pajęczych Otchłaniach, ale nie należała do nich. Wkroczenie na nią oznaczało wkroczenie w coś... innego.

Dusze wpadały w otwór i znikwały w chwili, w której się w nim znalazły, jak gdyby zostały zgaszone, połknięte przez górę.

Pharaun oblizał wargi.

Quenthel wskazała trzonkiem bicia ziemię i wydała rozkaz Zerevimeelowi. Nalfeshnee obniżył lot. To samo zrobił chasme niosący Danifae i Jeggreda. Pharaun poszedł w ich ślady.

Zerevimeel wylądował piętnaście kroków na prawo od ścieżki. Pharaun dotknął ziemi obok ogromnego nalfeshnee. Danifae pokierowała chasmem tak, żeby wylądował dziesięć kroków na lewo od tunelu. Rzeka dusz płynęła między nimi, a Ścieżka Pożeracza pochłaniała je wszystkie.

Quenthel poprawiła szaty i popatrzyła przez sznur duchów na Danifae. Pharaun widział w jej oczach kalkulację.

Nalfeshnee, wciąż bijąc słabiutkimi skrzydełkami, nachylił się nad uchem Quenthel i powiedział tak cicho, że Pharaun ledwo go usłyszał:

- Mogę ci pomóc za odpowiednią cenę. Z przyjemnością zabiję draeglothą.

Pharaun nie mógł się z nim nie zgodzić.

- Nie potrzebuję pomocy, stworze - odpowiedziała Quenthel półgębkiem, wciąż wpatrując się w Danifae. - O tym zadecydują kapłanki. Możesz odejść. Precz!

Demon syknął ze złości. Odchylił wargi, ukazując kły, i wyprostował się na swoją pełną wysokość. Pharaun położył dłoń na żelaznej różdżce błyskawic zatkniętej za pas, na wszelki wypadek. Nie było takiej potrzeby. Demon nie miał ochoty na konfrontację z Quenthel Baenre.

Pharaun był ciekaw czy Danifae wciąż ma na nią ochotę.

- Pamiętaj o naszej umowie, kapłanko - przypomniał nalfeshnee. - Jesteś mi winna sześćdziesiąt sześć dusz. Kiedy znów się spotkamy, będę oczekiwał zapłaty.

Quenthel odprawiła go machnięciem ręki. Oczy nalfeshnee zwięzły się, ale była to jedyna oznaka jego irytacji. Aktywował wrodzoną zdolność teleportacji charakterystyczną dla demonów i zniknął w okamgnieniu.

Danifae i Jeggred stali w pewnej odległości od Vakuula. Podobny do muchy demon okręcił się z ekscytacją wokół własnej osi, bijąc skrzydłami.

- Może czas na moją zapłatę, uroczą kapłanko? - zapytał chasme i z jego bezzębnych ust wysunął się długi język. Coś długiego i ociekającego wysunęło się z jego odwłoka.

Danifae uśmiechnęła się do niego słodko i chasme jeszcze szybciej zatrzepotał skrzydłami. Pharaun zmarszczył nos, gdy poczuł trupi odór bijący od jego skrzydeł.

Danifae zrobiła krok w stronę demona. Oblizła wargi i powiedziała:

- Zabij tego nędznika, Jeggred.

Na początku demon jakby nie zrozumiał jej słów. Bił ze wzburzeniem skrzydłami, a jego zniekształcone czoło zmarszczyło się z niedowierzaniem.

- Co powiedziałaś, kapłanko?



Jegfred skoczył ku demonowi, który wreszcie zrozumiał, że grozi mu niebezpieczeństwo. Wzbił się w powietrze, ale Jegfred wyskoczył w górę i złapał go za ludzkie przednie odnóża.

Chasme zakwiczał z bólu.

- Skłamałaś! - wrzasnął do Danifae, usiłując zrzucić z siebie Jegfreda.

Danifae roześmiała się.

- Oczywiście.

Jegfred, częściowo uniesiony przez demona w powietrze, stępkając szarpał go za ramiona. Chasme kwiczał i wyl, Jegfred ryczał i rwał.

Rozległo się mokre chrupnięcie i draegloth oderwał przednie odnóża chasme od jego ciała. Spadł na ziemię, trzymając w łapach dwa zakrwawione kikuty.

Chasme wyl z bólu, ale dźwięk ten był tak idiotyczny, że Pharaun prawie się uśmiechnął. Demon zataczał koła nad ich głowami, bryzgając na nich posoką z dwóch krwawiących kikutów przednich rąk.

- Zapłacisz za to, ty kłamliwa dziwko! - wrzeszczał demon zbolalym głosem. - Zapłacisz za to. Vakuul nie zapomina!

Jegfred cisnął w demona jedną z oderwanych rąk, ale chasme jęknął z oburzeniem i uciekł w bok. Zakrwawiona kończyzna spadła u stóp Pharauna.

Rzuciwszy Danifae ostatnie nienawistne spojrzenie, chasme zniknął, teleportując się na poziom Otchłani, który był jego domem.

Jegfred powąchał drugie ramię, zmarszczył nos i odrzucił je na bok.

Wciąż z uśmiechem na ustach, Danifae popatrzyła przez rzekę dusz na Quenthel. Kapłanki wpatrywały się w siebie przez dłuższą chwilę, zanim Quenthel powiedziała:

- Lolth czeka na swoją *Yor 'thae* po drugiej stronie Ścieżki Pożeracza Dusz.

Jeggred musiał wyczuć, że coś wisi w powietrzu. Stał przed Danifae ze wzrokiem wbitym w ciotkę. Pharaun przysunął się do Quenthel.

- Mistrzynie Quenthel mówi rzeczy oczywiste - stwierdziła Danifae.

Jej drobna dłoń znalazła się na plecach Jeggreda. Pharaun dopiero po chwili pojął, że kreśli na jego skórze znaki, przekazując mu coś.

- Mistrzynie... - zaczął Pharaun, ale Quenthel przerwała mu.

- Mówię rzeczy oczywiste, branko, bo jak widać umykają ci one, odkąd postawiłaś stopę we władztwie Lolth. - Podkreśliła swoje słowa trzaśnięciem bata.

Jeggred oddychał szybciej. Danifae zdjęła dłoń z jego pleców. Powiedziała mu już wszystko, co chciała, żeby wiedział-albo zrobił.

Powietrze zgęstniało od napięcia. Pharaun przywołał w myślach słowa zaklęcia. Quenthel kazała mu atakować tylko na swój rozkaz, więc czekał, przygotowany na konfrontację.

Jeggred patrzył na nich poprzez sznur dusz, z nieskrywaną pożądlivością przenosząc wzrok z maga na Quenthel. Walka z chasmem tylko zaostrzyła jego apetyt.

Danifae dotknęła swojego świętego symbolu.

- A jakież to oczywiste fakt mi umknął, mistrzyni Quenthel? Żmije Baenre syknęły z nienawiścią na Danifae.

- Tylko ten - odparła Quenthel - że Lolth domaga się ofiary, zanim jej *Yor 'thae* wkroczy na ścieżkę.

Wzniosła bicz do ciosu, ale Jeggred był szybszy. Zanim Quenthel zdążyła się poruszyć, zanim Pharaun zdążył rzucić zaklęcie, draegloth skoczył na wysoką kapłankę.

Pokonał dzielącą ich odległość w czterech długich skokach.

- Nie! - krzyknęła Danifae, ale zadowolony wyraz twarzy przeczył jej słowom.

Zaskoczona Quenthel machnęła niezdarnie biczem, ale Jeg-gred chwycił żmije bojowym ramieniem i odsunął je od siebie. Następnie odepchnął tarczę Quenthel i zadał jej paskudny cios w pierś.

Ogniwa kolczugi wyleciały w powietrze. Siła uderzenia odrzuciła Quenthel dwa kroki w tył.

Jeg-gred rzucił się za nią z szaleńczą prędkością, wciąż ścisnąc syczące węże, które na próżno usiłowały zatopić kły w jego twardej jak żelazo skórze. Rycząc, draegloth machnął wolną łapą. Quenthel doszła do siebie i odbiła cios tarczą, cofnęła ją i wyrzuciła draeglotha w pysk krawędzią, wybijając mu kilka zębów. Siła ciosu oszołomiła go na moment.

Wykorzystując oszołomienie przeciwnika, Quenthel wyrwała żmije z jego uścisku. Pharaun nie mógł nadziwić się sile, jaką dawał jej magiczny pas. Odskoczyła krok w tył, zawinęła biczem nad głową i chlasnęła nim draeglotha. Jej siła nadała żmijom przyspieszenie, dzięki czemu wreszcie zdołały go ugodzić i zostawić na jego piersi krwawe bruzdy. Demon ryknął z bólu, rzucił się w bok i zaraz zerwał z ziemi, spinając się do skoku.

Warcząc, pryskając śliną, Jeg-gred skoczył naprzód i zasypał Quenthel gradem ciosów, które rozwaliłyby kamienny mur. Qu-enthel odbijała je tarczą, ale ich siła spychała ją w tył. Znowu strzeliła z bicza i kły żmij zatopiły się w ciele draeglotha.

Pharaun uświadomił sobie, że już zbyt długo przygląda się walce. Szybko wyjął z *piwafwi* małą skórzaną rękawicę, wykonał zaciśniętą pięścią zawiłą serię gestów i wymówił na głos słowa zaklęcia.

Kiedy skończył, pojawiła się przed nim szara bezcielesna pięść wielka jak kulak tytana. Na jego mentalny rozkaz pięść pomknęła ku Jeg-gredowi. Draegloth nawet jej nie zauważył i pięść uderzyła go w bok z siłą mogącą strzaskać skałę.

Ryk uwiązał w gardle Jeg-greda, który wyleciał w powietrze. Wylądował dziesięć kroków od Quenthel, w sznurze dusz.

Przetoczył się, zerwał z ziemi i machnął łapą, bezskutecznie usiłując rozszarpać duchy.

Z rykiem natarł na Pharauna, ale mistrz Sorcere umieścił między nimi magiczną pięść.

- Zabiję cię, magu! - wrzasnął Jeggred, orząc konstrukt pazurami. - Zabiję was oboje!

- Jeggred! - zawołała Danifae i po raz pierwszy za pamięci Pharauna jej słowa nie odniosły skutku.

Ogarnięty szałem bojowym draegloth szarpał pięść szponami. Pharaun uśmiechnął się i przygotował pięść do zadania kolejnego ciosu.

- Jeggred, przestań! - krzyknęła Danifae.

Wreszcie dotarło.

Jeggred znieruchomiał w połowie ataku, spojrzał na Danifae, a potem znów na pięść. Jego pierś unosiła się i opadała, oczy płonęły nienawiścią, kły ociekały śliną. Spojrzał na Quen-thel, na Pharauna, na magiczną pięść siły wezwaną przez maga.

- Chciała nas zaatakować, pani - syknął Jeggred do Danifae.

Pharaun przesunął magiczną pięść w stronę draeglotha.

W każdej chwili mógł uderzyć go znowu, ale bawiła go narastająca irytacja półdemonia.

- Nie doceniasz swojej ciotki - powiedziała Danifae, uśmiechając się słodko do Quenthel.

- Kazała Jeggredowi zaatakować, mistrzyni - rzekł Pharaun.

Kapłanka Baenre, tylko lekko zdyszana po starciu z draeglothem, uśmiechnęła się.

- Przeceniasz naszą brankę, mistrzu Mizzrym.

Pharaun był innego zdania, ale nic nie powiedział.

- Pani - odezwał się niskim, groźnym głosem Jeggred - powinnaś pozwolić mi zabić...

- Milcz, samcze - warknęła Danifae.

Draegloth zamilkł. Pharaun podziwiał posłuch, jaki miała u tego głupka.

Quenthel przyjrzała się wyrwanej przez draeglotha dziurze w kolczudze.

- Siostrzeńcze, właśnie skazałeś się na złożenie w ofierze Lolth.

Jeggred strzyknął w jej stronę żółtą śliną. Plwocina obryzgała magiczną pięść i zawisła na chwilę niej, zanim spadła na kamienistą ziemię.

- Jesteś pewna, że mojej matce się to spodoba? - zapytał.

Uwaga była celna. Jeggred był synem matki opiekunki Baenre. Być może Quenthel była gotowa narazić się na gniew Triel, składając go w ofierze, a może nie. Następne słowa Quenthel rozwiały wątpliwości Pharauna.

- Z przyjemnością wymierzę ci karę, siostrzeńcze - powie działa.

Rozczarowany Pharaun uznał, że może warto jeszcze raz spróbować skłonić Quenthel do zmiany zdania.

Najbardziej niefrasobliwym tonem, na jaki potrafił się zdobyć, powiedział:

- Ten kosmaty półgłówek notorycznie ignoruje twoje pole cenia, sprzymierzył się z pomniejszą kapłanką- z pogardą wskazał ruchem głowy Danifae - i dowiódł, że nie jest godny imienia Baenre. Jego głupotę przewyższa tylko jego smród. Jeśli nie złożysz go w ofierze, proszę, pozwól mi go zabić. Byłaby to przysługa wyświadczona inteligentnemu życiu w multiwersum.

Jeggred zmierzył go nienawistnym spojrzeniem.

- Nie zrobisz nic, na co ci nie pozwolę, mistrzu Mizzrym - odpowiedziała Quenthel, nie patrząc na Pharauna.

- Mistrzynie... -zaczął Pharaun.

- Tylko, jeśli ci na to pozwolę, samcze - warknęła Quenthel, a jej zmije wpiły w niego ślepią.

Mag zgrzytnął zębami z irytacją, ale uklonił się niechętnie.

- Bezczelność maga i wpływ, jaki ma na ciebie ten przeklęty bicz, dowodzi twojej słabości, ciotko - warknęła Jeggred.

Pharaun cofnął magiczną pięść do swego boku.

- Wystarczy - powiedziała Danifae. Spojrzała na Quenthel i wyjęła swój święty symbol.

Quenthel zrobiła to samo. Przez chwilę dwie kapłanki wpatrywały się w siebie.

- Może kilka ochronnych zaklęć, zanim wejdziemy na ścieżkę? - zapytała Danifae.

Quenthel kiwnęła głową.

Obie zaczęły czarować, cały czas obserwując się wzajemnie.

Pharaun widział wyraz ich oczu i nie był pewny czy ochronne zaklęcia są tym, co mają na myśli.

Gromph metodycznie pokonywał osłonę za osłoną. Czasem używał brutalnej magicznej siły, rozpraszając je lub niszcząc, czasem imał się bardziej subtelnych sposobów, wyginając lub wypaczając magiczne zabezpieczenia, aby móc się przez nie prześliznąć.

Był całkowicie skupiony na magicznych pułapkach chroniących dom Agrach Dyr, prawie nie zauważał mijających go żołnierzy, umknął mu też drugi daremny atak Xorlarrinów na most.

Z każdym zlikwidowanym zabezpieczeniem zbliżał się coraz bardziej do świątyni Lolth, do golema i filakterium.

Oslony i zaklęcia-pułapki rzucone w przeszłości przez Yasra-enę albo poprzednią matkę opiekunkę nie stanowiły większego wyzwania dla kontrzaklęć Grompha. Tylko te rzucone przez licz-drowa były trudne do ominięcia lub rozproszenia, ale Grom-phowi zawsze udawało się je w końcu pokonać.

Za każdym razem główna osłona, nie łącząca wszystkie pozostałe, reaktywowała te unieszkodliwione przez Grompha. Gromph otworzył po drodze cztery dziesiątki magicznych „drzwi” tylko po to, by główne zabezpieczenie zamknęło je za

nim. Nie rozumiał celu, jaki miał w tym liczdrow i nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Czas mijał, ale Gromph nie miał jak mierzyć jego upływu. Zakładał, że zajmuje się likwidowaniem osłon od półtorej godziny albo dłużej. Wkrótce zakłęcie, które pozwalało mu zmieniać postać - zakłęcie, które pozwoliło Prathowi przybrać postać arcymaga, a arcymagowi zmienić się w cień - przestanie działać. Przystanie być bezcielesny. Prath przestanie wyglądać tak jak on.

W tym momencie Yasraena pozna się na ich fortelu, domyśli się, że Gromph znajduje się wewnątrz kompleksu i wykorzysta wszystkie środki, jakie ma do dyspozycji, aby go znaleźć.

Odrzucił taką możliwość i skupił się na następnym zabezpieczeniu, zakłęciu-pułapce mającym uwięzić intruza w siłowej klatce, jeśli ten spróbuje ominąć zewnętrzną granicę osłony. Klatka siłowa uwięzi go nawet w bezcielesnej postaci.

Właśnie przygotowywał się do rozproszenia czaru, kiedy zauważył, że jest on bardziej skomplikowany, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

To nie było jedno zabezpieczenie, lecz dwa, drugie sprytnie zamaskowane pierwszym.

Rozproszenie pierwszego uruchamiało ukryte zabezpieczenie kryjące w sobie zakłęcie, które powodowało kilka sekund przejmującego bólu, zanim zatrzymało bicie serca intruza.

Gromph skarcił się za nieuwagę. Jego umysł był wyczerpany, a znużenie prowadziło do niechlujstwa. Prawie popełnił śmiertelny błąd.

Odpoczął chwilę i skupił się ponownie, zanim rozproszył zabezpieczenia we właściwej kolejności. Kiedy je minął, główne zabezpieczenie reaktywowało oba.

Gromph ruszył dalej.

Drzwi do świątyni, obłożone mnóstwem zabezpieczeń, znajdowały się kusząco blisko. Mijany przez spieszących dokądś żołnierzy, szybko pokonał dwa zabezpieczenia dzielące go od nich.

Zbudowana z wypolerowanego kamienia świątynia była zwieńczona kopułą i miała wyłożony kamiennymi płytami portyk otoczony kolumnadą. Otwarte brązowe podwoje, pociemniałe ze starości i wyłożone pajęczymi motywami z elektrum oraz modlitwami do Lolth otwierały się na nawę.

W środku Gromph widział kamienne ławki ustawione w rzędach po obu stronach centralnego przejścia prowadzącego do absydy i ołtarza. Nie widział wyraźnie golema, ale wiedział, że znajduje się za ołtarzem.

Świątynia wydawała się pusta. Dyrrowie byli zbyt zajęci obroną, żeby tracić czas na modły.

Drzwi chroniło kilka potężnych osłon i zaklęć-pułapek. Nić głównego zabezpieczenia przechodziła przez nie wszystkie i wpadała do świątyni, biegnąc środkiem przejścia, prawdopodobnie aż do samego golema.

Unosząc się przed pasmami mocy, Gromph rzucił kilka czarów umożliwiających mu analizę natury zabezpieczeń. Wyjął jedną z różdżek i czarując, patrzył przez jej koniuszek.

Zobaczył, że osłony na drzwiach są splecione ze sobą i współzależne. Nie był pewny, czy uda mu się je rozplątać.

Puls arcy maga przyspieszył z frustracji. Spróbował się uspokoić, ale zaraz potem wyczuł coś za plecami i odwrócił się.

Ku otwartym wrotom świątyni szła córka Yasraeny, Larikal. Pancierz kolczy ukrywał jej potężną sylwetkę. Przy pasie drow-ki wisiał wielki buzdygan. Jej nijaką, brzydka twarz wykrzywił gniewny grymas.

Obok niej szedł łysiejący, tęgi drow z rękami schowanymi w kieszeniach - Geremis, przypomniał sobie Gromph. Pomyślał, że jest podobny do Nauzhrora.

I Larikal, i czarodziej mienili się w oczach Grompha różnymi barwami. Oboje otaczały osobiste zaklęcia ochronne. Oboje nosili magiczne błyskotki i oręż. Gromph czytał im z ust.



- Nie będę dłużej tolerować twoich niedociągnięć - powie działa Larikal.

Jak wszystkie drowy płci męskiej, Geremis miał dość rozumu, żeby przyjąć ten wyrzut bez słowa.

- Filakterium znajduje się wewnątrz fortecy - ciągnęła kapłanka. - Ty i podlegli ci magowie musicie je odszukać w ciągu godziny. Albo następnym razem, gdy wkroczysz ze mną do tej świątyni, zrobisz to w charakterze ofiary dla Lolth.

- Tak, mistrzyni Larikal - odparł Geremis.

Larikal i mag przeszli dokładnie przez bezcielesną postać Grompha - arcymag czuł się tak, jak gdyby przewiał go wiatr - i minęli otwarte drzwi świątyni. Gdy przekraczali próg, osłony na drzwiach zadrgały, na chwilę otaczając każde z nich purpurowym blaskiem. Żadne nie wymówiło słowa-rozkazu ani wykonało żadnego gestu, więc Gromph uznał, że zabezpieczenia muszą być dostrojone do czegoś, co mają na sobie, a może nawet do ich ciał.

Tuż za drzwiami Geremis zatrzymał się. Odwrócił się z dziwnym wyrazem twarzy i spojrzał na miejsce, w którym unosił się Gromph.

Gromph zaklął i zastygł. Obawiając się, że mag jakoś wy-czuł jego obecność, przygotował zaklęcie, które go uśmierci, o ile sforsuje jego osobiste osłony.

Gromph rozluźnił się, kiedy Geremis odwrócił się i szybkim krokiem przemierzył nawę w ślad za córką Dyrarów. Gromph zmienił pozycję, żeby lepiej widzieć wewnątrz świątyni.

Kapłanka przeszła przez nawę, weszła do absydy i uklękła przed czarnym ołtarzem. Ze stosowną nabożnością zapaliła krzeszącym patyczkiem stojącą na nim pojedynczą świecę. Na ścianach świątyni zatańczyły cienie. Na ołtarz wdrapały się pająki, niektóre wielkości pięści Grompha.

W świetle świecy Gromph zobaczył sylwetkę golema. Był ogromny.

Geremis trzymał się w pewnej odległości od Larikal. Mężczyznom nie wolno było wchodzić do absydy świątyni Lolth. Czarodziej usiadł w pierwszej ławce i pochylił głowę.

Larikal ukłękła, również pochyliła głowę i zagłębiła się w modlitwie. Gromph nie słyszał słów, ale wyobrażał sobie, że jej mamrotanie niesie się echem po świątyni.

Blask świecy migotał na gładkiej powierzchni pająka-gole-ma. Wielki stwór górował nad ołtarzem i Larikal. Drowka znajdowała się pięć kroków od przedmiotu swoich modlitw i nie zdawała sobie z tego sprawy. Pomimo znużenia Gromph prawie się uśmiechnął. Pajęcza Królowa miała poczucie humoru.

Gromph zajął się znów osłonami. Musiał...

Do głowy przyszedł mu pewien pomysł i arcymag wreszcie się uśmiechnął.

Nie musiał wcale usuwać zabezpieczeń.

Quenthel trzymała swój święty symbol w lewej ręce i szybko wypowiadała słowa zaklęcia. Kiedy skończyła, stała się prawie dwukrotnie większa, podobnie jak jej bicz, kolczuga i tarcza. Cała emanowała fioletowym blaskiem, który wylewał jej się z oczu - był to widomy znak łaski Lolth.

Danifae dokończyła swoje zaklęcie i całe jej ciało otoczyła szara powłoka magicznej siły -jej ucieleśniona wiara.

Kapłanki przyglądały się sobie nawzajem, a martwi Lolth sunęli między nimi ku Ścieżce.

To nie są zaklęcia obronne, pomyślał Pharaun, przygotowując się do ponownego ataku magiczną pięścią.

Bicz Quenthel zaszczał. Danifae przestąpiła z nogi na nogę, trzymając dłonie w pobliżu trzonka morgenszterna.

- Ciekawy wybór zaklęcia, mistrzyni Quenthel - zauważyła Danifae.

Quenthel parsknęła.

Pharaun był pewien, że otwarta walka jest już nieunikniona, ale nie. Obie kapłanki nie ruszyły się z miejsca i znów zaczęły czarować.

Choć Pharaun znał się na magii wtajemniczeń znacznie lepiej niż na tej objawianej przez bóstwa, naoglądał się już tylu zaklęć rzucanych przez kleryków, że był w stanie zidentyfikować większość skandowanych inkantacji.

Danifae skończyła pierwsza. Magia nie zmanifestowała się w żaden widoczny sposób, ale Pharaun wywnioskował z jej gestów i słów, że czar zwiększył jej fizyczną siłę.

Pharaun docenił subtelność Danifae. Pierwsze zaklęcie Qu-enthel uczyniło ją wielką i silną, ale w oczywisty sposób. Danifae uczyniła się silniejszą, ale w mniej widoczny sposób.

Quenthel dokończyła modlitwę i jej skóra rozjarzyła się zieloną poświatą.

Odporność na zaklęcia, rozpoznał Pharaun.

Obie kapłanki znów mierzyły się wzrokiem.

- Ścieżka? - zapytała Danifae, ale zrobiła krok w stronę Qu-enthel. - Czy... coś innego?

Quenthel uśmiechnęła się, zrobiła krok w stronę Danifae i odpowiedziała:

- Coś innego.

Pharaun też się uśmiechnął. W razie starcia Quenthel i Danifae miał zamiar skorzystać z okazji i zabić Jeggreda czy należał do domu Baenre, czy nie.

Serce uwięzło Halisstrze w gardle. Przed nimi, u podnóża gór, Danifae i Quenthel Baenre stały naprzeciw siebie. Migocząca powłoka szarej mocy otaczała Danifae, zaś Quenthel Baenre była dwa razy większa niż zwykle.

Toczyły pojedynek albo właśnie miały zamiar go stoczyć.

Draegloth Jeggred przyglądał im się z boku, a czarodziej Pha-raun, z magiczną pięścią przed sobą, obserwował z drugiej. Dusze Lolth przemykały wokół nich i między nimi, wlatując w poszarpany otwór u podnóża jednego z najwyższych szczytów -Ścieżkę Pożeracza Dusz.

Halisstra musiała działać szybko. Opadła za występ skalny jakieś trzydzieści kroków od całej tej sceny. Feliane i Uluyara poszły w jej ślady. Siłą woli Halisstra zakończyła działanie zaklęcia, które zmieniło je w mgłę. Skuliła się za skałami i odezwała niecierpliwie:

- Widzicie? - powiedziała do Uluyary. - Danifae walczy z Quenthel Baenre. Kapłanka Baenre musiała się dowiedzieć o jej oddaniu Eilistraee.

Odwróciła się, chcąc już iść, ale Uluyara złapała ją za ramię i obróciła w swoją stronę.

- Halisstro, one jeszcze nie walczą. Powinnyśmy przygotować zaklęcia ochronne. Kapłanka Baenre jest potężnym przeciwnikiem.

- Nie mamy na to czasu - odparła Halisstra, odpychając rękę Uluyary. Jeśli Danifae wreszcie posłuchała wezwania Eilistraee, Halisstra nie chciała zostawić jej na pastwę Quenthel. - Użyjemy w walce naszych zaklęć. To wystarczy.

Spojrzała siostrą w oczy, żądając wzrokiem posłuszeństwa

- A draegloth i czarodziej? - zapytała Feliane. - Co z nimi?

Halisstra dobyte Księżycowe Ostrze.

- Quenthel jest naszym wrogiem - powiedziała. - Założmy, że draegloth i czarodziej również, chyba że dadzą wam powody, żeby myśleć inaczej.

- A co z Danifae? - zapytała Feliane.

- Zostawcie ją mnie - odparła Halisstra.

To powiedziawszy, odwróciła się i ruszyła ku walczącym. Za nią odezwało się granie rogu Uluyary.

# TRZYNASTY

Gdzieś za plecami Pharauna rozległo się granie bojowego rogu.

Napięcie między Quenthel i Danifae na chwilę opadło. Obie odwróciły się w stronę, z której dobiegł ten dźwięk.

Pharaun pomyślał najpierw, że wzrok płata mu figle, ale słowa Quenthel wyprowadziły go z błędu.

- Melarn - powiedziała cicho Quenthel. Żmije przy jej boku zasyczały i zwinęły się wzburzone.

Pharaun rzucił okiem za siebie i zobaczył, że Danifae otwiera usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się. Na jej twarzy malował się szok, ale branka szybko doszła do siebie.

- Wygląda na to, że Lolth dała nam inną ofiarę - oznajmiła.

Pharaun odwrócił się i zobaczył Halisstrę Melarn biegnącą ku nim po skalistej ziemi w towarzystwie drowki i elfki. Wszystkie trzy były uzbrojone i opancerzone. Wzrok Pharauna przykuł symbol na tarczy Halisstry - ustawiony na sztorc miecz owinięty srebrzystą wstążką.

Wiedział, że to symbol Eilistraee. To mu wystarczyło. Halisstra jakimś cudem wysłedziła ich w Pajęczych Otchłaniach i sprowadziła dwie sojuszniczki, zapewne kapłanki tej samej przeklętej bogini.

- Nosi symbol Eilistraee, mistrzyni - powiedział czarodziej, jednocześnie aktywując moc swego pierścienia i wzbijając się w powietrze.

- Nie jestem ślepa, magu - warknęła Quenthel.

- Myśli, że jestem jej sojuszniczką - powiedziała Danifae do Quenthel i cofnęła się kilka kroków. - Zasjej w niej ziarno wątpliwości.

To powiedziawszy, Danifae krzyknęła:

- Pani Melarn! Do mnie! Razem powstrzymamy Quenthel Baenre. W imię Pani, do mnie!

Quenthel zmarszczyła brwi. Żmije kręciły łebkami, przenosząc wzrok z Danifae na Halisstrę.

Słyszając słowa Danifae Halisstra uśmiechnęła się i zawinęła nad głową błyszczącą klingą. Druga drowka ponownie zadeła wróg.

Jegged ryknął.

Pharaun był równie skonsternowany jak żmije. Nie był do końca pewny czy Danifae manipuluje Quenthel, czy Halisstra, czy może nimi obiema. Z właściwym sobie pragmatyzmem postanowił zachować ostrożność i potraktować wszystkie trzy jak wrogów.

Podjąwszy decyzję, szybko obrał strategię. Halisstra i Danifae mogły być niebezpieczne, ale najgroźniejszym przeciwnikiem był Jegged.

Halisstra i dwie pozostałe kapłanki biegły w kierunku Qu-enthel. Jeggred też rzucił się w jej stronę, ale Pharaun nie był pewny czy chce zaatakować swoją ciotkę, czy obce kapłanki.

Mag wydał w myślach rozkaz i pięść poszybowała w stronę Jeggreda. Draegloth zauważył ją i spróbował uskoczyć, ale pięść wyrznęła go z całej siły w łeb i pierś. Impet zbił go z nóg i wielki półdemon zwałił się na ziemię, gdzie leżał nieruchomo, zapewne ogłuszony.

Pharaun wyszczerzył zęby. Czasem zaskakiwał sam siebie własnymi umiejętnościami czarodziejskimi.

Danifae rzuciła mu gniewne spojrzenie i odsunęła się jeszcze dalej od Quenthel.

-Tutaj, Halistro! - zawołała, wyciągając zza pasa mor-gensztern.

Nacierając, trzy kapłanki Eilistraee wykrzyczały imię swej bogini. Ich modlitwa była tyleż pieśnią, co recytacją.

Halisstra dokończyła modlitwę i z koniuszka jej palca wystrzelił w Quenthel czarny promień. Kapłanka Baenre uskoczyła przed nim i promień uderzył w skałę.

Druga drowka dokończyła modlitwę i otoczyła ją różowawa aura, Kapłanka wycelowwała zaklęciem w Pharauna. Wskazała go palcem i wokół maga rozbłysła sfera blasku.

Czarodziej krzyknął i zakrył twarz przedramieniem. Nagła światłość przeszła jego oczy igłami bólu. Nie otwierając ich, wycedził przez zęby słowa kontrzaklęcia i na powrót otoczył go przyjemny półmrok Pajęczych Otchłani.

Otworzył oczy i przez chwilę widział tylko plamy. Z oczu ciekły mu łzy, ale powstrzymał je, mrugając. Kiedy znów zaczął widzieć, zlokalizował magiczną pięść - unosiła się nad ogłuszonym Jeggredem - i posłał ją ku elfiej kapłance.

Trzy kapłanki rozdzieliły się w biegu. Pięść pomknęła ku elfce.

Elfka zatrzymała się i zasłoniła swoją maleńką tarczą, czekając na cios.

Ale Pharaun miał inny plan.

Na jego mentalny rozkaz pięść zatrzymała się przed kapłanką, rozwarła palce i spróbowała ją schwytać. Elfka była szybsza i chlasnęła magiczną pięść mieczem, ale dłoń była nieubłagana.

Ogromne palce owinięły się wokół elfki. Widać jej było tylko głowę. Zanim zdążyła zawołać o pomoc, Pharaun kazał dłoni zacisnąć się.

Usta elfki otworzyły się do krzyku, ale uścisk wycisnął jej całe powietrze z płuc, cierpiała więc w milczeniu.

Pharaun odwrócił się i zobaczył, że Halisstra skręca w stronę Quenthel.

- Pomóż nam, Danifae - krzyknęła Halisstra.

- Oczywiście, pani - odparła Danifae, ale nie zrobiła nic, żeby pomóc.

Druga drowka dzierżąca oburącz miecz o długim ostrzu nacierała na Quenthel z przeciwnej strony niż Halisstra, ale zatrzymała się, kiedy zerknęła przez ramię i zobaczyła, że jej towarzyszka została uwięziona przez magiczną pięść.

- Feliane! - krzyknęła.

Drowka odnalazła Pharauna w powietrzu i wyśpiewała zaklęcie.

Pharaun pomknął ku niej, dobywając różdżkę błyskawic i wypowiadając czar.

Drowka skończyła pierwsza.

W powietrzu, z prawej strony czarodzieja, pojawił się miecz magicznej siły. Lecąc obok, natychmiast zaatakował, mierząc w jego głowę.

Pharaun wywinął się spod ciosu, ale miecz ścigał go uparcie, rąbiąc i siekąc. Mag wywijał w powietrzu salta, okręcał się i obracał, ale przeklęte ostrze dotrzymywało mu kroku. Klinga dwa razy zdołała przebić jego magiczne osłony, rozciąć mu skórę ramienia i przedramienia. Pomylił słowa zaklęcia i zaklął na głos.



Zatoczył kilka kólek, zwiększając dystans i szybko wypowiedział słowa kontrzaklęcia, zmagając się z magią kapłanki.

Jego magia zwyciężyła. Magiczny miecz zniknął. Dotknął ramienia i stwierdził, że rana, choć bardzo krwawi, nie jest głęboka.

Popatrzył w dół i zobaczył, że obca drowka zbliża się do Qu-enthel z jednej strony, a Halisstra naciera na nią z drugiej. Kapłanka Baenre stała w miejscu, strzelając z bicia.

Pharaun wyciągnął z *piwafwi* kawałek kwarcu, utworzył dłońią kopułę i wypowiedział szybko słowa zaklęcia, które wyrówna szanse.

Kiedy skończył, wokół Halisstry zmaterializowała się kopuła na wółprzezroczystego lodu grubości ramienia.

Widział, jak zdrajczynie Melarn miota się w niej jak oszalała, waląc mieczem w ściany swojego więzienia. Pharaun wiedział, że kopuła długo jej nie utrzyma, ale dał Quenthel trochę czasu.

Quenthel skorzystała z okazji. Natarła na drowkę, zataczając biczem szeroki łuk.

Kapłanka Eilistraee, wciąż otoczona różową poświatą, nie cofnęła się, ani nie zawahała. Tańcząc i wirując między zmijami, zadała na odlew cios, który rozplątał Quenthel kolczugę na piersi. Quenthel, wciąż dwa razy większa niż zwykle, odpowiedziała uderzeniem tarczą, ale kapłanka Eilistraee uskoczyła przed nim i dźgnęła Quenthel w brzuch.

Kapłanka Baenre odskoczyła w tył, uciekając przed pchnięciem, ale kapłanka Eilistraee nie rezygnowała, wirując i wymachując klingą tak szybko, że miecz rozmazywał się w oczach.

- Danifae Yauntyrr! - zawołała kapłanka Eilistraee. - Odpowiedz Pani i pomóż mi!

Ale Danifae nie odpowiadała. Stała w pewnej odległości, wyraźnie zadowolona, że może obserwować starcie. Być może czekała, aż któraś z drowek wyjdzie z niego zwycięsko, aby móc ją wtedy wykończyć.

Dysząc ciężko i krwawiąc, Quenthel zasypała przeciwniczkę gradem smagnień biczem. Częściowo chybiony cios wytrącił kapłankę Eilistraee z równowagi i Quenthel zdołała wyrzucić ją w pierś tarczą.

Siła i ogrom Quenthel odepchnęły ją w tył. Kapłanka Eilistraee zatoczyła się, ale jakoś zdołała ustać na nogach, odzyskała równowagę i zaraz znów natarła na kapłankę Baenre, dźga-jąc i tnąc.

Zawinąwszy biczem nad głową, Quenthel strzeliła z niego, usiłując smagnąć nim przeciwniczkę. Kapłanka Eilistraee uskokowała w prawo, w lewo, przypadła do ziemi, rozciąła Quenthel ramię i...

Jedna ze źmij zatopiła kły w jej ramieniu. Drowka stęknęła z bólu, a mistrzyni Arach Tinilith wykorzystała okazję i ponownie grzmotnęła ją tarczą. Kapłanka Eilistraee nie przyjęła na siebie całej siły ciosu, ale i tak odrzucił ją pięć kroków w tył. Rana w jej ręce zaczynała już czernieć.

- To koniec - powiedziała Quenthel.

Wysoka kapłanka zbliżyła się, źmije przy biczu wiły się i syczały.

Kapłanka Eilistraee uskoczyła w tył, wciąż wirując. Dotknęła swojego świętego symbolu i wyśpiewała zaklęcie.

Snop srebrnego światła wyleciał z jej wyciągniętej dłoni, przebił ochronne zaklęcia Quenthel i trafił ją w pierś. Stękając, kapłanka Baenre zatoczyła się w tył.

- Jeszcze nie - odparła kapłanka Eilistraee, znów na nią nacierając.

Zanim dopadła Quenthel, ta uniosła bicz i powiedziała:

- Szybkość.

Źmije przy biczu okręciły się i powtórzyły jak echo: „Szybkość.”

Adamantowy trzonek biczem zapłonął fioletem, ruchy wysokiej kapłanki stały się jeszcze szybsze. Źmije rozmasowały się w oczach.

Kapłanka Eilistraee wbiegła pomiędzy węże, mierząc nisko. Quenthel zgrabnie uskoczyła, uderzeniem trzonka bata wbiła klingę przeciwniczki w ziemię, obróciła się i smagnęła ją przez plecy wszystkimi pięcioma rzemieniami.

Stękając, zataczając się, kapłanka Eilistraee zdołała utrzymać się na nogach. Udało jej się umknąć przed następnym smagnięciem, które zerwałoby jej głowę z ramion.

Kapłanka Eilistraee znów zaczęła czarować, ale Quenthel była zbyt szybka. Znów strzeliła z bata, żmije przegryzły pancerz i zatopiły kły w ciele obcej drowki, która krzyknęła z bólu, nie dokończywszy zaklęcia.

Pharaun wiedział, że to koniec walki. Kapłanka Eilistraee nie mogła się równać z Quenthel Baenre.

Halisstra też musiała to zobaczyć przez ścianę z lodu. Jej stłumiony krzyk pokonał zapórę:

- Uluyaro! Danifae, pomóż jej!

Ale Danifae nie zrobiła nic, nie opowiedziała się po żadnej ze stron.

Zdesperowana kapłanka Mrocznej Panny natarła na Quen-thel, wirując, tnąc i dźgając. Quenthel sparowała ciosy i odpowiedziała uderzeniem tarczą, od którego druga drowka poleciała w tył.

Poruszając się z magiczną szybkością, Quenthel wyjęła z wewnętrznej kieszeni *piwafwi* srebrzystą metalową buławę długości przedramienia. Skierowała ją w leżącą na ziemi kapłankę Eilistraee i strzeliła z niej strumieniem lepkiej, na współpłynnej substancji, która oblepiła ranną i zaraz stwardniała. Kapłanka szamotała się przez chwilę, ale nie była w stanie się uwolnić.

Quenthel wyszczerzyła zęby i podeszła do leżącej na ziemi, unieruchomionej drowki.

Pharaun, zadowolony, że tak łatwo poszło, rozejrzał się po polu walki. Jeggred był wciąż ogłuszony, choć jedna z jego rąk drgała spazmatycznie. Elfia kapłanka wciąż tkwiła w uścisku

magicznej dłoni, którą wyczarował. Halisstra była chwilowa uwięziona pod lodową kopułą, ale słyszał, że wyrąbuje sobie mieczem drogę ucieczki i wkrótce wydostanie się na wolność.

Quenthel zatknęła bicz za pas i wyjęła spomiędzy szat mały adamantytowy sztylet z rękojeścią stylizowaną na pająka.

Nóż ofiarny, pomyślał Pharaun.

Stanęła za leżącą kapłanką, aby Halisstra Melarn wszystko widziała.

- Nie boję się - powiedziała unieruchomiona kapłanka Eili-strae, choć Pharaun nie był pewny czy jej słowa są skierowane do Halisstry, czy Quenthel.

- Oczywiście, że się boisz - powiedziała Quenthel i wzniosła wysoko sztylet.

Kłing Halisstry przebiła ścianę lodu.

- Nie! - krzyknęła.

Pharaun wyskandował krótkie zaklęcie i z koniusek jego palców wystrzeliło pięć strzałek magicznej energii, które przeleciały dziurą wyrąbaną przez Halisstrę w lodzie. Uderzyły w kapłankę Melarn, która krzyknęła z bólu.

Tymczasem Quenthel zmówiła krótką modlitwę do Lolth i rozplątała kapłance gardło. Jej krew spłynęła na kamienistą ziemię Pajęczych Otchłani, a ona sama skonała, dławiąc się.

- Nie! - krzyknęła Halisstra.

Quenthel wstała, uśmiechnęła się do Halisstry, potem do Da-nifae, i zawołała Pharauna.

- Chodź, mistrzu Mizzrym. Czeka na nas Ścieżka Pożeracza Dusz. Złożyłam już ofiarę Pajęczej Królowej.

Pharaun zauważył, że Danifae pokazuje na migi: *A ja wkrótce złożę swoją.*

Mag po raz ostatni rzucił okiem na elfkę wciąż ściszaną przez magiczną dłoń. Jego zaklęcie przestanie wkrótce działać. Może elfka umrze do tego czasu, a może nie. Nie obchodziło go to. Kapłanki Eilistraee nie stanowiły dla nich zagrożenia.

Podleciał do Quenthel. Nawet nie zaszczyił spojrzeniem złożonej w ofierze kapłanki Eilistraee. Razem ruszyli ku ścieżce.

Za ich plecami Halisstra wreszcie wyrąbała w lodowej kopule na tyle duży otwór, że reszta bariery rozpadła się wokół niej.

Jegred wydał z siebie niski pomruk. Najwyraźniej zaczął dochodzić do siebie.

- Odwróć się i zmiierz ze mną, dziwko Baenre - zawołała Halisstra.

Zza pleców dobiegły maga słowa czaru rzucanego przez Halisstrę. Pharaun wsłuchał się w nie i kiwnął głową - rażenie ogniem.

Prawie bezwiednie wypowiedział słowa kontrzaklęcia, nieweczając jej zamiary.

Mógł sobie wyobrazić jej konsternację.

- Stój, Baenre! - wrzasnęła Halisstra zrozpaczonym, wściekłym głosem. - Zmierz się z nami i zobaczymy, czyja bogini jest potężniejsza.

Quenthel zlekceważyła ją. Ona i Pharaun stali na progu Ścieżki Pożeracza Dusz. Otwór w skale z bliska wydawał się równie czarny i nieprzenikniony jak z daleka. Dusze wpadały do środka i znikwały jedna po drugiej.

Halisstra pobiegła za nimi, kamienie chrzęściły jej pod butami.

Quenthel zachowywała się prawie jak w transie.

- Pożeracz istnieje, bo Lolth go toleruje - powiedziała do Pharauna. — Jest uwięziony w środku i spełnia jej rozkazy.

Pharaun przyjrzał się wejściu do tunelu, w którym nadal znikał korowód dusz.

- Jakie rozkazy? - zapytał.

Quenthel nie patrzyła na niego, kiedy odpowiedziała:

- Takie jak zwykle, magu. Poddaje próbie tych, których Lolth pragnie poddać próbie. Niektóre dusze nie zostają jej poddane. Niektóre tak.

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz, choć jej wzrok pozostawał nieobecny.

- Ja zostanę poddana próbie - ciągnęła, a potem wskazała ruchem głowy Danifae. - Ona również, jeśli ośmieli się wkroczyć na ścieżkę. Jeśli chodzi o ciebie i mojego siostrzeńca, nie czeka was żadna próba. Choć spodziewam się, że Pożeracz i tak odbierze należną mu dziesięcinę.

- Mistrzynie, dlaczego po prostu jej nie zabijemy? - zapytał Pharaun, mając na myśli Danifae. - I twojego siostrzeńca?

Wzrok Quenthel był nieobecny, jej umysł skupił się już na czekającym ją wyzwaniu.

- To już nie ma znaczenia - odparła.

Zanim Pharaun zdążył zapytać o coś więcej, Quenthel wkroczyła w czarny tunel. Ciemność całkowicie ją pochłonęła. Dusze wciąż miały go, wlatując w otwór. One też znikaly.

Halisstra była już blisko, dzieliło ją od niego dziesięć kroków. Osiem.

- Zmierz się z nami, tchórze! - zawołała Halisstra.

Pharaun stał chwilę nieruchomo, wpatrując się z niezdecydowaniem w ciemność. Wreszcie wziął głęboki oddech i wkroczył na Ścieżkę Pożeracza Dusz. Poczul lekki opór, jaki stawia pajęcza sieć.

Halisstra patrzyła, jak najpierw Quenthel, a potem Pharaun wchodzi w tunel i znikają. Zgrzytnęła z wściekłości zębami, ścisnąc Księżycowe Ostrze tak mocno, że zbieleły jej knykcie.

Zatrzymała się i wbiła wzrok w otwór w zboczu góry. Poza ciemnością nie widziała nic.

Dyszac ciężko, z każdym oddechem wydychała wściekłość i frustrację.

Wokół niej przemykały dusze, martwi Lolth.

Quenthel i Pharaun uciekli. Uluyara została zamordowana, złożona w ofierze. Feliane...

Feliane!

Obróciła się i z ulgą odkryła, że magiczna dłoń zniknęła. Feliane, zataczając się, szła w jej stronę, trzymając się za żebra.

Danifae podeszła do Uluyary i ukucnęła nad nią z z troską w oczach. Napotkała wzrok Halisstry.

- Nie mogłam jej ocalić, pani - powiedziała.

Halisstra mogła tylko kiwnąć głową.

- Próbowałam ci pomóc, pani - ciągnęła Danifae, podchodząc do Halisstry. - Ale czarodziej dwa razy rozproszył moje zaklęcia. Następnym razem lepiej ci się przysłużę.

Halisstra była zbyt zmęczona, żeby cokolwiek powiedzieć.

Jakiś ruch z prawej przykuł jej uwagę. Draegloth podnosił się z ziemi. Jego czerwone ślepie płonęły wściekłością. Feliane patrzyła na niego z obawą.

Draegloth zmierzył wzrokiem Danifae, potem drobną elfkę i ryknął.

Halisstra spojrzała plugawemu stworowi w twarz.

- Twoja pani opuściła cię dla czarodzieja - powiedziała.

- Zostawiła cię mnie. A ja wydrę ci serce za zabicie Rylda Argitha.

Draegloth uśmiechnął się, szczerząc kły, spojrzał na Halisstrę i rzekł:

- Moja pani nie opuściła mnie, heretyczko.

Zanim Halisstra zdążyła odpowiedzieć, Danifae wyrznęła ją kulem morgenszterna w plecy. Trzasnęły żebra, pękła skóra. Halisstra straciła oddech. Po plecach ciekła jej krew. Zatoczyła się w przód i upadła.

Wtedy zrozumiała wszystko.

Danifae manipulowała nią, udawała, że słyszy wezwanie Eili-strae. Danifae chciała po prostu, żeby Halisstra zabiła dla niej Quenthel. I to Danifae dopilnowała, żeby draegloth zabił Rylda.

Halisstra była ślepa, widziała tylko to, co chciała widzieć.

Teraz musiała ponieść konsekwencje.

- Halisstro! - zawołała Feliane i puściła się biegiem w jej stronę.

- Jeggred, zabij tę małą elfią dziwkę - rozkazała Danifae, stając nad Halisstrą.

Draegloth zaryczał i rzucił się w stronę Feliane, odcinając ją od Halisstry.

Sparaliżowana bólem, przygnieciona brzemieniem własnej głupoty Halisstra mimo to zdołała dźwignąć się na czworaki. W głowie kołatała jej się tylko jedna myśl, oskarżenie rzucone Eilistraee.

*Mogłaś mnie ostrzec. Mogłaś mnie ostrzec.*

Halisstra podniosła głowę i zobaczyła, że draegloth atakuje Feliane, tnąc i siekąc pazurami. Feliane parowała ciosy mieczem, ale Halisstra dostrzegła strach w oczach drobnej elfki.

- Nie - próbowała powiedzieć do Danifae, ale nie była w stanie wydusić nawet słowa. Uderzenie pozbawiło ją tchu.

Danifae znów wyrznęła ją morgenszternem w plecy. Pancierz wchłonął częściowo impet ciosu, ale i tak przeszył ją ból i zwała się z powrotem na ziemię.

Jej była branka chwyciła ją za włosy i poderwała jej głowę do góry. Halisstra spróbowała ugodzić ją Księżycowym Ostrzem, ale Danifae wyrwała jej miecz z ręki i odrzuciła go na bok.

- Chcesz mi coś powiedzieć, pani Melarn? - syknęła jej do ucha. - Nie? W takim razie patrz - rozkazała.

Halisstra zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Patrz! - wrzasnęła Danifae, szarpiąc ją za włosy.

Halisstra otworzyła oczy i zobaczyła, jak draegloth przeciąga pazurem przez twarz Feliane. Elfka zatoczyła się w tył, ale udało jej się wywinąć spod kolejnego ciosu półdemona. Klinga elfki zostawiła rozcięcie na jego brzuchu, ale było to powierzchowne obrażenie.



Rycząc tak głośno, że Halisstrę rozboleły uszy, draegloth rzucił się na Feliane. Walczyła mężnie, ale była zbyt drobna, zbyt powolna, zbyt słaba. Rozpłatał jej pierś, prawie wyrwał jej ramię ze stawu i wreszcie obalił na ziemię.

Feliane leżała na kamieniach, oddychając ciężko, ale była ogłuszona, nie mogła się ruszyć.

Halisstrze nagle przypomniały się słowa wypowiedziane przez nią na szczycie słupa: *Boją się*.

Draegloth nachylił się nad elfką. Bez słowa przygwoździł jej ramiona do ziemi i zaczął się pożywiać. Wrzaski bólu utonęły w żarłocznych prychnięciach półdemona.

Halisstra pochyliła głowę. Z oczu ciekły jej łzy, łzy wściekłości, łzy żalu. Nie mogła złapać tchu.

Danifae dostrzegła to i zapytała z szyderstwem w głosie:

- Łzy, Halisstro? Płaczesz nad słabą elfką?

Huknęła ją pięścią w skroń. Halisstrze stanęły przed oczyma gwiazdy. Groziła jej utrata przytomności, ale nieświadomość nie chciała przyjść.

Danifae odwróciła ją kopniakiem na plecy. Leżała tak na ziemi Pajęczych Otchłani Lolth, krwawiąc i łapiąc spazmatycznie oddech, a jej była branka stała nad nią.

Danifae splunęła na jej napierśnik, plugawiąc święty symbol Eilistraee. Nie obchodziło jej to. Eilistraee splugawiła własny symbol, gdy nie ostrzegła Halisstry. Jej kapłanki nie mogły się równać ze służkami Lolth.

Eilistraee była słaba. A Halisstra była głupia, że poszła za słabą boginią. Popatrzyła na zamazaną postać Danifae nad sobą.

- Dlaczego? - wyszeptała.

Usta Danifae wykrzywiła pogarda.

- Dlaczego? - Sięgnęła do poły płaszcza i wyjęła bryłkę bursztynu z zatopionym w środku pajakiem - swój święty symbol Lolth. Podsunęła go Halisstrze pod nos.

- Oto dlaczego, Melarn. Zawsze byłaś słaba. I dlatego słuchałaś słabej bogini. Ale ja nie.

Halisstra wbiła w Danifae nienawistne spojrzenie.

- Wciąż jesteś tylko bezdomną branką- zdoła wydusić.

Danifae prychnęła, odsunęła się i wzniosła morgensztern do śmiertelnego ciosu. Kiedy go opuściła, Halisstra zebrała wszystkie siły i odtoczyła się w bok.

Głowica broni wyrznęła w kamienie.

Halisstra podźwignęła się na kolana i zaczęła czołgać w stronę Księżycowego Ostrza. Nie widziała wyraźnie, a ból w żebrach promieniował na całe ciało.

Morgensztern grzmotnął ją w żebra, Halisstra rozłożyła się na kamieniach jak długa. Ból był prawie nie do zniesienia.

Danifae znów nachyliła się nad nią, wznosząc wysoko morgensztern.

Zza pleców dochodziły Halisstrę ohydne odgłosy wydawane przez uczującego draeglothą, chlepczącego krew Feliane, przeżuwanego jej mięso.

- Dlaczego tak się bawisz jedzeniem, Jeggredzie? - zapytała Danifae z uśmiechem. - Czeka na nas Ścieżka Pożeracza Dusz i szlachetna krew Quenthel Baenre.

W tej chwili Halisstra pragnęła śmierci, pragnęła jej bardziej niż czegokolwiek innego. Zamknęła oczy, czekając na jej nadejście. Eilistrae zawiodła ją. Halisstra zabiła je wszystkie.

- Żegnaj, Halisstro - powiedziała Danifae i spuściła morgensztern na twarz swojej byłej pani.

Halisstra poczuła rozbłysk bólu, a potem nie czuła już nic.

Danifae patrzyła na zakrwawione ciało swojej dawnej pani. Złożyła swoją ofiarę i mogła już wkroczyć na ścieżkę.

- Chwalmy Lolth - powiedziała i po raz ostatni kopnęła Ha-lisstrę. Spojrzała na Jeggreda, który wciąż pożerał żywcem el-fią kapłankę. Dłoń elfki zamknęła się, a potem otworzyła. Z jej ust wyrwał się cichy jęk. Danifae uśmiechnęła się na myśl o bólu, jaki musiała cierpieć.

- Chodź, Jeggred - powiedziała. - Czas ruszać za twoją ciotką.

Draegloth podniósł łeb znad ciała elfki. Pysk miał uwalany krwią. Z zębów zwisały mu strzępy mięsa.

- Tak, pani - powiedział.

Podniósł się i przyskoczył do jej boku, z wyraźną niechęcią opuszczając żywą wciąż ofiarę.

- Kiedy ją zabijesz? - zapytał Jeggred. - Ją i maga?

- W stosownym czasie - odparła Danifae.

Razem wkroczyli na Ścieżkę Pożeracza Dusz.

# CZTERNASTY

Gromph stał w portyku przed drzwiami świątyni i analizował osobiste osłony Geremisa. Jedno po drugim, arcymag ostrożnie badał ochronne zaklęcia maga: osłony przeciw żywiołom, zaklęcie, które czyniło skórę Dyrra twardą jak kamień, osłonę śmierci i... osłonę zwrotną. Przy tej ostatniej Gromph uniósł brwi. Arcymag rzadko widywał osłony zwrotne. Sam liczdrow musiał nauczyć Geremisa, jak się je rzuca.

Wiedział, że osłona zwrotna skieruje przeciwko niemu efekt każdego bezpośrednio ofensywnego zaklęcia, które rzuci na Dyr-ra. Arcymag musiał się jej jakoś pozbyć.

Niestety, wiedział też, że w chwili, w której rzuci na Geremisa jakiegokolwiek zaklęcie, przestanie być niewidzialny - wada czaru niewidzialności - wsunął się więc za drzwi, pomiędzy

cienie, które ukryją go, kiedy magia przestanie działać. Stamtąd cicho wyszeptał słowa rozpraszającego dweomeru, kierując go tylko przeciwko osłonie zwrotnej.

Kiedy magia zaczęła działać, Gromph poczuł mrowienie skóry - stał się widzialny. Ukryty bezpiecznie w mroku, cień w cieniu, Gromph skierował dweomer przeciwko osłonie zwrotnej Geremisa.

Delikatnie jak złodziejaszek odcinający sakiewkę, Gromph zaatakował osłonę Geremisa. Kontrzaklęcie Grompha zetknęło się z magią Dyrra i ogarnęło ją.

W czasie dwóch uderzeń serca magia Grompha zwyciężyła. Osłona Geremisa znikła.

Mam cię, pomyślał Gromph.

Choć drowy posiadały wrodzoną odporność na magię, prawie żaden mroczny elf w Menzoberranzan nie mógł się oprzeć mocy zaklęć Grompha, chyba że uciekł się do wzmocnienia swojej naturalnej odporności. Nie zauważył żadnego wzmocnienia tego typu u Geremisa. Dyr był zdany na jego łaskę.

Geremis uniósł pochyloną głowę i rzucił okiem przez ramię. Choć patrzył prosto na Grompha i nie widział go, na jego twarzy malowała się podejrzliwość. Sięgnął do kieszeni, szukając czegoś, bez wątpienia jakiegoś komponentu.

Gromph chciał już rzucić następny czar, ale zaklął, uświadomiacząc sobie, że potrzebuje szczypty kurzu. Nie miał zwyczaju nosić przy sobie kurzu, bo był on zawsze łatwo dostępny - przynajmniej wtedy, kiedy mógł dotknąć materialnego świata.

Nie mając innego wyjścia, wykorzystał moc zaklęcia zmieniającego postać i przeobraził się w drowa, choć nie siebie samego. Jego ciało zestaliło się, nabrało ciężkości i wkrótce poczuł, że dotyka stopami podłogi. Zaczął słyszeć i czuć zapachy. Przez drzwi świątyni niósł się odór stęchłego kadzidła. Larikal modliła się półgłosem do Lolth.

Gromph skulił się w cieniu za drzwiami świątyni. *Piwafwi* Pratha ukrywało go prawie tak skutecznie jak postać cienia.

Poruszając się powoli, wyjął z szat mały magnetyt, zebrał szczyptę kurzu z portyku świątyni i cicho wyrecytował słowa potężnego zaklęcia. Nasączył czar odrobiną dodatkowej energii Splotu, żeby Geremisowi trudniej było mu się oprzeć.

Dyrr wyjął z kieszeni przezroczystą soczewkę i uniósł ją do oka. Spojrzał na wrota świątyni, prosto na Grompha i soczewka wypadła mu z ręki.

- P... pani - wybełkotał, zrywając się z ziemi i zaczynając czarować. -Nie jesteście sa...

Gromph dokończył zaklęcie. Z palca arcymaga wystrzelił zielony promień, trafiając Geremisa w pierś. Ostrzeżenie zamarło czarodziejowi na ustach, gdy czar zaznaczył kontur jego sylwetki na zielono i obrócił go w proch. Larikal wstała i okręciła się dokładnie w tej samej chwili, w której Geremis został unicestwiony. W dłoni trzymała buzdygan.

Trzeba jej było przyznać, że nie zawołała o pomoc. Zamiast tego dotknęła wolną dłońią noszonego na szyi świętego symbolu w kształcie platynowego pająka i zaczęła czarować. Symbol na krótko rozjarzył się pod jej dotykiem, tak jak jej oczy. Skandując zaklęcie, przyjrzała się wejściu wyostrzonym wzrokiem i wbiła spojrzenie w Grompha.

Zobaczyła go. Oczywiście nie rozpoznała w nim arcymaga Menzoberranzan, ale wiedziała, że jest wrogiem. Prawdopodobnie wzięła go za maga Xorlarinnów.

Nie mając czasu szukać po kieszeniach klejnotu, którego zwykle używał jako komponentu w podobnych sytuacjach, Gromph wyciągnął z wewnętrznej kieszeni okular- był pod ręką- i wypowiedział słowa zaklęcia.

Larikal biegła nawą z buzdyganem w dłoni. Gromph rozpoznał zaklęcie, które rzucała. Miało obdarzyć jej rękę zabójczą energią. Wystarczy, że go dotknie, aby zginął.

Nie cofnął się, tylko spiesznie rozpoczął inkantację.

Larikal skończyła pierwsza. Wokół jej wolnej ręki utworzyła się sfera skwierczącej czarnej energii.

Gromph odsunął się od drzwi i dokończył czar w chwili, w której przeskoczyła próg i sięgnęła ręką w jego stronę.

Magia zaklęcia Grompha zmieniła jego duszę w klejnot na końcu łańcuszka okularu w chwili, w której Larikal zacisnęła mu dłoń na nadgarstku.

Kiedy klejnot, w którym znalazła się dusza arcymaga, stał się magicznym pojemnikiem, trochę podobnym do filakterium liczą, zabójcze zaklęcie nie mogło go osiągnąć. Jednak jego pozbawione duszy ciało wydawało się martwe, więc liczył na to, że Larikal uwierzy, iż go zabiła.

I zmniejszył czujność.

Wewnątrz klejnotu Gromph posiadał tylko jeden zmysł - instynktowną umiejętność wykrywania w pobliżu sił życiowych. Wyczuł Larikal, z pewnością pochylając się nad jego pozornie martwym ciałem.

Magia zaklęcia pozwalała mu wyrwać samą siłą woli duszę ze znajdującego się w pobliżu ciała i zmusić ją do zajęcia jego miejsca wewnątrz klejnotu. Rzucając ten czar podjął ryzyko, ale musiał szybko pokonać osłony.

Poszerzając swoją świadomość, arcymag sięgnął w głąb Larikal i odszukał jej duszę.

Zaskoczył ją. Wyczuł jej przerażenie. Opierała mu się, ale on naciskał, walczył z jej oporem i w końcu...

Odzyskał czucie. Patrzył w dół na ciało drowa - swoje własne ciało poddane transformacji - który ścisnął w dłoni skrzycząc się lekko okular rozświetlony duszą Larikal.

- Dziękuję ci, kapłanko - powiedział do klejnotu i z zaskoczeniem odkrył w swoim głosie kobiecy zaśpiew.

Zaklęcie pozwalało uwięzić w klejnocie inną duszę tylko temu, kto je rzucił. Larikal mogła już tylko tkwić wewnątrz

klejnotu. Zostanie w nim uwięziona, dopóki Gromph nie pozwoli jej uciec.

Choć zajęcie kolejnego ciała - zwłaszcza kobiecego - było irytujące, Gromph zachował wszystkie dawne zdolności umysłowe, w tym umiejętność czarowania. I dysponował silniejszą postacią Larikal. Cieszyło go to. Jej postura przyda mu się, kiedy stawi czoła golemowi.

Rozejrzał się dookoła i nie zobaczył nikogo. Pobliskie budynki wydawały się puste. Większość mieszkańców domu z pewnością broniła murów fortecy.

Uśmiech zadowolenia zniknął z jego twarzy, kiedy zakłęcie, które pozwalało mu zmieniać postać, przestało działać. Jego pozbawione duszy ciało powróciło do dawnej postaci. Patrzył oczyma Larikal Dyr na własną twarz, na puste, skradzione oczy syna Dyrów.

Gromph zaklął. Prath też wrócił już do swojej zwykłej postaci albo wkrótce do niej wróci.

Yasraena będzie go szukać, jeśli już go nie szukała. Miał niewiele czasu.

Pospiesznie wyjął zza pasa trupa duergarski topór i zdjął mu szaty pełne komponentów oraz pierścień regeneracji. Założył szaty i pierścień, przypiął do pasa topór i rzucił na pozbawione duszy ciało dwa czary. Pierwsze zakłęcie zmniejszyło je do wielkości dłoni. Drugie uczyniło niewidzialnym dla zwykłych oczu, choć wciąż widział je magicznie wzmocnionym wzrokiem. Gromph nie śmiał przenieść własnego ciała, które wciąż trzymało w dłoni małe okular, przez zabezpieczone osłonami wrota w obawie przed aktywacją osłon. Ukrył je za drzwiami w szczelinie między kamiennymi płytami portyku. Musiał mieć nadzieję, że nie zostanie zauważone.

Odwrócił się i...

Uwagę arcymaga przykuł amulet na ciele Larikal -jego ciele. Ujął go w dłoń - było to elektrum inkrustowane ametystami



układającymi się w spiralę. Wiedział, że jest to amulet telepatyczny.

Przez chwilę dostrajał do niego świadomość. Wiedział, że mu się udało, kiedy w jego mózgu rozległ się znajomy głos: *Larikal! Larikal!*

Gromph uśmiechnął się.

Larikal nie wzywała pomocy na głos, bo zrobiła to telepatycznie.

*Larikal, odpowiedz!*

Gromph wiedział, że nie powinien się odzywać, ale nie potrafił oprzeć się pokusie.

*Twoja córka jest obecnie niedysponowana, Yasraeno, przekazała.*

Poczuł przez amulet konsternację.

*Gromph Baenre? zapytała Yasraena.*

*Nie wydajesz się być zadowolona z mojej wizyty, odparł.*

W mentalnym głosie matki opiekunki dało się słyszeć coś brzmiącego jak panika: *Posłuchaj mnie, arcymagu. Wiem, po co przyszedłeś. Ale zawarłam umowę z Triel. Mam zniszczyć ji-lakterium sama.*

Gromph uznał jej słowa za nieudolne kłamstwo. Ale nawet jeśli była to prawda, arcymag nie był tą umową związany. Triel nic mu o niej nie wspomniała.

*Ale nie wiesz, gdzie się ono znajduje, matko opiekunko. A nawet gdybyś wiedziała, obawiałbym się, że impuls zobaczenia liczdrowa żywym może okazać się za silny nawet dla twej żelaznej woli. Będę zachwycony, mogąc zniszczyć jilakterium w twoim imieniu.*

To powiedziawszy, Gromph przerwał połączenie. Wiedział, że Yasraena wkrótce tu będzie, więc wziął głęboki oddech i przestąpił obłożony osłonami próg świątyni. Osłony nie zadziałały. Gromph miał się nigdy nie dowiedzieć, czy sprawiło to coś, co Larikal nosiła przy sobie, czy sama jej krew, ale nie obchodziło go to. Dostał się do środka.

Z kopuły świątyni spoglądała w dół Lolth. Środkowa nawa prowadziła do absydy, ku czarnemu ołtarzowi, nad którym górowała złowieszcza postać pająka.

Golem czekał.

Yasraena biegła korytarzami do komnaty jasnovidzenia, nie bacząc na to, że nie przystoi jej taki pośpiech. Nie śmiała komunikować się z córkami poprzez amulet telepatyczny w obawie, że Gromph Baenre podsłucha ich rozmowę.

W jej umyśle rozległ się głos Esveny: *Matko opiekunko! Zostaliśmy oszukani. Obraz w misie nie jest tym, czym wydawał się być. Gromph Baenre...*

*Jest w naszym domu, dokończyła za nią Yasraena. Następną projekcję wysłała wszystkim swoim córkom i siostram: Natychmiast przestańcie używać amuletów. Arcymag jest w kompleksie i nosi amulet Larikal. Słyszysz mnie nawet w tej chwili.*

Połączenie zamilkło i po raz pierwszy od początku oblężenia Yasraenę ogarnęło prawdziwe przerażenie. Jeśli Gromph odnajdzie filakterium przed nią, wszystko będzie stracone.

Musiała dopaść je przed nim.

Kiedy dotarła do komnaty jasnovidzenia, nikt nie śmiał podnieść na nią oczu. Dwaj czarodzieje stali obok misy ze spuszczonymi głowami. Esvena nie śmiała spojrzeć jej w oczy.

- Gdzie Larikal? - zapytała Yasraena.

Esvena szukała właściwych słów.

- Twoja siostra! - krzyknęła Yasraena. - Gdzie widziano ją po raz ostatni?

- Geremis przekazał w ostatnim raporcie, że mają zamiar przeszukać świątynię, matko opiekunko - odezwał się jeden z magów.

Świątynia. Yasraena nie wierzyła własnym uszom. Czyżby liczdrow ukrył filakterium w świątyni? Przekląła w myślach tego aroganckiego, głupiego intryganta.

Yasraena zacisnęła pięści, a potem zęby. Jej ciało dygotało. Bała się, że zaraz przestanie panować nad wściekłością i strachem.

Przez zaciśnięte zęby wycodziła do Esveny:

- Idź na mury i sprowadź vrocków oraz wszystkich naszych magów, jakich znajdziesz. Potem dołączcie do nas w świątyni. Idź, szybko.

Esvena wybiegła z komnaty.

Yasraena spojrzała na dwóch mężczyzn, którzy z nią zostali.

- Wy dwaj macie mi towarzyszyć do świątyni. Czeką tam na nas arcyomag Menzoberranzan.

Kiedy zakłęcie upodabniające Pratha do Grompha przestało działać, Nauzhror zaklął na głos. Prath przyjrzał się swoim dłoniom, zobaczył, że rosną, i wielkimi oczyma popatrzył na Na-uzhrrora siedzącego po drugiej stronie biurka.

W tej samej chwili czarodzieje Dyrrów przejrzeni oszustwo Grompha.

Przez uderzenie serca - ale tylko jedno - Nauzhror bił się z myślami, zastanawiając się, co robić. Nauzhror zazdrościł arcyoma-gowi pozycji, ale strach przed sprawieniem Gromphowi Baenre zawodu był silniejszy od jego ambicji. Wiedział, że jeśli Gromph odniesie sukces i dowie się, że Nauzhror nie uczynił nic po tym, jak zakłęcie zmiany postaci przestało działać, każe mu cierpieć. Jeśli Gromph poniesie porażkę i zginie, wiedział, że Triel Baenre zbada całą sprawę i też źle się to dla niego skończy.

Mistrz Sorcere wiedział, że nie zostaje mu nic innego, jak tylko odegrać swoją rolę najlepiej jak potrafi i mieć nadzieję, że Gromphowi się uda.

- Wstawaj, chłopcze - rzucił do Pratha wciąż siedzącego na krześle arcy maga.

Prath zerwał się z krzesła, jak gdyby się paliło. Nauzhror ob-szedł biurko i opadł na fotel. Z wprawą wynikającą z dziesięcioleci ćwiczeń dostroił chryzoberyl Grompha tak, aby pokazywał siły Xorlarrinów zebrane przed domem Agrach Dyr. Żołnierze i czarodzieje, choć stali w szyku, nie rwali się do walki.

Nauzhror przez pewien czas przyglądał się okolicy, utrwala-jąc obraz w umyśle, a potem pozwolił kryształowi wygasnąć.

- Co mamy teraz zrobić, mistrzu Nauzhrorze? - zapytał Prath. Głos ucznia zdradzał zdenerwowanie.

- Dopilnujmy, żeby Yasraena musiała odpierać jednocześnie ataki z zewnątrz i od wewnątrz.

Bez dalszych wyjaśnień wymówił słowo mocy i teleporto-wał się w sam środek armii Xorlarrinów.

# PIĘTNASTY

Umysł Pharauna zaćmił się w chwili, w której wkroczył na Ścieżkę Pożeracza Dusz. Zupełnie stracił równowagę. Czuł się tak, jak gdyby poruszał się jednocześnie w przód i w tył, w górę i w dół, wszystko naraz.

Zataczając się, wyciągnął rękę i dotknął chłodnej ściany wąskiego przesmyku. Przez chwilę stał nieruchomo, opierając się o skałę i usiłując wziąć się w garść.

Mag wiedział, że się nie porusza, ale wciąż miał wrażenie ruchu i odczuwał gwałtowny upływ czasu. Stał w centrum świata, który przemykał obok niego.

Pharaun zamknął oczy, zacisnął zęby i uchwycił się ściany **tak** mocno, jak gdyby zależało od tego jego życie.

Czas i ruch ustały tak nagle, że prawie poleciał do przodu.

Otworzył oczy i nie zobaczył ani dusz, ani Quenthel, niczego oprócz kamiennych ścian wznoszących się w nieskończoność po obu stronach. Ścieżkę spowijała ciemność, ale zwykła ciemność, którą był w stanie przebić wzrokiem. Przed nim rozpościerała się gładka, wąska dróżka niknąca w oddali. Odwrócił się i zobaczył dokładnie to samo.

Ale zrobił tylko jeden krok. A może nie?

Pharaun miał na tyle duże doświadczenie z teleportacją, portalami i podróżami po Planie Cienia, aby rozumieć, że Ścieżka Pożeracza Dusz nie jest miejscem fizycznym o przestrzennych wymiarach tylko metaforą, symbolem tego, co spina czas i przestrzeń pomiędzy spustoszoną krainą, którą zostawił za sobą, a władztwem Lolth, które leżało przed nim.

Przez jedną okropną chwilę miał wrażenie, że cały plan Lolth jest tylko przenośnią, a umysły jego i jego towarzyszy nadały postać czemuś, co tak naprawdę jej nie posiada.

Ta myśl zaniepokoiła go, więc odepchnął ją od siebie.

- Quenthel - zawołał i nie spodobało mu się drzenie, jakie usłyszał w swoim głosie. Wołanie odbiło się echem od skał, a kiedy wróciło, jego głos nie należał już do niego.

Wrzask przerażenia: Quenthel!

Histeryczny śmiech: Quenthel.

Zrozpaczony bełkot: Quenthel.

Wycie bólu: Quenthel!

Magowi ciarki przeszły po plecach. Pot zrosił mu czoło. Skórę miał wilgotną. Zaciśnął usta i ruszył przed siebie. Powoli.

Nie widział i nie słyszał nic oprócz wypaczonego echa własnego głosu, ale...

Nie był sam.

I to nie obecność Quenthel wyczuwał.

Przed nim - a może za nim? - rozległy się szepty, syki, echa pradawnych krzyków. Nieartykułowane mamrotania wsączały

mu się w duszę. Wszystko go swędziało, czuł się zbrukany. Od-  
dychał szybko.

- Kto tam? - zawołał i skulił się, kiedy jego własne słowa  
wróciły do niego wrzaskiem przerażenia.

Sięgnął do kieszeni szat i chwycił w obie dłonie różdżki: w  
prawą żelazną rażącą gromami, w lewą tę z drewna zurkh  
ciskającą pociskami magicznej energii.

Szedł dalej. Ściany szeptały i mamrotały mu do uszu.

- Pożeracz - powtarzały.

Poczuł na plecach czyjeś oczy, wwiercające się w głęb jego  
jestestwa. Okręcił się, wyciągając obie różdżki, pewny, że coś  
tam jest.

Nic.

Szepty przeszły w sykliwy śmiech.

Dyszząc ciężko, oparł się plecami o ścianę i spróbował się opa-  
nować. Ze ściany wyciągnęły się zimne jak trup widmowe dło-  
nie i zasłoniły mu usta. Ogarnęła go panika, serce załomotało  
mu w piersi jak młotem. Wyrwał się rękami, upadł na ziemię,  
odwrócił się i wystrzelił w ścianę trzy magiczne pociski.

Niczego tam nie było.

Podniósł się z ziemi.

Co się działo? Nie był sobą. Znalazł się pod wpływem jakie-  
goś zaklęcia. Na pewno...

Od ścian odbił się nagle wrzask, dzikie wycie przepelnione  
rozpaczą i wściekłością. Pharaun stężał, knykcie zaciśniętych  
na różdżkach palców maga pobiełały.

Przed nim ze ściany z jednej strony ścieżki wychyła jakaś  
widmowa postać i wleciała w ścianę po drugiej, jak ryba płynąca  
przez wody Mrocznego Jeziora. Postać poruszała się szybko, ale  
zdążył jej się dobrze przyjrzeć, zanim znikła w skale - wielkie,  
rozdęte, węzowe cielsko, przezroczyście szare, w którym wiły  
się i krzyczały setki albo tysiące żarzących się drowich dusz.

Pożeracz Dusz.

Jego czarne oczy przypominały bezdenne jamy, pyśk -jaskinię. Nalfeshnee wydawał się przy nim maleńki. Był większy od dziesięciu nalfeshnee.

Był żywym więzieniem dla potępionych dusz.

Pharaun wyobraził sobie swoją duszę uwięzioną wewnątrz stworza i ścisnął mu się żołądek. Próbował nie zwracać uwagi na to, że trzęsą mu się dłonie, kiedy chował z powrotem jedną z różdżek i wyciągał szczyptę sproszkowanego danburytu. Wyrzucił mieniący się pył w powietrze, wymawiając słowa potężnej ewokacji.

Pozostał skupiony nawet wtedy, gdy tajemne słowa powróciły jako wycie.

Kiedy skończył, pył danburytu zawirował wokół niego, tworząc sferę o średnicy piętnastu kroków i zmienił się w niewidzialną, nieprzepuszczalną sferę siły, która mogła powstrzymać nawet bezcielesne istoty.

Pharaun modlił się do Lolth, aby sfera powstrzymała Pożeracza Dusz. Zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko tymczasowe rozwiązanie. Zaklęcie działało krótko, a sfera była nieruchoma. Mimo to potrzebował czasu, żeby wziąć się w garść. Był roztrzęsiony i zdenerwowany.

Wrzaski Pożeracza Dusz powtórzyły się, ale były stłumione, jak gdyby pochodziły głęboko spod ziemi.

Bezpieczny wewnątrz sfery, Pharaun usiłował uspokoić oszalałe serce i opracować jakiś plan działania.

Poczuł mrowienie w stopach. Spojrzał w dół i zobaczył zniekształcenie w dnie ścieżki. Patrzył z przerażeniem, jak skała pod nim robi się przezroczysta, a zniekształcenie nabiera kształtu ogromnej rozwartej paszczy najeżonej zębami.

Pożeracz Dusz wylaniał się z ziemi pod magiem, jego paszcza była na tyle wielka, by połknąć go razem ze sferą.

Pharaun patrzył w dół wybałuszonymi z przerażeniami oczyma. Usiłował odnaleźć słowa zaklęcia, ale nie zdołał, jękając się bez ładu i składu.



Głęboko w przelyku Pożeracza Dusz zobaczył drobne postacie wijących się dusz o przerażonych oczach, w których odbijała się jego zgroza.

Ściany paszczy Pożeracza Dusz uniosły się wokół maga, który był w stanie tylko patrzeć, jak zamykają się wokół niego.

Nie zdążył nawet wrzasnąć, nim szczęki zatrzasnęły się, a on dołączył do potępionych.

Quenthel stała sama na Ścieżce Pożeracza Dusz. Wiedziała, że każdy, kto chce stawić czoła jego próbom, musi zrobić to sam.

Wiedziała, że Pożeracz Dusz jest jedyną istotą ocalałą z mitologii dawno martwego świata. Lolth pozwalała mu żyć w Pajęcych Otchłaniach, bo jąbawił, bo stanowił ostateczną próbę dla niektórych z jej sług.

Wysoka kapłanka nie wiedziała, dlaczego niektórzy byli poddawani próbie, a inni nie. Przypisywała to chaotycznym kaprysom Lolth. Już raz uniknęła spotkania z Pożeraczem, gdy zginęła z rąk mężczyzny renegata w Roku Cieni i jej dusza dostała się do miasta Lolth.

Wiedziała, że drugi raz jej się to nie uda.

Szła wąskim przejściem z biczem w garści. Wiatr świszczwał między ścianami tunelu, wołając *Yor 'thae* Lolth. Łebki żmij przy jej biczu wysunęły i schowały języki, nasłuchując, smakując powietrze.

*Nadchodzi, mistrzyni, oznajmił* Yngoth.

Quenthel też to wiedziała. Jej skóra pokryła się gęsią skórką.

Kiedy usłyszała złowieszcze posykiwanie Pożeracza, kiedy wyczuła jego doprowadzające do szaleństwa mamrotanie w jakiejś prymitywnej części mózgu, musiała wkładać ogromny wysiłek woli w zrobienie każdego następnego kroku.

Jestem Wybranką Lolth, powtarzała sobie, nie dam się przstraszyć.

Pożeracz Dusz, ogromna, wijąca się, przezroczysta żmija, wyśliznęła się z ziemi przed nią, przenikając przez skałę jak przez powietrze. W jego długim cielsku wiły się uwięzione dusze, zrozpaczone, umęczone. Pożeracz był ostatecznym miejscem spoczynku i izbą tortur dla tysięcy tysięcy potępionych dusz.

Quenthel nie zamierzała stać się jedną z nich.

*Uważaj, mistrzyni, ostrzegła K'Sothra.*

Ale Quenthel nie zamierzała uważać. Czas uważania się skończył. Weźmie to, co Pożeracz ma jej do zaoferowania.

Ściskając swój święty symbol w dłoni i chwyląc Lolth skończyła na spotkanie zjawy. Widmo rozwarło paszczę i syknęło, ukazując kurczące się z bólu twarze niezliczonych dusz, które utknęły w przetyku. Quenthel bez wahania zanurkowała pomiędzy kłami do środka.

Nienawiść przywróciła Halisstrze świadomość. Wściekłość otworzyła jej oczy. Przewyciężyła ból i popatrzyła w niebo Lolth. Była noc i czuła na sobie ciężar spojrzenia ośmiu gwiazd Pajęczej Królowej.

Nad nią, nie zważając na jej agonię, przelatowały dusze kierujące się ku swej mrocznej pani.

Przemogła ból i usiadła.

Zakręciło jej się w głowie i cały świat zawirował wokół niej, ale oparła się ręką o ziemię, dopóki wirowanie nie ustało.

W pobliżu, lśniąc w bladym świetle, leżało to, co zostało z Feliane. Po drobnym ciele elfki chodziły pająki, kosztując jej mięsa i krwi. Niedaleko Feliane leżał trup Uluyary. Substancja, która ją unieruchomiła, rozpuściła się. Drowka leżała na plecach, twarzą ku niebu, z rozplątanym gardłem. W ranie roiło się od pajaków.

Ku swemu zaskoczeniu Halisstra nie współczuła poległym siostrom. Nie czuła nic oprócz gniewu, rozgrzanego do białości płomienia furii palącego jej trzewia.

Ciałem Feliane targnął skurcz, z ust elfki wydobył się char-kot. Wciąż żyła.

Gniew poderwał Halisstrę na nogi i pomógł jej odnaleźć Księżycowe Ostrze. Ból targał całym jej ciałem. Zgruchotaną twarz pokrywała skorupa zaschniętej krwi. Miała złamaną szczękę, połamane zębra i nie widziała na jedno oko. Wyobrażała sobie, jak musi wyglądać.

Dusze mijały ją obojętnie, lecąc ku Ścieżce Pożeracza Dusz. Siedem gwiazd Lolth i ich blada ósma siostra spoglądały w dół z zachmurzonego nieba z taką samą obojętnością.

Halisstra przywołała w myślach słowa modlitwy uzdrawiającej, ale przerwała, zanim słowa pojawiły się na jej opuchniętych wargach.

Nie wezwie Eilistraee, już nigdy. Mroczna Panna zawiodła ją, zdradziła. Eilistraee nie była lepsza od Lolth. Była gorsza, bo udawała, że jest inna.

- Mogłaś mnie ostrzec - wydusiła przez zakrwawione, rozbite usta.

Wtedy Halisstra pojęła, w pełni i ostatecznie, że przyjęła wiarę w Eilistraee z poczucia winy. Czciła słabą boginię ze strachu. Cieszyła się, że przed śmiercią to rozumiała.

Skończyła z Eilistraee. Ta część Halisstry Melarn, która czciła Mroczną Pannę, była martwa. Zmartwychwstała dawna Halisstra.

- Jesteś słaba - powiedziała do Eilistraee.

Zaciskając z bólu zęby, wyjęła z sakwy lirę i wyśpiewała przez rozbite usta uzdrawiającą pieśń *bae 'qeshel*. Kiedy magia zaczęła działać, ból w twarzy zelżał, rany zagoiły się. Zaśpiewała drugą pieśń, a potem trzecią, dopóki jej ciało nie było znów całe.

Ale zaklęcia nie potrafiły wypełnić pustki, jaką czuła w duszy. Wiedziała, jak może ją wypełnić, jak ją wypełni - czuła przyciąganie Lolth silniej niż kiedykolwiek. Od początku Milczenia Lolth wiara Halisstry wychylała się jak wahadło od Mrocznej Panny do Pajęczej Królowej. I jak wahadło wreszcie zatrzymała się w swoim naturalnym stanie.

Spojrzała na ciemny otwór Ścieżki Pożeracza Dusz. Dusze wpadały do środka i znikaly, pochłonięte przez górę. Halisstra wiedziała, co znajduje się po drugiej stronie: Lolth.

I Danifae.

Zabije Danifae Yauntyrr, zabije ją bez litości. Wyparła z umysłu wszystko, czego nauczyła się od Eilistraee. W jej duszy nie było już miejsca dla współczucia, zrozumienia, przebaczenia czy miłości. Było w niej miejsce tylko dla jednego uczucia - nienawiści. A nienawiść doda jej sił.

To wystarczy.

Świadomie pozwoliła, aby rozkwitło w niej ziarenko jej dawnej osoby, które od tak dawna pozostawało uspione. Od tej pory będzie się zachowywać jak przystało na drowkę. Od tej pory będzie równie bezlitosnym drapieżnikiem jak pająk.

Halisstra popatrzyła na swój napierśnik i zobaczyła symbol Eilistraee osadzony w metalu. Podważyła go Księżycowym Ostrzem. Spadł na ziemię, a ona zmiażdżyła go butem, idąc w stronę Feliane.

Elfka leżała na ziemi, krwawa kupka poszarpanego mięsa. Oczy miała otwarte i puste. Jej usta poruszały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk oprócz ciężkiego świstu wysiłonego oddechu. Draegloth nie pożarł żadnych żywotnych organów.

Hallisstra uklękła obok dawnej siostry w wierze. Migdałowe oczy Feliane, zeszlone bólem, spróbowały skupić się na niej. Dłoń elfki poruszyła się, jak gdyby chciała dotknąć Halisstry.

Halisstra nie czuła nic. Była pusta w środku.

- Z każdą chwilą stajemy się kimś innym - powiedziała, przy-pominając sobie słowa elfki wypowiedziane na szczycie jednej z wieżyc Lolth.

Ciałem Feliane wstrząsnęło westchnienie, jak gdyby rezygnacji.

Halisstra bez słowa zacisnęła dłonie na gardle Feliane i udu-siła elfkę. Trwało to tylko chwilę.

Wstając, prawie powiedziała „chwalmy Lolth”. Prawie.

Ruszyła ku Ścieżce Pożeracza Dusz środkiem rzeki umar-tych i wkroczyła na nią wraz z resztą potępionych.

Wciąż zajmując potężne ciało Larikal, Gromph zamknął za sobą drzwi świątyni, zdjął kolczugę kapłanki i odłożył jej tar-czę oraz buzdygan. Tylko przeszkadzałyby mu w rzucaniu za-klęć.

Kiedy pozbył się tego obciążenia, nappełnił swoje dłonie mocą tajemną, położył je na dwóch zasuwach i powiedział:

- Trzymajcie.

Magia wpłynęła w zasuwę. Zaklęcie uniemożliwiło otwar-cie drzwi bez uprzedniego rozproszenia dweomeru arcy maga, co stanowiło wyzwanie nawet dla domowych czarodziejów Yasraeny. A wymiarowa blokada liczdrowa uniemożliwiła Yasraenie i siłom Dyrków dostanie się do świątyni za pomocą teleportacji. Nie będą mieli innego wyboru, jak tylko sforsować drzwi - które Gromph własnoręcznie zabezpieczył - albo okna.

Arcymag odwrócił się, popatrzył w górę i przyjrzał oknom. Na każdej ścianie, mniej więcej w połowie jej wysokości, znajdowały się cztery półowalne okna. Były na tyle duże, by drow mógł się przez nie przedostać. Będzie musiał je zabez-pieczyć.

Z fałd szaty wyjął odłamek granitu. Trzymając go w dłoni, wymówił słowa zaklęcia i przywołał ścianę kamienia. Kształtem dopasowała się do jego mentalnego rozkazu i stopiła z kamieniem ścian świątyni, wypełniając otwory okienne. To samo zrobił z oknami po drugiej stronie.

W świątyni zrobiło się ciemno jak w grobie.

Wiedział jednak, że kamienna ściana nie powstrzyma długo utalentowanego czarodzieja czy zdeterminowanego napastnika, wyjął więc z kieszeni następny komponent - sakiewkę diamentowego pyłu. Rozrzucając go najpierw z jednej, potem z drugiej strony, wzmocnił kamienne ściany niewidzialnymi barierami energii. Yasraena i jej czarodzieje będą musieli ominąć obie, żeby dostać się do środka przez okna.

- Powinienem mieć dość czasu - wymamrotał z nadzieją głosem Larikal.

Ruszył środkiem nawy i zatrzymał się w połowie jej długości. Golem-pająk stał za ołtarzem, mroczny i złowrogi. Pulsująca osłona główna łączyła Grompha z jego odwołaniem niczym pepowina. Byli związani, przynajmniej metaforycznie.

Gromph znał się na golemach. Sam stworzył kilka na przestrzeni wieków. Bezmyślne i wykonane z materii nieorganicznej, nawet najzwyklejsze z nich były odporne na niemal wszystkie formy magicznych ataków.

A ten golem nie był zwykłym konstruktem. Wykonany z gładkiego gagatu pająk był strażnikiem filakterium liczdrowa. Gromph nie miał wątpliwości, że liczdrow wzmocnił jego odporność na magię. Wiedział, że może go unicestwić tylko fizyczny atak magiczną bronią.

Niestety, Gromph nie był szczególnie wprawnym wojownikiem -jego pojedynek z Nimorem był tego świetnym przykładem - ale mimo to miał zamiar porąbać golema duergarskim toporem. Znał zaklęcia, które spotęgujającego siłę, szybkość, wytrzymałość i celność, ale mimo to...

Przynajmniej ucierpi **ciało Larikal**, pomyślał, ale refleksja ta przyniosła mu mizerne pocieszenie. Zajmował jej ciało, więc będzie odczuwał ból.

A był już znużony bólem.

Gromph odczepił topór od pasa i zważył go w dłoni. Obserwując golema, wyjął z szat kawałek wyprawionej skóry jaszczura i rzucił zaklęcie, które otoczyło jego ciało polem siłowym - w gruncie rzeczy magicznym pancerzem. Potem wypowiedział słowa czaru, który sprawił, że wokół niego pojawiło się ośmiu jego iluzorycznych sobowtórów. Postacie przesuwały się i zamieniały miejscami - golemowi trudno będzie ustalić, która jest prawdziwym Gromphem, a która iluzją. Potem rzucił czar, który utworzył przed nim pole siłowe wielkości tarczy mające odbijać ciosy. Iluzoryczne tarcze pojawiły się też przed wszystkimi sobowtórami arcymaga.

Jestem prawie gotowy, pomyślał.

Wyjął z fałd szaty korzeń przygotowany specjalnie na tę okazję, przeżuł go - smak miał gorzki - i wymówił słowa zaklęcia, które przyspieszy jego ruchy.

Został mu jeszcze jeden czar do rzucenia - czar ze zwoju -ale wiedział, że gdy go rzuci, nie będzie w stanie rzucić następnego, dopóki ten nie przestanie działać. Większość magów używała go bardzo niechętnie. Ale Gromph nie miał wyboru.

Najpierw musiał obudzić golema.

Trzymając w dłoni zwój, wyjął z kieszeni różdżkę, wycelował nią w pająka i wypalił w niego zielonym pociskiem magicznej energii. Trafił golema w pierś, poniżej bulwiastej głowy. Choć nieszkodliwy, atak ożywił konstrukt.

Wielki kamienny stwór poruszył się. Jego ośmioro oczu zapłonęło. Wyprostował odnóża i nogogłaszczki.

Gromph rozwinął zwój i wypowiedział słowajednej z najpotężniejszych transmutacji, jaką znał. W miarę, jak mówił, magia obdarzała go sprawnością bojową i umiejętnością posługiwania

się duergarskim toporem. Poczuł, że skóra mu twardnieje, siła wzmaga się, a szybkość jeszcze się zwiększa. Jego umysł ogarnęła wściekła furia.

Kiedy czar całkowicie go przeobraził, nie czuł nic prócz potężnego przymusu porąbania golema na kawałki. Upajał się własną dzikością wywołaną zaklęciem. Umiejętności, jakich udzieliło mu zaklęcie, spychały na bok znajomość Splotu, ale nie obchodziło go to. Nie rzucałby czarów, nawet gdyby potrafił. Czarowanie było dobre dla słabeuszy.

Topór wydał mu się tak lekki, jak gdyby nic nie ważył. Jedną ręką zmiął w garści pergamin, który stał się pusty, a drugą zawiązał toporem tak szybko, aż zaświstało powietrze.

Golem wbił w maga swoje obojętne spojrzenie i przeskoczył ołtarz. Stwór poruszał się z niezwykłą u konstruktów chytoscią i lekkością. Posadzka świątyni zatrzęsa się pod jego ciężarem.

Gromph uniósł topór, ryknął i runął nawą w jego stronę.

Quenthel siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze swojego pokoju, modląc się przy świetle poświęconej świecy, prosząc o objawienie, które wyjaśni ten absurdalny obrót wydarzeń. W dłoni ścisnęła swój święty symbol i przesuwiała palcami wzdłuż jego brzegów.

Lolth nie odpowiadała. Pajęcza Królowa milczała tak jak wtedy, gdy się odrodziła.

Sama myśl o tej ohydzie wystarczyła, żeby zatrzęsała nią wściekłość. Żmije przy biczu, wyczuwając jej złość, owinęły się wokół swej pani, starając się ją pocieszyć.

Zignorowała je, wstała i wzięła do ręki bicz oraz świecę. Otworzyła drzwi, opuściła swoje komnaty i ruszyła wielkim korytarzem domu Baenre, gotując się ze złości. Gniew sunął przed nią niczym fala, torując jej drogę.



Służba, widząc że nadchodzi, pochylała głowy w ukłonie i umykała w boczne korytarze i komnaty. Szła zdecydowanym krokiem, od którego pobrzękiwały ogniwa kolczugi i kołysał się płomień świecy.

Jak Lolth mogła wybrać inną? Quenthel była przecież - kiedyś, przypomniawszy sobie z żalem - mistrzynią Arach-Tinilith. Lolth wskrzesiła ją.

Ale Pajęczka Królowa wybrała ją, tę pyszałkową dziwkę!

Żmije przy biczu sączyły w jej umysł słowa pocieszenia, ale ignorowała ich ciche syki.

*Wciąż jesteś pierwszą siostrą domu Baenre*, powiedziała K'Sothra.

To prawda, przyznała Quenthel. Ale nie była już mistrzynią Arach-Tinilith. Ona tego dopilnowała.

Quenthel wiedziała, że bluźnierstwem jest myśleć źle o *Yor'thae*, ale nie potrafiła się powstrzymać. Quenthel wolałaby umrzeć z godnością, niż znosić wstyd usunięcia z Arach-Tinilith. Triel traktowała ją od tej pory inaczej. Wszyscy w domu traktowali ją inaczej.

Dlaczego Lolth pozwoliła jej upaść tak nisko? Po tym wszystkim, co zrobiła i wycierpiała?

Nikt nie nadawał się lepiej na *Yor'thae* Lolth. Nikt. A już zwłaszcza ona.

Wzrok Quenthel przykuła pajęczyna. Jej gniew ostygł, kapłanka zatrzymała się na środku korytarza. Nie widziała w niej nic nadzwyczajnego, ale wydała się jej znacząca.

Wisiała w kącie, rozpięta między dwiema ścianami pokrytymi arrasami, srebrzysta w świetle świecy. Była duża.

Sieć kamiennego pająka, stwierdziła Quenthel. Widziała już kamienne pająki wielkości własnej dłoni.

Kilka wysuszonych much jaskiniowych zwisało z nici jak marionetki.

Podeszła do pajęczyny z przekrzywioną głową i uniesioną wysoko świecą.

Przyglądała się niciom, podziwiając piękno misternej konstrukcji. Każda nić stanowiła część pajęczyny, każda nić służyła jakiemuś celowi.

Każda nić.

Ta pajęczyna miała sens, w przeciwieństwie do jej własnego życia, śmierci i zmartwychwstania.

Przyjrzała się bliżej pajęczynie, przysuwając świecę, ale nie zauważyła pająka. Delikatnie dotknęła jej palcami w nadziei, że wibracje wywabią go z ukrycia.

Nic. Muchy jaskiniowe zatrzęsły się na swoich nitkach.

Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła wyartykułować, Qu-enthel nienawidziła tej pajęczyny. Poczula impuls i nie potrafiła się już opanować.

Uniosła świecę i przytknęła ją do sieci. Wiedziała, że to bluźnierstwo, ale i tak to zrobiła, nie potrafiąc powstrzymać szaleńczego uśmiechu.

Nici zwinęły się i spłonęły, stając się ulotnymi smużkami dymu. Muchy jaskiniowe spadły na podłogę. Z coraz większym entuzjazmem kontynuowała dzieło zniszczenia, dopóki po pajęczynie nie zostało nawet śladu. Uklękla i spaliła wszystkie muchy, jedną po drugiej.

Żmije przy jej biczu były zbyt oszołomione, żeby choć zasy-czeć.

*Mistrzynie?* zdołała wreszcie wykrztusić K'Sothra.

Quenthel zignorowała ją i ruszyła dalej, cała złość minęła jej jak ręką odjął.

## SZESNASTY

Danifae zgubiła Jeggreda w chwili, w której wkroczyła na Ścieżkę Pożeracza Dusz. W jednej chwili stał obok niej, w następnej już go nie było.

Była sama.

Przed nią biegł wąski korytarz ograniczony po obu stronach wysokimi skalnymi ścianami. Nad ziemią zalegała szara mgła. Było tak zimno, że pokryła się gęsią skórką.

Nie mając nic do stracenia, ruszyła naprzód. Miała wrażenie, że z każdym krokiem pokonuje całe ligi, a wzięcie każdego oddechu zajmuje jej całe dni. Parła naprzód, czekając na pojawienie się Pożeracza.

Po zaledwie kilku chwilach w jej głowie rozległy się szepty, potem syki, zbolące zawodzenie. Nie widziała ich źródła.

Włoski na jej karku uniosły się. Oddychała szybciej.

Był za nią! Była tego pewna.

Opuściła morgensztern i odwróciła się powoli.

Zaledwie pięć kroków za nią korytarz wypełniała węzowa postać Pożeracza Dusz. Jego puste oczy sprawiły, że poczuła, iż nic nie znaczy. W otwartej paszczy zmieściłby się cały ogr. Głęboko w gardle, w trzewiach, żarzyły się niezliczone dusze, maleńkie jak dziecinne lalki, zrozpaczone i umęczone jak ofiary mistrza tortur.

Danifae spróbowała się odnaleźć, nie okazać strachu. Wiedziała, że to następna próba mająca wykazać czy jest godna.

Dotknęła swojego świętego symbolu. Bursztyń wydawał się zimny pod jej dotykem.

Pożeracz był taki ogromny, taki pradawny, taki straszny...

Wrzaski dusz wypełniły jej umysł. Zniosła to, choć chciały wywiercić jej bruzdy w czaszce.

Pożeracz rozwarł szerzej paszczę, jednocześnie zachęcając i wzywając ją, aby podeszła bliżej i sprawdziła, co chce jej pokazać.

Ruszyła przed siebie na drewnianych nogach, ale zatrzymała się po dwóch krokach.

Skinęła na stwora ręką i powiedziała swoim najbardziej uwozdzielskim szeptem:

- Ty podejdz do mnie.

Nie zawahał się. Z rozwartą paszczą pomknął w jej stronę z przerażającą szybkością. Nie drgnęła nawet, kiedy otoczyły ją jego szczęki.

Tysiące mamroczących głosów, przerażonych, pozbawionych nadziei głosów - głosów uwięzionych dusz - rozbrzmiało w jej uszach, rozbrzmiało w jej jestestwie.

Wrzasnęła.

Anival, pierwsza córka matki opiekunki domu Agrach Dyr, obserwowała ze szczytu jednego z murów, jak siły Xorlarrinów przegrupowują się, przygotowując do ataku. Niewiele widziała. Strategicznie rozmieszczone sfery magicznej ciemności osłaniały większość ich manewrów. Nad fosą niesły się wydawane krzykiem rozkazy i szczęk metalu.

Stojący obok niej Urgan, poblížniony fehmistrz domu Agrach Dyr, oznajmił:

- Zaatakuję cię godzinę, pani Anival.

Anival kiwnęła głową. Położyła dłonie na trzonkach dwóch magicznych buzdyganów, które wisiały jej u pasa. Oba miały głowice w kształcie pająka.

- Nieprzypadkowo - stwierdziła, ale nie wyjaśniła, co ma na myśli. Przypuszczała, że atak ma na celu ochronę arcymaga. Jego sojusznicy z pewnością wiedzieli, że matka opiekunka przejrzała jego oszustwo.

Anival powiodła wzrokiem po linii obrony, wzdłuż murów z adamantytu i kamienia. Stały tu od tysiącleci. Czy teraz nie runą?

Żołnierze Dyr stali na blankach i Anival widziała w ich surowych twarzach, że wszyscy wyczuwają zbliżający się nieuchronnie atak. Przez szeregi przeszedł napięty szmer.

- Odeprzemy ich szturm - powiedziała Anival, bardziej do siebie niż do Urgana.

- Odeprzemy - powtórzył fehmistrz.

Anival wydało się, że słyszy zwątpienie w jego głosie, ale puściła mu to płazem. Zastanawiała się, czy woli, żeby jej matce udało się powstrzymać arcymaga, czy wręcz przeciwnie. Gdyby matka opiekunka zginęła, a filakterium liczdrowa zostało zniszczone, Anival mogłaby - mało prawdopodobnie - wynegocjować koniec oblężenia.

Ale najpierw musiała utrzymać mury i to bez pomocy vroc-ków i domowych magów.

Rozległy się bojowe trąby Xorlarrinów. -  
Nadchodzą - powiedział Urgan.

Każde z przednich odnóży golema kończyło się ostrym szponem z gagatu, ostrym jak krótki miecz. Jego szczęki najeżone były kłami długimi jak ręka Grompha.

Gromph nie dbał o to. Przeobrażony mocą zaklęcia w zaprawionego w boju wojownika rzucił się na golema z uniesionym wysoko toporem.

Golem skulił się i machnął dwoma szponami, zanim Gromph znalazł się w jego zasięgu. Przewidziawszy to, Gromph okręcił się w bok i częściowo sparował jeden cios toporem. Drugi szpon trafił jednego z sobowtórów, rozległ się trzask i iluzja znikła.

Wykorzystując pęd obrotu do zadania ciosu, Gromph przyskoczył, machnął duergarskim toporem i wyciął klin gagatu z tułowia konstrukt. Z magicznie zwiększoną szybkością zadał kolejne cięcie, zostawiając bruzdę w jednym z odnóży.

Pająk odskoczył w tył, miażdżąc ławę swoim ciężarem, i zamierzył się na Grompha jednym z pazurów, a potem kolejnym. Gromph kucał i uskakiwał, znów starając się go dosięgnąć. Dwa kolejne sobowtóry zniknęły. Pomimo swej wagi konstrukt poruszał się z zaskakującą szybkością.

Przez chwilę okrążali się, oddaleni o kilka kroków. Golem przeszedł po ławach, rozgniatając je swoim ciężarem i wymachując hipnotycznie pierwszą parą odnóży. Jego szponiaste stopy uderzały w posadzkę z głuchym łomotem.

Gromph nie spuszczał go z oczu, stąpając lekko.

Odwrócił głowę, słysząc łomotanie do drzwi świątyni. Ktoś usiłował sforsować jego zaklęcie zamykające. Yasraena zlokalizowała go.

Korzystając z okazji, golem skoczył na niego, przewracając w pośpiechu ławy. Gromph zanurkował w bok i przetoczył się. Szpony zadudniły o ziemię wokół niego -jeden, potem drugi i trzeci - i trzy sobowtóry zniknęły jeden po drugim. Jeden z pazurów drasnął arcymaga w ramię, do krwi. Pierścień zaczął natychmiast leczyć ranę.

Gromph zerwał się na równe nogi i przyjął toporem cios, który inaczej odciąłby mu głowę. Odrąbał golemowi jedno z odnóży i wałek gagatu, gruby jak ręka ogra, grzmotnął w pobliską ławę.

Kolejne uderzenie w drzwi. Zakłęcie trzymało, ale Grom-phowi nie zostało wiele czasu.

Uchylił się przed jednym, drugim ciosem, znalazł w zasięgu golema i wyrzucił go toporem w łeb. Wyciął z niego odłamek gagatu, ale stwór cofnął się, przewracając ławy. Gromph natarł ponownie, ale stwór wypuścił z siebie obłok czarnej mgły.

Kwas, uświadomił sobie Gromph, ale nie mógł już uciec. Osobiste zabezpieczenia, które osłoniłyby jego własne ciało, nie chroniły ciała Larikal. Poczucił przeraźliwy ból. Jego niema-giczne szaty rozpadły się - na szczęście magiczna szata, w której trzymał niezbędne komponenty, ocalała - a odsłonięta skóra paliła żywym ogniem, w miarę jak pojawiały się na niej pęcherze, a mgła wypalała mięso. Kamień posadzki i pobliskich ław dymił, pokrywając się dziobami. Powietrze wypełnił kwaśny smród, gdy chmura rozproszyła się.

Gromph zacisnął z bólu zęby, przeskoczył nad śliską od kwasu ławką i odrąbał golemowi kolejne odnóże. I następne.

Golem odpowiedział gradem ciosów, które zepchnęły Grom-pha do tyłu i rozproszyły wszystkie pozostałe sobowtóry.

Ze skóry Grompha ciekła krew i ropa. Oddychał szybko i ciężko. Ból spowalniał jego ruchy. Wiedział, że jeśli golem jest podobny do innych konstruktów, niedługo znów będzie mógł użyć kwaśnego oddechu. Musiał tylko zebrać więcej żrącej substancji wewnątrz magicznego ciała, a arcymag wąpił

czy przeżyje kolejny atak. Musiał go zniszczyć, zanim do tego dojdzie.

Sparował kolejny cios pazura, wzniosł topór...

Golem chlasnął go przez środek piersi. Tylko magiczna tarcza siłowa i magiczny pancerz uchroniły go przed rozplątaniem na dwoje. Mimo to siła ciosu odrzuciła arcymaga w tył. Wymachując rękoma zatoczył się, potknął o połamane szczątki łąwy i zwałił na plecy.

Pająk rzucił się na niego, gruchocząc połamaną łąwkę. Rozwarł szeroko szczękoczułki i sięgnął ku magowi nogogłaszczkami. Gromph zamachnął się wściekle toporem, przetoczył i spróbował wstać. Pazur opadł ku jego szyi, ale tarcza mocy sparowała uderzenie, choć jego siła znów obaliła arcymaga na ziemię.

Odpełź na czworakach w tył, zerwał się z ziemi i machnął toporem. Golem przypadł do niego i kłapnął szczękami. Ugryzienie naderwało mu płaszcz i wytrąciło z równowagi. Cios szponem obalił go na kolana, prawie wytrącając mu z rąk topór.

Gromph podniósł się i grzmotnął golema w głowę, tuż powyżej oczu. Cios był częściowo chybiony, ale w powietrze poleciały odłamki gagatu, a golem cofnął się, wymachując groźnie nogogłaszczkami. Gromph zerwał się z ziemi i też odskoczył w tył.

Dyszał ciężko, ale wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Wkrótce golem znów będzie mógł użyć kwaśnego oddechu. Wkrótce Yasraena i jej czarodzieje znajdą drogę do świątyni.

Żyła głównego zabezpieczenia wystawała z odwłoka pająka jakjakiś groteskowy organ. Wiedział, że na jej końcu, wewnątrz ciała golema, znajduje się filakterium. Musiał zaatakować.

Cofnął się w stronę ołtarza, osłaniając toporem. Pająk ruszył za nim, gramoląc się po połamanych i przeżartych kwasem łąwkach.



Gromph udał, że się potknął, i pająk skoczył. Arcymag zanurkował w bok, w jednej chwili odzyskał równowagę i zadał paskudne cięcie z góry, które odrąbało golemowi odnóże tuż przy odwłoku.

Golem ciął go innym odnóżem, usiłując odwrócić się do niego przodem - cios rozciął arcymagowi udo - ale Gromph skakał między dwoma pozostałymi jeszcze golemowi odnóżami, siekąc wściekle. Kawałki golema wylatywały w powietrze, gdy konstrukt usiłował się obrócić.

Kolejny cios dosięgnął! Grompha, strzaskał mu żebra i pozbawił oddechu, ale arcymag nie śmiał zaprzestać ataku. Golem przygwoździł mu stopę do ziemi i noga trzasnęła w kostce.

Przed oczyma maga eksplodowały gwiazdy. Nogę przeszył potworny ból. Wrzeszcząc, plując, kontynuował atak. Topór unosił się i opadał, unosił i opadał. Fragmenty golema wały się po świątyni niczym szczątki łodzi wyrzucone na brzeg Mrocznego Jeziora.

Po pewnym czasie do Grompha dotarło, że golem przestał się poruszać. Napędzany wywołaną zaklęciem zaciekłością, wyrznął go jeszcze kilka razy, zanim nasycił gniew.

Kiedy ochłonął, ból prawie pozbawił go przytomności. Odwłok golema leżał przed nim, strzaskany i zgruchotany. Jego cielsko przygwoździło mu nogę do ziemi. Fragmenty gagatu leżały rozrzucone po posadzce wśród połamanych ławek.

Zza podwójnych wrót świątyni rozległ się kolejny huk, wprawiając w drżenie niemal cały budynek. Yasraena i jej czarodzieje nie zdołali jeszcze sforsować zaklęcia zamykającego. Teraz pewnie spróbują dostać się do środka oknem.

Delikatnie, sycząc z bólu, podważył cielsko golema duergar-skim toporem i wysunął spod niego stopę. Kość zgrzytnęła o kość i Gromph prawie zwymiotował grzyby, które jadł wcześniej w swoim gabinecie. Nie patrzył na złamanie. Pierścień leczył ranę, ale zbyt wolno. Sięgnął do kieszeni - magia ochro-

niłajej zawartość przed kwaśnym oddechem golema- i wydobył z niej dwa eliksiry uzdrawiające, oba służące mu zwykle jako materialne komponenty do zaklęć. Zerwał pieczęcie zębami i wypił jeden ciepły trunek, a potem drugi.

Kostka zrosła się, a rozcięcia na udzie i ramieniu zasklepiły. Znikła nawet większość poparzeń.

Westchnął, sprawdził czy kostka już nie boli i wspiął się na cielsko golema. Tam stanął i odnalazł miejsce, gdzie żyła głównego zabezpieczenia znikła w odwołku pająka. Uniósł topór i zaczął rąbać.

Z każdym zamachem rąbał coraz bardziej ochoczo, a blask dweomeru filakterium stawał się coraz jaśniejszy.

Po kilkunastu uderzeniach zrobił wyrwę w odwołku golema. Zatrzymał się spocony i patrzył.

W środku, spleciona z żyłą głównego zabezpieczenia, mieńiła się czerwona kula wielkości pięści.

Kula zrobiła się żółta. Potem zielona. A potem fioletowa.

Gromph patrzył, jak glob zmienia kolor siedem razy, zanim sekwencja rozpoczęła się od nowa. Wiedział już czym jest glob - była to pryzmatyczna kula. Barwy nakładały się na siebie, jedna na drugą, niczym warstwy płatkowego grzyba. Liczdrow znalazł sposób, jak uczynić pryzmatyczną kulę permanentną. Umieścił wewnątrz niej filakterium, a całość ukrył w środku specjalnie skonstruowanego golema.

Gromph wiedział, jak rozbroić pryzmatyczną kulę. Pewne zaklęcia pokonywały pewne kolory. Dotknięcie pewnych kolorów bez rozproszenia ich oznaczało krzywdę lub śmierć. Będzie musiał pokonać wszystkie kolory, aby dostać się do kryjącego się wewnątrz filakterium.

To zajmie sporo czasu. A on czasu nie miał. Poza tym miał inny problem.

Zaklęcie transformujące, które zmieniło go w wojownika, czasowo zmodyfikowało jego umysł, zamykając furtkę

prowadzącą do tej jego części, która czerpała ze Splotu. Wiedział, że potrafi czarować, ale wiedza, która pozwalała mu połączyć się ze Splotem znikła, czasowo zepchnięta na dalszy plan przez wiedzę, jaką przekazało mu zakłęcie trans-mutacyjne.

Nie mógł zakończyć jego działania przed czasem. Musiało przestać działać samo z siebie. Dopiero wtedy będzie w stanie rozbroić sferę.

Zakłęcie jednego z czarodziejów Yasraeny strzaskało fragment wyczarowanej kamiennej ściany przed jednym z okien. Kamienie posypały się na posadzkę świątyni.

Tylko ściana mocy oddzielała Grompha od sił Dyrrów.

Czas się kończył.

Jakieś skrobanie kazało mu się odwrócić. To, co zobaczył, sprawiło, że ścisnął mu się żołądek.

Każdy z odrąbanych fragmentów golema- odnóża, odłamek odwłoka, szpon, fragment podbrzusza - pękał i rozszczał się. Ze szczelin wyrastało osiem odnóży i para szczękoczułek. Kilkadziesiąt fragmentów golema, które Gromph porzrzucał po świątyni, powróciło do życia jako miniatury głównego konstruktu. Bitwa jeszcze się nie skończyła.

Po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny Gromph przeklął liczdrowa.

Danifae wyglądała przez małe, pozbawione szyby okienko swojego poddasza w Braerynie. Narbondel żarzył się czerwienią w dwóch trzecich swojej wysokości. Dzień chylił się ku końcowi.

Danifae straciła rachubę czasu. Jeden dzień wydawał jej się podobny do drugiego, każda godzina przechodziła niezauważenie w następną.

Łatwiej było jej mierzyć upływ czasu nie Narbondelem, a liczbą trupów. Minęło trzydzieści siedem trupów od chwili, w której Lolth wybrała ją - Danifae nie potrafiła się zmusić, żeby pomyśleć jej imię - na swoją *Yor 'thae*.

Choć Danifae nigdy nie była w Menzoberranzan, zanim Lolth wybrała swoją *Yor 'thae*, od tej pory zdążyła dobrze je poznać. I znieawidzić.

Z prawej, po drugiej stronie pieczary, Danifae widziała gigantyczne stopnie prowadzące na Tier Breche. Widziała je z tej odległości tylko dzięki ich ogromnym rozmiarom i fioletowym ogniom faerie, które je oświetlały. Na płaskowyżu nad schodami - niewidoczna z tej odległości - wznosiła się najwspanialsza świątynia Lolth, Arach-Tinilith, serce kultu Pajęczej Królowej. Danifae nigdy nie postawiła w niej stopy i nigdy jej tam nie postawi.

W Arach-Tinilith rządziła ta dziwka, *Yor 'thae* Lolth.

W sercu Danifae wciąż wrzał gniew, dozogonna nienawiść do *Yor 'thae*. Wyładowywała ją na mężczyznach, którzy do niej przychodzili.

Danifae stworzyła własną świątynię Lolth, własne Arach-Tinilith - małe, śmierdzące poddasze w głębi Braerynu. Tu snuła swoje sieci i karmiła się swoimi ofiarami w imię Lolth.

Wychyliła się przez okno - święty symbol wciąż wisiał na jej szyi, ale bursztyn był uwalany tłuszczem i sadzą- i spojrzała na ulicę w dole. Narkomani snuli się ulicami niczym oszołomione widma o zapadniętych oczach. Dziwki kupczyły swoimi ciałami w drzwiach pod jej oknem, nagabując każdego, kto się napatoczył.

Grupy brudnych orków i niedźwiedzuków gapily się pożądliwie na upadłe drowki. Danifae widziała, że dziwki razem z ciałem sprzedały swoją godność. Ale nie ona. Wciąż służyła Pajęczej Królowej i miała zamiar dalej jej służyć, wbrew *Yor 'thae*.

Ulice pokrywała gruba warstwa śmieci i nieczystości. Słusznie nazwano je „ulicami smrodu”. Danifae cały Bra-eryn jawił się jednym wielkim rynsztokiem, z którego nie mogła uciec.

Ona nie pozwalała jej uciec.

Do okna dotarł odór opróżnionych przed chwilą nocników i Danifae zmarszczyła nos. Poczowała sztywne blizny szpeczące lewą stronę twarzy. Myśl o nich wywołała następną falę gniewu. Chciała, by jej wściekłość dotarła aż na Tier-Breche.

Już dawno zrezygnowała z ukrywania blizn. Stały się częścią niej, tak samo jak jej wiara, tak samo jak jej nienawiść.

Kiedy Lolth dokonała wyboru, jej zmartwychwstanie dobiegło końca i *Yor 'thae* powróciła triumfalnie do Menzoberranzan. Obiecała zapoczątkować nowy wiek dla Pajęczej Królowej i jej wyznawców.

Ale nie wszystkich wyznawców.

*Yor 'thae* ukarała Danifae za jej tupet, skazując ją na bezdomne życie, pozbawiając prawie wszystkiego, co było jej własnością, oszpecając ją, odmawiając jej godnej egzekucji.

Wydawało jej się, że nawet sama Lolth odwróciła się od niej plecami.

Bogini nie obdarzała już bylej branki czarami i tylko nawiedzała ją w snach. Danifae miała we śnie wizje ośmiu pajaków, ośmiu par szczęk, odnóży, oczu i trucizny.

Mimo to Danifae nie chciała się uznać za apostatkę. Wciąż czciła Lolth, choć w jednoosobowej kongregacji.

*Yor 'thae* śmiała się, kiedy za jej sprawą Danifae popadła w nędzę, myśląc, że życie w ubóstwie osłabi ją. Ale Danifae potrafiła przetrwać, tak jak wszystkie pająki, a ta próba była jedną z wielu. Przeszła poprzednie i przejdzie też tą. Wzmocni się. Nie może dać się złamać, nigdy.

Jeśli Danifae nauczyła się czegokolwiek czcząc Lolth, służąc jako niewolnica Halisstry Melarn, to tego, że życie samo

w sobie jest próbą. Zawsze. Silni karmią się słabymi, a słabi cierpią i umierają. Nic więcej nie trzeba było wiedzieć.

I choć Danifae nie była *Yor 'thae*, nie pozwalała sobie na słabość.

Schowała głowę, odwróciła się i rozejrzała po skromnie urządzonym poddaszu. Myślała o nim jak o pajęczynie, skromnej pajęczynie, takiej jak sieć czarnej wdowy, w której czai się dra pieźnik.

Pod ścianą leżał siennik z włókien grzybowych zarzucony brudnymi kocami. Codziennie nosiła pościel na wybrzeże Mrocznego Jeziora, aby ją wyprać - zwyczaj ten dawno nabrał znaczenia religijnego rytuału - ale zapach potu i seksu nie dawał się sprać. Spała na podłodze, nie chcąc odpoczywać w tym samym łóżku, które dzieliła z mężczyznami. Obok łóżka stała na stolku gliniana lampka oliwna, jej drobny płomyk migotał w stęchłym powietrzu. W kącie stało kamienne krzesło, na którym wisiało kilka ubrań, jedynych, jakie posiadała. Pod przeciwległą ścianą stał nocnik i miednica.

Danifae nie posiadała nic wartościowego oprócz swojej wiary, świętego symbolu i destylatu z czarnego korzenia, który trzymała w fiołce przy pasie. Napelniała fiołkę co czterdzieści dni, w ramach zapłaty oddając się staremu aptekarzowi, półdrowowi, który pracował na bazarze. Sama uodporniła się na truciznę dawno temu poprzez przyjmowanie jej stopniowo w minimalnych dawkach.

Upadła nisko, wiedziała o tym, o wiele niżej niż wtedy, kiedy była branką. Ale nie chciała wyrzec się swojej wiary. Większość uważała ją za szaloną dziwkę albo renegatkę karmiącą się złudzeniami. Ale nie była ani jednym, ani drugim. Była pajęczycą, którą poddawano próbie, ni mniej, ni więcej.

Zawiodła Lolth w Pajęczych Otchłaniach - dlatego nie została *Yor 'thae* - ale odpokutuje swoją porażkę i kiedyś zyska znów przychylność w oczach Pajęczej Królowej.

A tymczasem mordowała w imieniu Lolth. Każdy ósmy klient, który przychodził na jej poddasze, padał jej ofiarą. Wprawdzie Pajęcza Królowa nie odpowiadała na modlitwy Danifae, ale Danifae mimo to składała jej ofiary.

Pozbywała się trupów, sprzedając je staremu drowowi zajmującemu się uprawą grzybów. Ofiary Danifae kończyły jako nawóz na plantacjach grzybów w Donigarten.

Słabi stanowią karmę dla silnych, pomyślała i uśmiechnęła się poprzez blizny.

Odwróciła się, słysząc pukanie do drzwi.

- 'Fae - odezwał się zza drzwi belkotliwy głos. - Otwieraj.

Chcę zakosztować twojego ciała.

Danifae знаła ten głos. Heegan, drugi syn podupadłego kupca, który zawsze cuchnął piklowanymi grzybami i winem.

- Chwileczkę - zawołała Danifae i mężczyzna posłuchał.

Heegan był numerem osiem.

Danifae wyciągnęła z kieszeni fiołkę destylatu z czarnego korenia, umoczyła w nim palec i posmarowała nim wargi. Przywołała na twarz uśmiech i otworzyła.

W korytarzu stał Heegan. Białe włosy miał rozczochrane, a brudną koszulę częściowo rozpiętą. Danifae była od niego o głowę wyższa. Patrzyła w jego wodniste, matowe czerwone oczy i myślała: To ty jesteś słaby.

- Co za miłe spotkanie, 'Fae - powiedział, gapiąc się łąko na jej piersi okryte tylko przetartą koszulą. - Czyż nie sta nowimy uroczej pary?

Pomachał jej przed nosem brzęczącą sakiewką.

Danifae wyrwała mu trzos i wymierzyła policzek. Uśmiechnął się krwawiącymi wargami, chwycił ją w ramiona i wpił się ustami w jej usta. Jego oddech cuchnął, a podniecone stękanie było jeszcze bardziej obmierzłe. Zniosła to jednak, wiedząc, że z każdym pocałunkiem coraz bardziej zapiątuje się w jej sieć.

Pozwoliła mu poprowadzić się w stronę łóżka. Spróbował ją położyć, ale użyła siły, żeby go obrócić na wznak. Uśmiechnął się pijackim uśmiechem, bełkocząc jakieś idiotyczne komplementy.

Usiadła na nim okrakiem, a on oblizał wargi z podniecenia. Jego ręce błądziły po jej koszuli i pasie, zdradzając zamroczenie, za które odpowiadało nie tylko wino. Jego dłoń przesunęła się po fiołce, ale nawet się nie zatrzymała, tak bardzo chciał dotknąć jej skóry.

Uśmiechając się do niego, drażniła się z nim przez następne trzydzieści sekund, aż jego pożądliwość ustąpiła zdziwieniu, a potem niepokojowi.

- Co się ze mną dzieje? - zapytał bełkotliwie. - Co mi zrobiłaś, dziwko?

Spróbował zrzucić ją z siebie, ale narkotyk zaczął już działać. Siły opuściły go, był w stanie tylko drapać jej ramiona. Po chwili był już całkowicie sparaliżowany i mógł tylko patrzeć na nią z przerażeniem.

Wpatrując się w niego zimno, wciąż z uśmiechem na ustach, zaczęła inkantację. Wzywała Lolth, ofiarowując jej śmierć mężczyzny. Kiedy skończyła modlitwę, zacisnęła mu dłonie na szyi i udusiła go.

Skonał z wybałuszonymi oczyma i charkotem.

- Jesteś słaby - wyszeptała mu do ucha. - A ja jestem pajakiem.



## SIEDEMNASTY

Halisstra wkroczyła na Ścieżkę Pożeracza Dusz i poczuła, jak jej ciało rozciąga się w czasie i przestrzeni. Zaciśnęła zęby i zmusiła się, żeby iść naprzód. Treść żołądka podeszła jej do gardła, ale zwalczyła mdłości.

Wąska ścieżka biegła przed nią i za nią. Po obu stronach ograniczały ją strome kamienne ściany. Kostki nóg tonęły jej we mgle.

Mgła wrzasnęła na nią i zasyczała.

Ścisnęła w dłoni Księżycowe Ostrze. Nie była sama i wiedziała o tym.

- Wychodź - powiedziała cichym, groźnym głosem.

Przed nią mgła zawirowała i utworzyła ogromną zmiję, której cielsko ciągnęło się za nią w nieskończoność. Czarne, puste

ślepia wpatrywały się w duszę Halisstry, nie pozwalając jej się poruszyć. Żmija otworzyła pysk i zasyczała. Jej syk sprawił, że pod Halisstrą zmiękły nogi.

Głęboko w gardle żmii wiły się drobne, częściowo nadtra-wione istoty milionów zbłąkanych dusz. Ich przepełnione rozpaczą, przerażone wrzaski bombardowały Halisstrę. Walczyła z chęcią ucieczki. Widziała w nich własne przeznaczenie - ona też była zbłąkaną duszą — ale zamiast rozpacy czuła wściekłość.

- Zmierz się ze mną - powiedziała, nie wiedząc czy mówi do stwora, czy do kogoś innego.

Żmija znów syknęła i falując, ruszyła w jej stronę. Dusze wyły z bólu i przerażenia przy każdym jej ruchu.

Halisstra patrzyła na żarzące się dusze, zastanawiając się przez chwilę czy jest wśród nich Ryld. Uznała, że nie obchodzi jej to i też ruszyła naprzód.

Ryknęła, uniosła Księżycowe Ostrze i natarła na sunącą w jej stronę żmiję.

Miniaturowe golemy runęły falą w stronę Grompha. Trans-mutacja, która pozwalała mu walczyć, uniemożliwiała mu rzucanie zaklęć, które mogłyby je powstrzymać, a on nie chciał opuścić pryzmatycznej sfery na szczycie cielska golema.

Trzydzieści, czterdzieści mniejszych konstruktów zaczęło się wdrapywać na cielsko golema, żeby dopaść Grompha. Arcy-mag zaryczał i uniół topór.

Na plecach wylądował mu miniaturowy golem, potem następny, i oba wgrzyły mu się w ciało. Inne wspinały mu się po nogach, aby zasypać ciosami jego pierś. Magiczny pancerz siłowy chronił go przed ich ukąszeniami, ale nie wszystkimi, więc co chwila pojękiwał z bólu.

Chwycił jednego ze stworów za odnóże, rzucił go na tułów golema i rozrąbał toporem. Ciął następnego, jeszcze następnego, czekając, aż transmutacja przestanie działać, aby mógł się skupić na właściwym zadaniu - pryzmatycznej sferze.

Ku jego przerażeniu zanim doliczył do pięciu, miniaturowym goleom, które porąbał na mniejsze kawałki, wyrosło osiem odnóży i konstrukty znów się na niego rzuciły.

Zaklął i zasypał je gradem ciosów. Przy każdym uderzeniu mniejsze konstrukty rozpadały się na kawałki, z których każdy stawał się następnym, mniejszym golemem. Zabicie jednego oznaczało pojawienie się pięciu następnych.

Był otoczony klębiącą się masą konstruktów. Opadły go ze wszystkich stron, rój nieustraszonych, bezlitosnych zabójców. W końcu przestał rąbać golemy toporem i próbował spychać je albo zrzucić z odwłoka wielkiego golema. Ale było to wszystko, co mógł zrobić, i za chwilę był już nimi zupełnie pokryty, a były tak ciężkie, że ledwo mógł się ruszać.

Spróbował aktywować moc lewitacji broszy Baenre, ale ciężar pelzających po nim golemów był zbyt duży. Nie był w stanie oderwać się od ziemi.

Ich kły i szpony rozrywały zaklęcia ochronne i ciało. Arcy-mag krzyczał z wściekłości, bólu i frustracji. Jego pierścien usiłował leczyć rany zadawane przez pająki, ale było ich zbyt wiele. Miejsce każdego pająka, którego zerwał z siebie albo zrzucił z golema, zajmowały trzy następne. Strząsał je z rąk, odciągał z twarzy, ściągał z nóg. Ból był wszechobecny. Walcząc, ryczał. Gdyby nie regeneracyjna magia pierścienia, już by zginął.

Z gwałtownością ciosu sztyletem zaklęcie transformacyjne przestało działać.

Natychmiast odzyskał całą swoją wiedzę. Stracił siłę fizyczną i ugiął się pod ciężarem golemów. Jego umiejętności bojowe - znajomość zamachów, zwodów i pracy nóg - zatarły się w jego pamięci jak na wpółzapomniany sen. Umysł arcy-maga

wypełniła zwykła znajomość Splotu - koniecznych gestów, mikstur komponentów, tajemnego języka.

Gromph znów był sobą i cierpiał. Na ciele miał setki ran. Szaty miał przesiąkniętą krwią. W teorii znów potrafił czarować, ale ból był zbyt wielki.

Bez zastanowienia zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Zeskoczył z golema i przetoczył się po podłodze. Siła uderzenia zrzuciła z niego większość pajaków. Aktywował lewitacyjną moc broszy i uniósł się w powietrze.

Strząsnął z siebie pozostałe pająki i zawisł w powietrzu, dysząc, sapiąc i ociekając krwią.

Z dołu wpatrywał się w niego tysiąc oczu, szczękając maleńkimi szczękoczułkami i wymachując maleńkimi nogo-głaszczkami. Brosza pozwalała mu się poruszać tylko w pionie, więc wyjął pióro - komponent trudny do zdobycia w Podmroku - i wymówił słowa zaklęcia umożliwiającego latanie. Kiedy skończył, poszybował w prawo.

Chmara pajaków ruszyła za nim, nie spuszczać go z oczu. Do głowy przyszedł mu pewien pomysł...

Skwierczenie dobiegające zza pleców kazało mu się odwrócić. Zielone żyłki energii przecięły wyczarowaną przez niego ścianę mocy. Czarodzieje Dyrrow starali się ją rozproszyć, ale pierwsza próba okazała się nieskuteczna.

Gromph musiał działać. Poleciał dalej w prawo, odcinając chmurę golemów od ciała ich porąbanego rodzica. Wyjął z szaty magnetyt w kształcie palca, którego jeden koniec był pokryty żelaznymi opilkami.

Wisząc nad rojem golemów, wyskandował słowa potężnej transmutacji. Kiedy skończył, opilki przesunęły się z jednego końca magnetytu na drugi i w cylindrycznej przestrzeni od podstawki do sufitu obejmującej Grompha i pająki, dół stał się górą.

Gromph, wciąż pod wpływem zaklęcia latania, po prostu zmienił położenie, obrócił się i pozostał w tym samym miejscu.

Za to golemy poleciały w stronę sufitu, jak gdyby wypadły za krawędź urwiska. Gromph uchylał się przed nimi, kiedy go mijały. Kilka wczepiło się w niego, ale strząsnął je z siebie i one też poleciały w górę. Wszystkie uderzyły o sklepienie, ale zderzenie nie wyrządziło im większej krzywdy.

Gromph wymówił następne zaklęcie i ściana mocy oddzieliła od reszty świątyni przestrzeń, w której odwrócił grawitację. Golemy nie były w stanie wydostać się z obszaru działania czaru i spaść na posadzkę. Zostały odgradzone.

Gromph nie miał czasu na świętowanie zwycięstwa. Opadł w dół, opuścił obszar działania zaklęcia, obrócił się ponownie, wylądował na odwołku golema rodzica i popatrzył na pryzmatyczną sferę, na nią głównej osłony, która w niej ginęła. Mógł użyć jednego z potężniejszych zaklęć, jakie znał, zaklęcia rozłączenia magii, ale to oznaczało zanegowanie działania całej magii w świątyni, aktywację głównej osłony, uwolnienie golemów, likwidację ściany mocy i powrót do własnego ciała.

Nie, rozbroi sferę metodycznie, stosując specyficzne zaklęcia. Każdy z siedmiu kolorów sfery można było rozproszyć, rzucając na kulę odpowiednie zaklęcie w chwili, kiedy ów kolor właśnie się pokazał.

Gromph przebiegł w myślach zaklęcia, których potrzebował do wyeliminowania warstw sfery. Do niektórych z nich potrzebował materialnych komponentów. Sięgnął do kieszeni szat i wydobyl z nich potrzebne mu przedmioty: mały szklany stożek, magnetyt i szczyptę wysuszonych zarodników grzyba.

Wbił wzrok w mieniącą się kolorami pryzmatyczną sferę. Musiał wyeliminować je w ustalonej kolejności, od czerwieni do fioletu. Główne zabezpieczenie stanowiło potencjalną komplikację, ale Gromph nie miał czasu, żeby się tym martwić.

Przygotował zaklęcia.

Sfera zrobiła się czerwona. Gromph wyskandował dwuwiersz, przyłożył do ust szklany stożek i tchnął przezeń lodowatym

zimnem, które pokryło posadzkę lodem. Pryzmatyczna sfera zamarzała. Gromph postukał w nią palcem, czerwona warstwa skruszyła się i odpadła, ukazując warstwę pomarańczową.

Kolejny atak na ścianę mocy. Gniewne szczękanie chmary golemów nad głową. Gromph zignorował oba dźwięki.

Wypowiedział następną serię tajemnych słów i przywołał potężny podmuch wiatru. Magia zaklęcia oblepiła mu twarz włosami i zerwała ze sfery pomarańczową warstwę, która rozproszyła się w nicość. Ukazała się warstwa żółta.

Wziął do ręki magnetyt, zebrał z posadzki trochę kurzu i wypowiedział to samo zaklęcie, którego użył, aby unicestwić Gere-misa. Zaklęcie anihilowało żółtą warstwę, odsłaniając zieloną.

Gromph usłyszał głosy za oknem. Wrzask jakichś potężnych, drapieżnych istot.

Yasraena musiała sprowadzić vrocków, pomyślał, przypominając sobie demony stojące na murach.

Wziął w rękę zarodniki i wymówił słowa zaklęcia, które normalnie wybiłoby otwór w litej skale. Tym razem magia zrobiła maleńką dziurkę w zielonej warstwie, która gwałtownie się rozszerzyła, pochłaniając całą powłokę. Przed sobą miał niebieską warstwę.

Już prawie kończył.

Vrocki znów zaskrzeczały.

Wyszeptał prostą ewokację i wskazał sferę palcem, z którego wystrzelił snop magicznej energii. Uderzył w błękitną warstwę i pochłonał ją, ukazując warstwę barwy indygo.

Prawie skończył.

Za nim i nad nim kolejny atak obalił ścianę mocy. Deszcz iskier obwieścił jej upadek. Za oknem rozległ się zwycięski okrzyk. Gromph nie mógł przerwać rozbrajania sfery, aby wznieść kolejną barierę.

Patrząc na następną warstwę, zamknął oczy i wymówił słowa zaklęcia. Kiedy zadziało, świątynię zalało światło tak

jasne, jak blask słońca w Świecie Ponad. Oczy łzawiły mu mimo zaciśniętych powiek.

Zza okna dobiegły go okrzyki przerażenia. Żołnierze domu Agrach Dyrre nie przepadali za światłem, tak samo jak on.

Czary sprowadzające ciemność szybko zagłuszyły blask, ale zaklęcie Grompha spełniło swoje zadanie. Światło wypaliło przedostatnią warstwę. Została tylko jedna - fioletowa.

Gromph wymówił słowa zaklęcia, którego ostatnio używał bardzo często, zaklęcia rozpraszającego magię. Kiedy wypowiedział ostatnią sylabę, fioletowa warstwa znikła.

Wstrzymał oddech.

Przed nim, osłonięte tylko splotami głównego zabezpieczenia, leżało filakterium liczdrowa. Jarzyło się tak jasno w jego dostrojonych do magii oczach, że musiał zamrugać, aby powstrzymać łzy.

Filakterium wyglądało zupełnie jak skrzący się beljurył, twarży zielony klejnot wielkości pięści. Jego powierzchnię pokrywały drobne runy.

Za plecami arcymaga przez okna włali się do środka vrocko-wie. Gromph rzucił okiem przez ramię. Demony przyjęły swoją naturalną postać - postać wielkich, umięśnionych, dwuno-gich sępów. Ich stopy kończyły się paskudnymi szponami, a z powykręcanych twarzy sterczały ogromne, ostre dzioby. Łopot ich ogromnych skrzydeł niósł smród padliny.

- Larikal jest tutaj! - krzyknęły przez okno i Gromph usłyszał z zewnątrz okrzyki podniecenia.

W oknie ukazała się kwitująca Yasraena, która stanęła na parapecie. Przez chwilę spoglądała z konsternacją na zrujnowaną świątynię i Grompha - arcymag wciąż krył się w ciele jej córki - ale zmieszanie na jej twarzy szybko ustąpiło wściekłości.

Odgadła, kim jest.

- Arcymagu! - wrzasnęła.

Gromph posłał jej uśmiech i wzniosł topór.

Vrocki pomknęły ku niemu z szybkością strzał wypuszczonych z łuku, skrzecząc i rozdziawiając dzioby. Yasraena rozpoczęła zakłęcia.

- Żegnaj, Dyrze — powiedział arcymag i rąbnął toporem w beljuryl.

Klejnot rozpadł się na niezliczone skrzące się odłamki, wypuszczając chmurę paskudnego dymu. W głębi umysłu Grompha rozległo się odległe wycie, a topór zadrżał mu w rękach. Dusza liczdrowa wniknęła w żeleźce. Rozżarzyła się, zawibrowała i wypchnęła inne dusze uwięzione uprzednio w toporze. Kilkadziesiąt duchów wypadło z ostrza, zakrzyknęło radośnie, ciesząc się odzyskaną wolnością i zniknęło w eterze. Od tej pory w toporze miał mieszkać tylko liczdrow.

- Nie! - wrzasnęła Yasraena, myśląc słowa zakłęcia.

Pasma głównego zabezpieczenia zapłonęło na pomarańczowo.

Zanim Gromph pojął, co oznacza ta zmiana, zanim odwrócił się w stronę mknących ku niemu vrocków, całą świątynią, całym domem Agrach Dyrz zakolysał potężny wstrząs. Jego siła zrzuciła Grompha ze szczątków golema i vrocki przemknęły mu nad głową.

Wypowiadając słowa najszybciej jak potrafił, Gromph wy-skandał wał jedno z najpotężniejszych zakłęb, jakie znał.

Czas zatrzymał się dla wszystkich opróbz niego.

Zapadła cisza. Ruch ustał.

Vrocki zawisły w powietrzu z rozdziawionymi paszczami. Yasraena stała w oknie, zastygła w połowie zakłęcia.

Gromph przyjrzał się żyłe głównego zabezpieczenia. Bąbel mocy zniekształcał ją w miejscu, gdzie przechodziła przez wrota świątyni.

Ustalenie, co się stało, zajęło Gromphowi tylko chwilę. Rzucił kilka czarób wieszczących, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. Kiedy się potwierdziły, prawie wybuchnął śmiechem.



Zabezpieczenia liczdrowa nie miały końca. I wyglądało na to, że jednak uda mu się zemścić.

Główne zabezpieczenie reaktywowało osłony unieszkodliwione przez Grompha nie po to, by uniemożliwić następnemu intruzowi dostanie się do kompleksu. Stanowiły one źródło mocy służące prawdziwemu celowi liczą. Zniszczenie filakterium wyzwoliło ostatnie zaklęcie liczdrowa, cykliczną reakcję zasilaną reaktywowanymi zabezpieczeniami.

Moc pomknie wzdłuż żyły głównego zabezpieczenia, absorbując energię wszystkich osłon na swojej drodze. Kiedy dotrze do początku sieci zaklęć, odbije się i wróci do miejsca, z którego wyszła - miejsca ukrycia filakterium, świątyni - niosąc całą nagromadzoną moc pochłoniętych zabezpieczeń.

Eksplozja będzie niesamowita. Wymiarowa blokada uniemożliwiła magiczne podróże, a pieszo nie zdąży się stąd wydostać.

Liczdrow dopiłnował, żeby nie odejść samotnie w niebyt.

- Dobra robota - powiedział Gromph do topora, choć wiedział, że liczdrow go nie słyszy.

Arcymag uśmiechnął się, rozbawiony symetrią ich losów. Zniszczył ciało liczdrowa, łamiąc laskę mocy i powodując eksplozję. Liczdrow unicestwił ciało Grompha, niszcząc i wysadzając w powietrze cały dom Agrach Dyr.

Nie był w stanie temu zapobiec. Zaklęcie powstrzymujące upływ czasu zaraz przestanie działać. Uznał, że woli zginąć we własnym ciele niż w ciele jednej z kapłanek. Postanowił też, że zginie w dobrym humorze. Pojedynek na zaklęcia i fortele, posunięcia i kontrposunięcia, był najlepszą partią savy, jaką kiedykolwiek rozegrał.

Wypowiedział słowa prostej transmutacji i przetransformował ciało Larikal tak, by bardziej przypominało jego własne ciało - niższe, szczuplejsze, o krótszych włosach i ostrzejszych rysach. Podobieństwo nie było oszałamiające, ale powinno spełnić swoje zadanie.

Choć zaklęcie zatrzymania czasu wciąż działało, wyczuł, że główne zabezpieczenie zbiera moc.

Siłą woli kazał swej duszy powrócić do okularu, zmuszając Larikal, aby powróciła do własnego ciała. Kiedy znalazł się wewnątrz klejnotu, szybko powrócił do własnego pomniejszonego, niewidzialnego ciała. Wrócił do własnej postaci na zewnątrz świątyni, mały i niewidoczny, czekając na śmierć.

Yasraena zamrugała ze zdziwieniem, ale nie przerwała inkanta-cji. Przez chwilę Gromph Baenre wydawał się spowity iluzją nadającą mu wygląd jej córki Larikal, ale iluzja przestała działać i ar-cymag Menzoberranzan stał przed nią w swojej prawdziwej postaci.

Vrocki rzuciły się na niego, dziobiąc i szarpiąc pazurami. Ar-cymag sprawiał wrażenie zdezorientowanego - sięgnął do pasa po nieistniejącą broń i oganiał się przed nimi pięściami zamiast zaklęciami. Jego krzyki przypominały wrzaski kobiety. Odnalazł topór, którym zniszczył filakterium liczdrowa, i zamachnął się nim niezdarnie na krążące nad nim vrocki.

Yasraena kontynuowała zaklęcie. Unicestwi ar-cymaga. Bezdeny ocean wzbierającej wściekłości wlewał się w czar, zasilając go wściekłość na Grompha za jego oszustwo, wściekłość na liczdrowa za jego głupie, krótkowzroczne knowania, które doprowadziły do upadku jej domu.

Kolejny wstrząs prawie zrzucił ją z okna, ale skandowała dalej. Z kopuły wieńczącej świątynię posypały się odłamki kamienia. Szkło pękało. Cały dom Agrach Dyrz trząsł się.

Wtedy zrozumiała.

Z pewnością, od której ścisnął jej się żołądek, pojęła, że to koniec domu Agrach Dyrz. Arcymag zniszczył filakterium, a głupi liczdrow aktywował w odwecie magię, która obróci w gruzy całą twierdzę.

Nieważne, pomyślała. Zabije arcymaga. Matka opiekunka Yasraena będzie mieć przed śmiercią choć tę satysfakcję.

Słowa wylewały się z jej ust, moc potężniała z każdą sylabą. Vrocki wciąż atakowały Gompha, opadając go ze wszystkich stron. Całkiem nieźle radził sobie z toporem. Odpędził skrzydlate demony i spojrział w górę na Yasraenę. Jego oczy rozszerzyły się.

Krzyknął coś, ale wstrząsy i jej własny donośny głos zagłuszyły jego słowa.

Dokończyła zaklęcie, wycelowała świętym symbolem w arcymaga i sprawiła, że energia czaru sięgnęła w głąb jego ciała. Wiedziała, że chronią go osłony, ale wiedziała też, że tym razem zawiodą. Włożyła w to zaklęcie całą swoją moc. Nikt nie mógł mu się oprzeć.

Wciąż wpatrując się w nią, arcymag zaczął się trząść. Całe jego ciało dygotało tak jak świątynia i reszta fortecy. Z jego ust wydobywały się słowa, ale Yasraena nie rozumiała ich. Vrocki cofnęły się, nie rozumiejąc tego, co zaszło. Yasraena dotknęła broszy z insygniami domu i za pomocą magii lewitacyjnej opadła na trzęsącą się posadzkę. Chciała zobaczyć z bliska śmierć Grompha.

- Jesteś tylko mężczyzną, arcymagu - powiedziała. - A ja będę patrzeć, jak zdychasz, zanim zabierze mnie Lolth.

Magia zapuściła korzenie. Gromph usiłował coś powiedzieć, ale nie panował nad własnym ciałem. Zadławił się, ugryzł w skołowaciały język, splunął śliną i krwią. Z jego ust wydobył się straszliwy charkot, gdy jego ciało zaczęło się kurczyć.

Przez chwilę Yasraena miała wrażenie, że rysy Grompha wykrzywiają się, ukazując...

- Larikal? - Yasraena rzuciła się do przodu i chwyciła implodujące ciało arcymaga w dłonie. - Larikal!

Widziała, że arcymag - nie, jej córka - usiłuje kiwnąć głową poprzez spazmy. Dygotała coraz silniej.

Yasraena nie mogła przerwać działania zaklęcia. Było za późno.

*Matko*, zaskrzeczała Larikal przez telepatyczny amulet.

Zanim Yasraena zdążyła odpowiedzieć, mentalny głos jej córki przeszedł we wrzask, a potem niezrozumiały, udreżony bełkot. Z wilgotnym chrupnięciem ciało Larikal zwinęło się w sobie, raz, potem następny i jeszcze kolejny, aż w końcu u stóp Larikal leżała już tylko ciasno upakowana bryła mięsa.

Yasraena wpatrywała się w szczątki córki, zaciskając pięści z wściekłości. Arcymag znów wywiódł ją w pole.

Nad jej głową kopuła świątyni zaczęła pękać. Podniosła głowę i spojrziała w oczy Lolth.

Z trudem łapiąc oddech, obryzgana krwią Halisstra stanęła na podeście przed drzwiami przybytku Lolth. Po jej lewej i prawej leżały trupy Danifae i Quenthel. Halisstra zabiła je obie, pocięła je na sztuki Księżycowym Ostrzem. Ogarnięta wściekłością zostawiła z Danifae niewiele więcej niż kupkę krwawego, bezkształtnego mięsa.

Zatrzymała je obie, zanim weszły do świątyni. Żadna z nich nie zostanie *Yor 'thae* Lolth.

Odpięła tarczę i rzuciła ją na kamienny podest. Upadła z głośnym brzękiem, który zadzwonił w ciszy. Jeśli nie liczyć syku fioletowych płomieni na Równinie Ognia Dusz w dole za jej plecami, całe Pajęczce Otchłanie wydawały się wstrzymywać oddech. Nawet wiatr Lolth umilkł.

Podniosła oczy na ogromną, podobną do piramidy budowlę przed sobą - przybytek Lolth zbudowany z czarnego metalu, po którym biegały pająki. U jego podstawy otwarte wrota zapraszały ją, żeby weszła. Ze środka sączyło się fioletowe światło.

Halisstra dostrzegła w tym blasku pajęczce sylwetki - wielkie, drapieżne postacie.

Teraz zrobi to, po co tu przyszła.

Zawahała się.

Po co tu przyszła?

Potrząsnęła głową - to było jakieś chwilowe zaćmienie umysłu - i przestąpiła próg.

Pochyłe ściany wnętrza świątyni były pokryte pajęczynami, które razem tworzyły wzór przywodzący na myśl coś niepokojącego, acz niedostrzegalnego. Po sieciach biegały pająki wszelkich kształtów i rozmiarów.

Budynek podpierały kolumny, smukłe słupy ze stwardniałych, poskręcanych pajęczych nici. Nie widziała źródła fioletowego blasku.

W przeciwnym końcu zasnutej pajęczynami świątyni, na podeście z wypolerowanego, czarnego granitu, stało osiem ciał Pajęczej Królowej.

Widząc swą byłą boginię w cielesnej postaci, Halisstra straciła oddech.

Lolth przybrała swoją pajęczą postać, objawiając się jako osiem gigantycznych wdów, pełnych wdzięku i zabójczych. Jedna bogini, osiem aspektów.

Siedem wdów łąziło po sobie nawzajem, sycząc na siebie, jak gdyby walczyły o pozycję. Ale wszystkie stały za ósmą, największą, która siedziała spokojnie w swojej sieci. Oczy ósmej wdowy przyszpiliły Halisstrę do ziemi.

Z jednej i drugiej strony podestu stały yochlole. Oba falowały jak stopiony wosk, wymachując sznurowatymi ramionami.

Wzdłuż nawy łączącej miejsce, w którym stała Halisstra, z miejscem, gdzie siedziała Lolth, stały w szeregu stwory, jakich Halisstra nigdy wcześniej nie widziała - nagie drowki, którym z piersi wyrastało osiem pajęczych odnóży. Ich wysokie, pełne wdzięku postacie nachylały się ku niej. Halisstra czuła na

sobie ich wzrok i ciężar ich oczekiwania. Zachwycała się wdziękiem, z jakim się poruszały.

- Nie jestem nią! - krzyknęła, a pajęczyny pochłonęły jej głos. Ósmy pająk poruszył się.

Przez szeregi stworów zgromadzonych w świątyni przebiegł szmer.

- Ale mogłabyś być — odparły jednym głosem drowki-pajaki.

- Ósma oczekuje na swą *Yor 'thae*.

-Nie!-odparła.

Zasyczały i obnażyły zęby, ukazując pajęcze kły.

Osiem ciał Lolth zaszczekało jak jedno i wdowy umilkły.

Przechyliły piękne głowy, słuchając swej bogini.

Halisstra potrząsnęła Księżycowym Ostrzem, wzięła głęboki oddech i zrobiła następny krok w głąb świątyni.

Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem. Zatrzymała się na chwilę, niepewna, schwytna w pułapkę, sama. Popatrzyła w dół nawy na Lolth i jakoś odnalazła w sobie resztki odwagi.

- Zmierzę się z tobą za to, co mi zrobiłaś - powiedziała.

Wdowy poruszyły się. Yochlole zamachały sznurowatymi ramionami.

*Sama to sobie zrobiłaś*, odpowiedziała Lolth w jej umyśle.

Głos bogini - głosy, bo Halisstra usłyszała wyraźnie osiem różnych intonacji - prawie obalił ją na kolana.

Ściskając Księżycowe Ostrze w spoconych dłoniach tak mocno, że aż zbielały jej knykcie, zrobiła jeszcze jeden krok, a potem następny. Klinga mieniła się w jej rękach, jej karmazynowy płomień kontrpunktował fioletowy blask zalegający świątynię. Halisstra nie służyła już Mrocznej Pannie, ale miecz Eilistraee wciąż pragnął wykonać zadanie, do którego został stworzony.

Dziwne drowko-pajęczycyce przyglądały się Halisstrze, gdy je mijiała, ale nie starały się jej zatrzymać. Przeszępowały niespokojnie z nogi na nogę przy każdym kroku, jaki robiła w stronę aspektów Lolth.

Halisstra dygotała, nogi miała jak z ołowiu, ale szła naprzód.

Siedem par szczękoczułek poruszało się. Ósme ciało Lolth stało nieruchomo, czekając. Halisstra stanęła przed podestem, przed aspektami Lolth i spojrzała w obojętne oczy ósmego pająka.

Zobaczyła w tych czarnych ślepiach swoje odbicie, ale nie dbała o to, jak wygląda. Serce waliło jej w piersi tak mocno, że bała się, iż zaraz ją rozsadzi.

Pocąc się, zgrzytając zębami, uniosła wysoko Księżycowe Ostrze.

W głowie usłyszała głosy Lolth, ciche, rozsądne i przekonujące.

*Po co tu przyszłaś, córko?* zapytała Lolth.

*Nie jestem twoją córką,* odparła Halisstra. *I przyszedłam cię zabić.*

Mocniej ścisnęła rękojeść Księżycowego Ostrza. Jego blask odbił się w oczach Lolth przypominających Halisstrze satelity na niebie Pajęczych Otchłani, które przyglądały jej się z wysoka.

Yochlole po bokach Lolth przysunęły się w stronę Halisstry, ale postacie Lolth powstrzymały je machnięciem nogogłaszczek.

*Nie zdołałabyś, nawet gdybyś chciała,* rzekła Lolth. *Ale widzę twoje serce, córko, i wiem, że wcale tego nie chcesz.*

Halisstra zawahała się z Księżycowym Ostrzem wzniesionym do ciosu.

*To nie mnie pragniesz zabić, dziecko,* ciągnęła Lolth. *Jestem tym, czym jestem i zawsze o tym wiedziałaś. Zabijam, pożeram i w ten sposób staję się silniejsza. Dlaczego twoja własna natura tak cię niepokoi? Kult mojej córki nie służył ci. Dlaczego boisz się przyznać do tego, czego pragniesz?*

Księżycowe Ostrze zadrżało w dłoniach Halisstry. W jej oczach wezbrały łzy. Wtedy to sobie uświadomiła.

To nie Lolth chciała zabić. Chciała zabić wątpliwości, sprzeczne uczucia targające jej duszą, które zrodziły słabość. Wiedziała, że w głębi jej jestestwa ziele dziura przepelniona

winą i strachem. Wzniosła świątynię Eilistraee w Pajęczych Otchłaniach, zabijała niezliczone pająki, święte stworzenia Lolth, walczyła klingą należącą do Mrocznej Panny. Ostateczne odrzucenie Eilistraee nie było wystarczającą pokutą.

Kochała Lolth, tęskniła za Pajęczą Królową, a przynajmniej władzą, która za nią szła. Właśnie to chciała zabić - tęsknotę - ale nie mogła, nie bez zabicia siebie i tego, czym była.

*Pogódź się z tym, kim jesteś, dziecko,* powiedziała Lolth chórem siedmiu głosów.

Ale to ósma para szczęk rozwarła się szeroko.



# OSIEMNASTY

Miliardy złożonych oczu wpatrywały się w plecy Intracisa. Czuł przez szaty ogromny ciężar ich spojrzeń. Klekotanie niezliczonych żuwaczek dzwoniło mu w uszach.

Wyczuwał nerwowość swoich żołnierzy. Demony poruszały się niespokojnie, spoglądając przez ramię. Dusze czy nie, nie spodziewali się tego.

*Nie ruszajcie się z zajętych pozycji,* przesłał do dowodzących regimentem nycalothów.

Stał odwrócony plecami do Nieskończonej Pajęczyny i ruchoмого miasta Lolth. Intracis nie miał ochoty spojrzeć znów na bezdenną otchłań, chaotyczne pasma sieci niemające końca, groteskowe falowanie i metaliczne jęki metropolii Lolth.

I oczy.

Miliony milionów pajaków i innych pajęczaków - w tym tysiące otchłannych wdów i setki yochloli - tłoczyły się na odległym końcu równiny, patrząc ku góróm, ku Ścieżce Pożeracza Dusz, ku Intracisowi i jego regimentowi. Intracis jeszcze nigdy nie widział tak wielkiej hordy, nawet podczas Wojen Krwi. Wyglądało to tak, jak gdyby wszystkie arachnidy z Pajęczych Otchłani zebrały się i ustawiły w szeregu przed miastem swojej bogini.

Dopiero po kilku pełnych napięcia chwilach Intracis upewnił się, że zgraja nie zaatakuje. Najwyraźniej zgromadziła się nie po to, żeby walczyć, ale by móc dać świadectwo.

Mimo to Intracis odczuwał niepokój. Oznaczało to, że Lolth przygotowała się na jego przybycie, a przynajmniej je przewidywała. Pocieszył się myślą, że Lolth jest demonem, ucieleśnieniem chaosu, i że nie zaakceptuje - nie może zaakceptować, z samej swojej natury - z góry ustalonego wyniku. O wszystkim rozstrzygnie przypadek.

Być może atak Intracisa pomoże wyłonić *Yor 'thae*. A może uda mu się zabić wszystkie trzy kapłanki i sama Lolth zginie. Może, może, może.

Rozważał zerwanie obietnicy danej Vhaeraunowi i powrót do Krwawej Rozpadliny, ale wiedział, że Pan w Masce rychło się zemści. Być może właśnie go obserwował.

Intracis pogodził się z koniecznością odegrania swojej roli. Jeśli Lolth pozwoli mu zaatakować kapłanki, zaatakuje je. Jeśli mu na to nie pozwoli, nie zrobi tego.

Oczywiście nie zdradzał swoich wątpliwości żołnierzom. Im przesłał: *Gdyby mieli zaatakować, już dawno by to zrobili. Pozostańcie w gotowości. Już niedługo.*

Pogłaskał Rzeź i Mord, które zamruczały cicho. One też wydawały się niespokojne. Rozejrzał się dookoła i zadał sobie pytanie, jakim cudem dał się wmanewrować w spory między bóstwami.

Wokół niego rozpościerała się Równina Ognia Dusz, splekany, poprzerwany rozpadlinami płaskowyż pomiędzy górami

a Nieskończoną Pajęczyną. Z otwartych wyrw w skale strzelały w niebo pióropusze magicznego ognia i kwasu. Teren spowijała rzadka mgiełka zielonego gazu, przezrzysta, ale na tyle gęsta, by ultroloth miał wrażenie, że powietrze drga i faluje.

Przed nim równina kończyła się górami. Za nim... po prostu się urywała, jak gdyby została wymazana gumką. W miejscu, gdzie się urywała, ziała bezdenne otchłań, czarna, pusta dziura w rzeczywistości, która nie miała końca. Otchłań spinały nici Nieskończonej Pajęczyny Lolth.

Inthracis nie odwrócił się, ale wyobraził ją sobie: pasma jedwabiu, przeważnie o średnicy pięćdziesięciu albo więcej kroków, ciągnące się w nieskończoność.

Pośród pasm usadowiło się miasto Lolth, architektonicznie chaotyczna metropolia przypominająca ogromnego pajaka o równie ogromnych odnóżach, który pelzł po jeszcze większej pajęczynie. Przesuwał się po sieci niczym lodowiec, wprawiając w drżenie nawet najgrubsze pasma.

Miasto stanowiło gigantyczny zlepek metalu i pajęczych nici, jedna opleciona pajęczyną budowla wyrastała tu na drugiej, bez żadnego ładu i składu. Tylko położenie piramidalnej świątyni Lolth miało sens - wieńczyła miasto, żarząc się jak latarnia fioletowym blaskiem. Przeobrażone dusze chodziły po ulicach miasta - pasmach i niciach - jak przekłete owady po ulu. Migoczące duchy tych, którzy jeszcze nie przybrali swej wiekuiwej postaci, przemykały po metropolii niczym sfrustrowane świetliki.

Po pasmach Nieskończonej Pajęczyny otaczającej miasto biegały miliardy pajaków. Niektóre mieszkały w jamach i tunelach wydrążonych w niciach. Inne śmigały po ich powierzchni. I wszystkie pożerały się nawzajem. Tylko najsilniejsze przeżywały dłużej.

Inthracis odepchnął od siebie myśli o mieście i skupił się na czekającym go zadaniu.

Przed nim wznosiły się gigantyczne poszarpane skalne szczyty, których wierzchołki dotykały nieba. Strome zbocza

były podziurawione rozpadlinami i jamami, z których wychodziły i w których chowały się kolejne miliony pająków.

Ścieżka Pożeracza Dusz, niczym czarne kamienne usta, otwierała się w stromym zboczu najwyższej góry trzy rzuty włócznią nad ziemią. U jej wylotu znajdował się występ skalny, skąd tylko jedna kręta, zarzucona kamieniami ścieżka — właściwie rampa - prowadziła stromizną w dół.

Z tunelu wypadały dusze. Równy sznur żarzących się duchów wylatywał z otworu i sunął w powietrzu ku miastu Lolth. Tylko nieliczne docierały tam bez szwanku.

Z rozpadlin na równinie wyrastały ściany magicznej energii, otaczając przelatujące nad nimi dusze. Wszędzie na niebie płonęły duchy, tak licznie, że wyglądały jak iskry sypiące się znad trzaskającego ogniska. Schwymane duchy wiły się przez pewien czas, od kilku uderzeń serca do dwustu, a potem płomienie uwalniały je i widma leciały już prosto do miasta Lolth. Inthracis przypuszczał, że płomienie miały jakąś moc oczyszczającą.

Swoim sierżantom przesłał: *Ustawcie oddziały w szyku. Kiedy kapłanki wyłonią się ze Ścieżki Pożeracza Dusz, zasypimy je zaklęciami. Nie będą miały żadnej osłony. To powinno zmusić je do zejścia w dół, gdzie je dobijemy.*

Jeśli kapłanki przeżyją pierwszą salwę zaklęć, będą musiały zejść albo sfrunąć wąską ścieżką. Inthracis i jego żołnierze będą je ostrzeliwać w drodze na dół i czekać na nie, jeśli dotrą na Równinę Ognia Dusz.

Nycalothy latały nad oddziałami mezzolothów wydając rozkazy i te ostatnie ustawiały się w szyku. Regiment utworzył półksiężyc u podstawy rampy opadającej od wylotu Ścieżki Pożeracza Dusz. Nabijane kolcami czubki giewii błyszcząły magią. Dowódcy nadal okrążali oddziały, obserwując wylot ścieżki. Każdy dzierżył potężny magiczny topór.

Inthracis stał na tyłach swoich sił z różdżkami przy pasie i ca-nolothami u boku.

Zważywszy na widownię, jaka się za nim zebrała, Inthracis zakładał, że kapłanki wkrótce się pojawią. Rzucił na siebie kilka obronnych zaklęć i dostroił wzrok tak, aby widzieć magię, niewidzialne istoty, a nawet formy eteryczne. Nic na zboczu góry nie mogło umknąć jego oczom.

Wkrótce Ścieżka Pożeracza Dusz wypłyje kapłanki Lolth. A kiedy tak się stanie, Inthracis będzie gotowy. Miał zamiar zapewnić swojej widowni wspaniałe przedstawienie.

Pharaun odzyskał przytomność wśród skał, które, jak stwierdził, musiały znajdować się po drugiej stronie Ścieżki Pożeracza Dusz. Za nim ział czernią wylot tunelu. Wypadające z niego dusze przelatowały nad magiem. Pomyślał o Pożeraczu, o duszach, które nigdy nie opuszczają ścieżki, i zadygotał.

Po połknięciu przez stwora nie czuł nic więcej, nic więcej nie widział. W ogóle nie przypominał sobie, żeby przeszedł na drugą stronę. Chwile albo godziny umknęły mu bezpowrotnie. Pamiętał szepczące głosy, dobiegające z oddali krzyki, przeraźliwy ból, ale wydarzenia te pamiętał tak niejasno, że równie dobrze mogły się przytrafić komuś innemu.

Ty nie zostaniesz poddany próbie, powiedziała Quenthel. Od ciebie Pożeracz pobierze tylko dziesięcinę.

Dziesięcinę.

Rzeczywiście czuł się dziwnie nadwątlony w sposób, którego nie potrafił nazwać. Spróbował wymyślić naprędce jakąś dowcipną uwagę, ale nic nie przyszło mu do głowy. Może właśnie to świadczyło o nadwątleniu jego intelektu.

Okiem wyobraźni ujrzał przepastną paszczę Pożeracza, jej podstępne szepty. Zachodził w głowę, czego doświadczyła Quenthel.

Leżał na kamieniach po drugiej stronie gór Lolth, patrząc w szare, pochmurne niebo. Nie widział słońca, tylko blade światło

oświetlające tę krainę. Czuł się tak, jak gdyby przebył góry, aby znaleźć się w innym świecie, na innym planie. Wiedział, że miejsce, w którym teraz leży, łączy z krainą, którą zostawił za sobą, tylko to, iż Lolth rządzi oboma i że łączy je Ścieżka Pożeracza Dusz.

Przyłożył dłoń do skroni i odkrył, że pełzają po nim małe pajęczki. Usłyszał skwierczenie, jakie wydaje piekące się mięso. Nie był w stanie ustalić źródła dźwięku. Nad głową przeleciała mu dusza, a potem następna.

Odwrócił głowę i zobaczył, że po jego prawej ręce, z zamkniętymi oczyma, leży Quenthel. Jej twarz wydawała się ściągnięta. W dłoni trzymała swój święty symbol. Jej ciało wróciło do normalnych rozmiarów.

Przełknął ślinę, ale gardło i tak miał zaschnięte. Zrzucając z siebie pająki, usiadł i...

Po lewej leżeli nieprzytomni Jeggred i Danifae. Wpatrywał się w nich przez chwilę, zanim dotarło do niego, że...

Jak tu trafili, jakim cudem już tu byli? Musieli wkroczyć na ścieżkę dużo później niż on i Quenthel.

Przez chwilę rozważał zabicie po cichu Jeggreda, ale zwalczył ten impuls. Quenthel pozwoliła draeglothowi żyć nawet po tym, jak ją zaatakował. Pharaun nie śmiał działać w tak arogancki sposób.

Marszcząc brwi z irytacją, wyciągnął rękę i dotknął Quenthel.

- Mistrzyni - syknął i potrząsnął nią.

Zmarszczyła brwi, wymamrotała coś niezrozumiale, ale nie otworzyła oczu.

Jeggred wydał z siebie pomruk. Bojowe łapy draeglotha zacisnęły się w pięści. Pharaun zastanawiał się przez chwilę, co takiego mógł widzieć Jeggred podczas podróży Ścieżką Pożeracza Dusz, ale zaraz uznał, że takich rzeczy lepiej nie wiedzieć.

Podniósł się z ziemi i stanął na drżących nogach.

Wszędzie wokół niego eksplodowały płomienie, zalewając skalną półkę światłem i zarem. Magiczne osłony ochroniły maga przed poważniejszymi obrażeniami, ale wybuch pozbawił go oddechu, osmalił odsłoniętą skórę i obalił go na ziemię.

Usiadł, mrugając, popatrzył na Quenthel i stwierdził, że ona też wyszła z wybuchu kuli ognistej w zasadzie bez szwanku, częściowo dlatego, że leżała na ziemi. Niestety, Danifae i Jeg-gred też wyglądali na okopconych, ale żywych.

Występem zakołysała kolejna eksplozja, a potem następna. Żar topił skałę. Od dymu łzawiły mu oczy. Spalone pająki spadały z góry jak czarny śnieg.

Co tu się dzieje, na Otchłań? pomyślał.

Powierzchnię półki rozszczępił piorun. Skalne odłamki powbiły się w twarz maga, dłonie Quenthel i ciało Jeggreda.

Żmije Quenthel zasyczały, budząc się do życia, a z nimi ich pani.

Z lewej strony maga Jeggred też zupełnie oprzytomniał i wyjmował rękoma kamienne odpryski, które uwięzły mu w ciele. Danifae oparła się na jednym ramieniu i rozejrzała wokół, oszłomiona.

Przez dłuższą chwilę cała czwórka patrzyła na siebie.

Kolejna eksplozja zatrzęsa zboczem góry.

- Co się dzieje? - warknął Jeggred, podnosząc się z ziemi.

Danifae wstała.

- Wygląda na to, że wszyscy przeszliśmy próbę Pożeracza Dusz, mistrzyni Quenthel.

Żmije Quenthel syknęły na byłą branekę.

- Na to wygląda - przyznała Quenthel.

Pharaun zaczął się czołgać w stronę krawędzi występu, ale zanim do niej dotarł, spowiła ją nieprzenikniona chmura białego oparu przesycona żyłkami rozgrzanych do czerwoności węgielków. Pharaun rozpoznał zakłęcie - była to chmura zapalająca. Węgielki zatopiły się w skórze maga, przepalając zakłęcia ochronne.

Pharaun zarzucił sobie na głowę kaptur magicznego *piwa-fwi*. Ale węgielki odnalazły jego dłonie i czarodziej zgrzytnął zębami z bólu.

Jego nozdrza wypełnił swąd palącego się mięsa i włosów.

Jeggred zaryczał z bólu. Kapłanki stękały.

Przez ognistą mgłę Pharaun nie widział nic, co znajdowało się dalej niż na wyciągnięcie ręki.

Kolejny grom rozerwał mgłę, zatrzęsł występem i Pharaun wyrzwał w stok góry. Węgielki zawirowały, szukając odsłoniętych części ciała.

- Rozprosz obłok, pani! - krzyknął Pharaun, nie dbając o to, która kapłanka go wysłucha. - Ja nas osłonię!

Z lewej i prawej słyszał, że Danifae i Quenthel skandują zaklęcia. Ich głosy zlały się w jeden, który wydawał się dziwnie bezcielesny w płomiennej chmurze. Jeggred wydał niski, gniewny pomruk zranionego zwierzęcia.

Pharaun zaczekał, aż kapłanki wyrecytują swoje zaklęcia do połowy, zanim zaczął własne. Wyjął z *piwafwi* szczyptę diamentowego pyłu i pospiesznie wypowiedział słowa oraz wykonał gesty czaru, który wzniesie wokół niech sferę magicznej siły. Nie był pewny, gdzie dokładnie stoi Quenthel - eksplozje rzucały nimi po całym występie - więc dobrał słowa tak, żeby sfera była jak największa.

Kapłanki dokończyły jednocześnie swoje zaklęcia i jedno albo oba kontrzaklęcia rozproszyły magiczny obłok. W jednej chwili chmura wisiała nad nimi, w następnej już jej nie było.

Kapłanki stały po przeciwnych stronach występu, dzierżąc w wyciągniętych rękach swoje święte symbole. Jeggred pochylał się nad Danifae, obejmując ją troskliwie ramionami. Jego grzywa i skóra wciąż dymiły.

Kapłanki wpatrywały się w siebie, Danifae trzymała w ręce bryłę bursztynu, Quenthel dysk z gagatu.



Pharaun nie wiedział, czy czar rozproszył obłok i ta niepewność niepokoiła go. Niepokoiło go wszystko to, co się ostatnio wydarzyło.

Mimo to utrzymał koncentrację i dokończył zaklęcie. Kiedy wypowiedział ostatnie słowo, wokół występu nabrała kształtów transparentna sfera magicznej siły, otaczając całą czwórkę.

Kolejna kula ognista oraz piorun grzmotnęły o sferę i eksplodowały blaskiem, ale nie sforsowały zaklęcia Pharauna.

Jegred wyprostował się na swoją pełną wysokość, obserwując Quenthel. Zasnęta krew oblepiała mu pazury i pysk. Pharaun domyślał się, że należy do jednej z kapłanek Eilistraee.

- Mistrzynie - powiedział Pharaun - moje zaklęcie długo nie wytrzyma.

- To oczywiście — odparła Quenthel. - Jesteś mężczyzną.

Pharaun zignorował kąśliwą uwagę, przeczołgał się do kra wędzi urwiska i spojrzał w dół. Pozostali zrobili to samo.

Kręta ścieżka, ograniczona po obu stronach urwiskami, opadała stromym zboczem góry na płaskowyż podziurawiony przepaściami, kraterami i jeziorami trującego kwasu. Powietrze wypełniała zielona mgielka, tak kwaśna, że Pharaun zamrugał. Przez mgłę dojrzał...

W dole czekała armia.

- Yugolothy - stwierdził mag.

- Najemnicy - burknęła Quenthel, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. Żmije syczały.

Pokryte łuskami, czterorękie nycalothy śmigały w powietrzu nad siłami owadzych mezzolothów. Przysadziste, podobne do żuków mezzolothów dzierżyły w czterech rękach długie włócznie, a każdy z nycalothów był uzbrojony w magiczny topór. Tworzyli półksiężyc u stóp ścieżki, mur pancerny i ciał. Pharaun wiedział, że yugolothy są odporne na większość form energii. Przypuszczał też, że większość skorzystała z magii, aby wzmocnić wrodzoną odporność. Przeprawa z nimi nie będzie

tak prosta jak rzucenie w kogoś kulą ognistą, ale zabijał już w przeszłości demony.

Przyjrzał się armii, szukając ultroloth, który musiał nią dowodzić. Nycalothy i mezzolothy były poddanymi, sługami ar-cymagów yugolothów.

Mgiełka wisząca w powietrzu utrudniała widzenie szczegółów, ale...

Tam.

Za żołnierzami czaił się łysy ultroloth o szarej skórze. Nawet z tej odległości Pharaun poczuł na sobie ciężar spojrzenia jego wielkich, czarnych oczu. Po jego bokach stały dwa ogromne canolothy, oba w kolczastych pancerzach. Ultroloth nosił ciemne szaty, miecz przy pasie, a na udzie kolczan pełen buław. Jeszcze jedną buławę trzymał w dłoni.

Dusze wciąż wyływały z tunelu za nimi i szybowały nad ich głowami. Kiedy docierały nad równinę, powietrze wokół niech eksplodowało ścianą fioletowego ognia. Płonęły przez jakiś czas, wijąc się w powietrzu nad armią yugolothów, zanim nie zostały uwolnione. Płomienie przypominały Pharaunowi ogień faerie, niegroźną osłonę płomieni, którą potrafił wezwać każdy drow.

- Oczyszczenie - oznajmiła Quenthel, najwyraźniej bardziej zainteresowana duchami niż armią yugolothów.

- Gdzie słabość zostaje wypalona - dodała Danifae.

- Skoro już mowa o wypalaniu... - powiedział Pharaun, spoglądając na armię.

Na jego oczach kilku mezzolothów uniosło ręce i pojawiły się w nich kule ognia. Cisnęły je w stronę skalnego występu, gdzie zderzyły się ze ścianą mocy i eksplodowały.

Drowy instynktownie skuliły się za występem, ale żaden ogień nie przeszył zaklęcia Pharauna. Znów wyjrzelili zza skał.

Armia tkwiła w tym samym miejscu.

- Dlaczego nie atakują? - zapytał Jeggred.

- A po co? - odparł Pharaun. - Zatrataliby się na wąskiej ścieżce.

Pharaun wiedział, że czwórka drowów może bronić w nieskończoność wąskiej dróżki prowadzącej na skalny występ. Yugolothy liczyły na to, że uda im się zmusić elfy do zejścia na dół kanonadą zaklęć albo grą na przeczekanie. Nie było żadną tajemnicą, że czwórka towarzyszy nie przeszła całej drogi do bram miasta Lolth tylko po to, żeby teraz zawrócić.

- Nie możemy zawrócić - powiedziała Danifae, wypowiadając na głos następną myśl Pharauna. - Musimy ruszać naprzód.

- To jasne - powiedziała Quenthel z nieskrywaną pogardą. - To ostatnia próba.

- Doprawdy? — zapytała Danifae.

Pharaun uznał, że armia yugolothów to nie lada wyzwanie, ale zachował swoją obserwację dla siebie. Jego błędzące spojrzenie po raz pierwszy sieknęło poza armię, poza spustoszoną równinę, ku miastu Lolth.

- Spójrzcie - powiedział, nie potrafiąc ukryć nabożnego za chwyty.

W odległości pół ligi równina kończyła się - po prostu urywała się, jak odcięta żyłką- zatoką nicości, która ciągnęła się w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

Pajęczyna monstualnych rozmiarów spinała próżnię, jej odległe końce ginęły w nieskończoności. Całe Menzoberranzan wydawałoby się małe i nic nieznaczące wśród jej pasm.

Miasto Lolth, sterta metalu, pajęczych sieci, dusz i pajaków wielka jak sto Menzoberranzan, usadowiła się na skraju pajęczyny. Gigantyczne odnóża - groteskowy amalgamat materii organicznej i metalu - wyrastały z podstawy miasta i mocowały je do nici.

Metropolię wieńczyła świątynia w kształcie piramidy. Pharaun intuicyjnie poznał, że to przybytek Lolth. Jej wielkie wrota wydawały się zamknięte.

- Dzieci Lolth... - wymamrotała Danifae i Pharaun dopiero po chwili zrozumiał, o co jej chodzi.

Na granicy, w miejscu, gdzie kończyła się Równina Ognia Dusz, a zaczynała pajęczyna, zebrały się całe zastępy arachni-dów: otchłanne wdowy, dridery, yochlole, miliardy miliardów pajaków, więcej nawet, niż liczyła Horda.

- Jej sieć osnuwa wszystko - wymamrotała Quenthel i dotknęła swojego świętego symbolu.

- A świat jest jej ofiarą- dokończyła Danifae. - Jej zastępy przybyły, aby dać świadectwo.

- Musimy przedostać się przez armię yugolothów - stwierdziła Quenthel.

- Powinni wszyscy zginąć - dodała Danifae. - Ich obecność tutaj jest bluźnierstwem.

Jegged, który obserwował armię w dole, warknął w sposób świadczący o tym, że zaraz ogarnie go bitewny szal. Draegloth wyglądał tak, jak gdyby tylko ściana mocy powstrzymywała go przed przeskoczeniem krawędzi występu i zbiegnięciem ścieżką w dół.

Żmije Quenthel zawisły wokół jej głowy niczym aureola, a ona kiwnęła głową, przyznając im rację.

- Musimy się przedostać - powtórzyła.

Danifae uśmiechnęła się szeroko.

- Rzeczywiście. Wezwij taką pomoc, na jaką cię stać, ka płanko.

Obie wpatrywały się w siebie przez chwilę, a potem jednocześnie odsunęły się od krawędzi występu, poza zasięg wzroku yugolothów, i zaczęły czarować.

Z powrotem we własnym ciele, przed świątynią Agrach Dyr-rów, Gromph rozproszył dweomer, który zmniejszył go do ułamka

jego normalnego wzrostu. Wciąż niewidzialny, obserwował, jak potężna stalagmitowa forteca zaczyna się rozpadać. Budynki pękały od fundamentów po dachy. Wielkie mury ze stalagmitów i adamantytu wibrowały. Żołnierze na blankach biegli jak szaleni ku schodom, pędzili przez błonia albo zeskakiwali z murów i lewitowali na ziemię.

Gromph roześmiałby się, gdyby nie jego własna nieunikniona śmierć. Mógłby spróbować wzbic się w powietrze i odlecieć znad fortecy, gdyby nie zostawił wszystkich komponentów w swojej szacie na Larikal, i gdyby sądził, że pozwoli mu to uciec. Ale wątpił w to.

Eksplozja będzie zbyt wielka. Nie miał czasu, żeby przed nią uciec.

Wyczulonym na magię wzrokiem obserwował, jak puls mocy biegnie wzdłuż żyły głównego zabezpieczenia, likwiduje pomniejsze osłony i wchłania ich moc. To była bestia pochłaniająca całą magiczną moc misternej obronnej struktury. Za chwilę wyrzuci ją z siebie w wybuchu, który zatrzęsie pieczarą Menzoberranzan.

Zbierająca się energia przyprawiała go o dzwonienie w uszach.

Fala mocy dotarła do zewnętrznych osłon na bramie i murach, wchłonęła je, odbiła się i zaczęła wracać.

Dachy budynków wokół Grompha zapadły się. Drowy wrzeszczały. Kapłanki wydawały krzykiem rozkazy, których nikt nie słuchał.

Kolejny potworny wstrząs zakołysał świątynią za jego plecami i wieńcząca ją kopuła zawałiła się w fontannach kamieni i szkła. Gromph przypuszczał, że Yasraena, Larikal i vrocki zginęły, przegnieceni jej ciężarem.

1 słusznie, pomyślał. W końcu Lolth zmiażdżyła zdrajców.

Gromph zszedł z portyku, oddalając się od świątyni. Zastanawiał się, czy siła wybuchu dosięgnie Xorlarrinów. Kumulująca się moc była z pewnością wystarczająco potężna. Energia wszystkich osłon zasilili eksplozję. Scali się w aktywatorze, w środku

zawalonej świątyni i stamtąd eksploduje na zewnątrz. Możliwe, że zniszczony zostanie cały dom Agrach Dyrr.

Spojrzał ku bramie i zobaczył powracającą falę - wielką, zarzającą się ścianę tajemnej mocy. Ziemia falowała przed nią.

Przez myśl przemknął mu pewien pomysł. Fala zbierała i likwidowała po drodze wszystkie zabezpieczenia.

Wszystkie.

Nawet wymiarową blokadę?

Serce zabiło mu szybciej.

Czy liczdrow mógł popełnić podobny błąd?

Gromph uznał, że to możliwe. Przyjrzał się uważniej ocਾਲym zabezpieczeniom. Wymiarowa blokada wciąż tkwiła na swoim miejscu i nie potrafił powiedzieć, czy główne zabezpieczenie wchłonie także ją. Jeśli tak...

Jeśli tak, może zdąży wypowiedzieć w odpowiedniej chwili ostatnie zaklęcie. Na szczęście czar, którego zamierzał użyć, nie wymagał materialnych komponentów.

Czekał... czekał.

Fala mocy mknąca wzdłuż głównego zabezpieczenia minęła go, zwalając z nóg.

Już! Fala pochłonęła wymiarową blokadę i uderzyła w zrujnowaną świątynię. Cała budowla rozjarzyła się, zapulsowała oślepiającym światłem.

Gromph wykrzyczał zaklęcie najszybciej jak potrafił.

Oślepiające promienie energii wystrzeliły ze świątyni we wszystkich kierunkach. Eksplozja była nieuchronna.

Szybko wypowiadał zaklęcie. Słowo. Kolejne. Następne.

Świątynia zapłonęła tak jasno, jak słońce Świata Ponad, eksplodując nieporównywalnym z niczym innym podmuchem magicznej energii. Gromph nie dokończył zaklęcia.

Tak dotkliwego cierpienia nie zaznał nigdy dotąd, a Gromph Baenre wiedział, co to ból.

A potem było już po wszystkim.

# DZIEWIĘTNASTY

Na Równinie Ognia Dusz mezzolóthy ustawiły się w szyku bojowym. Nycalothy latały nad oddziałami z toporami w dłoniach. Ultroloth wyciągnął kolejną buławę, którą miał zapewne zamiar znieść ścianę mocy Pharauna.

Jeggred stał na szczycie ścieżki prowadzącej na równinę, warcząc wściekle.

- Zlikwiduj tę ścianę, czarodzieju! - zaryczał draegloth. Pod jego napiętą skórą rysowały się wyraźnie żyły i ścięgna.

Obok Pharauna kapłanki skandowały zaklęcia przyzywające. Quenthel nawet nie zadała sobie trudu, żeby zakreślić krąg. Danifae też nie. Każda przyciskała do piersi swój święty symbol i przyzywała Lolth na pomoc. Ich głosy unosiły się ku pościemniałemu niebu, dudniły nad spustoszoną równiną.

I Pajęcza Królowa odpowiedziała.

Quenthel wykrzyczała imię. Słowo uderzyło Pharauna jak fizyczny cios, odbiło się od jego umysłu i zostało zapomniane.

Po niebie przetoczył się grzmot. Quenthel powtórzyła imię.

Niebo nad nimi otworzyło się. Wyrwę wypełnił ogromny cień, skrzydlaty i ohydny.

Pharaun poznał, co to za istota, ale nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Klurichir. Jeden z najpotężniejszych demonów Otchłani. Przyzywając go, Quenthel ponosiła wielkie ryzyko. Była albo bardzo pewna siebie, albo bardzo zdesperowana.

Jeśli nie liczyć osamotnionego głosu Danifae, nad Równią Ognia Dusz zapadła cisza. Nawet Jeggred umilkł. Przez armię yugolothów przeszedł nerwowy szmer. Nycalothy pospiesznie opadły na ziemię, stając między żołnierzami. Pharaun wyłapał magicznie wzmocnioną telepatyczną projekcję ultro-lotha.

*Zostać na miejscu*, rozkazał i yugolothy usłuchały.

Klurichir opadał lotem kolistym w dół, rosnąc przy każdym okrążeniu. Z jego pyska wyrwał się ryk, który zatrzęsł górami.

Wylądował na zboczu góry, tuż za niewidzialną ścianą sfery mocy wzniesionej przez Pharauna.

Potężnie umięśniony klurichir o szorstkiej szarawej skórze porośniętej włosiem przypominającym pióra był cztery razy wyższy od Jeggreda. Błoniaste czerwone skrzydła wyrastające mu z pleców miały dwukrotnie większą rozpiętość i rzucały cień na cały występ skalny. Krótkie nogi demona były grube i krzepkie jak kamienne kolumny. Czworo potężnych ramion będących w bezustannym ruchu wyrastało z torsu, który prawie w całości wypełniała ogromna, łakoma paszcza mogąca pożreć w całości dwa ogry. Owadzie szczypcy po obu stronach pyska poruszały się spazmatycznie. Potok niezrozumiałej



paplaniny i śliny wylewał się spomiędzy rzędów zgrzytających kłów.

Pharaun miał wrażenie, że ten bełkot doprowadzi go do szaleństwa. Zwymiotował na przód *piwafwi*. Nie był w stanie się powstrzymać.

Gigantyczna głowa osadzona na torsie demona przypominała trochę łeb orka, ale była bardziej zwierzęca. W twarzy, pod parą czarnych oczu, otwierała się druga, mniejsza paszcza. W jednej dłoni demon trzymał pokryty runami topór wielkości Jeggreda.

Bas, który wydobył się z ust w twarzy klurichira prawie zwałił Pharauna z nóg. Ogromna paszcza w torsie wciąż paplała i śliła się, podczas gdy pierwsza mówiła.

- Nie powinnaś była mnie wzywać, kapłanko - rzekł demon, a zawarta w jego słowach groźba była jeszcze bardziej przerażająca, bo niewypowiedziana.

Mag musiał przyznać Quenthel, że się nie trzęsła, choć wiedział, że nawet ona nie dorównuje klurichirowi potęgą.

Przez chwilę Quenthel jak gdyby zabrakło słów. W końcu powiedziała:

- Dziesięć tysięcy dusz, jeśli wyświadczysz mi pewną przyługę.

Obie paszcze ryknęły śmiechem.

- Dziesięć tysięcy dusz to nędzna zapłata - odparł klurichir.

- Wymień swoją cenę - odpowiedziała Quenthel, mrużąc oczy od wiatru.

Pharaun nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Nawet Jeggred sapnął.

Quenthel właśnie zaproponowała jednemu z najpotężniejszych demonów Otchłani, że da mu wszystko, co tylko zechce.

Demon też wydawał się oszołomiony. Większa paszcza przestała na chwilę bełkotać. Wysunął się z niej gigantyczny jęzor, który oblizał wargi.

- Twoja desperacja zaintrygowała mnie - rzekł. - Powiedz, czego chcesz, a ja się zastanowię. Co do zapłaty, zażądam ta kiej, jakiej uznam za stosowną.

Quenthel nawet nie drgnęła i Pharaun nie mógł w to uwierzyć.

- Zgoda - powiedziała i wskazała ręką równinę. - Pomóż nam rozgromić armię yugolothów w dole.

Demon wyszczerzył zęby, zabelkotał i wzbił się w powietrze, szybując wysoko po niebie. Quenthel, oddychając ciężko, patrzyła z uśmiechem jak odlatuje.

Zza pleców mag usłyszał głos Danifae, który przypomniał mu, że ona też wzywa pomocy.

Kiedy była branka kończyła czarować, jej głos wzniósł się, błagając Lolth o pomoc. Kiedy skończyła, odwróciła się twarzą do gór. Najpierw nic się nie stało.

Potem zbocze góry zafalowało.

Miliony, miliardy pajaków wyroiły się z każdej szczeliny, rozpadliny, dziury i jamy. Przypominające nadciągającą burzę odgłosy wydawane przez ich odnóża i szczypce były gorsze od belkotu klurichira.

Danifae krzyknęła coś, czego Pharaun nie zrozumiał, bo zagłuszyła ją wrzawa czyniona przez gromadzące się i pełzające pająki. Kłębiąc się, utworzyły rój wielki jak klurichir. Kształtem przypominało to z grubsza gigantycznego pająka.

Danifae szerokim gestem wskazała im yugolothy.

Miliardy pajęczaków runęły jednocześnie w dół zbocza.

- Teraz, mistrzu Mizzrym! krzyknęła do Pharauna Quenthel.

- Opuść ścianę mocy! - rozkazała Danifae.

Pharaun posłuchał i natychmiast wzbił się w powietrze.

Jegged pędził w dół stoku, rycząc z wściekłości. Quenthel i Danifae biegnęły za nim. Klurichir zaryczał, obryzgując Równinę Ognia Dusz śliną, i opadł w dół. Rój arachnidów mknął ku yugolothom.

Yugolothy zareagowały natychmiast. Były wytrawną armią.

Choć robiły to niechętnie, bo cena była wysoka, Pharaun wiedział, że stwory z innych planów posiadają zdolność przyzwania swoich pobratymców, zwykle na podstawie jakiegoś zawartego wcześniej porozumienia. Mezzolothy i nycalothy nie były wyjątkiem. Szum tajemnych sylab uniósł się ku górze i z cichym skwierczeniem, wśród smrodu rzygowin, na równinę teleportowała się rzesza mezzolothów i garstka nycalothów. Zanim mag policzył do trzech, z pięciuset żołnierzy zrobiło się ośmiuset.

Nycalothy spiesznie rozstawiały nowych żołnierzy, starając się przygotować armię na atak klurichira, szarżę Jeggregda i potop pajaków.

Utroloth wzniósł się ku niebu, jakby rzucał wyzwanie Pha-raunowi. Dziesiątka nycalothów wzbija się w powietrze wraz z nim.

Klurichir ryczał, yugolothy kłapały szczękami i wrzeszczały, rój syczał i wrzał.

Byli gotowi do walki.

Jeggregd pędził w dół wąską ścieżką, nie zważając na strome urwiska po obu stronach, nie zważając na armię czekającą na niego w dole. Jego szponiaste łapy żłobiły przy każdym kroku bruzdy w skale. Gotował się z wściekłości. Już czuł smak krwi i mięsa. Zaryczał z radości.

W dole cztery dziesiątki mezzolothów czekały na jego szarżę z glewiami w dłoniach. Kilku z nich gestykuowało, wykorzystując wrodzone magiczne zdolności i przed draeglothem pojawiła się chmura śmierdzącego zielonego gazu.

Przemknął przez zabójczą mgłę bez zatrzymania, wdychając plugawe opary, czując pieczenie skóry. Nie dbał ani o to, ani o pieczenie w płucach. Mknął dalej.

Kilku mezzolothów w drugim szeregu wyczarowało w dłoniach kule ogniste i cisnęło nimi w biegnącego półdemona. Większość pocisków chybiła i wybuchła w powietrzu albo rozbiła się o skały, nie czyniąc mu krzywdy, ale nawet te, które go trafiły, nie odniosły efektu. Koniec końców, został splodzony przez demona. Ogień o małej intensywności nie mógł mu zaszkodzić.

Odrzucił łeb w tył i znów zaryczał.

Kolejny wybuch prawie zwałił go z nóg. Wbijając szpony bojowych ramion w skałę, żeby utrzymać równowagę, biegł dalej.

Jakiś cień padł na niego, ale nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Olbrzymi demon wezwany przez jego ciotkę szybował na tyły mezzolothów.

Od pierwszego ze stworów dzieliło go już tylko dwadzieścia kroków. Piętnaście. Dziesięć. Spojrzał im w złożone oczy i wznosił bojowe ramiona do ciosu. Pięć. Słyszał kłapanie żu-waczek, szczęk pancерzy.

Odbił się od ścieżki, wyskoczył wysoko w górę i wylądował pomiędzy nimi. Z rozpędu nabił się na dwie glewie, które zato piły się głęboko w jego skórze.

Prawie nie poczuł bólu, nawet kiedy z ran popłynęła krew.

Pozwolił, by furia całkowicie nim ośwładnęła. Jego szpony wznosiły się i opadały, szarpały i rwały. Czasem trafiały w pancерz, czasem w pustkę. Miał w pysku ręce, ciała, łby. Gryzł, rozdzierał i rozrywał wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Krew yugolothów spływała mu po brodzie.

Glewie wbijały mu się w boki, ale nie dbał o to. Kule ogniste wybuchaly mu na skórze, a on nie zwracał na to uwagi. Czuł, jak własna krew spływa mu po plecach, piersi i ramionach. Był otoczony przez mezzolothy. Ryczał i zabijał.

Nagle otoczyła go nieprzenikniona ciemność. Oślepiiony, wciążył sieki i szarpał wszystko, co znalazło się w jego zasięgu.

Nie wiedział czy mezzolothy widzą w ciemności i nie dbał o to. Siekł i zabijał nawet wtedy, gdy zaczął słabnąć.

Pharaun patrzył, jak Jeggred pędzi ścieżką i wskakuje w środek zbitej masy czekających mezzolothów. Draegloth zniknął pod lawiną czarnych ciał i Pharaun nie zaprzętał już sobie nim głowy.

Klurichir opadł na ziemię na tyłach armii yugolothów i kładł ich pokotem ciosami swego topora. Nycalothy i mezzolothy opadły go ze wszystkich stron, raniąc go glewiami i toporami. Ryk demona niósł się nad polem bitwy.

Chmara pajaków zeszła z gór niczym lawina i wbiła się w linie yugolothów. Mezzolothy odpowiedziały kłębami zielonego zabójczego gazu, który uśmiercał je całymi grupami, ale rój parł naprzód, pożerając wszystko na swojej drodze.

Ultraloth szybował nad polem bitwy w stronę Pharauna, dzieliła go od maga odległość strzału z kuszy. Potężnemu ultralothowi towarzyszyło ośmiu nycalothów, po czterech z każdej strony. Każdy z nycalothów przywołał wrodzoną magiczną zdolność i wokół nich pojawiły się ich wielokrotnione zwierciadlane odbicia. Z ośmiu zrobiło się ich ponad trzydziestu i Pharaun nie potrafił powiedzieć, które są prawdziwe, a które iluzją.

Połowa nycalothów załopotala skrzydłami, dobyte magiczne topory i pomknęła w stronę czarodzieja. Ultraloth poleciał za nimi, trzymając w jednej ręce miecz, a w drugiej dwie kryształowe buławy. Pozostałe nycalothy odłączyły się od niego i pofrunęły ku skalnemu występowi, gdzie stały kapłanki.

- Strzeż się, mistrzyni! - krzyknął Pharaun do Quenthel.

Usłyszała go i podniosła głowę.

Quenthel zobaczyła zielone, pokryte łuską yugolothy mknące w jej stronę. Zatrzymała się w biegu, wyciągnęła swój święty symbol i rozpoczęła inkantację. Obok niej Danifae zaczęła skandować zaklęcie.

*Yugolothy są uodpornione na błyskawice, mistrzyni, szepnął jej do ucha Yngoth. A także ogień i lód.*

Quenthel kiwnęła głową, nie przerywając inkantacji. Wiedziała o yugolothach wszystko i przypuszczała, że spotęgowały wrodzoną odporność magicznymi osłonami. Nie miała zamiaru korzystać z tych rodzajów energii. Kiedy skończyła zaklęcie, każdego nadlatującego nycalotha otoczył kokon błękitnej energii. Magia zaklęcia wyssała z ich ciał całą wilgoć - wodę, ślinę, krew. Stwory zdążyły tylko wrzasnąć z bólu, nim czar Quenthel obrócił ich w pomarszczone łupiny mięsa i kości, które spadły na ziemię.

Wysoka kapłanka miała tylko chwilę, by nacieszyć się ich końcem. Danifae urwała zaklęcie w pół słowa i wyrzuciła ją mor-gensztermem w tył głowy.

Przed oczyma stanęły jej gwiazdy, czaszka eksplodowała bólem. Pociemniało jej w oczach i zatoczyła się w przód.

Ale nie upadła. Cios zabiłby prawie każdego, ale zaklęcia ochronne Quenthel osłabiły znacznie jego moc.

Wysoka kapłanka machnęła na oślep biczem, ale chybiła. Żmije zasyczały wściekle.

— To ostatnia próba, dziwko Baenre - usłyszała zza pleców

głos Danifae. - Ja jestem twoją, a ty moją. Przekonajmy się, która z nas zostanie *Yor 'thae*.

Quenthel dotknęła tyłu głowy - był ciepły i lepki od krwi, ale zaczynała już widzieć wyraźnie. Odwróciła się z biczem w dłoni, osłaniając tarczą.

- Powinnaś była zabić mnie tym pierwszym ciosem, dziecko - powiedziała.

Danifae zawinęła morgensztemem nad głową. -  
Zaraz naprawię swój błąd.

Halisstra obudziła się po drugiej stronie Ścieżki Pożeracza Dusz. Odgłosy walki - szczęk żelaza, wrzaski umierających - przywróciły jej przytomność.

W jej umyśle wciąż rozbrzmiewały słowa usłyszane w wizji: *Pogódź się z tym, kim jesteś.*

Zrobi to. A dzięki mocy udzielonej jej przez Lolth zabije Danifae Yauntyrr.

Jej dłoń zamknęła się na rękojeści Księżykowego Ostrza leżącego obok niej na kamieniach.

Usiadła i odkryła, że znajduje się na występie skalnym, wysoko na stoku góry. Za nią ział czernią wylot Ścieżki Pożeracza Dusz, z którego wylaływały dusze.

Skałę występu osmalił, a miejscami nawet stopił ogień. Na ziemi leżały spalone pająki o poskręcanych od płomieni odnóżach i osmalonych włoskach.

- Znak, Pajęcza Królowo? - zapytała Lolth.

Nic.

Nagły podmuch poderwał ciała martwych pająków, które zawirowały w powietrzu. Patrzyła jak zaczarowana na ich drobne ciała podrygujące chaotycznie na wietrze. Współczuła im.

Wpatrując się w martwe pająki, poczuła nagły dreszcz. Wyszczrzyła zęby w dzikim, nienawistnym uśmiechu. Wreszcie zrozumiała.

Lolth kazała jej pogodzić się z tym, kim jest.

Zerwała się z ziemi i przyjrzała zboczowi góry.

Tam. Wąska, głęboka rozpadlina.

- Teraz rozumiem - powiedziała.

Halisstra wbiła w nią miecz do połowy żelźca, chwyciła rękojęć w obie ręce i szarpnęła w dół. Klinga oparła się. Spróbowała ponownie. I jeszcze raz. Zaryczała i znów spróbowała.

Księżycowe Ostrze trzasnęło w rozbłysku karmazynowego światła. Kiedy pękło, pękło też coś w duszy Halisstry. Łzy popłynęły jej po twarzy, a ona nie wiedziała dlaczego. Ziarenko wątpliwości, nienawiści, miłujące władzę jądro jej jestestwa rozkwitło w pełni. Czowała się tak, jak przed upadkiem Ched Nasad, jak gdyby ostatnie dni były snem.

Nie, uświadomiła sobie. Nie snem. Próbą.

Którą wreszcie przeszła pomyślnie.

Była Halisstra Melarn, pierwszą córką domu Melarn, służką Pajęczej Królowej, i wiedziała co ma zrobić.

Zabije Danifae.

Musiała zabić Danifae, tak samo jak kiedyś myślała, że musi dopilnować, aby jej dawna służka została odkupiona.

Halisstra patrzyła, jak klinga złamanego miecza czernieje i kurczy się w jej dłoni, zwija i umiera jak martwe pająki walające się po skalnym występie.

Miała swój nowy święty symbol. Miała swój znak.

Modlitwy, które zapamiętała w imieniu Eilistraee, przechowywana w pamięci magia, którą miała użyć przeciw Lolth, wypłynęły z niej. Westchnęła zmęczona. Ustała na nogach tylko dlatego, że oparła się o zbocze góry.

Halisstra czuła się pusta, ogołocona.

Ze szczeliny w skale wyszedł mały czarny pajączek i wspiał się na jej dłoń, w której trzymała złamany miecz. Patrzyła, jak zatapia kły w jej ciele.

Nie czuła bólu, wyłącznie zimno. Truczna dostała się do jej żył i krążyła po całym ciele...

Halisstra wygięła plecy w łuk i wrzasnęła, gdy zakłęcia odebrane jej przez Eilistraee zastąpiła magią Lolth. Znów zapłakała, ale tym razem wiedziała dlaczego.



Przepełniona mocą, otarła twarz z łez i podbiegła na skraj występu.

W dole toczyła się zaciekle walka między demonami, yugo-lothami i drowami. Z oddali przyzywało ją miasto Lolth, bezkresna pajęczyna migocząca nad bezdenną otchłanią, a na niebie nad równiną płonęli fioletowym ogniem potępieńcy Lolth.

Halisstra nie zwracała na to wszystko uwagi. Widziała tylko Danifae Yauntyrr, która walczyła z Quenthel Baenre na wąskiej ścieżce prowadzącej na równinę.

Trzymając w dłoni swój święty symbol, Halisstra zmówiła modlitwę do Lolth. Kiedy skończyła zaklęcie, poczuła, jak jej siła wzrasta. Zdolność rzucania czarów w imieniu Lolth była tak przyjemna, że na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Wyśpiewała słowa pieśni-zaklęcia *bae 'aqeshel* i stała się niewidzialna.

Gotowa, wyciągnęła z pochwy na plecach miecz Seyll i pobiegła ścieżką w stronę swojej branki.

Pharaun unosił się w powietrzu, obserwując nadlatujące ny-calothy. Wyjął z *piwafwi* szklaną buteleczkę alchemicznego ognia, pokrył lekką, łatwopalną substancją palce i pospiesznie wyrecytował słowa potężnej inkantacji. Kiedy skończył, wybrał w powietrzu kilka punktów w pobliżu nycalothów lecących ku niemu, nycalothów zmierzających ku kapłankom i kilka losowych punktów wśród mezzolothów na ziemi.

Niewielkie ogniste kule pojawiły się w wybranych przez niego miejscach i eksplodowały niezwykle intensywnymi rozbryzgami płomieni i żaru. Nycalothy zarzycały. Pod wpływem wybuchów powypadały z toru lotu. Jeden z czterech lecących ku niemu demonów runął w dół, dymiąc i ciągnąc za sobą swoje lustrzane odbicia.

Yugolothy były odporne na ogień, ale nie tak intensywny, jak ten wyczarowany przez Pharauna.

W odpowiedzi mezzolothy w dole obrzuciły czarodzieja kulami ognistymi, które eksplodowały w powietrzu wokół niego. Zaklęcia ochronne osłoniły go częściowo, ale niemagiczne szaty maga zajęły się ogniem, a skóra poczerniała.

Wybuch obrócił nim i Pharaun przez chwilę starał się zorientować w sytuacji. W końcu zobaczył trzy mknące ku niemu nycalothy. Przygotowywał właśnie kolejny czar, gdy wszystkie trzy zniknęły.

Teleportacja, zaklął w duchu Pharaun.

Zanim zdążył cokolwiek zrobić, pojawiły się obok niego.

Przed oczyma mignęły mu tylko umięśnione, pokryte łuskami ciała, najeżone kłami pyski, czarne rogi, łopoczące skrzydła, pancerze, szpony i topory.

Na czarodzieja posypał się grad ciosów. Magiczne *piwajwi*, równie wytrzymałe jak zbroja płytowa, odbijało większość uderzeń, ale cios pazurem rozorał mu ramię i z rany poląła się krew.

Wystrzelił prosto w górę i zatoczył długą, pionową pętlę -zobaczył ziemię, góry, niebo i znów ziemię. Nycalothy i ich iluzyjne sobowtóry poszybowały za nim, ale w powietrzu przewyższał je zwinnością.

Lecąc, wymówił słowa następnego zaklęcia. W połowie in-kantacji wyciągnął z kieszeni małe szklane lustro.

Jeden z nycalothów minął go i złapał za kostkę. Następny wpadł na niego z przeciwnej strony. Wszyscy trzej zawirowali szaleńczo. Siła odśrodkowa zmusiła nycalotha, który złapał maga za kostkę, żeby ją puścił.

Pharaun nie wiedział, gdzie góra, gdzie dół. Przed oczyma migotało mu niebo, potem ziemia, niebo, ziemia, niebo, ziemia.

Błyskawica wystrzelona przez ultrolothą trafiła w czarodzieja. Nie wywarła żadnego efektu na nycalothy - yugolothy były

odporne na błyskawice, wiedział o tym - ale jej moc przeszła jego ochronne osłony, wypaliła dziury w skórze i postawiła włosa na sztorc. Zgrzytnął zębami, ale nie przerwał inkantacji.

Zmagający się z nim nycaloth warknął mu do ucha, bijąc jak oszalały skrzydłami i pazurami. Pharaun usiłował go odepchnąć, nie zakłócając przy tym rytmu zaklęcia.

Szpony rozdarły *piwafwi* Pharauna i rozorały skórę tułowia. Z rany pociekła krew, ale Pharaun zdołał wymówić ostatnie słowo zaklęcia i jednocześnie grzmotnął lusterkiem czepiającego się go nycalotha. Ryk nycalotha urwał się gwałtownie w rozbłysku zielonej energii, gdy czar zadziałał.

Całe ciało stwora zmieniło się w szkło.

Nycaloth zaczął spadać, ciągnąc za sobą iluzoryczne sobowtóry i Pharauna.

Mag wyrwał mu się z uścisku i patrzył z satysfakcją, jak przeobrażony stwór roztrzaskuje się na skałach. Dwa pozostałe nycalothy i ich sobowtóry zatoczyły koło i z rykiem pomknęły w jego stronę.

Pharaun rzucił się do ucieczki, mijając kilka płonących drowich dusz i przygotowując się do rzucenia kolejnego zaklęcia.

Rzucił okiem w lewo, na ultroloth. Otaczała go mieniąca się sfera magicznej energii, yugoloth był już w połowie następnej inkantacji. Pharaun wiedział, że glob czyni go odpornym na większość mniej potężnych zaklęć, jakie znał.

Pharaun pomknął ostro w górę, skręcając w prawo. Niezdarne nycalothy minęły go, przeklinając.

W nadziei, że uda mu się przeszkodzić ultrolothowi w czarowaniu, Pharaun wyjął z kieszeni kryształowy stożek i zaczął pospiesznie inkantację.

Ultroloth skończył pierwszy i skierował otwartą dłoń ku Pharaunowi.

Niemal wszystkie zaklęcia ochronne otaczające Pharauna zniknęły jednocześnie, rozproszone kontrzaklęciem yugolotha.

Pharaun zaklął. Ultroloth musiał być potężny, skoro zdołał pozbawić go magicznych osłon.

Nie rozmyślając nad tym dłużej, zakończył własne zaklęcie. Podleciał w stronę ultrolotha, wypowiedział ostatnie słowo, przyłożył stożek do ust i dmuchnął.

Rozszerzający się podmuch lodowatego powietrza pomknął w stronę ultrolotha i ogarnął go. Stwór poleciał w tył, pokryty kokonem lodowatego zimna.

Pharaun widział, że jego zaklęcie osłabiło ultrolotha, ale daleko mu było do zabicia go.

Zatoczył w powietrzu koło, szukając nycalothów.

Nigdzie ich nie widział. Albo opuściły pole walki, albo stały się niewidzialne.

Przyspieszył, lecąc w górę, przy każdym oddechu spodziewając się ciosu toporem, i jednocześnie aktywował zdolność widzenia niewidzialnych istot. Zyskał ją w chwili, w której nycalothy opadały już ku niemu z obu stron z wzniesionymi do ciosu toporami.

Uskoczył w bok, ale zbyt wolno. Topór wbił mu się głęboko w ramię. Drugi rozszczepiłby mu czaszkę, ale w ostatniej chwili zanurkował pod nim, więc tylko rozorał mu skórę głowy.

Skrzydła łopotały mu przy twarzy. Nycalothy czepiały się jego *piwafwi* i drapały pazurami. Ich ciężar ściągał go w dół. Użył pierścienia latania, aby się im przeciwstawić, ale powoli spływał ku ziemi.

Na dole czekały setki mezzolothów.

Broczący krwią, lekko oszołomiony mag wypowiedział pojedyncze słowo jednego z najpotężniejszych zaklęć, jakie znał. Inkantacja ta pozwalała używać dźwięku jako broni, a Pharaun wątpił, by yugolothy zabezpieczyły się przed energią akustyczną.

Poczuł, jak magia wzbiera mu w gardle. Pozwolił jej narastać, a potem wyrzucił ją z siebie w wysokim krzyku, który obiegił pole bitwy. Magia wrzasku wdarła się między nycalothy,

zabijając oba, pomknęła w dół niewidzialną falą i uderzyła w czekające mezzolothy, zabijając na miejscu połowę z nich.

Wyprostował się w powietrzu, brocząc obficie krwią z ran od pazurów nycalothów i odwrócił się w stronę ultrolotha. W powietrzu między nimi płonęły dusze, wijąc się z bólu.

Pharaun, poparzony i poraniony, współczuł im.

## D WUDZIESTY

Inthracis strząsnął z siebie resztki stożka zimna. W uszach wciąż dzwoniło mu wycie banshee, które wydał z siebie mag, ale znajdował się zbyt daleko, by czar mógł mieć na niego jakiś wpływ. Jego nycalothy nie miały tyle szczęścia.

Sprawy przybrały niekorzystny obrót. Klurichir i chmara pajaków siały spustoszenie wśród regimentu. Jego żołnierze walczyli dzielnie, ale ultroloth nie spodziewał się ataku wielkiego demona i roju pajaków. Na polu bitwy trup ścielił się gęsto. Mógł, oczywiście, wezwać dodatkową pomoc, ale nie mogła się ona równać ani z klurichirem, ani pajakami.

Wyjął z kołczanu na udzie cieką bazaltową buławę i przyzwał jej moc.

Pulsująca czarna energia, która z niej wystrzeliła, falując, przetoczyła się przez pole walki. Tam, gdzie przeszła, martwe mezzolothy i nycalothy, nawet te zabite przed chwilą przez dro-wiego czarodzieja, orząc ziemię pazurami, dźwignęły się na nogi. Nieumarłe yugolothy nie były tak skutecznymi wojownikami jak żywi żołnierze, ale mogli pomóc w starciu z rojem pajaków, a może i klurichirem.

Posłał na pole walki mentalną wiadomość, rozkazując nie-umarłym: *Atakujcie klurichira i pająki, dopóki ich nie unieszkodliwicie.*

Zmarli posłuchali, dołączając do żywych towarzyszy toczących rozpaczliwą walkę. Zadowolony Inthracis zastanowił się, co robić.

Vhaeraun chciał, żeby zabił trzy kapłanki. Widział tylko dwie. Walczyły ze sobą na ścieżce schodzącej z gór. Uznał, że albo zobaczy je martwymi zaraz, albo w ogóle. Vhaeraun będzie zadowolony, albo nie. Inthracis miał już dość.

Przesłał wszystkim ocalałym nycalthom mentalną wiadomość: *Dwie z trzech kapłanek walczą na zboczu góry pod Ścieżką Pożeracza Dusz. Teleportujcie się tam, zabijcie je i wycofajcie się z pola walki.*

To powiedziawszy, Inthracis powrócił myślami do drowego czarodzieja. Przywołał w myślach słowa jednego z najpotężniejszych zaklęć nekromantycznych, jakie znał.

Quenthel smagnęła Danifae biczem. Branka uskoczyła w bok, ale zbyt wolno. Żmije wgrzyły jej się w ramię i wstrzyknęły w nie jad. Trucizna nie odniosła większego efektu - branka musiała być chroniona przed jadem - ale Quenthel czerpała satysfakcję z rozlewu krwi. Żmije również - śmiały się i syczały.

Danifae zgrzytnęła zębami i zaatakowała, usiłując trafić Qu-enthel morgenszternem w głowę. Quenthel zrobiła krok w tył, sparowała cios tarczą i odpowiedziała smagnięciem bicia. Zmije odbiły się od kolczugi Danifae. Danifae chwyciła morgensz-tern wyżej i uderzyła Quenthel pod tarczę, w brzuch.

Cios odebrał Quenthel oddech, wysoka kapłanka cofnęła się. Danifae skoczyła naprzód...

I wrzasnęła z bólu.

Z prawej strony jej klatki piersiowej wystrzelił miecz, obry-zgując Quenthel krwią. Zszokowane oczy Danifae zrobiły się wielkie jak spodki i wpatrywały się w klingę wystającą jej z piersi.

Za Danifae stała drowka, której atak zniweczył spowijające ją zaklęcie niewidzialności. Twarz miała wykrzywioną taką nieważnością, że Quenthel rozpoznała ją dopiero po chwili.

Była to Halisstra Melarn.

Zdradziecka kapłanka przysunęła usta do ucha Danifae i wyszeptwała:

- Żegnaj, branko.

Pharaun wiedział, że łatwo go będzie zranić - chroniące go zaklęcia ochronne zostały zniweczone - ale nie mógł na to nic poradzić. Rany zadane przez nycalothy wciąż broczyły krwią i to znacznie obficiej, niż Phamun spodziewałby się po takich stosunkowo niegroźnych obrażeniach. Na to też nie mógł wiele poradzić, a utrata krwi osłabiała go. Nie mógł sobie pozwolić na przedłużony pojedynek na czary.

On i ultroloth okrążali się wpewnej odległości, obserwując nawzajem. W dole trwała rzez. W powietrzu rozbrzmiewały ryki klurichira. Wrzenie roju brzmiało jak fale Mrocznego Morza.



Ultraloth zaczął inkantację, wykonując palcami zawily gest. Pharaun odpowiedział własnym zaklęciem.

Ultraloth skończył pierwszy i z koniuszków jego wyciągniętych palców wystrzelił czarny promień. Pharaun uchylił się, ale zbyt wolno. Promień uderzył go w ramię.

Negatywna energia wsączyła się w niego i wysłała z niego duszę. Płuca zmartwiały mu na chwilę. Ciało osłabło. Umysł zaćmił się. Zaklęcie wymazało mu z pamięci pół tuzina najpotężniejszych czarów, jakie znał.

Starał się zachować dość przytomności umysłu, żeby nie przerywać inkantacji. Mrugając z oszołomieniem, wyrzucał z siebie tajemne słowa. Kiedy wymówił ostatnią sylabę, machnął osłabioną ręką w stronę ultralotha i stwora otoczyło pole zielonej energii.

Pharaun wiedział, że czar nie wyrządził mu krzywdy. Unieвозмоił mu tylko teleportację i używanie innej magii trans-portacyjnej. Był to dziwny wybór zaklęcia, ale mag miał pewien plan.

Kiedy ultraloth zastanawiał się nad zaklęciem rzuconym przez przeciwnika, Pharaun walcząc z odrętwieniem wyjął z pi-wafwi grudkę nietoperzego guana i szczyptę sproszkowanego kwarcu. Musiał jeszcze rzucić dwa zaklęcia jedno po drugim, aby jego plan się powiódł. Trzymając guano między kciukiem a palcem wskazującym, wypowiedział słowa czaru.

Ultraloth dobył miecz i ciął z rozmachem otaczające go zielone pole. Pharaun przypuszczał, że klinga posiada zdolność absorbowania lub rozpraszania magicznych efektów.

Miecz zetknął się z magią Pharauna, zostawiając widoczne nacięcie w polu energii, które całe zawibrowało.

Ale wytrzymało. Pharaun odetchnął z ulgą i dokończył pierwsze z dwóch zaklęć. Grudka odchodów zmieniła się w koralik ognia. Wskazał ultralotha palcem i rozpoczął drugie zaklęcie.

Koralik pomknął w kierunku wskazanym palcem. Zatrzymał się tuż przed ultrolothem, ale nie eksplodował. Zamiast tego zaczął wirować, kumulując w sobie energię.

Ultrloth poznał, czym jest koralik-kulą ognistą z opóźnionym zapłonem. Stwór poruszył dłońmi o długich palcach, wykonując gesty zaklęcia, które miało zapewne zlikwidować kulę ognistą.

Pharaun pospiesznie wyrzucił sproszkowany kwarc w powietrze i szybko wypowiedział drugi czar. Skończył go w tej samej chwili, w której ultroloth dokończył swój.

Dweomer Pharauna otoczył ultrolothą oraz koralik sferą mocy. Jednocześnie zaklęcie ultrolothą - nie było to kontrzaklęcie likwidujące kulę ognistą, być może uważał, że ochronią go własne osłony - sprawiło, że wokół ciała Pharauna zapłonęło pole czarnej energii. Magia chwyciła ciało Pharauna i unieruchomiła je. Nie mógł ruszyć nawet palcem, choć pierścień wciąż pozwalał mu latać. Stał się latającym posągiem.

Dwaj przeciwnicy patrzyli na siebie nad polem bitwy, mroczny elf nieruchomy i bezbronny, ultroloth schwytny w pułapkę i niezdolny do teleportacji.

Pharaun zaczął odliczać w myślach. Cztery... trzy...

Koralik obok ultrolothą krążył coraz szybciej, żarząc się coraz jaśniej.

Ultrloth pojął, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł i rąbnął mieczem w ścianę mocy. Krawędź oręża wycięła wyrwę w kopule, ale nie dość szeroką, żeby stwór zdołał się przez nią przecisnąć.

Koralik wirował coraz szybciej, zaczynał szumieć. Ultrloth wyciął następną wyrwę, poprzeczną, i spróbował się nią wysliznąć.

Dwa...jeden...

Ultrloth przecisnął głowę i ramiona na zewnątrz globu mocy, gdy koralik Pharauna wybuchł płomieniami.

Wnętrze globu zmieniło się na chwilę w piekło. Język płomieni wystrzelił przez rozcięcie w boku sfery, oblizał głowę ul-trolotha i pomknął na dwadzieścia stóp ku niebu.

Z gardel yugolothów na polu bitwy wyrwał się okrzyk szoku.

Wewnątrz sfery eksplozja powtarzała się raz po raz. Pharaun nie wątpił, że ultroloth zabezpieczył się przed ogniem i żarem, ale żadne osłony nie mogły go uchronić przed taką burzą ognistą. Żar pochłonął ciało yugolotha, spalając jego głowę i ramiona na czarny popiół.

Kiedy ogień zgasł chwilę później, zwinięta i poczerniała łupina leżała w połowie wewnątrz, a w połowie na zewnątrz sfery. Nic więcej nie zostało z ultroloth.

Pharaun uśmiechnąłby się, gdyby tylko mógł się poruszyć.

## DWUDZIESTY PIERWSZY

Halisstra zakręciła mieczem Seyll w wygiętych w łuk plecach Danifae i była branka krzyknęła z bólu. Halisstra czerpała satysfakcję z każdego chrapliwego, wysilonego oddechu branki. Stojąca za Danifae Quenthel Baenre patrzyła na nie ze zdumieniem. Halisstra nie dbała o nią. Widziała tylko swojąbrankę. Wysoka kapłanka nie miała znaczenia.

Danifae wypuściła morgensztern z dłoni.

— Pani... Melarn - wydusiła cicho.

Halisstra uznała, że chce spojrzeć Danifae w twarz, zanim ta umrze. Puściła luźno miecz Seyll i pozwoliła swojej byłej brance odwrócić się.

Jedna trzecia klingi Seyll wystawała niczym krwawy proporzec z boku klatki piersiowej Danifae. Jej piękne szare oczy mia-

ły absurdalnie łagodny wyraz. Popatrzyła na Halisstrę i ukazała w uśmiechu zakrwawione zęby.

- Nigdy więcej nie nazywaj mnie panią - warknęła Halisstra.

Pełne usta Danifae wykrzywił ból. Uniosła rękę, jak gdyby chciała dotknąć twarzy Halisstry. Wzdrygnęła się z wysiłku.

- Halisstro - powiedziała, a każde słowo oddzielone było zbolalym oddechem. -Prze...praszam.

Halisstra dopiero po chwili zrozumiała jej słowa. Kiedy do niej dotarły, oczy wezbrały jej łzami, których nie potrafiła powstrzymać. W jednej chwili przypomniała sobie wszystko to, co dzieliła z Danifae, sekrety i ambicje. Tyle przeszły razem, tak dobrze się poznały poprzez Więzy. Z zaskoczeniem odkryła, że żałuje tego, co się stało.

- Przepraszam? — zapytała Halisstra i głos się jej załamał. - Przepraszam? Nigdy nie powinno było do tego dojść!

Danifae kiwnęła głową. Z rany wokół ostrza wystającego z jej ciała sączyła się krew. Halisstra nie trafiła w serce.

- Wiem - powiedziała Danifae, wciąż wyciągając rękę. Halisstra wbrew sobie zaczęła wyciągać rękę, ale zatrzymała się.

- Tęskniłam za tobą, pani - powiedziała Danifae. Halisstra zamrugała, powstrzymując łzy i w końcu wzięła Danifae za rękę.

- Ja za tobą t...

Z szybkością zmił Danifae złapała Halisstrę drugą ręką i przyciągnęła ją do siebie, nabijając ją na własną klingę.

Halisstra krzyknęła, gdy żelazo przebiło najpierw koleczkę, a potem ciało. Poczula, jak sztych zgrzytnął o żebra i wyszedł plecami. Ciepła krew przesiąkła jej *piwafwi*.

Powinna była wiedzieć. Powinna była wiedzieć.

Popatrzyła nad ramieniem Danifae na Quenthel.

Kapłanka Baenre uśmiechnęła się triumfująco.

Danifae objęła Halisstrę ramionami i przycisnęła ją do siebie. Halisstra poczuła przeszywający ból.

- Za nic nie przepraszam - wyszczała jej do ucha Danifae. Halisstra zwalczyła ból i odwzajemniła uścisk Danifae z równą mocą.

Obie krzyknęły z bólu.

Ich ciała zetknęły się, połączone żelazem. Ich krew zlała się. Innego rodzaju Więzy znów je zjednoczyły.

Halisstra oparła głowę na ramieniu Danifae dziwnie miękkim gestem.

- Nienawidzę cię - wyszeptwała.

Danifae pogłaskała jej włosy tak, jak robiła to podczas niezliczonych nocy w przeszłości.

- Wiem - odparła.

Jednocześnie Halisstra kochała ją, pomimo tego wszystkiego, co zaszło.

- Wiem - powtórzyła Danifae, a jej uścisk zelżał.

Halisstra nie była już w stanie tego znieść. Stękając, odepchnęła Danifae i wrzasnęła, gdy miecz wysunął jej się z ciała. Obie straciły równowagę i upadły na ziemię. Danifae była wciąż przesyta żelazem. Obie siedziały na ziemi Lolth, krwawiąc i dysząc. Quenthel Baenre obserwowała je obie.

- Teraz nastąpi koniec - powiedziała i zbliżyła się do Danifae. Żmije przy biczu wpatrywały się nienawistnie w brankę.

Syk i skwierczenie sprawiły, że Halisstra, potem Quenthel, a w końcu żmije obróciły głowy.

Wokół nich pojawiły się nycalothy, które teleportowały się z pola bitwy w dole. Jeden, trzy, osiem, tuzin - najmniejszy z nich przewyższał wzrostem nawet Quenthel. Ich mięśnie falowały pod łuskowatą skórą. Każdy dzierzył pokryty runami topór. Ich pyski wykrzywiały gniewne grymasy.

Twarcz Quenthel ściągnęła się z rozpaczy. Spojrzała na nycalothy, na Danifae, na Halisstrę. Halisstra dostrzegła w oczach

wysokiej kapłanki niezdecydowanie. Zaraz potem niezdecydowanie przeszło w śmiertelną nienawiść.

- Nie jesteś nią - powiedziała kapłanka Baenre do Danifae ostrym głosem.

Lekceważąc nycalothy, uniosła bicz do śmiertelnego ciosu, kiedy wysoko na groteskowej stercie miasta Lolth podwójne wrota świątyni Pajęczej Królowej otworzyły się na oścież. Zza podwoi wylały się promienie fioletowego światła.

Halisstra miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Ruch ustał. Każda istota, w której polu widzenia znajdowało się miasto Lolth - yugolothy, drowy, demony i draegloth - znieruchomiała. Wszystkie oczy zwróciły się ku nieskończonej pajęczynie, ku miastu Pajęczej Królowej.

Szeregi pajęczaków zebranych na przeciwnym końcu równiny zafalowały w oczekiwaniu. Odgłos, jaki z siebie wydały, przypomniał Halisstrze szum ulewy, którą przeżyła w Świecie Ponad.

Serce waliło jej jak młotem, oddychała szybko. Ścisnęła złamane Księżycowe Ostrze w garści tak mocno, że bała się, iż pęknie jej skóra. Prawie nie czuła rany. Danifae leżała kilka kroków dalej, twarzą do miasta, z szeroko otwartymi oczyma, oddychając płytko. Jej płaszcz był przesiąknięty krwią. Z ust branki wydobywał się szept - zmawiała modlitwę uzdrawiającą, potężną modlitwę. Miecz Seyll wysunął się z jej ciała, a rana zasklepiła. Halisstra powtórzyła modlitwę jak echo i zamknęła własną ranę.

Quenthel nie zauważała żadnej z nich. Stała i wpatrywała się w miasto Lolth, zastygła, z biczem wciąż wzniesionym do ciosu.

Wiszące w powietrzu nad Równiną dusze skwierczały, wijąc się z bólu i wyzbywając wszelkiej słabości.

Nagle ku świątyni zawiął silny wiatr, który przeszedł w wichurę, a potem nawalnicę. W jej wrzasku słyhać było głos Lolth, dźwięk wielu głosów, siedmiu głosów z wizji Halisstry: *Yor 'thae*.

Nycalothy wokół nich wymieniły spojrzenia. Halisstra dojrzała w ich oczach strach i niepewność.

Bez ostrzeżenia zniknęły, teleportując się tam, skąd przybyły. Ich odwrót udzielił się szybko reszcie armii, która też rzuciła się do ucieczki. Klurichir, który miał poszarpaną skórę i oderwany jeden szczypec, zebrał drugim garść mezzolothów i też zniknął. Chmara pajaków rozproszyła się, stwory wracały do swoich górskich kryjówek. Nieumarłe mezzolothy ożywione przez ultrolotha runęły na ziemię, nieruchome jak ona.

Wszędzie na Równinie Ognia Dusz leżały trupy. Pharaun Mizzrym wisiał w powietrzu nad poszarpaną krainą, dziwnie nieruchomo. Halisstra nie widziała nigdzie Jeggreda Baenre.

- Dokonała wyboru - oznajmiła Danifae i podniosła się z ziemi.

Halisstra zrobiła to samo.

Ciało Quenthel Baenre przeszył dreszcz, ale Halisstra nie była pewna, czy to oznaka ekstazy, czy strachu.

Pharaun nie był w stanie mówić ani się ruszać. Kontrolował lot pierścieniem, który wypełniał jego mentalne rozkazy. Po bokach ciekła mu krew z ran zadanych przez nycalothy.

Słyszał wołanie Lolth, widział, jak jej świątynia się otwiera, ale nic go to nie obchodziło. Jeśli nie otrzyma pomocy od jednej z kapłanek Lolth, wkrótce umrze z upływu krwi.

Zmienił pozycję w powietrzu, aby widzieć ziemię. Jakiś ruch w dole przyciągnął jego wzrok. Spod sterty trupów mezzolothów, zataczając się, wygramolił się zakrwawiony Jeggred. Jedno ramię miał oderwanew łokciu, a zjednego oka została tylko krwawa jama. Draegloth nie patrzył na świątynię Lolth, ale w górę dróżki prowadzącej ku Ścieżce Pożeracza Dusz, gdzie stały trzy kapłanki.

Halisstrze Melarn udało się ich dogonić.

Quenthel, Danifae i Halisstra stały wysoko nad polem bitwy, wpatrzone w przybytek Lolth. Przypominały Pharunowi królowe ogłądające swe królestwo.



W powietrzu wokół maga dusze wciąż płonęły w fioletowym ogniu. Po oczyszczeniu leciały dalej ku miastu Lolth.

Pharaun wiedział, że kapłanki też zostały oczyszczone. On również. A także, w pewnym sensie, Jeggred.

Poleciał ku nim, zdziwiony, że nie pozabijały się nawzajem.

Pharaun przypuszczał, że wołanie Lolth okazało się silniejsze niż ich wzajemna nienawiść. Głos Pajęczej Królowej kontrolował konflikt między nimi, tak jak jej kult kontrolował konflikt powszechny w społeczeństwie drowów.

Świat rozmazał mu się w oczach, ale siłą woli odzyskał przytomność. Słabł. Chciał zawołać Quenthel, ale nie mógł mówić. Leciał ku ścieżce.

Kapłanki zauważyły go. Halisstra podniosła miecz z ziemi, ale żadna z nich nie zrobiła nic, żeby mu pomóc. Opadł na ziemię przed Quenthel.

Zza pleców, z dołu, usłyszał Jeggreda sadzącego susami w górę stoku.

- Twój samiec wrócił - powiedziała Danifae z drwiną, choć Pharaun odnotował z satysfakcją, że wzdrygnęła się z bólu.

- A twój wraca - rzuciła Quenthel przez ramię, mając na myśli Jeggreda.

Kapłanka Baenre przyglądała się Pharaunowi przez chwilę z dziwnym wyrazem twarzy. Mistrz Sorcere poznał po jej spojrzeniu, że jego życie wisi na włosku.

- Możesz latać dzięki pierścieniowi, ale oprócz tego jesteś unieruchomiony? — zapytała.

Pharaun nie mógł odpowiedzieć.

- Wystarczy kontrzaklęcie - stwierdziła Quenthel.

Pharaun westchnąłby z ulgą, gdyby tylko mógł.

Quenthel wypowiedziała zaklęcie, a kiedy skończyła, Pharaun nadal nie mógł się ruszać.

Mroczny uśmiech przeciął twarz wysokiej kapłanki.

- Koniec z lataniem - powiedziała.

Sprawdził czy nie kłamie, rozkazując pierścieniowi, by go uniósł. Nadaremnie.

Dziwka zniweczyła magię jego pierścienia!

- Bogini wzywa mnie, mistrzu Mizzrym - oznajmiła. - Spełniłeś swoje zadanie, tak jak wszystkie samce. Ale teraz twoja dusza należy do niej.

Zza skał, dysząc i krwawiąc, wypadł Jeggred. Poszarpany kikut ręki draeglotha broczył szkarłatem.

- Pani - zwrócił się do Danifae, spoglądając na Quenthel i Pharauna z nieskrywaną nienawiścią.

Danifae popatrzyła na Jeggreda, na Pharauna, a potem na Równinę Ognia Dusz.

- Bogini wzywa nas, Quenthel Baenre - sprostowała. A do Jeggreda powiedziała: - Znieś mistrza Mizzryma na równinę w dole i zostaw go tam. Jak powiedziała mistrzyni Quenthel, jego dusza należy do Pajęczej Królowej.

Pharaun miał ochotę zakląć, rzucić czar, ale nie mógł zrobić nic. Serce waliło mu w piersi jak młotem.

Jeggred nie zadawał pytań. Uśmiechnął się łakomie do czardzieja i wyciągnął ku niemu bojowe ramiona.

Maga przeszył dreszcz. Ultroloth nie rozproszył zaklęcia ewentualności. W chwili, w której draegloth go dotknie, pojawi się magiczna pięść. Pharaun mógł kontrolować ją umysłem. Stężał, przygotowując się.

Jeggred przekrzywił łeb i odsunął się.

- Powiedział, że rzuci zaklęcie ewentualności, więc kiedy go dotknę... - Jeggred nie dokończył, wpatrując się w maga. Pharaunowi serce zamarło w piersi. Dlaczego draegloth dopiero teraz postanowił wykazać się odrobiną inteligencji? Danifae cmoknęła.

- Nigdy nie grzeszyłeś subtelnością, mistrzu Mizzrym - powiedziała i wyskandowała kontrzaklęcie. Kiedy skończyła, czar ewentualności przysł.

- Teraz, Jeggred - powiedziała.  
- Żegnaj, samcze - dodała Quenthel głosem wyczutym z jaskichkolwiek emocji.

Jeggred porwał go w ramiona bojowe i zbiegł ścieżką w dół. Kiedy dotarł na równinę, obrócił Pharauna tak, aby znaleźli się twarzą w twarz.

- Wolałbym zabić cię sam - powiedział draegloth. - Co? Żadnej ciętej riposty?

Draegloth zaśmiał się i jego cuchnący oddech poleciał Pharaunowi w twarz.

Mistrz Sorcere nie mógł uwierzyć, że jednym z ostatnich zmysłowych doznań w jego życiu będzie cuchnący oddech Jeggreda.

Jeggred oddalił się trochę od zbocza góry i rzucił Pharauna na skalistą ziemię. Mag wylądował na boku, z twarzą zwróconą ku Nieskończonej Pajęczynie, ku miastu Lolth i zastępom pajęczaków zebranych na Równinie Ognia Dusz.

Z góry dobiegł go głos Danifae:

- Oszczędzaj siły, jeśli zdołasz, Jeggredzie Baenre. Zostałam wezwana do świątyni.

Potem Pharaun usłyszał słowa zaklęcia. Po kilku chwilach każda z trzech kapłanek przeleciała nad nim pod postacią szarego oparu. Szybko jak bełty z kusz, jak gdyby się ścięły, pomknęły wreszcie na spotkanie Lolth.

Kiedy kapłanki zniknęły w oddali, zastęp pajaków na drugim końcu równiny zaczął się ruszać. Pharaunowi przypomniawszy się Horda i myśl ta zaniepokoiła go.

Bez żadnego ostrzeżenia pająki runęły przed siebie. Pharaun patrzył, jak się zbliżają, ściana oczu, szponów, odnóży i kłów. Ich nadejście brzmiało jak szum wody. Biegnąc, pożerały poległych, w jednej chwili oskubując ich z mięsa do kości. Miał nadzieję, że wykrwawi się na śmierć, nim go dopadną.

Za sobą usłyszał, jak Jeggred przeklina, a potem dobiegł go odgłos kroków draeglotha wspinającego się z powrotem ku Ścieżce Pożeracza Dusz.

Głupiec poszedł wreszcie po rozum do głowy, pomyślał mag.

Pharaun nie mógł nawet zamknąć oczu. Mógł tylko patrzeć na nadciągającą falę i czekać, aż zostanie pożarty żywcem. Krew nie uchodziła z niego wystarczająco szybko.

Patrzył, jak zgraja obiera z mięsa jednego trupa za drugim. Wiedział, że jego ostatnim doznaniem nie będzie smród Jeg-greda. Będzie nim ból.

## DWUDZIESTY DRUGI

Razem, lecz osobno, Danifae, Halisstra i Quenthel mknęły z wiatrem nad Równiną Ognia Dusz, nad zastępem Lolth, nad Nieskończoną Pajęczyną, ku miastu Lolth. Kapłanki wylądowały na kamiennym parapecie otaczającym świątynię w kształcie piramidy i odzyskały cielesną postać.

Quenthel rzuciła Danifae nienawistne spojrzenie.

Patrząc na gigantyczną piramidę, Halisstra odniosła dziwne wrażenie, że już to wszystko przeżyła. Zajrzała do środka świątyni i odkryła, że wygląda niemal identycznie jak w jej wizji. Pochyle ściany były pokryte pajęczynami. W nawie prowadzącej na podest stały szeregiem mieszańce drowek i gigantycznych wdów. Po obu stronach podestu stały yochlole, których zniekształcone, oślizłe ciała wydawały się dziwnie eleganckie.

Z boków wyrastało im osiem ramion-macek. Yochlole nie miały twarzy i tylko pojedyncze czerwone oko wpatrywało się w kapłanki ze szczytu słupowatych, amorficznych ciał.

Lolth siedziała na szczycie podium w postaci ośmiu pajaków, ośmiu gigantycznych wdów. Potęga, jaką emanowała, prawie rzuciła Halisstrę na kolana. Pajęczyny wystawały z jej ciała we wszystkich kierunkach, sięgały ścian, przenikały przez nie i sięgały w multiwersum.

Jej sieć osnuwa wszystko, pomyślała Halisstra.

Stojące obok niej Danifae i Quenthel wpatrywały się w boginię z nabożnym zachwytem. Padły przed nią plackiem.

Głos Lolth rozbrzmiał w głowie Halisstry, z pewnością w głowach ich wszystkich.

*Wejdz, Yor'thae.*

Prawie jednocześnie kapłanki wstały i przestąpiły próg. Halisstra nie była pewna, która z nich zrobiła pierwszy krok.

Szły nawą ramię w ramię. Mijane otchłanne wdowy falowały. Osiem kompletów oczu Lolth obserwowało je, gdy się zbliżały. Halisstra nie mogła oderwać od nich wzroku. Największy z ośmiu pajaków siedział w samym środku. Tak jak w jej wizji wydawał się dziwnie spokojny, jak gdyby czekał.

Uświadomiła sobie, że się modli, przy każdym kroku szepcząc pod nosem supliki. Danifae i Ouenthel robiły to samo. Wszystkie trzymały dłonie na swoich świętych symbolach -różnych świętych symbolach.

Dotarły do podestu i stanęły, małe i nic nieznaczące, przed ośmioma aspektami swej bogini. Każdy z ośmiu pajaków był wielkości Jeggreda, a ósmy jeszcze o połowę większy. Halisstra nie mogła oderwać wzroku od pustych oczu ósmego pajaka.

Osiem wcieleń Lolth patrzyło na nie z góry. Były skończonymi drapieżnikami. Żadna skaza nie szpeciła czarnych, lśniących pancerzy pokrywających ich ciała. Każde z długich, zgrabnych odnóży kończyło się szponem długości przedramienia

Halisstry. Czarne plamki oczu odbijały to, co widziały, nie wyjawiały nic i nie miały litości. Siedem par szczękoczułek poruszało się w siedmiu najeżonych kłami otworach gębowych. Ósmy pająk stał nieruchomo, czekając.

Wzrok Lolth najpierw padł na Danifae, potem na Halisstrę i Quenthel.

Każda z kapłanek po kolei padła na kolana. Każda pochyliła głowę i wbiła wzrok w podłogę. Żadna nie śmiała się odezwać.

Halisstra oblała się potem. Oddychała z trudem. Kręciło jej się w głowie.

Lolth wybrała ją?

Myśl ta jednocześnie podniecała ją i odpychała.

*Tylko jedna z was opuści moją świątynię żywa*, przesłała Lolth, a jej siedem głosów wbiło się Halisstrze w głowę jak igły.

Każda z kapłanek spojrzała z ukosa na pozostałe.

Z przerażającą gwałtownością ósme ciało Lolth zerwało się z miejsca, rzuciło do przodu i chwyciło Danifae w pysk.

Branka krzyknęła raz.

Pajęcza Królowa uniosła Danifae z podłogi, nabiła na kły i wysysała do sucha. Krew i płyny ustrojowe ściekały po pysku bogini, tworząc kałużę wokół Quenthel i Halisstry. Danifae zamachała spazmatycznie nogami i skoła. Potem Lolth pożarła jej mięso i kości, a ubranie i rynsztunek cisnęła z brzękiem na posadzkę.

Pozostałe siedem pająków obserwowało całe zajście tak nieruchomo, jak wcześniej ósmy.

Halisstra oddychała tak szybko, że bała się, iż zaraz zemdleje. Czowała na sobie wzrok Quenthel, więc odwróciła głowę. Na twarzy kapłanki Baenre widniał ekstatyczny grymas, gdy marmotała swe supliki.

*Tylko jedna z was opuści świątynię żywa*.

Ósmy pająk stanął nad Halisstrą. Halisstra mogła policzyć włoski na odnóżach bogini. Zacisnęła powieki i modliła się

dalej. Uświadomiła sobie, że wciąż ma w ręku miecz Seyll. Pozostałe siedem pajaków postąpiło ochoczo naprzód.

Halisstra ścisnęła klingę tak mocno, że zabolęły ją knykcie.

Czekała na dotyk kłów. Mijały długie chwile.

Trzask. Wilgotny odgłos rozrywania. Usłyszała w głowie wrzask Lolth i to wystarczyło, żeby razem z Quenthel padły plackiem na zakrwawioną posadzkę. Z wysiłkiem dźwignęła się na czworaki, otworzyła oczy i podniosła głowę. Musiała dać świadectwo.

Przed nią siedem wcieleń Lolth rozrywało ósme, pożerając swą siostrę. Własnymi szczękoczułkami cięły odnóża ósmej pajęczycy. Ósma drgała spazmatycznie na podium, wprawiając pasma pajęczyny w drzenie, wysyłając drgania w całe multi-wersum. Egzoszkielet pękł w stu miejscach.

Za plecami Halisstry otchłanne wdowy poruszyły się niespokojnie. Siedem pajaków cofnęło się, ochłapy ósmego wciąż zwisały im ze szczęk. Dwa yochlole pospieszyły do rozszarpanego ciała. Wśliznęły się na podium i każdy owinął osiem macek wokół ośmiu odnóży, odwłoka i tułowia. Zaczęły rozrywać ósmą wdowę, przesuwając się metodycznie od jednego odnóża do następnego.

Lolth znów wrzasnęła głosami ośmiu kobiet. Ciemna ciecz pociekła ze szczelin w ciele ósmego pajaka, posoka, która rozlała się na podłozie wokół Halisstry i złączyła z krwią Danifae. Fragmenty pancerza Lolth opadły kawałkami na posadzkę.

Halisstra zerwała się z przerażeniem z ziemi. Co się działo? Spadła o stopień w dół, wpatrując się wielkimi oczyma w swą boginię. Quenthel też wstała i zatoczyła się krok w tył z niepewnością w oczach.

Przez szereg otchłannych wdów przeszedł szmer. Yochlole wróciły na swoje miejsce obok podium.

Pancerz Lolth rozpadł się z wilgotnym chrupnięciem i znie ruchomiął. Posoka sączyła się z pajęczego ciała, mocząc stopy Halisstry.



W świątyni zapadła cisza jak makiem zasiał.

Halisstra nie wiedziała, co powiedzieć, co zrobić. Quenthel sprawiała wrażenie oszołomionej.

Halisstra otworzyła usta i...

Poruszenie na podium wśród sterty włosów, mięsa i posoki.

Jednym ruchem Pajęcza Królowa wyrwała się ze starej powłoki swego ósmego ciała z jeszcze głośniejszym, mokrym chrupnięciem. Wynurzyła się z boskiej wylinki i stała, mokra i lśniąca, przed Halisstra i Quenthel.

Danifae Yauntyrr.

*Yor 'thae.*

Ósma Twarz Królowej Pajęczych Otchłani.

Lolth przeobraziła się.

Halisstra nie była w stanie się poruszyć, nie była w stanie myśleć.

Tylka jedna z was opuści to miejsce żywa, obiecała Lolth.

Halisstra padła na kolana i czekała na śmierć.

Poklepywanie po policzku przywróciło Gromphowi przytomność.

- Arcymagu - powiedział głos, głos Pratha. - Arcymagu, otwórz oczy.

Gromph zamrugał, otworzył oczy i zobaczył nad sobą zaniepokojoną twarz Pratha Baenre. Leżał na posadzce własnego gabinetu, twarzą do sufitu.

Młodzieńczą twarz Pratha rozjaśnił uśmiech.

- Pojawiłeś się znikąd, cały poparzony i upadłeś na ziemię. Leżysz tak od ponad godziny. Bałem się ciebie ruszać, bałem się zostawić cię samego. Cieszę się, widząc cię wśród żywych, arcymagu.

Gromph uśmiechnął się i jego poparzone wargi popękały.

- Podzielam twą radość, uczniu. Ale...?

Prath tylko pokręcił głową, wciąż się uśmiechając.

Ostatnią rzeczą, jaką Gromph pamiętał, była próba rzucenia zaklęcia teleportacyjnego, aby uciec przed eksplozją wywołaną przez główne zabezpieczenie. Nie zdążył rzucić go na czas, więc jak...

Zaklęcie ewentualności. Zapomniał o nim w ogniu wydarzeń, ale absorpcja wymiarowej blokady przez główne zabezpieczenie pozwoliła mu uciec z miejsca wybuchu.

Ale dopiero po tym, jak jego ciało zostało „pochłonięte przez magiczną energię”. I nie miał na palcu pierścienia, który mógłby go uleczyć. Zostawił go na ciele Larikal.

- Teraz, kiedy się obudziłeś, arcymagu - powiedział Prath - poślę po kapłankę.

Gromph potrząsnął głową, co przyprawiło go o promieniujący ból szyi.

- Nie. - Nie miał ochoty tłumaczyć swoich powodów. -Nie, uczniu. - Gromph miał przedziwne wrażenie, że jeszcze raz przeżywa wypadki ostatnich godzin. Nie tak dawno był w bardzo podobnym stanie, ale wtedy, po walce z liczdrowem, nad jego poparzonym ciałem pochylał się Nauzhror.

Wydarzenia zatoczyły pełne koło.

Prath popatrzył na niego z góry, omiótł wzrokiem jego ciało i stwierdził:

- Jesteś ciężko poparzony, arcymagu.

Gromph dobrze o tym wiedział. Skórę miał sztywną, jak gdyby została wyprawiona. Bał się spojrzeć na swoje ręce. Wolał się nie ruszać i to jeszcze przez długi czas.

- Prath, trzymam balsamy uzdrawiające w metalowej puszcze w pierwszej pozawymiarowej przegródce trzeciej szuflady po lewej stronie biurka. Przynieś je.

Prath wstał i Gromph prawie złapał go za rękę.

- Zaczekaj! - zawołał. - Co z domem Agrach Dyr?

Cichy szum powietrza zapowiedział działanie zaklęcia tele-portacyjnego.

Musiał z powrotem uruchomić osłony. Nikt nie powinien być w stanie teleportować się do jego gabinetu.

- Arcymagu! - zawołał głos.

Nauzhror.

Kroki, a potem nad arcymagiem pojawiła się pulchna twarz mistrza Sorcere. Gromph zauważył, jak na widok poparzeń twardnieją mu rysy twarzy.

- Żyjesz - powiedział Nauzhror. - Cieszę się. - Przez ramię rzucił: - Uczniu! Poślij po kapłankę!

Gromph potrząsnął głową.

- Prath przyniesie mi balsamy uzdrawiające z mojego biurka, mistrzu Nauzhrorze. Mam dość zainteresowania kapłanek Lolth moją osobą.

Spróbował się roześmiać, ale zaniósł się bolesnym kaszlem.

Nauzhror uśmiechnął się i kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Rozumiem, że filakterium zostało zniszczone? - zapytał Grompha.

Arcymag zdołał skinąć głową.

- Zniszczone - rzekł. - Właśnie pytałem Pratha o dom Agrach Dyrr.

Nauzhror kiwnął głową.

- Wybuch całkowicie pochłonął świątynię, arcymagu, wraz z wieloma żołnierzami. Dzięki temu Xorlarrinom udało się wreszcie zdobyć mury. Wydawało się, że dom Agrach Dyrr legnie w gruzach, obrócony w perzynę przez Xorlarrinów. Ale...

- Ale? - zapytał Gromph.

- Ale pojawiła się matka opiekunka Baenre z kontyngentem sił naszego domu i powstrzymała atak. Spotkała się z Anival Dyrr, teraz zapewne matką opiekunką Agrach Dyrr, i wygląda na to, że doszły do porozumienia. Dom Agrach Dyrr przetrwa jako dom wasalny domu Baenre.

Gromph uśmiechnął się mimo bólu. Anival i dom Agrach Dyr będą mieć dług wdzięczności wobec Triel przez wieki, w zasadzie staną się przedłużeniem domu Baenre. Jego siostra zaskoczyła go po raz kolejny. Zanotował sobie w pamięci, żeby już nigdy jej nie lekceważyć.

- Oddałeś miastu wielką przysługę, arcy maga - rzekł Na-uzhror.

- W rzeczy samej - powtórzył jak echo Prath, podnosząc głowę znad biurka.

Gromph kiwnął głową. Wiedział o tym. Ale dojście do siebie będzie długotrwałe, zarówno jego, jak i miasta. Przez chwilę zastanawiał się, co się stało z duergarskim toporem, którym zniszczył filakterium i spętał duszę Liczdrowa. Zostawił go w świątyni.

Odepchnął od siebie te myśli. Liczdrow został unicestwiony. Raz na zawsze.

Miał taką nadzieję.

- Balsamy uzdrawiające, uczniu - zawołał do Pratha.

Quenthel patrzyła w twarz Lolth, w twarz Danifae, usiłując zapanować nad gniewem, nad rozczarowaniem, nad wstydem.

Danifae Yauntyrr, bezdomna branka, została *Yor 'thae* Lolth.

Miotająca nią wściekłość była tak wielka, że z trudem mogła oddychać. Jej wstyd był tak przygniatający, że ledwo stała. Halisstra leżała plackiem na ziemi obok niej. Wysoka kapłanka spojrzała na nią, spojrzała na osiem wcieleń Lolth, na postać Danifae wystającą z największego ciała, i powoli, z wielkim trudem, położyła głowę na podłodze.

Quenthel mogła nie być *Yor 'thae*, ale nadal była wierną służką Lolth.

Kiedy podniosła oczy, odważyła się zapytać:

- Dlaczego?

W jej głos wkradła się złość, której dała zaraz upust.

- Po co mnie wskrzesiłaś? - zapytała. - Po co uczyniłaś mi strzynią Arach-Tinilith, jeśli tylko... po to?

Przypomniały jej się te wszystkie okazje, kiedy mogła zabić Danifae, i wyrzucała sobie ten błąd. Była idiotką, arogancką idiotką.

Osiem ciał Lolth przyskoczyło do niej, ósmy w środku. Qu-enthel była pewna, że zginie, ale zamiast tego Danifae - Lolth! - wyciągnęła drowią rękę i pogładziła ją po włosach niewytłumaczalnie łagodnym gestem. Kiedy przemówiła, jej głos był ośmioma głosami, ale głos Danifae był najbardziej donośny.

- Szukasz powodów, córko, celu, i w tym leży twa ułomność. Nie widzisz tego? Chaos nie daje odpowiedzi, nie ma celu. Jest tym, czym jest, i to wystarcza.

Quenthel usłyszała te słowa i zrozumiała, jak bardzo zawiodła swoją boginię. Zawiodła swój dom i samą siebie.

Nie potrafiła zapłakać nad swą porażką, nie przed swoją boginią, zwłaszcza nie przed swoją boginią. Nie da Danifae, a raczej temu, co zostało z Danifae, tej satysfakcji.

Uniosła głowę i spojrzała w szare, drowie oczy Lolth - oczy Danifae.

- Zabij mnie zatem. Nie będę prosić o życie.

Prawie dodała bluźniercze „cię”, mając na myśli Danifae. Ale Danifae nie była już tylko Danifae i Quenthel musiała się z tym pogodzić. Danifae była częścią Lolth, Pajęczej Królowej, Królowej Pajęczych Otchłani, boginią Quenthel, i to w postaci wspanialszej niż dotychczas.

Wargi Lolth uniosły się w uśmiechu, odsłaniając nie zęby, ale pajęczę kły.

- I właśnie dlatego będziesz żyć - oznajmiła Lolth.

Quenthel nie była pewna czy czuje ulgę, wstyd, czy jedno i drugie. Nie powiedziała nic, tylko skinęła głową.

- Opuść moją świątynię, mistrzyni Arach-Tinilith - powie działa Lolth. - Wróc do Menzoberranzan i bądź dalej głową mojego kultu w tym mieście. Opowiedz o tym, co tu widziałas.

Znów pogłaskała włosy Quenthel, tym razem mniej delikatnie, jak gdyby starała się opanować żądzę mordy.

- Teraz - poleciała bogini. Ruchem głowy wskazała Halisstrę i dodała. - Ją zostaw mnie.

Quenthel nie protestowała. Wstała, odwróciła się i przeszła między otchłannymi wdowami, opuszczając świątynię.

Halisstra nie była w stanie się poruszyć. Słyszała, jak Pajęczka Królowa rozmawia z Quenthel, ale słowa nie docierały do niej, po prostu przelatywały jej mimo uszu.

Danifae była *Yor 'thae*. Lolth odrodziła się.

Po pewnym czasie Quenthel odwróciła się, rzuciła Halisstrze ostatnie spojrzenie, w którym nienawiść mieszała się z szacunkiem, i wyszła ze świątyni.

Halisstra miała umrzeć.

Bogini patrzyła na nią. Czuła na sobie ciężar spojrzeń Lolth. Czekała na ukąszenie klów bogini, które widziała w swojej wizji.

Nie nadeszło.

Ośmieliła się spojrzeć w twarz Lolth i zobaczyła w niej Danifae, ale też o wiele więcej. Wciąż ścisnęła miecz Seyll. Wypuściła go i odsunęła od siebie.

- Przepraszam, bogini - powiedziała do Lolth i ukorzyła się przed nią. - Wybacz mi.

Wiedziała, że nie ma słów na opisanie jej zdrady. Tańczyła dla Eilistraee na planie Lolth, wzniosła świątynię Mrocznej Panny na szczycie iglicy Pajęczkiej Królowej. Była najgorszym rodzajem heretyczki.

Wszystkie osiem aspektów Lolth patrzyło na nią, cisza przeciągała się. Kiedy bogini wreszcie przemówiła, jej głos należał włącznie do Danifae, ale był nabrzmiął mocą i gruby ze złości.

- Zbyt długo przebywałaś z dala ode mnie, córko - odparła Lolth. - Ja nie przebaczam.

Lolth nachyliła się nad nią. Siedem pozostałych wdów otoczyło ją. Halisstra nie była w stanie się poruszyć. Serce waliło Halisstrze w piersi jak oszalałe.

Dźwięczny głos Lolth, należący do Danifae bardziej niż kiedykolwiek przedtem, wyszeptał jej do ucha:

- Żegnaj, pani Melarn. Nie jesteś tym, kim mogłabyś być.

Halisstra wrzasnęła, kiedy kły bogini wgrzyły jej się w kark niczym dwa kolce bólu. Pozostałe siedem pajaków przyskoczyło do niej i zatopiło zęby w jej ciele. Ból był przejmujący, wszechogarniający. Jad sprawił, że płonęła jej skóra, a całe ciało zajęło się ogniem. Ból i niewytłumaczalne cierpienie sprawiły, że całą jej postać wstrząsnął spazm. Świat zamazał jej się przed oczyma. Otworzyła usta, żeby przekląć Lolth, podziękować jej, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Życie powoli z niej uchodziło. Do głowy przyszło jej pytanie, co się stanie z jej duszą po śmierci. Chciała zostać unicestwiona tak jak Seyll.

Uśmiechała się, czekając na koniec.

Ale jad Lolth nie zabił jej. Zawisła między życiem a śmiercią.

- Nie licz na śmierć, zbłąkana córko - powiedziała Lolth wszystkimi ośmioma głosami. - Twoje grzechy są zbyt wielkie, abym pozwoliła ci tak łatwo odejść. Za swoją apostazję będziesz służyć mi przez całą wieczność jako moja Pokutnica... moja branka - powiedziała głosem Danifae - ani żywa, ani martwa. Twoim obowiązkiem będzie przelewanie krwi heretyczek czczących moją córkę, syna i byłego małżonka. Ból nigdy cię nie opuści. Napędzać cię będzie nienawiść. A poczucie winy będzie cię nękać, ale nigdy nie wstrzyma twej ręki. Taka będzie twoja pokuta. Twoja wieczna pokuta.

Przeżazona Halisstra usiłowała uchwycić się śmierci. Na próżno.

- Nie ma ucieczki - rzekła Lolth. - Tak jak ja, zostaniesz przeobrażona i wskrzeszona.

Ósme wcielenie Pajęczej Królowej złapało Halisstrę nogo-głaszczkami i podciągnęło pod odwłok. Halisstra obwisała bezwładnie w objęciach bogini. Z kądziółków przednich Lolth wy-snułajedwabną przędzę i z przerażającą zwinnością owinęła nią Halisstrę.

Została owinięta kokonem. Zaczynał się u stóp i pełził w górę ciała. Prawie go nie czuła. Prawie nic nie czuła. Pasma przędzy zasłaniały jej oczy, widziała tylko ciemność. Lolth upuściła ją na ziemię.

Jad Lolth przeobraził ją wewnątrz kokonu. Powróciła z krawędzi śmierci. Jad nasączył jej duszę, przesywając ją bólem, który miał trwać wiecznie. Poczowała, że coś przenika przez jej skórę.

Moc Lolth sondowała jej serce i odnalazła w nim nienawiść, której Halisstra nigdy nie zdołała stłamsić, odnalazła w nim wybaczenie i miłość, których nigdy nie potrafiła pielęgnować. Dotyk Lolth pozwolił nienawiści rozkwitnąć w pełni i sprawił, że słabość miłości i wybaczenia skurczyły się do pojedynczego ziarenka.

Skóra Halisstry stała się równie twarda jak jej dusza. Siła i rozmiary wzrosły, dorównując targającej nią nienawiści. Ból odrodzenia był przeraźliwy. Otworzyła usta i wrzasnęła. Wydobył się z nich syk. Przesunęła językiem po wargach i poczuła kły. Rozerwała kokon z nowoodkrytą siłą i uwolniła się z niego. Wypadła z niego na posadzkę świątyni pokryta śluzem.

Yochlole pospieszyły ku niej i wytarły ją do czysta swoimi mackami. Osiem ciał Lolth wycofało się do swojej pajęczyny. Skończyły z nią.

Obok siebie Halisstra zobaczyła miecz, miecz Seyll. Zamknęła dłoń na jego rękojeści i wstała.

Z klingi strzeliły fioletowy płomień.



Jakaś jej cząstka ukryta na dnie duszy patrzyła na to wszystko ze zgrozą. Drobną cząstką jej dawnej osoby, ta cząstka, która znajdowała radość w tańcu pod księżycem, mogła tylko patrzeć i rozpacać.

Reszta pamiętała dawne życie, życie pełne poświęceń, władzy i rozpusty. Patrzyła na trzymaną w dłoni klingę, nie mogąc się już doczekać, kiedy jej użyje.

Może Las Velara, pomyślała Pokutnica i uśmiechnęła się mimo bólu.

- Witaj w domu, córko - powiedziało osiem głosów Lolth.

Quenthel stała przed świątynią. Nie obejrzała się za siebie, nawet gdy usłyszała krzyk Halistry Melarn. Spojrzała w niebo. W górze płonęło czerwienią osiem satelitów Lolth, wszystkie równie jasno. Ósmy odrodził się.

Przełknęła frustrację, wzięła w dłoń święty symbol, pomodliła się do Lolth i po raz kolejny przybrała postać wiatru.

Oderwała się od świątyni, przeleciała nad rojącym się od pajaków miastem Lolth i nad Nieskończoną Pajęczyną ku zamgłonej Równinie Ognia Dusz. Na płaskowyżu wciąż tłoczyły się yochlole, otchłanne wdowy i pająki.

Wylądowała na ziemi i przybrała swą zwykłą postać wśród milionów pajęczaków. Żaden nie zwracał na nią uwagi.

Po stoczony niedawno bitwie z yugolothami nie było prawie śladu. Horda obrała pole bitwy do czysta.

Tak jak wcześniej dusze wylatywały ze Ścieżki Pożeracza Dusz, a potem wpadały w fioletowe płomienie Równiny Ognia Dusz, gdzie płonęły i wiły się, aż zostały całkowicie oczyszczone z wszelkiej słabości. Quenthel zastanawiała się, na jak długo jej własna dusza zawiśnie w powietrzu, gdy będzie ponownie przemierzać ten płaskowyż.

Zobaczyła jakieś poruszenie w pobliżu występu skalnego u wylotu Ścieżki Pożeracza Dusz. Jakaś ogromna postać wołała ją i biegła w dół zbocza - Jeggred.

Szła po spękanej ziemi na spotkanie siostrzeńca. Draegloth mknął równiną między pajęczakami i rozpadlinami. Cały był pokryty posoką. Z pazurów wciąż zwisały mu strzępy skóry yugolothów. Jego własna skóra była pokryta niezliczonymi zadrapaniami, rozcięciami i sączącymi się ranami, poobijana i popękana jak ziemia wokół nich. Z jednego z ramion półdemona został tylko krwawy kikut. Gdy zbliżył się do niej, zwolnił, najwyraźniej zaskoczony jej widokiem.

Zmrużył oczy w niemym pytaniu, a potem spojrział ku miastu i świątyni.

- Wiedziałem - powiedział, szczerząc zęby jak głupiec, który był. - To ona.

Bicz Quenthel ukąsił go. Draegloth skoczył ku niej, wznosząc szpony do ciosu, ale jej spojrzenie osadziło go w miejscu.

- Miałaś szczęście, głupcze - powiedziała, a nagromadzona wściekłość wyostrzyła jej głos. - Lolth odrodziła się i wszystko jest po staremu. Odpowiadasz przed domem Baenre.

Żmije przy biczu wysunęły języki i zasyczały.

Jeggred wpatrywał się w nią z niezdecydowaniem w oczach.

- Nieposłuszeństwo zostanie surowo ukarane, samcze - do dała.

Jeggred oblizał wargi, pochylił głowę i ugiął kolano.

- Tak, mistrzyni.

Quenthel uśmiechnęła się. Płaszczący się Jeggred dał jej pewną satysfakcję, ale wciąż było jej mało. Patrzyła na czubek głowy draeglotha, zastanawiając się. Jej złość była nienasycona.

Zaintonowała modlitwę i rzuciła zaklęcie, które naładowało jej dotyk taką mocą, że mógł zabić prawie wszystko.

Jeggred słyszał, jak rzuca czar, i podniósł na nią nieufne spojrzenie. Quenthel uśmiechnęła się do niego.

- Dobrze służyłeś Pajęczej Królowej, siostrzeńcze -powie  
działa i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go po grzywie.

Jeggred rozluźnił się w widoczny sposób.

Uśmiech zniknął z twarzy Quenthel. Złapała garść szorstkich  
włosów draeglotha i wyładowała na nim całą swą nienawiść,  
całą wściekłość, całą moc zaklęcia.

Czar uderzył w Jeggreda z siłą młota olbrzymów. Jego kości  
ugięły się i popękały, skóra rozdarła się, z uszu, oczu i pyska  
trysnęła krew. Runął na ziemię, tarzając się z bólu i rycząc.

- Ale źle służyłeś mnie - powiedziała.

Wzniosła bicz do śmiertelnego ciosu, ale zawahała się.

Miała lepszy pomysł.

Póldemon dzwignął się z ziemi, krwawiąc z setki ran.

- Ona zabije cię za to - wydusił, plując krwią. - Ja cię zabiję.

Quenthel nie była pewna, czy Jeggred ma na myśli Triel czy  
Danifae, ale i tak mogła się tylko uśmiechnąć. Jeggred niewiele  
rozumiał.

- Spełniłeś swoje zadanie - rzuciła w zakrwawiony pysk Jeg  
greda. - Poza tym jesteś tylko samcem.

Wokół nich zaczęły się zbierać pająki, być może przyciągnął  
je zapach krwi draeglotha.

Quenthel popatrzyła w jego czerwone oczy i powiedziała:

- Żegnaj, siostrzeńcze. Jesteś moją pierwszą ofiarą złożoną  
odrodzonej Pajęczej Królowej.

To powiedziawszy, ujęła w dłonie święty symbol i zmówiła  
modlitwę do odrodzonej bogini. Wokół niej zawirowała magia,  
która przeniesie ją z powrotem do Menzoberranzan.

Miała wiele do opowiedzenia swojej matce opiekunce.

Tuż przed tym, jak zaklęcie zabrało ją z Pajęczych Otchłani,  
zobaczyła, jak tysiąc pająków oblazi ciało Jeggreda i zaczyna  
go pożerać.

Wrzaski draeglotha wywołały uśmiech na jej twarzy.

# EPILOG

Niewidzialna Aliisza przywołała dziedzictwo swojej demo-niej krwi i przeniosła się w jednej chwili na Równinę Ognia Dusz w Pajęczych Otchłaniach Lolth.

Pojawiła się w popękanej, podziurawionej kraterami krainie wśród jezior żrącego kwasu, dymiących fumaroli i obłoków zielonego oparu. Krew demona płynąca w jej żyłach chroniła ją przed obrażeniami. Była na równinie sama.

Za nią Nieskończona Pajęczyna Lolth rozciągała się we wszystkich kierunkach nad bezdenną otchłanią. Wśród jej pasm usadowiło się Miasto Pajęczej Królowej zwieńczone świątynią w kształcie piramidy. Zobaczyła w nim więcej pajaków niż było demonów w Otchłani.

Przed nią wznosiły się poszarpane szczyty najwyższych gór, jakie kiedykolwiek widziała. Wszędzie biegały pająki. Aliisza nie rozumiała, co takiego Lolth widzi w pająkach. Alu-demon uważała je za ohydne stwory, brzydkie jak noc.

Wciąż nie wiedziała, co się dokładnie wydarzyło. Wiedziała tylko, że Lolth odrodziła się jako istota wspanialsza niż dotychczas.

I że Pharaun Mizzrym jest martwy.

Ta myśl wzbudziła w niej dziwne uczucie, podobne nieco do tego, jakie miała po obywaniu się przez kilka dni bez jedzenia. Bolał ją żołądek, a nogi ugiwały się pod nią. Miała poczucie straty, a przynajmniej straconej okazji. Będzie jej brakowało towarzystwa Pharauna, jego ciętego dowcipu.

I tylko raz się z nim przespałam, pomyślała z dąsem, choć było to lepsze niż nic.

Wszędzie dookoła widziała pozostałości wielkiej bitwy. Odłamane kończyny, połamane drzewca broni, porozrywane pancerze, powyginane hełmy, stratowana ziemia. Zakłęcia wieszczące powiedziały jej, że Pharaun zginął w tym miejscu walcząc z Inthracisem i jego idiotycznym regimentem Czarny Róg. Kopnęła hełm nycalotha, który wpadł do najbliższej dymiącej sadzawki.

Choć była niewidzialna, czuła na sobie oczy miasta, przycazonego zwyczajem pajaków, czekającego na najmniejszą oznakę słabości. Zauważyła, że stąpa powoli, jak gdyby chodziła po pajęczynie i nie chciała jej poruszyć w obawie przed wibracjami, które mogłyby obudzić pająka.

Czego się nie robi dla namiętności, pomyślała i uśmiechnęła się nerwowo.

W cieniu miasta Lolth, sama na Równinie Ognia Dusz, Aliisza metodycznie przeszukiwała pole bitwy. Od czasu do czasu pomagała sobie zakłęciami, ale przede wszystkim polegała na własnych oczach i zdolności widzenia zaklętych przedmiotów.

Kilka magicznych błyskotek rozjarzyło się w jej oczach, ale nie było wśród nich nic interesującego, aż...

Tam.

Nie zostało prawie nic. Szaty maga leżały w strzępach. Z jego ciała, a nawet kości, prawie nic nie ocalało, zostały pożarte przez jakiegoś oszalałego yugolotha albo pajęczaka - chmarę jednych albo jednych i drugich.

Coś jednak zostało. Aliisza ukucnęła i podniosła to coś z ziemi. Trzymała to teraz przed oczyma.

Odgryziony palec Pharauna, wciąż nietknięty, wciąż z pierścieniem Sorcere, który rozjarzył się w oczach Aliiszy. Przez chwilę patrzyła na palec, na gładką skórę, wypielegnowany paznokiec. Zastanawiała się, jak by to było poczuć znów na ciele te palce.

Śmiejąc się, wsunęła palec i pierścień do kieszeni.

- Cóż, najdroższy - rzuciła w powietrze - wygląda na to, że dostałam w końcu kawałek ciebie. Muszę się zastanowić, co z nim zrobić.

Z tymi słowy teleportowała się z Pajęczych Otchłani.

Valas Hune skulił się u szczytu wspaniałych naturalnych stopni prowadzących z dna pieczary Menzoberranzan na Tier Bre-che. Na schodach żarzyły się pułapki i osłony, a na szczycie stali dwaj strażnicy z Melee-Magthere.

Valas ominął osłony, a strażnicy nie zwracali na niego uwagi. Spowity cieniem, patrzył w dół na Menzoberranzan.

Miasto wróciło już prawie do normalności.

Za jego plecami niewolnicy uwijali się w pocie czoła na Tier Breche, odbudowując szkody, jakie wyrządziły Sorcere i Arach-Tinlith duergarskie bomby zapalające. Wielu z nich było szarymi krasnoludami, byłymi żołnierzami, których

Menzoberranzańscy wzięli w niewolę, zamiast zamordować.

Po przeciwnej stronie jaskini widział Qu'ellar'orl w całym swym płomiennym majestacie. Płaskowyz wyglądał tak samo jak przez ostatnie wieki. Valas wyobrażał sobie, jak po usunięciu domu Agrach Dyrz z Rady pomniejsze domy walczą zajęcie jego pozycji w hierarchii.

Wszystko rzeczywiście wróciło do normy, pomyślał.

Rzeźnicy, kupcy korzenni, handlarze narkotyków i zwyczajni kramarze tłoczyli się w budach i namiotach odbudowanego Bazaru. Ulicami Menzoberranzan wlokły się juczne jaszczury i kupieckie furgony.

Qu'ellar'zol było głową miasta, ale Bazar stanowił jego serce. Valas wiedział, że targowisko stanowi odzwierciedlenie statusu miasta w danej chwili. Widział, że interesy kwitną, co oznacza, że Menzoberranzan wraca do życia.

Po mieście krążyły plotki, większość mało prawdopodobna, a niektóre jawnie absurdalne. Valas nie wiedział, w co ma wierzyć, ale wierzył własnym oczom: Quenthel Baenre była znów mistrzynią Arach-Tinilith, a Pharaun, Jeggred, Danifae ani żadne z pozostałych nie wróciło. Valas rozumiał ukryte w tym przesłanie. Z drużyny, którą wysłano na poszukiwania Lolth, powróciła tylko wysoka kapłanka.

Valas też musiał opuścić miasto, jeśli sam nie chciał zniknąć. Z Kimmurielem, swoim przełożonym w Bregan D'aerthe, zawarł umowę na wyprawę zwiadowczą daleko od Menzoberranzan. Kiedyś powróci do miasta, ale dopiero, gdy upłynie dość czasu, żeby Quenthel Baenre zdążyła o nim zapomnieć.

Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że na myśl o opuszczeniu miasta ogarnia go nostalgia.

Dziwne, że roztkliwia się nad taką dziurą. Menzoberranzan było szpetną dziwką o czarnym sercu, która pożerała słabych i robiła biurokratów z silnych. Mimo to miasto cieszyło się

przywiązaniem tych mieszkańców, którym udawało się utrzymać przy życiu.

Valas podejrzewał, że właśnie na tym polega sekret jego przetrwania. Choć było okrutne, zamieszkujące je drowy nazywały je domem i walczyły jak demony, aby je ocalić. Patrzył na Na-rbondel żarzący się w mroku czerwienią oznaczającą początek kolejnego dnia.

Kolejnego dnia przemocy, wewnętrznych konfliktów, morderstw i zrad.

Lolth i to miasto zasługiwali na siebie, stwierdził z uśmiechem.

Nie mając tu nic więcej do roboty, odwrócił się, wtopił w cienie i wyruszył na następną wyprawę.

Inthracis Piąty otworzył oczy. Nisviim, arcanaloth o łbie szakała, stał nad nim z obojętnym i odległym wyrazem twarzy. Potem bez słowa odwrócił się i opuścił komnatę.

Inthracis leżał nieruchomo, a jego nowy umysł działał na przyspieszonych obrotach. Poniósł porażkę. Jego ostatnie wspomnienia były jednym, przeraźliwym bólem. Drowi mag złapał go w pułapkę i spalił za pomocą sprytnej kombinacji zaklęć. Inthracis postanowił zapamiętać tę taktykę, aby móc ją wykorzystać pewnego dnia.

Zakładał, że *Yor'thae* Lolth dotarła do Pajęczcej Królowej. Nie wiedział, która z trzech kapłanek okazała się Wybranką i nie obchodziło go to. Myślał tylko o tym, że może będzie musiał stawić czoła gniewowi Vhaerauna. Jeśli Pan w Masce odkryje, że Inthracis znów żyje...

Odepchnął od siebie tę myśl.

Musiał mieć nadzieję, że gniew Lolth na syna zajmie Vha-eruna na tak długo, że bóg zapomni o Inthracisie. A tymczasem



ultroloth na kilka dziesięcioleci usunie się w cień i pozwoli Nisviimowi wziąć bardziej aktywny udział w rządzeniu Tru-piszczem.

Usiadł, rozkoszując się swoim nowym ciałem. Przez chwilę zastanawiał się, czy Lolth też otrzymała nową postać.

Tę myśl też od siebie odepchnął. Miał dość bogów i bogiń na jakiś czas.